

A woman in a white lace dress and parasol stands on a wooden pier overlooking the sea. The background shows a pier extending into the water under a blue sky. The scene is framed by white decorative flourishes at the top and bottom.

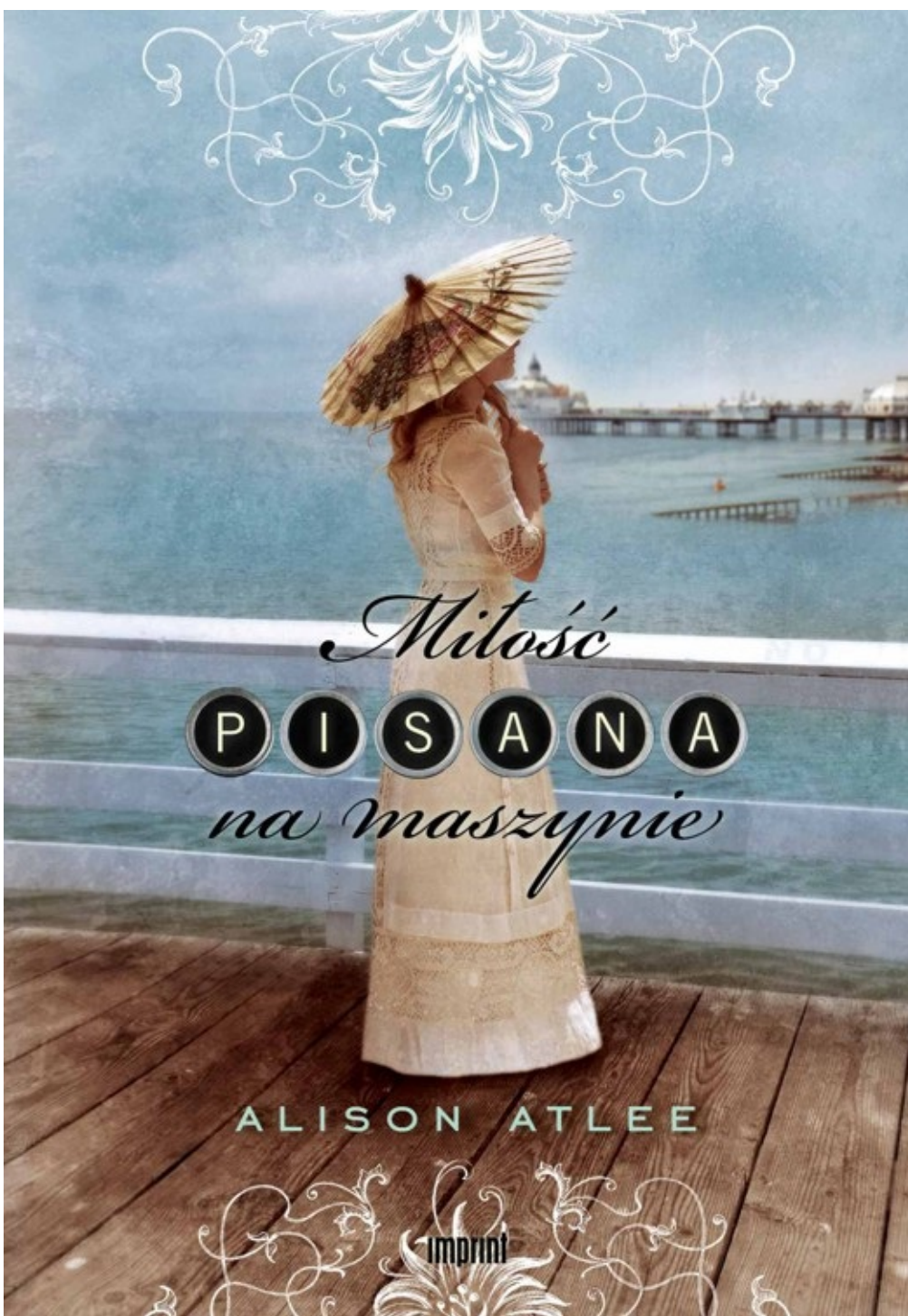
Miłość

P I S A N A

na maszynie

ALISON ATLEE

imprint



Miłość

P I S A N A

na maszynie

ALISON ATLEE

Imprint



ALISON ATLEE

Miłość
P I S A N A
na maszynie

Z angielskiego przełożył
Jerzy Aleksandrowski



imprint

1

Bardzo ważne jest opanowanie klawiatury do tego stopnia, aby ją widzieć z zamkniętymi oczyma i wystukiwać wybrane litery bez najmniejszego wahania.

Arturowa J. Barnes, Jak zostać mistrzem maszynopisania
Maszynistka nie musi zbyt wiele myśleć.

Betsey to wiedziała. Rozumiała, że skupienie i bystrość są konieczne, żeby pisać szybko i dokładnie; uczyła się tego, wystukując setki stron. Kiedy przyłapywała się na tym, że przestaje uważać, potrafiła sama sobie udzielić upomnienia: koncentracja, nie kontemplacja! Słowa te dźwięczały w jej głowie w rytmie zapożyczonym od panny Slott z londyńskiego Instytutu Szkoleń dla Pracujących Kobiet. Panna Slott

pochoǳiła z Ameryki, tak samo jak remingtony typu standard, których używały jej uczennice. Nie przestając monotonnie dyktować ponad klekotem maszyn, cieką trzcinką szturchała tę czy inną adeptkę w plecy, tuż poniżej łopatek, albo tą samą trzcinką unosiła obydwą nadgarstki piszącej. Właściwa postawa zwiększa wydajność. A także atrakcyjność – co jest dodatkowym atutem. Panna Slott zwykła powtarzać swoim uczennicom, że powinny być jak piękny zegar – nie tylko praktyczny i dokładny, lecz także ozdobiący wnętrze i ciszący oko, aby patrzący mógł dostrzec coś więcej niż dokładny czas.

Betsey to rozumiała. I dlatego opanowała te wszystkie umiejętności. Była szybka. Szybka i dokładna, bardziej niż większość pozostałych maszynistek zatrudnionych w firmie ubezpieczeniowej Baumston & Smythe, gdzie obecnie pracowała. Musiała taka być. A to dlatego, że wkrótce po tym, jak przyjęto ją do pracy, zaczęła krążyć pogłoska, jakoby Betsey Dobson nie ukończyła kursu w Instytucie. Bo Betsey Dobson została stamtąd wydalona. I to na niecałe dwa tygodnie przed końcem. No i nie otrzymała świadectwa! Nie bo jak niby miała je otrzymać! Jakie świadectwo można by wystawić kursantce, która wdała się w romans z jednym z instruktorów? I właściwie stąd wzięły się te plotki.

Zatem Betsey musiała być doskonała. Idealna postawa. Efektywność. Dokładność. Prawdę mówiąc, ta historia z Averym Nashem pomogła jej dostosować umiejętności do wymagań panny Slott, a to dlatego, że Avery miał maszynę do pisania. Strzegł zazdrośnie swojego skarbu, ale pewne względy skłoniły go do udostępnienia jej Betsey do ćwiczeń (ale uderzaj lekko, żeby nie zużyć taśmy!).

Nie dowiedział się za to, że Betsey każdej nocy, którą spędzała w jego mieszkaniu, stawia ceną maszynę na kocu na klatce schodowej. Po każdym stosunku zapadał w głęboki sen, a ona zawsze przynosiła własny papier. Nocne ćwiczenia na klatce schodowej nie sprzyjały wprowadzie poprawnej postawie, ale ogólnie okazały się korzystne. Jeśli nie liczyć wydalenia z kursu. I plotek.

Koncentracja, nie kontemplacja. To dobre motto, zresztą nie tylko dla maszynistki. Pomaga otrząsnąć się z ciężaru plotek, zwłaszcza jeśli są prawdziwe.

Albo jeśli, przypuśćmy, sytuacja wymaga popełnienia czynu niezbyt etycznego, i to całkiem jawnie – w takim przypadku zastanawianie się, czy to właściwe, czy nie, jest zupełnie zbędne.

Wszelkie objawy zażenowania mogą tylko niepotrzebnie ściągnąć uwagę. W takich przypadkach potrzebna jest tylko koncentracja: pamiętać o postawie – uważać – działać skutecznie – zrobić, co ma być zrobione.

Szanowny Panie Jones!

Jego obraz pojawił się w jej głowie na chwilę niewiele dłuższą niż ta, którą trwało wystukiwanie jego nazwiska. Pan Jones, jej bohater, o ile nie okaże się wariatem albo kłamcą...

Firma Baumston & Smythe, Insurers po przepracowanych u nas przez pannę Elisabeth Dobson ośmiu miesiącach znajduje w jej osobie wykwalifikowanego i cenionego pracownika.

Nie było to łatwe, ale Betsey dobrze się przygotowała. Maszyna do pisania Avery'ego dawno zmieniła właściciela (przegrał ją w karty – zresztą tak samo wszedł w jej posiadanie), ale on sam pomógł jej zredagować list i żartobliwie podtrzymawał na duchu, gdy odzywało się jej sumienie. Trzy wieczory spędziła nad wyimaginowaną klawiaturą, układając palce oraz zapamiętując słowa i ruchy. Teraz wlepiła wzrok w polisę ogniową i tylko raz przeniosła go na tekst, aby sprawdzić, jak jej idzie. Trwało to chwilę. Nie patrząc na list, złożyła go i wsunęła za połę czarnego kitla maszynistki. Starła się, aby ten ruch

wyglądał jak poprawianie się na krześle.

Włożyć nową kartkę. Rzut oka na podest w głębi hali biurowej. Miejsce pana Wofforda było puste.

Do diabła. Po dwakroć do diabła. Pana Wofforda, najmłodszego z młodszych biuralistów, nie było nigdzie w zasięgu wzroku. Czy całkiem sobie poszedł? Odważyła się znów podnieść wzrok znad pracy dopiero wtedy, gdy zadźwięczał dzwonek na popołudniową przerwę.

Łoskot maszyn ucichł. Słowa wystukiwane ustąpiły szeptanym. Maszynistki podjęły rozmowy przerwane wraz z końcem przerwy obiadowej.

Betsey zaryzykowała rzut oka na biurka za swoimi plecami, tam, gdzie na stołkach nadal tkwili młodszy kanceliści. Nie mogli mieć przerw razem z personelem kobiecym, ale nie przeszkadzało im to przerywać pracy i przyglądać się wychodzącym dziewczętom.

Najprzyjemniejsza pora dnia – tę uwagę Betsey słyszała już wiele razy. Tylko Avery, młodszy urzędnik – urzędnikiem był o wiele krócej niż nauczycielem stylu w szkole dla pracujących kobiet – wydawał się trwać niewzruszony. Sprytnie, bardzo sprytnie. Oboje zachowywali się tu, w biurze, jak para zupełnie obcych sobie ludzi, i gdy Cora Lester podzieliła się z Averym wiedzą na temat wydalenia panny Dobson, i zapytała go, który z jego kolegów nauczycieli uwikłał się w ten związek, Avery nie zawiódł: stwierdził, że nauczyciel dykcji dość nagle opuścił szkołę. Ależ pan Hadfield pojechał z baptystami do Indii Zachodnich! – zdumiała się panna Lester, ale Avery wzruszył ramionami i jej oddech zamarł na chwilę, a oczy załśniły. No tak, nauczyciel wymowy!

Nic dziwnego, że ta Dobson jest taka wygadana!

Bardzo sprytnie. Może Betsey wolałaby, aby Avery poradził Corze Lester, żeby pilnowała własnego nosa, tak samo jak wolałaby, aby teraz spojrział jej w oczy i przesłał jakiś znak podtrzymujący na duchu. Ale te pragnienia były głupie, więc nie przestawała rozglądać się dyskretnie. Starła się przy tym omijać wzrokiem Jamesa Chesneya, który od chwili, gdy Cora Lester puściła w obieg swoje nowiny, spoglądał na jej wzrokiem wyraźnie pożądlwym. No cóż, nie był jedyny, nie był nawet najbardziej zuchwały. Tu wyróżniał się pan Wofford, który – jak zauważyła, czując ściskanie w dołku – stał teraz przy ścianie z wieszakami na ubrania. Wyraźnie czekał. Czekał na nią – to było jasne, bo stanął tuż przy wieszaku z jej inicjałami, na którym wisi

jej tweedowy żakiet. Nie umiała tylko odgadnąć, czy już ją zauważył, czy czeka, aż ona zauważy jego.

Postanowiła, że spróbuje go przechytrzyć. Przyklei się do grupki dziewcząt skupionej wokół

Maude Rudwicke i wymknie się z biura. I wyśmieje własne roztargnienie, gdy będą ją pokazywać palcami jako tę, która wyszła na przerwę w biurowym kitlu.

Ale wtopienie się w grupę okazało się niełatwe. Była wyższa od Maude Rudwicke, zresztą podobnie jak od wszystkich pozostałych dziewcząt. Była wyższa nawet od pana Wofforda, choć gdy zastąpił jej drogę w drzwiach, poczuła coś wręcz przeciwnego. Powiedział:

– Poproszę o to, panno Dobson.

Przez chwilę patrzyła na jego wyciągniętą dłoń, prostokątne opuszki palców, dziwnie różowe w zestawieniu z bladą skórą nadgarstka wystającego z mankietu koszuli. Gwar wokół nich nagle ucichł, a dziewczęta straciły zainteresowanie przysługującym im wolnym czasem.

Pan Wofford zgiął w przyzywającym gości dwa palce.

– Bardzo pana proszę, to sprawa osobista.

Powiedziała to ściszym głosem, zupełnie bez sensu, zważywszy na to, że otaczał ich ciasny wianuszek dziewcząt. A pan Wofford nie miał zamiaru ani zachęcać ich do wyjścia, ani zasugerować kolegom, aby wrócili do swoich zajęć.

Starał się za to nie uśmiechać zbyt promiennie. Wychodziło mu to tak samo dobrze jak zapuszczanie brody.

Oceńnię, że rzadki blond zarost ostatni raz widział się z brzytwą przed jakimś dziesięcioma dniami. Młody był ten pan Wofford. Ale stary jak na młodszego biuralistę – od czasu, kiedy przyjęto ją do pracy, trzech inni młodszy biuraliści awansowali przed nim. Ale nadal był młody i bardzo ambitny.

– Nie wiem, jak to możliwe – powiedział. Gdy mówił, odsłaniał tylko dolne zęby. – To, co pani tam schowała, wyszło z maszyny firmy Baumston & Smythe.

– Przepraszam, panie Wofford. Czy pan jest tego pewny?

– Panno Dobson...

Przez otaczający ich wianuszek przeszedł szmer: Co ona zrobiła? Cicho! – odpowiedział ktoś, bo wszyscy chcieli śledzić rozwój wypadków i nikt nie miał zamiaru tracić czasu na wyjaśnienia. Roztrząsać i komentować będzie można później, podczas lunchów, przerw, marszu ramię w ramię na przystanek omnibusu.

Palce pana Wofforda znów drgnęły.

– Proszę!

Betsey wsunęła list między różowe opuszki jego palców.

Gdy przeczytał (na głos, a jakże) kilka pierwszych linii, w biurze zapadła pełna napięcia cisza. Zapytał:

– Panno Dobson, czy pani sama napisała sobie to świadectwo?

Tym pytaniem wywołał spodziewane poruszenie, szybką wymianę spojrzeń, tu i ówdzie ciche westchnienia. Przez kilka pierwszych miesięcy Betsey uważała pana Wofforda za nieśmiałego. Ale plotki na jej temat ośmieliły go, jakby w nim coś wyzwoliły, a zainteresowanie całego biura dodawało mu pewności siebie.

– Imponujące, muszę przyznać – powiedział. – Ale chyba nie całkiem obiektywne, prawda?

– Nie ma tam nic, co mijaloby się z prawdą.

– Tak? Ale kłamstwo często tkwi w przemilczeniu. Czy nie mam racji? – Znów spojrzął na papier, ale teraz, na szczęście, nie czytał na głos. – A tu właśnie mamy tego przykład. Widzę, że pominęła pani najistotniejszy element typowego zaświadczenia, czyli stwierdzenie, że jest to właśnie zaświadczenie.

Choć tego można się domyślić, zważywszy na to, że bezczelnie posłużyła się pani nazwiskiem młodszego pana Smythe, że umieściła je pani pod listem. Zupełnie jakby to on ten list dyktował i zamierzał go podpisać.

Znów ogólne poruszenie: młodszy pan Smythe jeszcze przez trzy miesiące będzie za granicą, o czym wszyscy wiedzą.

– I proszę – pan Wofford wyciągnął list przed siebie. – Papier. Tusz i maszyna. No i czas zużyty na stworzenie tego falsyfikatu. To więcej niż nieuczciwość. To kradzież. To bardziej odpowiednie słowo, prawda? Kradzież.

Kradzież i fałszerstwo. Betsey popatrzyła na niego spokojnie i nagle zdała sobie sprawę, że ten człowiek może jej narobić mnóstwo kłopotów. Nie chodziło tylko o to, że ją upokorzy słowami, ani nawet o to, że ją zwolni z pracy ze skutkiem natychmiastowym. Na to starała się być gotowa, choć w gruncie rzeczy wierzyła, że uda jej się z tego wybrnąć.

Próbowała policzyć: jaką część jej ośmioszylingowej tygodniowej pensji warte jest owe pięć minut, które poświęciła na pisanie listu? Ile kosztował firmę tusz, który zużyła do napisania tych kilku zdań o swoich umiejętnościach i doświadczeniu? Co do papieru – oczywiście, powinna była kupić go sama.

Wszystko to razem, plus fałszerstwo – o nie! Tylko zamiar fałszerstwa, co najwyżej o to mógł ją oskarżyć, mając w ręku niepodpisany list. Czy było to wystarczająco dużo, aby zainteresować tym wymiar sprawiedliwości? Tego nie wiedziała. Z pewnością Baumston & Smythe to nie to samo co straganiarz z Covent Garden wnoszący oskarżenie o kradzież jabłek. I jeszcze trzeba pamiętać o Richardzie, który haruje w biurze piętro niżej, nieświadom wyczynów swojej szwagierki.

– Ja tylko... – zaczęła, ale słowa uwięzły jej w gardle. Przełknęła ślinę. Nie patrzyła, nie chciała patrzeć na Avery'ego. – Zostały mi tylko trzy dni do wypowiedzenia, panie Wofford. Chyba będzie najlepiej, jeśli już teraz wezmę wypłatę i odejdę.

Usta pana Wofforda poruszyły się tak, że jego bokobrody oceniła nie na dziesięć dni, a na siedem. Spodobała mu się jej propozycja, tak jak się spodziewała. Nie mógł jej zresztą zwolnić, ale mógł się poczuć tak, jakby miał taką możliwość. Roztrąciła otaczający ich wianuszek dziewcząt i idąc w stronę wieszaka, ściągała czarny kitel. Ktoś dotknął jej ramienia i usłyszała miły głos:

– Betsey?

Julia Vane, zawsze sympatyczna, jedna z tych, które zaryzykowały pozostanie z nią w przyjaznych stosunkach.

Usłyszała, jak pan Wofford mówi:

– Sądzę, że najpierw powinniśmy się skontaktować z panem Hutchensem. Chyba podzieli moje zdanie w kwestii tego, czy należy się pani wynagrodzenie.

Trzęsły jej się ręce, kiedy zapinała zakiet. Zaledwie kilka minut wcześniej perspektywa opuszczenia firmy Baumston & Smythe z mniej niż tygodniową wypłatą i bez listu polecającego była nie do pomyślenia. Z tego, co powiedział pan Jones, wynikało, że list jest jedynym warunkiem przyjęcia jej do pracy w firmie administrującej molo. Musiała opłacić podróż koleją do Idensea, oddać dług Richardowi

i Grace. I teraz nagle miałyby odejść z pustymi rękami. Byłoby to tylko niewiele gorsze od zderzenia z wymiarem sprawiedliwości.

Naciągnęła rękawiczki i złapała kapelusz. Nikt się nie odezwał, kiedy wychodziła. Miała nadzieję, że przynajmniej wygląda na kogoś, kto ma jakiś plan i wie, co robi. Korytarz przed biurem, z wielkimi łukowymi oknami na każdym podeście, wypełniało majowe powietrze i światło jak z niezapomnianego snu. Od ulicy dzieliły ją dwa ciągi schodów: pierwszy prowadził do biura, przed którym w każdy wtorek stała w kolejce po wypłatę.

Gdy pan Wofford zawołał ją po nazwisku, zatrzymała się na drugim stopniu. Palcami dotykała poręczy, ale nie odwróciła się w jego stronę.

– Byłam tu dłużej niż osiem miesięcy, panie Wofford – powiedziała, starając się powściągnąć głos, żeby się nie rozchodził po klatce. – Nie opuściłam ani jednego dnia i nigdy się nie spóźniłam. Byłam jedną z waszych najlepszych maszynistek i przepracowałam trzy dni, za które mi nie zapłacono. Proszę mi pozwolić odebrać wypłatę i odejść.

– Zdaje się, że wyjaśniłem pani, na czym polega problem z takim rozwiązaniem.

Odwróciła się z nadzieją, że okaże się szczerzy i wielkoduszny. Pan Wofford zostawił za sobą otwarte drzwi i teraz widniały w nich wszystkie twarze, nie wyłączając twarzy Avery’ego. Nadzieja prysła, ale Betsey odezwała się i tak.

– Nie mogę odejść bez tygodniówki.

– Też tak myślę, nie taka dziewczyna jak pani.

W tym stwierdzeniu nie miało być i nie było sympatii.

– Dziewczyna taka jak pani.

To znaczyło, że wie o niej wiele i nie uważa jej za podobną do innych maszynistek, pomagających rodzinie aż do zamążpójścia. Liczyła zresztą od nich więcej lat (dwadzieścia cztery), nie miała męża, utrzymywała się sama – była więc pod każdym względem do nich niepodobna.

A przy tym wątpliwej kondyty. Historia jej wydaleni z Instytutu tylko potwierdzała przypuszczenia.

– Wydaje się dość dziwne – ciągnął – że nie pomyślała pani o tym wcześniej. Dziwne tym bardziej, że zdecydowała się pani na tak ryzykowne przedsięwzięcie, podczas gdy ja zgodziłem się sam napisać pani świadectwo.

– Świadectwo umiarkowanie pozytywne.

– W takich sprawach zawsze należy mówić prawdę.

Przeskoczyła z powrotem dwa stopnie w górę.

– To nie w porządku. Cokolwiek ma pan zamiar insynuować, nie ma to nic wspólnego z moją pracą tutaj. Nie ma pan powodu się skarżyć. Zawsze byłam wzorowym pracownikiem.

– Aż do dzisiaj.

Betsey poczuła, że się czerwieni. Spojrzała w okno. Nie było za nim nikogo, kto mógłby ją zobaczyć.

– Ach, panno Dobson. Sądzę, że w pani przypadku, podobnie jak w przypadku znakomitej większości przedstawielek pani płci, nieporozumieniem jest ryzyko, jakie podejmuje biznes, zatrudniając was. W takim przedsiębiorstwie jak nasze, albo w tej kompanii od molo, do której się pani wybiera, wy, młode... damy... jesteście, że tak powiem, czymś nieprzewidywalnym. Wyrwane z kobiecego środowiska samą swoją obecnością wywołujecie sytuacje niebezpieczne i krępujące, takie, przed którymi należy się bronić.

– Mam rozumieć, że pozwoli mi pan odebrać pensję? Czy nie?

Jego górna warga zadrżała, jakby miał zamiar odpowiedzieć, ale się nie odezwał. Zamiast tego odwrócił się i nakazał uczestnikom tego małego zbiegowiska wrócić do pracy. Głowa Avery'ego już pochylała się nad papierami. Betsey nie mogła tego nie zauważyć. Żadna z maszynistek nie zaprotestowała w widoczny sposób przeciwko skróceniu przerwy. Cora Lester, chyba jedyna, która wymknęła się do WC, wbiegała w podskokach po schodach. Na widok Betsey i pana Wofforda zawahała się – nieco przesadnie teatralnie.

– Raz jeszcze, panno Dobson – powiedział pan Wofford – przypominam pani, że w biznesie obowiązuje ustalony porządek rzeczy. To nie ja decyduję o tym, czy dostanie pani wypłatę. To ja natomiast zaprowadzę panią do pana Hutchensa i to do niego będzie należało ostatnie słowo.

– Może mi pan pozwoli zejść na dół.

Pan Wofford ruchem głowy polecił Corze Lester, żeby weszła do biura. Spojrzał na Betsey i uniósł brwi.

– Mam pozwolić? I ominąć procedurę? No, wyjątkowo można tak zrobić.

Taksował ją wzrokiem. Stał w otwartych drzwiach, niewidoczny dla innych, i patrzył na nią.

Stukot maszyn do pisania nagle przycichł. Pan Wofford niemal całkiem zamknął drzwi.

Przytrzymał ich krawędź. Drugą rękę wsunął w spodnie i nacisnął na brzuch. Był to ruch delikatny, i to raczej ta delikatność, a nie sam gest, zdumiała Betsey.

– Powinna mnie pani przekonać, że obecna sytuacja należy do takich wyjątków – powiedział. Odsunął do tyłu poły marynarki i wystawił zza paska spodni kciuk. – Rozumie pani?

Nadal na nią patrzył.

Koncentracja, nie kontemplacja. Dobre motto, nie tylko dla maszynistki. Jest w życiu wiele sytuacji, które wymagają uwagi, ale których nie należy analizować zbyt długo. Jest wiele sytuacji, kiedy właściwa postawa zapewnia skuteczność. Przypuśćmy, że chcemy dać jakiemuś sukinsynowi nauczkę – a tu on sam przyjął odpowiednią pozę. I sam podsunął rozwiązanie.

Betsey kiwnęła głową:

– Rozumiem. – Ułożyła zaciśnięte wargi w coś na kształt uśmiechu i przymknęła powoli oczy.

Zauważyła, że wywołuje to zamierzony efekt. – Panie Wofford, ma pan... całkowitą rację.

Nie miała zbyt wydatnych piersi, ale umiała je podkreślić odpowiednią postawą. Zrobiła to teraz, skutecznie przykuwając uwagę mężczyzny. Podeszła do drzwi i zdecydowanym ruchem trzasnęła nimi o framugę. Był to skuteczny sposób na poinformowanie sukinsyna, że ma iść do diabła – skuteczny tym bardziej, że jego palce nadal obejmowały ich krawędź.

Teraz mogła się skoncentrować na majestatycznym opuszczaniu firmy Baumston & Smythe, Insurers.

2

PAMIĘTAJ O DZWONKU

Dzwonek dzwoni, aby ostrzec piszącego, że ten zbliża się do końca wiersza.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Miała w bucie cztery szylingi, odłożone z poprzedniej wypłaty. Zamierzała do nich dołożyć jeszcze pięć, aby kupić bilet do Idensea. Przede wszystkim bilet kolejowy, zdobyty kosztem rezygnacji z posiłku. Twardy ucisk monet w trzewiku przez ostatnich kilka dni podtrzymywał ją na duchu, ale teraz, kiedy opuściła City i długo maszerowała do domu siostry, Caroline, do Brixton, ból kostki dużego palca stał się torturą. Podróż do Idensea w jedną stronę kosztowała dziewięć szylingów, nie cztery.

Dotarwszy do drzwi, nacisnęła dzwonek i się schyliła. Nie mogła czekać ani chwili dłużej.

Musiała rozsznurować i poprawić trzewik. Zakłęła, kiedy zobaczyła, że moneta wytarła dziurę w pończosze.

– Elisabeth! Na litość boską, wejdź! Myślałam, że przyjedziesz w niedzielę!

Betsey włożyła stopę z powrotem do bucika. Ociągała się z podniesieniem oczu na siostrę.

– Zmiana planów. Muszę wyjechać już jutro, a nie w przyszłym tygodniu. Przyszłam się pożegnać.

– Ale dlaczego? Myślałam, że twój list...

Betsey zdobyła się na pogodny uśmiech. Ale Caroline i tak zauważyła jej włosy.

– Masz grzywkę! I... co to, obcięłaś włosy? Elisabeth!

Caroline uniosła rękę, aby sprawdzić dwoma palcami długość jej włosów. Betsey ją uprzedziła. Pasma, które się wysunęły, kiedy szła z pracowni perukarza do domu Caroline, próbowała ukryć pod kapeluszem. Natychmiast wymknęły się znowu, więc założyła je za uszy.

O Boże, powinna była kupić więcej szpilek, toby się teraz trzymały. Tył ledwie muskał ramiona, ale przód był krótszy, bo pomocnik perukarza nieumiejętnie zebrał je przed obcięciem nożycami, które w dodatku okazały się mniej ostre, niż być powinny. Grzywkę chłopak zostawił jej chyba na pocieszenie.

– Ale dlaczego? – dopytywała się Caroline. – Teraz całe lata będziesz czekać, aż odrosną. Jak ty to wytrzymasz?

Patrzyła na nią ze współczuciem, jakby siostra musiała sprzedać swoje dziecko, nie włosy.

Było trochę tak jak wtedy w Manchesterze, kiedy liczyła zaledwie siedemnaście lat, nie miała dokąd pójść, nie wiedziała, jak zdobyć parę groszy, gdy już wydała te, które dostała za włosy.

Tego popołudnia usiadła na krześle perukarza i zapragnęła, aby podano jej jakiś magiczny napój, posmarowano cudownym olejem lub maścią, żeby tylko jej włosy mogły rosnać szybciej, żeby dało się znowu je sprzedać. Marzyła o tym, żeby miały barwę wąsów kukurydzy. Wtedy dostałaby za nie więcej.

– Nic ciekawego – burknął perukarz, a gdy stwierdził, że nie mają pożądanej długości, oddał ją z niesmakiem w ręce pomocnika.

– Potrzebowałam pieniędzy – powiedziała. – A niby jaki inny powód mogłabym mieć?

– Ale twoja pensja, mówiłaś...

– Wymówili mi dzisiaj.

– No nie! Dlaczego! Jak mogli? A co na to Richard?

Mąż Caroline pomógłby Betsey, gdyby mógł. Oczywiście nie powiedział żonie tego, co szwagierce, że gdyby pomógł jej zdobyć tę posiadłość, wziąłby na siebie odpowiedzialność za jej karierę. A tymczasem nie powinna się niczego po ich znajomości spodziewać, co najwyżej że skinie jej głową, gdy wychodząc z pracy, natkną się na siebie w drzwiach.

Richard wpadłby w szal, gdyby się dowiedział, jakie przedstawienie urządziła tego popołudnia. Dlatego chciała się pożegnać z siostrą i jej dziećmi, zanim szwagier wróci do domu.

Zrobiło się późno. Straciła dużo czasu u perukarza i na marsz do domu Caroline. Nie chciała wydać ani jednej ze swoich nielicznych monet na omnibus. Wiedziała, że Richard też część drogi z domu do pracy pokonuje na piechotę, a dopiero później wsiada do omnibusu. Najwidoczniej znał jakiś sposób najbardziej ekonomicznego podziału wydatków na bilet i na zelówki.

Udzielwszy Caroline mało przekonującego wyjaśnienia, weszła do domu. Zawołała siostrzeńców, którzy, jak się okazało, bawili się na podwórku za domem. Miała dla nich słodycze.

Nie były to wprawdzie ani cukrowe myszki, ani toffi, jak by chciała, tylko miętowe cukierki, bo nawet pens wydany na takie przyjemności ledwo pozostawał w zasięgu jej możliwości.

Ale nawet marne miętówki sprawiły, że w oczach dzieci zobaczyła zachwyty. Dwoje najstarszych, Dick i Emma, przez chwilę trzymało swój przydział w rękach, a potem część pochłoneły. Drugą część oddały na przechowanie matce. Czteroletni Francis patrzył na nich, a czerwone paski cukru topniały mu w piastce.

– Ależ nie – zaproponowała Betsey. – Możecie je zjeść. To poczęstunek ode mnie. Nie musicie ich odkładać.

Dick i Emma patrzyli na ciocię, jakby właśnie wygłosiła jakąś straszliwą herezję. Spoglądali też na matkę, sprawdzając, czy temu przykłaśnie.

Caroline była wyraźnie zakłopotana, ale pozwoliła:

– Myślę, że skoro taty nie ma... więc jeśli chcecie...

Ale wychowanie wzięło górę. Połowa została odłożona, a gdy Caroline wkładała cukierki do kieszeni fartucha, Emma próbowała otworzyć piąstkę Francisa.

– Jak nie oddasz, to będziesz żałował – pouczyła go. – Ja i Dick będziemy mieli swoje, a ty nie, i będzie ci przykro.

Francis uderzył czołem w jej podbródek, więc go puściła i malec padł na podłogę. Oboje zaczęli ryczeć. Emma z powodu bolącej brody, Francis z powodu utraty słodyczy. Połamały się na ceglanych płytkach.

Gdy Betsey zbierała miętówki, starając się przekonać Francisa, że pokruszone będą smakowały tak samo jak całe, pochyłona nad Emmą Caroline nagle się wyprostowała.

– Chyba słyszę, że Richard wraca – wymruczała, ruszając do domu. Betsey spojrzała przez okno w stronę furki w murze na końcu ogrodu. Nawet gdyby zdecydowała się tamtędy uciec, było już za późno. Umazane słodyczami dzieci chlipały, a ona stała między nimi.

– Szukają cię – powiedział Richard. A przedtem odesłał dzieci do innego pokoju.

Ponad jego ramieniem w wąskich drzwiach ukazała się głowa Caroline.

– Kto? Kto jej szuka? – zapytała.

– Kierownictwo Baumstona & Smythe'a. Powiedziała ci, co zrobiła?

Caroline nie odpowiadała, Betsey też się nie odezwała. Richard mówił dalej:

– Ze złości złamała jednemu panu palec.

Złamałam Wofffordowi palec? Nic dziwnego, że zawył jak zabłąkane dziecko.

– To nie było ze złości – sprostowała, nie kryjąc uśmiechu, raczej niestosownego w tej chwili.

Richard patrzył na nią ze zmarszczonym czołem, a Caroline z niepokojem spoglądała mu przez ramię.

Kochana Caro! Powiedziała tylko:

– Elisabeth, co on ci zrobił? Wszystko w porządku?

Richard odwrócił się do niej tak gwałtownie, że cofnęła się o krok.

– Przyłapał ją na kradzieży i fałszerstwie, Caroline! A potem na niego napadła i uciekła.

I teraz pan Hutchens próbuje ustalić, gdzie ona mieszka. – Potem zwrócił się do Betsey: – Przez ciebie mogli mnie zwolnić. W najlepszym razie będę pośmiewiskiem, a w najgorszym – kimś podejrzanym. Teraz wszyscy wiedzą, że mam to nieszczęście, że jestem z tobą spowinowacony.

– Richard, przepraszam... nigdy nie chciałam, żebyś...

– Co im powiedziałaś? – przerwała Caroline. – Kiedy pytali, gdzie mieszka Elisabeth, to co im powiedziałaś?

Richard niechętnie spojrział na Betsey i na żonę.

– Skąd ja mogę wiedzieć, gdzie ona mieszka? Powiedziałem im, że pewnie w jakiejś norze na East Endzie, gdzie ani moja, ani twoja noga nigdy nie powstała.

– To nie jest żadna nora – powiedziała spokojnie Betsey.

– Myślisz, że ktoś może tu przyjść i szukać jej u nas? – spytała Caroline.

– A nie sądzisz, że to całkiem prawdopodobne?

Minęła chwila. Betsey próbowała się uśmiechnąć do siostry i powiedzieć: myślę, że powinnam już pójść, kiedy zobaczyła, że jej oczy wypełniają się łzami. Caroline wyminęła męża, złapała siostrę za rękę i pociągnęła za sobą.

Dała jej szpilki do upinania włosów. Dała kłębek sznurka, bo pamiętała, że jej stara walizka ma zepsuty zamek. Usiłowała obdarować siostrę innymi skarbami: pudełkiem proszku lawendowego, butelką atramentu, parą pończoch pocerowanych tylko w jednym miejscu na dużym palcu. Betsey zaklinała się, że nie potrzebuje żadnej z tych rzeczy, więc Caroline zaprowadziła ją do kuchni i wyjęła z chlebaka bochenek wczorajszego chleba. Nie zważając na protesty Betsey, zawięła go w woskowany papier.

– A co powie Richard, jak za szybko ci się skończy mąka? – spytała Betsey.

– Przypomnę memu kochanemu mężowi, że powinniśmy cię byli zatrzymać na obiedzie. Niech będzie zadowolony, że to tylko kawałek chleba.

Ale Richard nie wyglądał na zadowolonego, zwłaszcza od chwili, kiedy Caroline poinformowała go, że ma odprowadzić szwagierkę do omnibusu i zapłacić za przejazd. Jej głos brzmiał spokojnie i słodko, jak zapach lawendy, ale ton nie znosił sprzeciwu. Betsey uwielbiała ten ton, ale nie chciała ani asysty Richarda, ani jego pieniędzy.

Powiedziała mu o tym, kiedy ruszyli ulicą. Oznajmiła, że zamierza pójść do domu na piechotę. Zwrócił jej uwagę, że zapada zmierzch i jest mgła. W takich warunkach samotna kobieta nie może się czuć na ulicy bezpiecznie. Zapewniła go, że nic jej się nie stanie, i pokręciła głową, kiedy zobaczyła, jak odlicza monety.

– Uznaj to za zwrot tego, co jestem ci winna.

Złapał ją za ramię, zmusił, żeby się zatrzymała.

– Weźmiesz. Weźmiesz i opuścisz bezpiecznie to miejsce. I trzymaj przynajmniej swoją siostrę z dala od własnych kłopotów. – Wcisnął jej pensy w dłoń, zamknął ją i zacisnął rękę wokół jej palców tak mocno, że poczuła cień sympatii do pana Wofforda. – A jeśli chodzi o to, co jesteś winna, to już o tym nie wspominajmy.

Betsey zachowała spokój. Bała się, że szarpanina wyprowadzi go z równowagi. Nigdy nie lubiła

swojego szwagra. Pomógł jej, pożyczając pieniądze na kurs w Instytucie i na nowe ubranie do pracy u Baumstona & Smythe'a, ale jego małoduszność sprawiała, że nie miała ochoty okazywać mu wdzięczności. Ale aż do teraz nigdy się go nie bała.

Zachowała więc spokój i wyszeptwała:

– Będę przysyłać część pensji, Richardzie. Dwa razy w miesiącu. Wiesz...

Przerwał jej.

– Mniejsza o to! Trzymaj się od nas z dala. Jedź, dokąd chcesz, i nie wracaj. Pisz do Caroline, kiedy chcesz, żeby się nie martwiła, ale jak znów zrobisz coś, co spowodzi na ciebie katastrofę, nie wikłaj w to mojej rodziny. Mam dość, słyszysz?

Betsey skinęła głową, ale on trzymał jej rękę, dopóki zza zakrętu nie wyjechał jakiś wóz. Kiedy ją wreszcie puścił, szła koło niego jak odrętwiała. Tak doszli do ulicy, którą kursował omnibus. Czekali w milczeniu. Kiedy przyjechał, wbiegła po stopniach na górny poziom. Czuła, że potrzebuje zarówno powietrza, jak i otwartej przestrzeni.

Wieczór był chłodny. To dlatego przez pierwszych kilka minut dygotała. Wehikuł pokonywał kolejne jardy. Majaczące we mgle uliczne lampy zbliżały się i zostawały w tyle, zbliżały się i zostawały, zupełnie obojętne na gwarne życie ulicy toczące się pod ich mglistą poświatą. Trzęsa jej się ręka. To było coś nieoczekiwanego. Sama się dziwiła, że w milczeniu podporządkowała się Richardowi. Powodował nią oczywiście strach wywołany tak niespodzianym obrotem spraw. Usiłowała sobie wmówić, że zaskoczyło ją nie to, jak ją złapał, ale to, że darował jej dług. Ale nie zdołała przekonać samej siebie.

Czy on naprawdę wierzył, że może ją trzymać z dala od Caroline i dzieci? Dlaczego po prostu nie posłała go do wszystkich diabłów? Dlatego, że miał rację?

Odwinęła kawałek papieru, w który siostra zawinęła chleb, i powąchała. Zapach był o wiele przyjemniejszy od tego, który czuła coraz wyraźniej, w miarę jak omnibus zbliżał się do celu. To, że ona doprowadzała różne swoje sprawy do – jak to Richard nazwał? – katastrofy, nie ulegało wątpliwości. Czy tak samo będzie w Idensea? Próbowała wierzyć, że nie jest to, jak zakładał Richard, przesądzone.

Wiedziała, że Idensea leży w hrabstwie Hampshire, bo Baumston & Smythe ubezpieczali kompanię mającą tam obiekty rozrywkowe, na molo i na nabrzeżu. Nigdy jednak tam nie była. Ale perspektywa zamieszkania blisko morza jakoś ją pociągała. Zachowała w pamięci drobiny piasku uczipione wilgotnego rąbka jej wyblakłej niebieskiej sukienki, oblepiające jej małe paluszki, i mamę rozbryzgującą nogami słoną wodę w stronę słońca i wołającą do córek – i syna, bo David był jeszcze wtedy z nimi – patrzcie, patrzcie! A obok roześmianej matki stał jakiś mężczyzna. To mógł być ich ojciec. Tak przynajmniej uważała jeszcze kilka lat temu, gdy usiłowała przypomnieć Caroline czasy Blackpool. Ale Caroline powiedziała, że nie, to niemożliwe, żeby ojciec był wtedy z nimi.

No więc kto to był?

Nie wiem, ktoś obcy, po prostu ktoś, kogo lubiłaś.

Choć wspomnienie rodziny było słabe i niejasne jak garść kurzu, żałowała tego rozwianego złudzenia.

Nie знаła drogi do Idensea, ale jechała i była zadowolona, zadowolona z tego, że zostawia za sobą brudy i rozczarowania Londynu. Miała zostać menedżerem – za każdym razem, kiedy pan Jones używał tego określenia, zamiast mówić menedżerka, uśmiechała się – kimś, kto będzie organizować całodzienne wycieczki dla turystów i pełnić obowiązki pani domu, kiedy przyjdą na wieczorki taneczne do nowego hotelu. Obiecano jej prowizję od każdej grupy. Praca ryzykowna, sezonowa, ale pan Jones zapewnił, że zimą znajdzie jej zajęcie w biurze.

Dlaczego dał jej taką szansę? Tego nie wiedziała. Nie miała pojęcia, dlaczego wyszedł za nią z tego spotkania, na które ją wezwano, aby notowała pod dyktando. Zapytał, czy lubi swoją pracę, czy lubi być maszynistką, a ona, podejrzliwa i wzburzona, odpowiedziała coś zuchwałego.

Więcej niż zuchwałego. Obawiała się, że jeśli ktoś zobaczy, jak rozmawiają, zostanie posądzona o nieobyczajność, i zamierzała go tą więcej niż zuchwałą odpowiedzią zniechęcić.

Ale on poszedł za nią. Wspomnił o wynagrodzeniu i to wtedy się zatrzymała i na niego spojrzała. I zaczęła słuchać. Dlatego, że wynagrodzenie było dobre, podobnie jak jego twarz. Dobra twarz, otwarta jak okno latem.

Tej nocy nikt nie przyszedł jej szukać – jej współlokatorka Grace zapewniła ją, że tak było. Avery też nie pokazał swojej gęby, o czym Grace powiadomiła ją z wyraźną niechęcią.

Ile wysiłku Baumston & Smythe gotowi są włożyć w szukanie jej? Zawiadomią policję?

Denerwowała się tym, podobnie jak sprawą opłaty za bilet i skonfiskowanym listem. *Proszę przywieść dobre świadectwo albo dwa, dla pana Seilera i dla sir Altona* – tak powiedział pan Jones.

Rozmyślała o tym, karmiąc kawałkami chleba Sammy'ego, małego synka Grace, i rzucając okruchy do klatki, w której mieszkał Thief, jej kanarek. Dlaczego po prostu nie napisała tego listu dłoń?

Grace ją o to spytała. Albo dlaczego nie napisał go Avery – miał taką pewną i wyrobioną dłoń. Ale po dzisiejszych doświadczeniach Betsey nie miała już siły na fałszerstwa.

Avery nie przyszedł. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, a wspomnienie, w jaki sposób po prostu zniknął z jej życia po tym, jak ją zwolniono, a jego przywołano do porządku, wydawało się w tej chwili zbędne. Razem z Grace, która już zatroszczyła się o nowe lokum dla siebie, zabrały się do pakowania. Dla Sammy'ego to była zabawa. Śmigał po pokoju i przynosił Betsey albo mamie wszystko, co zdołał wieść. Większość przedmiotów, które wyciągnął, należała do Avery'ego.

Betsey nie zdawała sobie sprawy, jak dużo różnych gratów ma Avery, nawet kiedy sprzedawała większość jego książek i innych wartościowych przedmiotów. Przewożenie tego do Idensea byłoby i kosztowne, i dziwne.

Jej własne rzeczy – wszystko z wyjątkiem zimowego płaszcza – zmieściły się w jednej walizce. Kilka godzin później, kiedy już Grace i Sammy przenieśli się z pomocą sąsiadów do nowego mieszkania, leżała cała drżąca na łóżku. Pierwszą pracę w Manchesterze, po tym jak zwolniono ją z posady pokojówki, dostała w pralni. Nocowała wówczas na podłodze w pokoju na zapleczu wraz z tuzinem innych kobiet. Ileż to razy od tamtego czasu marzyła o własnym pokoju?

Mimo to tej nocy brakowało jej miarowego stukotu wypożyczonej przez Grace maszyny do szycia.

Mieszkanie wydawało się bardzo ciche, tak ciche, że usłyszała lekkie kroki zbliżające się do drzwi i

ostrożne manipulowanie przy zamku.

Ubranie, które zdjął, roztoczyło woń tytoniu, piwa, ale i czegoś jeszcze – jakby wędzonego, ale bardziej konkretnego, pieczonego. Zdziwiła się, że od razu nie odgadła: to był zapach teatru.

Avery miał przyjaciół, którzy nie zapomnieli o nim, kiedy opuścił ich grono, i którzy w ciągu ostatnich miesięcy wyciągali go na różne przyjęcia czy kolacje. Nie byli to tacy przyjaciele, którzy by przepuścili okazję zapewnienia sobie dochodu przy karcianym stoliku, ani tacy, na których można by liczyć w chorobie, ale, jak zakładała Betsey, tego typu ludzie należeli do rzadkości.

Jego ręce gładziły puste miejsce na łóżku obok niej. Potem zaczęły macać bardziej zdecydowanie, w poszukiwaniu koca – na próżno, bo koc powędrował do Grace jako nędzny ekwiwalent pieniędzy, które chciała jej zostawić. Jego palce skrobały jej płaszcz, nie łapały go jednak ani nie próbowały ściągnąć.

Położył się na łóżku i przez chwilę się nie ruszał. Betsey rozłożyła poły płaszcz, żeby mogli się nim okryć oboje. Avery ledwie wyszedł z zapalenia płuc, noc była zimna, a on całkiem nagi.

– Do diabła z tym wszystkim – powiedział.

– Nie spałam.

Przysunęli się do siebie, raczej przytulili się, niż objęli. Pomyślała, że pewnie chce pogadać.

– Widziałeś przedstawienie?

– Tylko w Alhambrze – odpowiedział, a owo t y l k o oznaczało, że nie uważał innych rozrywek za teatr, niezależnie od tego, jak okazały i wystawny był lokal.

Nie powiedział nic więcej. Prawdopodobnie przypuszczał, że ma niewielkie szanse na to, że będzie mógł spokojnie zasnąć. Ostatni raz widział ją podczas awantury z Woffordem. Jeśli nie chciał o tym rozmawiać, to przynajmniej powinien się dowiedzieć, że ona nazajutrz opuszcza Londyn. Oboje mieli plany. Własne plany.

– Zdajesz sobie sprawę, co przeżywałem po południu – westchnął gwałtownie. – Mogłem tylko siedzieć i patrzeć.

Brzmiało to tak, jakby ją o coś oskarżał. A ona myślała o tym, jak czekała, krótko i nadaremnie, w drzwiach, skąd mogła widzieć wejście do Baumstona & Smythe'a. Łapała oddech po biegu. I już po wszystkim, powiedziała wtedy do siebie.

– My dwoje bez tygodniowej wypłaty. To by dopiero było coś.

– Chciałbym, żeby to się odbyło inaczej. Czuję się jak ostatni łobuz, gdy patrzyłem na to wszystko, a kiedy zniknęłaś, było jeszcze gorzej. Lizzie, wywołałaś taką sensację, że nie możesz...

– Nie nazywaj mnie Lizzie.

– Dręczysz mnie.

– Nie dręcę. Po prostu czekałam.

– Potrzebowałam wytchnienia. Sama rozumiesz, po tych okropnościach. Przyniosłem ci pasztecik na jutrzejsze śniadanie. Dać ci teraz?

Prawie powiedziała, że tak. Czowała pustkę w żołądku i nagle zateśkniła za dekadentckim zwyczajem jadania w łóżku w środku nocy. Robili tak na początku znajomości. Piknik w łóżku Avery'ego w tym jego wspaniałym mieszkaniu blisko Instytutu. Zapragnęła, żeby tak jak kiedyś wśliznął się do łóżka i zaczął ją karmić.

– Lepiej zostawię sobie na później – powiedziała. – Jutro czeka mnie długi dzień. Jestem spakowana, Avery. Postanowiłam jechać do Idensea. Jutro.

– O! – Wydawał się zmieszany, zaskoczony. – No cóż, to ma sens. Jeśli nie chcesz być maszynistką. I jeśli Wofford postanowił cię znaleźć... Do diabła z nim. Ale co będzie, jeśli ten Jones cię nie przyjmie bez listu?

Nie wiem, co będzie – pomyślała i nacisnęła ręką na brzuch, żeby powstrzymać skurcz.

Avery miał zwyczaj sam odpowiadać na swoje pytania, ale tym razem milczał. Zamiast tego kilka chwil później powiedział:

– Możesz to zostawić.

Nie wiedziała, co miał na myśli.

– To trochę bez sensu, no nie? – powiedział. – Cały czas nie robić nic innego, jak tylko uganiać się za zajęciem. Jak długo możesz szukać następnej posady maszynistki?

– Co? Tu, w Londynie?

– Z pewnością nie dłużej niż kilka dni. Oczywiście bez referencji będziesz musiała przystać na coś gorszego niż Baumston, ale jeśli popatrzyś po ogłoszeniach w prasie... Albo na tablicach.

Są tam posady na godziny. A akcent masz całkiem dobry, wiesz o tym. Zawsze ci to mówiłem.

Więc mogła to zostawić. Mogła po prostu zostać w Londynie. Mogła powiedzieć panu Jonesowi „nie” i nigdy nie prosić pana Wofforda o świadectwo, i w ten sposób nie urządzać przedstawienia i nie robić z siebie przestępczyni. Mogła nadal być maszynistką w firmie ubezpieczeniowej Baumston & Smythe, z ambitną nadzieją na pozostanie nią przez następnych pięć lat. Po tylu latach kobieta pisząca zawodowo na maszynie mogła dostać płacę zapewniającą jej pewną niezależność. Takie miała perspektywy jeszcze kilka dni temu.

Pociągnęła skrawek płaszcza do tyłu, żeby osłonić plecy przed chłodem.

– Zmieniłeś zdanie.

– Myślałem, że mam jeszcze kilka dni, zanim będę musiał ci powiedzieć.

Powiedzieć – o czym? Że zostanie w Londynie? – to pewne. Że chce, żeby ona została w Londynie? Została z nim? To on zaproponował, że pojedzie z nią do Idensea – miała tam być szkoła, gdzie mógłby

znaleźć miejsce, a lekarze mówili, że morskie powietrze jest bardzo zdrowe na płuca.

W ubiegłym tygodniu się obruszył. Powiedział: dlaczego nie? A ona ze zdumienia wstrzymała oddech, bo mężczyźni nie wracali do Betsey Dobson po tym, jak dostali, co chcieli.

Ale, prawdę mówiąc, nigdy ich o to nie prosiła.

A teraz z takim samym zdumieniem słuchała, jak jej tłumaczy. Zastanawiała się, czy powie: zostań, ale zamiast tego słyszała głównie: *Muszę być tam, gdzie będę mógł skorzystać ze sposobności, jeśli się pojawią. To urzędowanie jest okropne, ale teraz, kiedy znowu piszę, muszę to znieść jeszcze tylko kilka miesięcy.*

– No to powodzenia – przerwała mu.

Zamilkł i zakasłał, ale obeszło się bez ataku.

– Powodzenia.

Odwróciła się na bok, ciągnąc za sobą płaszcz. Avery jakby zaczął zajmować w łóżku coraz więcej miejsca, a kiedy leżał ze skrzyżowanymi rękami, jego łokieć napierał na jej łopatkę. Drgnął.

Skurcz poruszył całym jego ciałem.

– Czy możesz mi łaskawie powiedzieć, gdzie jest nasz koc?

– Dałam go Grace.

Uznała, że zrozumiał swój błąd – powiedział n a s z – bo nie wyrwał mu się z ust nawet pomruk niezadowolenia.

– Wyprowadziła się dziś w nocy z Sammym do nowego mieszkania – dodała.

– Teraz wiem, skąd ten spokój.

Znów zadrżał i zakasłał, a potem, gestem tak nagłym i dla niego niezwykłym, że wzruszył ją do łez, objął ją w tali i przyciągnął do siebie. To, co zostało z jej włosów, związała w dwa kucyki, i teraz czuła jego oddech na odsłoniętej szyi, ciepły i szepczący:

– Myślę, że będzie mi ciebie brakowało.

Zamknęła oczy. Myślała o Averym w czytelni w Instytucie, o Averym w jego mieszkaniu, o Averym ze wszystkimi jego odpowiedziami i z jego maszyną do pisania, i z lampą w kształcie nimfy z abażurem z macicy perłowej, i zastanawiała się, czy chce czegoś niewłaściwego, tej pracy, która może minąć z końcem sezonu, tego życia w miejscu, którego nigdy nie widziała. Poszukała jego dłoni, chudej po chorobie, i splotła swoje palce z jego.

– Brakuje mi pieniędzy na podróż.

Wyznała to cicho, ciszej, niż zabrzmiało jego wyznanie, bo w ogóle nie chciała o tym mówić. Richard, postanowiła niedawno, jest ostatnim człowiekiem, któremu chciałaby cokolwiek zawdzięczać. A Avery – tak naprawdę nigdy nie dała mu okazji, żeby jej cokolwiek ofiarował. Ale teraz, czując na sobie jego rękę, pozwoliła, żeby te słowa jej się wymknęły.

Poczuła na szyi jego wibrujący chichot.

– To twoja aktualna stawka?

To pytanie odebrało tej chwili całą intymność. Schowała dłoń do rękawa. Szybko i dyskretnie otarła z policzków resztki łez, ukryła dowód swojej słabości przed nim i przed samą sobą.

Avery gładził ją po biodrze.

– Jak zwykle jestem oczarowany twoim praktycznym podejściem.

Musnął twarzą jej skórę ponad wycięciem koszuli nocnej. Wcinała się w bok jej szyi. I cały czas naciskał na jej biodro, zmuszając, żeby się położyła na plecach.

– Bądź dla mnie dobra, Lizzie – powiedział, gdy zrozumiał, że opór jej ciała oznacza odmowę. – Myśl o tym, żeby pójść z Lizzie do łóżka, doprowadza mnie do szaleństwa – powiedział, kiedy go skarciła.

Ściągnął z niej płaszcz i zrzucił go na podłogę. Wsunął rękę pod jej koszulę, między uda, obiecując, że w zamian będzie dla niej dobry.

– Kochana Lizzie, ostatni pens z mojej kieszeni za szalone pożegnanie – dodał.

3

Nie znają możliwości swojej maszyny do pisania i nie widzą, jak wspaniałą pracę można za jej pomocą wykonać. Wiedzą tylko to, co złapały podczas pracy w jakimś biurze, gdzie odbywały praktykę za małe lub żadne pieniądze.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Aktualna stawka. Nie była aż tak zdesperowana, co to to nie. Odwróciła się na plecy i pozwoliła mu ulokować się między swoimi udami. Odsuwała twarz od pocałunków. Musnęła palcami jego nagie plecy, po czym przesunęła dłonie w dół. Avery zachichotał i jęknął z rozkoszy, gdy poczuł, jak jej chłodne palce obejmują jego członka. Trzeba przyznać, że dawał więcej ciepła niż mitenki, a ona akurat teraz ręce miała wyjątkowo zimne.

– Och, Avery, jeszcze nie gotowy, co?

W ciemnym pokoju ledwie mogła dostrzec jego przystojną twarz, ale wyczuła raczej, niż zauważyła, że nie jest zadowolony. Na chwilę zastygł, ale ruch jej dłoni sprawił, że znowu jęknął.

– Mój Boże, Lizzie. Lizzie, Boże, już, Liz... – Głos mu się załamał i przeszedł w piszczący świst. Oczy otwierały się coraz mocniej, w miarę jak zaciskała palce. – Do cholery... co...

– Mówiłam ci tysiąc razy, żebyś mnie nie nazywał Lizzie.

– Zwariowałaś... cholera... do cholery... przestań...

– Przysięgam na Boga, jak mi się dzisiaj jeszcze raz przysuniesz z tym fiutem, to ci go uknęczę i zrzućę na dół terierowi pani Bainwelter, żeby miał co gryźć.

Pozwoliła mu odejść. Odsunął się od niej, przeklinając, a ona wyskoczyła z łóżka, podniosła z podłogi płaszcz i przeszła dwa kroki do tego fragmentu pokoju, którą dotąd zajmowała Grace.

Koca, który kiedyś oddzielał części, już nie było, ale zostało łóżko. Bez pościeli. Czekają na kolejnego lokatora. Położyła się na nim i skuliła pod płaszczem, plecami do Avery'ego.

Avery zaczął kasłać i nie mógł przestać. Słyszała, jak wkłada ubranie, cały czas kaszłąc, i była zadowolona, że pójdzie spać bez żadnego okrycia. I wtedy usłyszała ciche skrzypnięcie, jakie wydaje skóra naciąganych butów.

– Nie bądź śmieszny – powiedziała. – Mamy tu po łóżku, a ja rano wyjeżdżam. Warto wpędzać się w chorobę?

Odpowiedziało jej – gdy przestał kaszeć – skrzypnięcie łóżka. Położył się. Cóż innego miałyby zrobić? Nie miał dokąd pójść, tak samo jak wtedy, gdy sprowadziła go tu ponad dwa miesiące temu. Przez ten czas zupełnie się przeobraził, i to nie tylko za sprawą drastycznej zmiany aparycji. Kiedyś było oczywiste, że jest na tej ulicy nowy. Teraz twarz miał zszarzałą i zniszczoną jak każdy jej mieszkaniec.

I rzeczywiście, w tej chwili jego aspiracje sprowadzały się do zostania mieszkańcem tej dzielnicy. Zawzięcie próbował negocjować niższy czynsz, ale wrócił jak niepyszny. Właściciel rudery wyrzucił go za próg i zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Próbowaleś z którąś ze swoich uczennic? – spytała go, gdy wyznał, że zwolniono go z Instytutu krótko po tym, jak ona odeszła, i przysięgł, że nie, nie próbował. Równie dobrze mógł przysiąc wiele innych rzeczy, ale że osłabiony gorączką niemal na nią upadł, i to na środku ulicy, zabrała go do domu.

Teraz z jego oddechu mogła wywnioskować, że nie zasnął od razu. Leżeli w ciemnościach, oddaleni od siebie o kilka kroków, i nie próbowali powiedzieć sobie choćby kilku cieplejszych słów. To dlatego, że zdecydowała się wyjechać.

To dobrze dla ciebie – powiedziała Caroline tego wieczoru. – Będzie nam ciebie brakowało, ale to taki nowy początek. Będzie ci dobrze, ja to wiem, wiesz, Elisabeth? Będziesz...

Nie dokończyła, ale Betsey wiedziała, co miała na myśli. Któż inny na całym świecie martwił się o nią tak jak Caroline? Kiedy inni ją potępiali, siostra rozpaczała i miała nadzieję, że jej los się odmieni. I ona też miała nadzieję. Z zapalem godnym świętej albo hazardzistki miała nadzieję.

Te łzy! Gdyby Avery usłyszał, że płacze, pomyślałby, że to przez niego. Ale tak nie było.

Płakała dlatego, że ten dzień był okropny, i dlatego, że noc była długa, a że sen nie przychodził, nie miała nic innego do roboty, jak k o n t e m p l o w a ć.

Richard mógł mieć rację: sprowadzi na siebie katastrofę. Znowu.

Wreszcie udało jej się zasnąć. Rankiem jedyną rzeczą, którą wzięła z kieszeni płaszczka Avery'ego, był pasztecik, który dla niej kupił. Garść monet, w sumie niecałego szylinga, zostawiła.

Oznaczało to, że pieniędzy miała ledwie tyle, żeby wyjechać poza Londyn, do Woking. Udawała, że

jest zdenerwowana z powodu Thiefa, ptaka w klatce, i nakryła ją czarną chustą.

Na dworcu Waterloo kłębił się tłum londyńczyków. Wyjeżdżali na wypoczynek z okazji Zielonych Świątek. Zwarte, pilnujące się nawzajem rodzinne grupki, ciągnące się szeregi wycieczkowiczów wyruszających na sobie tylko znane szlaki, towarzyskie grona obojętne na wszystko poza własnym roześmianym kręgiem. Betsey, przytłoczona ciężarem zimowego płaszcza, przeciskała się przez ciżbę skoncentrowana do granic: *Nie pozwól, żeby ktoś potrącił klatkę Thiefa.*

Pamiętaj o walizce, ma słaby uchwyt. Peron czwarty. Nie odwracaj się. Przede wszystkim się nie odwracaj.

Wagon trzeciej klasy był przesiąknięty wonią dymu, słomy i czegoś kiszzonego. Cieszyła się, kiedy znalazła wolne miejsce, dopóki nie zdała sobie sprawy, że jest ono murem granicznym między dwiema podstarzałymi siostrami. Przez całą podróż słuchała więc rozbieżnych wersji tej samej zawilej historii, w której jakąś rolę odgrywały rezeda w doniczce, lepiące się drzwi i napis na nagrobku. Zanim konduktor oznajmił, że zbliżają się do stacji Woking, zaczęła udzielać nauk na temat logicznego podziału spinek do koszul.

Pociąg zatrzymał się na peronie i czekał – czekał – ale Betsey została w przedziale. Dowodziła, że spinki należy sprzedać, a pieniądze podzielić.

Wreszcie ruszyli.

Zrobiła to. Teraz do swoich życiowych wykroczeń mogła dorzucić jazdę na gapę.

Zastanawiała się, czy ujdzie jej to na sucho. Z zaciśniętym żołądkiem w stukocie podwozia czuła każdą milę, za którą nie zapłaciła. Siostry doszły do porozumienia i znowu zaczęły rozmawiać. I choć ich dialog ponad jej głową był trochę krępujący, to służył za kamuflaż, bo wyglądało to tak, jakby podróżowały wszystkie trzy razem.

W każdym razie konduktor nie sprawdził biletów po raz drugi.

W Southampton wypadała przesiadka. Betsey lawirowała w tłumie, szukając właściwego pociągu, gdy odezwał się gwizdek. Miała nadzieję, że wejdzie ostatnimi drzwiami, ale konduktor ją zauważył i przywołał gestem.

– Panienska sama? Tu jest dobry wagon dla panienki.

Zebrała siły na ostatni odcinek eskapady. Nagle konduktor potrząsnął głową.

– Nie powiedziano panience? Walizka ma właściwe wymiary i może iść na półkę, ale zwierząt nie można trzymać w przedziale. – Ruchem głowy wskazał na klatkę.

– Och! – Przeciągnęła spółgłoskę, zastanawiając się gorączkowo. – Boże! I co ja zrobię?

W jej głosie słyhać było niepokój i bezradność. Jej szeroko otwarte oczy mówiły, że oddaje się konduktorowi w opiekę. A on chyba przejął się rolą. Potem był gwizdek, trzaśnięcie drzwi, okrzyki i nerwowy pośpiech wokół. W końcu wskazał drzwi i Betsey wsiadła z Thieciem do wagonu.

Wagon był dobry dlatego, że zajmowały go kobiety z dziećmi. Z mnóstwem dzieci. Było ich chyba

dwa razy tyle, ile mógł pomieścić wagon. Gdyby to zależało od niej, wolałaby zaryzykować upokorzenie i podróżować z nieznanymi mężczyznami.

Chłopcy i dziewczęta przez dłuższą chwilę okazywali zainteresowanie klatką. Stracili je, dopiero kiedy się dowiedzieli, że Thief nie śpiewa i że na pewno nie można go wypuścić, żeby latał po przedziale i siadał im na rękach. W końcu Betsey przykryła klatkę i postawiła w rogu, w nadziei, że nie zainteresuje żadnego z konduktorów.

To były dzieci z sierocińca. Powiedziała jej o tym jedna z opiekunek. Ich wyjazd nad morze opłacił dobroczyńca kościoła. Zaczęła się z nimi bawić i rozmawiać z opiekunkami, i cały czas modliła się w duchu, żeby to mogło trwać jak najdłużej.

Konduktor gdzieś po drodze zajrzał do przedziału. Miała nadzieję, że uzna, iż należy do tej grupy, bo z tego, co wiedziała, opiekunki nie płacą za przejazdy.

W przedziale było duszno i gęsto od gorąca, przekrzykujących się głosów i pytań: Nie ma rodziny w Idensea? Co to za praca? Czy ma męża?

Po kolejnym długim postoju na stacji znów zjawił się konduktor, tym razem inny. Popatrzył na przepelniony przedział i Betsey wiedziała: zamierzał sprawdzić bilety wszystkich pasażerów. Nie przestawała się bawić z dwiema dziewczynkami w kocią kołyskę. Zerkała na jego odbicie w szybie i obliczała odległość od drzwi. Czuła się chora, i nie udawała. Była chora, potrzebowała powietrza, naprawdę go potrzebowała. Musiała tylko nieco bardziej wczuć się w rolę. Z jej ust wydobył się jęk, a ręka zaczęła kurczowo zgniatać sznurek. Przestała jęczeć, kiedy zobaczyła, jak jeden z chłopców zsuwa się z siedzenia na podłogę. To była jej szansa. Już po chwili klęczała przy nim, przemawiając łagodnie, poprawiając mu ubranie i zachęcając, żeby wstał. Jego własna matka – gdyby tam była – nie okazałaby więcej czulej troski niż ona w chwili, gdy konduktor sprawdzał bilety. Kazała chłopcu zająć miejsce na ławce obok siebie, żeby mogła się nim lepiej opiekować, i wstała.

Konduktor stał w drzwiach, obok klatki Thiefa. Dotykał ręką czapki.

– Panienko, jeśli jest już pani wolna, poproszę o bilet.

Nie, kościelne opiekunki nie jeżdżą na gapę, nawet im to nie w głowie. To miała mówić jej zdumiona mina, którą zrobiła, kiedy to powiedział.

Ale to nie zadziałało. Powiedziała więc, że zna w Idensea kogoś, kto za nią poręczy, a nawet zapłaci za bilet.

– A kto to taki?

– Pan Jones. Pan John Jones.

– Ten Waliwczyk z firmy od molo? – zapytał, a ona skinęła głową. Było jasne, że zna pana Jonesa, a skoro tak, to jest szansa.

Pozwolił jej zostać w pociągu, ale na każdym przystanku stawał w drzwiach przedziału, żeby się upewnić, że nigdzie nie poszła. Opiekunki przywołały dzieci i w zatłoczonym przedziale siedziała na

ławce sama, ze wzrokiem wbitym we własne odbicie w szybie. Dzieci zaczęły się wiercić. Najwyraźniej miały ochotę i chciały wrócić do zabaw i paplaniny. Pomyślała, że chciałyby, żeby wszyscy dorośli – i ona sama – potrafili się zachowywać tak swobodnie.

Czy pan Jones za nią poręczy? Nie wiedziała. Czowała za to, że osiągnęła szczyt publicznego upokorzenia.

Ogłoszono, że pociąg zbliża się do Idensea, i dziatwę znowu ogarnęło podniecenie. Wszyscy zaczęli się wiercić na ławkach i wypytywać Betsey:

– Wiesz, jak wygląda molo? Powiedzieli nam, że dzisiaj tam pójdziemy.

Uśmiechnęła się, ale dzieci były tak zajęte sobą, że nie czekały na odpowiedź. Pociąg dojechał do Idensea, na małą stację z dwoma tylko peronami przykrytymi dachem. W przerwach między odjazdem pociągu a przyjazdem następnego było zupełnie pusto. Betsey zobaczyła pana Jonesa i zeszywniała. Był, czekał na peronie. Stał dość daleko. Miał na sobie jasne ubranie, zupełnie inne od poważnego ciemnego garnituru, w którym był u Baumstona & Smythe'a, ale od razu poznała go po pozie: udzielny książkę, anioł z nieba, a może raczej – o nieba! – zadowolony, masywny i łagodny pies zdany na dobrą wolę swojego pana. Słomkowy kapelusz zsunięty na tył głowy odsłaniał strzechę ciemnych włosów.

Na chwilę opuściła ją zdolność logicznego myślenia. Pomyślała: wyszedł po mnie. Wydało jej się to jednak tak niewiarygodne, że po chwili uznała to za niemożliwe. Przecież przyjechała cztery dni wcześniej, niż uzgodnili, a on poinstruował ją, że będzie musiała sama pójść do hotelu Swan Park, gdzie firma ma biuro. Wreszcie pociąg się zatrzymał i Betsey zobaczyła, jak pan Jones poprawia kapelusz. Przesunął go na czubek głowy. Zauważyła, że w ręce ma kwiaty. Zrozumiała, że beżowy żakiet to strój cywilny, nie służbowy.

Pan Jones ruszył w stronę wagonów pierwszej klasy. Betsey nie ruszyła się z miejsca, a dzieci z opiekunkami pospieszyły do wyjścia. Potem poszła za konduktorem. Kazał jej czekać na ławce na peronie. Oddał jej klatkę z Thieffem, ale zatrzymał walizkę – w obawie, że ucieknie.

Uciec. Dokąd? Pan Jones, z którym rozmawiała kiedyś dziesięć minut, był jej jedynym ratunkiem.

Witał kogoś, kto wysiadał: jakąś panią i jej córki – tak pomyślała Betsey – wszystkie ubrane efektownie, jak ciasta na wystawie cukiernika. Matka i młoda kobieta, zapewne najstarsza z córek, miały na głowach wysokie kapelusze, podwyższone jeszcze mnóstwem wstążek. Dwie młodsze dziewczyny, w wieku około dziesięciu, piętnastu lat, miały jasne włosy. Spływały im po plecach i lśniły w słońcu. Pan Jones przykucnął przed najmłodszą, chwilę z nią rozmawiał, a potem wyciągnął kilka bukietów. Wybrała jeden. Potem wstał i kazał wybrać bukiet średniej córce, później matce. Zupełnie po dziewczęcemu skłoniła głowę i przyjęła podarunek. Kiedy zwrócił się do młodej kobiety, nie miał w rękach nic. Chwilę jakby się droczyli i nagle, niespodziewanie, znikąd pojawił się biały kwiat, zupełnie inny od tamtych. Matka odwróciła się i pochyliła, aby pomóc dziewczętom przyczepić bukietki do marynarskich bluz. Pan Jones i młoda kobieta stali razem. Pochyliła głowę nad jego ramieniem. Jej kapelusz dotykał jego twarzy, gdy przypinał kwiat do jej sukienki. Na chwilę zbliżyli się jeszcze bardziej. I wtedy na peronie zadźwięczał jego śmiech, a on zrobił krok w tył, akurat w chwili, gdy matka przypięła ostatni bukiet. Młoda kobieta poprawiła swój: odpięła go i przytwierdziła w talii. Matka rozmawiała z panem Jonesem, a ręką nieustannie gładziła po włosach najmłodszą córkę. Betsey patrzyła na ten mimowolny gest jak zahipnotyzowana, aż odczuła tak silny paroksyzm czegoś, co przypominało tęsknotę

za własnym domem (co za głupota!), że musiała odwrócić wzrok. Pochyliła się, aby poprawić chustę na klatce Thiefa.

Usłyszała, że pociąg zaczyna się wytaczać ze stacji, i znów na nich spojrzała. Na odległym krańcu peronu pan Jones rozmawiał z zawiadowcą. Wszyscy, pan Jones i jego panie, patrzyli w jej stronę. Mogła sobie wyobrazić tę rozmowę: *Proszę pana, mamy tu pasażerkę na gapę. Twierdzi, że pan przyrzekł opłacić jej podróż, kiedy przyjedzie do Idensea. Jeśli pan nie zechce, to możemy jej wypisać mandat albo oddać konstablowi.*

Pan Jones popatrzył na nią. Miał zielone oczy. Z tej odległości nie mogła ich widzieć, ale nagle sobie przypomniała. Pamiętała też, że do czytania zakładał okulary i że prawa powieka lekko mu opadała, a w zewnętrznym kącie oka widniała różowa blizna. Poniżej inna blizna lekko wypychała mu dolną wargę. A górna warga? Tylko lekkie zadrapanie. Pamięta to wszystko i z pewnością on też ją pamięta. I na pewno wybawi ją z kłopotu.

Wstała.

Pan Jones skinął zawiadowcy głową i się odwrócił. Zabrał kobiety z peronu.

Betsey potrzebowała nowego planu.

4

Jeśli na początku nabierzesz złych nawyków, to prawdopodobnie już się ich nie pozbędziesz.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Lillian Gilbey była bardzo niezadowolona, gdy John powiedział, że spotka się z nimi za pół godziny w Swanie. Poznał to po tym, jak uprzejmie przystała na to opóźnienie i jak powstrzymała matkę i siostry, kiedy chciały wyrazić niezadowolenie.

– To żaden kłopot – powiedziała, gdy pomagał im sadowić się w wynajętym powozie. – Zabaw tak długo, jak będziesz potrzebował. Mamy tu mnóstwo rozrywek i nie będziemy cierpieć z powodu spóźnienia.

Ścisnął jej dłoń i poszedł.

– Trzydzieści minut albo mniej. Przysięgam.

– Trzydzieści minut albo mniej, trzydzieści minut albo więcej, naprawdę nie musisz przysięgać z powodu takiej drobnostki.

Uśmiechnęła się promiennie, ale było widać, jak jest niezadowolona. John się roześmiał, gdy powóz odjechał. No dobrze, co miał zrobić? Nie bardzo mógł zostawić nowego menedżera na łasce zawiadowcy, a wiedział, że później zdoła przywrócić Lillian dobry humor. Jeśli pogoda się utrzyma, pójdą na przechadzkę po molo i na Esplanadę. Pokaże jej, jak budują kolejkę górską i Kursaal, pawilon rozrywkowy, który miał być otwarty, zanim panie Gilbey wrócą w sierpniu.

A potem do hotelu, na herbatę z sześcioma rodzajami sandwiczów i co najmniej tyle samo deserów przygotowanych przez nowego cukiernika ze Swan Parku.

Gdzieś między jedną a drugą atrakcją zamierzał wziąć Lillian na stronę i coś jej powiedzieć.

Męczyło go to od miesięcy, ale chciał to odłożyć, bo wiosną umarła matka. Najgorsze w tym wszystkim było to, że to, co chciał jej zakomunikować, sprowadzało się do pytania: Poczekasz na mnie, Lillian?

A tego właśnie mówić nie powinien. Nie pannie Gilbey, pięknej, świeżej i łagodnej jak kwiat, ze wszystkimi odcieniami wyrafinowania, przebiegłej, nawet w sposobie, w jaki traktowała wszystkich swoich adoratorów, córce ustosunkowanego ojca, bogatego niemal tak, jak on sam miał

zamiar być bogaty. Taka dziewczyna może być największym skarbem mężczyzny, a nie pospolitą własnością kogoś takiego jak John Jones, urodzony jako Iefan Rhys-Jones w wiosce z łupkowymi chałupami w Pembrokeshire. Takiej dziewczynie mężczyzna nie może powiedzieć: Niech pani na mnie zaczeka, bo na pewno wrócę.

To właśnie był kłopot z Lillian Gilbey. Zjawiła się za wcześnie. A on miał zakończyć pracę tutaj, w Idensea, za kilka miesięcy. I nie mógł jej poprosić o rękę, zanim nie zapewni sobie innego miejsca. Byłoby cudownie, gdyby mógł ją zatrzymać na sezon. Jego matka robiła tak każdego lata z konfiturą z jeżyn. W ten sposób Lillian stałaby się słodsza i w mroźny bożonarodzeniowy poranek mógłby po nią sięgnąć i jeść z tostem.

Był głodny. Tego ranka miał czas tylko na to, żeby przełknąć kawałek placka z jabłkami z poprzedniego dnia.

Wrócił na stację i poszedł do biura. Zawiadowca Carey powiedział mu, że kazał pannie Dobson tam czekać. Jednak drzwi były zamknięte. Wydało mu się, że w pokoju nikogo nie ma, ale kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Zdjął kapelusz, aby przycisnąć czoło do szyby w drzwiach. W ten sposób, odwróciwszy głowę, mógł zobaczyć najdalszy koniec biura. Ujrzał pannę Dobson.

Mocowała się z oknem i realizowała plan ucieczki.

Albo raczej próbowała realizować. Może okno pomalowano, kiedy było zamknięte. Może zapomniała odsunąć zasuwkę. Zobaczył, jak przysuwa biurko Careya do ściany. Kucnęła na nim z szeroko rozstawionymi kolanami, najwyraźniej szukając lepszego punktu oparcia. Jej pośladki podskakiwały za każdym razem, kiedy próbowała sforsować okno.

Na Boga! Na rany Chrystusa, co ona robi?! Miał ochotę zobaczyć, co wyniknie z tej komedii, ale nie czekał, zapukał w szybę. Dwa lekkie stuknięcia. Odwróciła się gwałtownie, o mało nie tracąc równowagi. Spódnicą zmiotła z biurka pana Careya kilka rzeczy. John zasalutował jej dwoma palcami. A potem przykucnął przy dziurce od klucza.

– Gorąco pani, panno Dobson? – powiedział, zerkając przez szybę.

Nadal stała na biurku, z opadającymi włosami, czerwona jak piwonia. Nieobliczalna – pomyślał. Czy to ta sama dziewczyna, której obiecał pracę? Wydała mu się zupełnie inna od tej, którą spotkał w Londynie.

Powiedział przez dziurkę od klucza:

– Poszukam zawiadowcy i wezmę od niego klucz. Powinna pani stamtąd zejść. I proszę spróbować

poz zbierać rzeczy pana Careya. Niedługo po panią wrócić.

Ruszył szybko. Znał Careya, bo w ciągu czterech lat spędzonych w Idensea zdążył poznać, gorzej lub lepiej, niemal wszystkich mieszkańców. O ile dobrze pamiętał, Carey był udziałowcem jego firmy – Idensea Pier & Seaside Pleasure Building. Miał godne szacunku dwanaście udziałów.

Carey go zrugął, powiedział, że powinien wlepić karę i jemu, i dziewczynie, a on wyraził żal i wdzięczność, po czym wyciągnął z kieszeni sumę pokrywającą koszt biletu panny Dobson.

Miał zamiar zapytać, czy zawiadowca koniecznie musiał zamykać ją na klucz i zataić, że on wróci, ale ugryzł się w język. Zapytał tylko, czy on i pani Carey zechcieliby zjeść w tym tygodniu kolację w Swanie: dlaczego na przykład nie w czwartek, jako goście specjalni? Z chwilą, kiedy otworzyli zamek, cała sprawa została zapomniana.

– Drzwi to wspaniały i wygodny wynalazek – powiedział cicho, gdy panna Dobson wychodziła z biura jako wolna kobieta. Ale wyglądała groźnie. Zresztą miała demoniczne brwi, nawet gdy akurat nie czuła gniewu – zapamiętał to.

Była dokładnie jego wzrostu. Zauważył to, gdy rozmawiali po raz pierwszy u Baumstona & Smythe'a, i przypomniał sobie o tym teraz, kiedy zobaczył, że z łatwością dotrzymuje mu kroku.

Szli ze stacji aleją. Aleja ta, nazywana aleją Busoli, ocieniona sosnami i otoczona zielenią, miała zapewnić pieszym przyjemny spacer od stacji do Esplanady, ale ponieważ John był umówiony na spotkanie, niemal biegle, dopóki się nie zorientował, że i tak będą czekać na tramwaj. Tramwaj konny, niestety, gdyż sir Alton przekonał radę hrabstwa, że elektryczny będzie szpecił krajobraz.

Przyglądał się, jak panna Dobson po raz pierwszy spogląda na wybrzeże Idensea. Parowe dźwigi i rusztowania nadal zasłaniały większą część Kursaalu, zajmującego trzy akry na szczycie klifu, ale na zachód od niego roztaczał się dobry widok na molo, sięgające niemal po horyzont – bez mała dwieście pięćdziesiąt metrów w głąb morza – z białym pawilonem koncertowym u nasady. Od przystani właśnie odbijał parowiec. Drewnianą promenadę wspierało ponad tysiąc ton żelaza i stali. Siedemdziesiąt dwa żeliwne pale. Osadzanie niektórych z nich w morskim dnie trwało tydzień. Podczas budowy jeden człowiek stracił życie, jeden został okaleczony. Oto dlaczego przed czterema laty przybył do Idensea – przyjechał budować molo.

Panna Dobson patrzyła w milczeniu, a potem przeniosła wzrok na wodę, może po to, żeby podziwiać The Needles, trzy skały sterczące z morza u przylądka wyspy Wight, a może po to, żeby uniknąć jego wzroku. W tym swoim płaszczu, za ciemnym i za ciężkim jak na maj, w dodatku niepasującym do małego słomkowego kapelusza, wyglądała, jakby ją stworzono z samych kątów i punktów. Każdą część jej profilu tworzyły linie proste, w ostatniej chwili uniesione. Na przykład usta: proste i różowe, zwężające się nagle i zawijające. To samo nachylenie powtarzało się w linii ostrego nosa, podbródka, jej demonicznych brwi, a nawet w kącikach oczu (kolor? – nie zauważył, choć przy swoim wzroście mogła mu patrzeć prosto w oczy). Nawet grzywka nad czołem była nieskazitelnie prosta i dopiero nad skronią przechodziła w buntowniczo zakręcony pukiel.

Spoglądała to na niego, to w przestrzeń. Brązowe są te oczy. Brązowe, brązowe. Łzawiące.

A koniuszek nosa czerwony. Przykucnął obok klatki, którą trzymała przed sobą, i odsunął chustę.

Ukazał się jej mieszkaniec, żółty kanarek. Poruszył się, kiedy zobaczył światło. Klatka z wierzbowych prętów była połatana sznurkiem i gazetami.

– Ładny. – Powiedział to z walijskim akcentem. Zdarzało mu się to czasem. Teraz zrobił to specjalnie, z wygody. – Jak ma na imię?

– Thief. Złodziej. – Głos miała niski. Jeszcze nie doszła do siebie.

– Złodziej! Życ z takim imieniem.

– Nie ja je wybrałam.

– Śpiewa?

– To samiczka. To dlatego ją dostałam. Od sąsiada. Nie chciał jej.

Jej głos brzmiał już spokojniej. Uznał, że może już wstać. Zauważył, że rąbkiem kaptura wyciera oko, więc podał jej chusteczkę. Wzięła ją tak samo, jak przyjęła od niego propozycję pracy: ostrożnie, jak matka bajkowego Jasia, która długo ogląda magiczne ziarna fasoli, po czym wyrzuca je przez okno. Co on z nią zrobi? I dlaczego tramwaj nie przyjeżdża? Stuknął palcem w okręconą szpagatem rączkę walizki panny Dobson. Spróbował oszacować, ilu ludzi przechadza się po Esplanadzie i po molo. Z pewnością więcej niż w ubiegłoroczne Zielone Świątki, ale bolała go myśl o tym, ilu by mogło ich być, gdyby Droga Sułtańska była już gotowa. Naciskał tak mocno, jak mógł, ale początkowy opór sir Altona przeciwko budowie kolejki górskiej zaważył na całym przedsięwzięciu.

– Czy pan mnie odprawi? – usłyszał.

W jej głosie brzmiał niepokój. Przypomniawszy sobie, że – no tak! – jej obawy przed zwolnieniem były całkiem usprawiedliwione, ale nadal jakoś nie mógł dopasować tej nieśmiałej, popłakującej dziewczyny do tej, którą spotkał w Londynie. Czy to ta sama? Tamta poruszała się jak zręczny generał, Joanna d’Arc w spódnicy. Tamta dziewczyna czujnym okiem potrafiła dostrzec, kto jeszcze zauważył, że Gerald Baumston powołał się w swoim wystąpieniu na usuniętą klauzulę, i dyskretnie odsunęła kałamarz Corneliusa Fullera spoza zasięgu jego ręki na minutę przed tym, jak zaczął gestykulować. Tamta dziewczyna pozwoliła sobie wymienić z nim porozumiewawczy uśmiech, kiedy zauważyła, że on wie, co zrobiła.

To jest to, czego potrzebuję, powiedział sobie wtedy, i nie pozostało mu nic innego jak wyjść za nią, kiedy zwolniono ją ze spotkania, i sprawdzić, czy jego propozycja może ją zainteresować.

A ona nie chciała nawet z nim rozmawiać. Kiedy zauważył, że chyba była zadowolona, iż bierze udział w tym zebraniu, odparła (w lepszej angielszczyźnie, niż się spodziewał, z akcentem z Lancashire), że spodziewała się jakiejś odmiany. I to tyle, proszę pana. Po czym próbowała się oddalić drobnym kroczkiem. Ot, skromna maszynistka z biura.

Ale nie zdołała zachować pozorów.

– Oczywiście, ma pan rację – powiedziała, kiedy nadal szedł za nią i kiedy wygłosił uwagę, że dla kogoś takiego jak ona maszynopisanie musi być nudnym zajęciem. – Jest nudne, a ponadto miną lata, zanim moja płaca pozwoli mi przyzwoicie się urządzać. Ale czy wie pan, że w Londynie jest to chyba najlepsza praca, jaką może dostać dziewczyna? Nie wie pan, bo niby skąd? Ale teraz rozumie pan, jak jestem wdzięczna za to, że ją mam, i będę wdzięczna przynajmniej do dnia, kiedy założę elegancki

garnitur – zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów – i między nogami wyrosnie mi kutas. – Znowu spojrzała, tym razem bardziej wyzywająco. – Wtedy, jestem tego pewna, dostanę każdą pracę, jaką sobie wymarzę.

To właśnie wtedy John zdał sobie sprawę, że może jej patrzeć prosto w oczy. Co było bardziej wulgarne – jej język czy to spojrzenie? Nie zetknął się z takim prostactwem od czasu, gdy pracował przy tunelu Severn, a kobiety, które wówczas towarzyszyły robotnikom, miały obyczaje o wiele bardziej ordynarne niż panna Dobson. Poczł się i rozbawiony, i zażenowany, ale też zrozumiał, że jeśli chce mieć Betsey Dobson w firmie zarządzającej molo, jeśli chce, żeby była menedżerem, to powinien mówić o tym wprost i nie omijać kwestii pieniędzy.

Jednego był tamtego dnia pewny: to jest to, czego potrzebował.

A teraz nie zamierzał jej odprawiać, po tym, jak ją namówił, żeby porzuciła najlepszą pracę w Londynie, jakiej może się spodziewać dziewczyna, ale doświadczył czegoś, czego jeszcze nie znał: poczuł, że nie ma zaufania do swojego instynktu.

– Ja cię nie odprawiam – powiedział. – Nie wiem, czy będziesz menedżerem od wycieczek, ale znajdziemy ci jakieś miejsce.

– Och. – A po chwili: – Jakie? Jakie miejsce?

– Nie jestem pewny.

Nie miał czasu teraz o tym myśleć. Chciał ją zabrać do hotelu i oddać w ręce kogoś, kto ją wprowadzi w szczegóły, a potem, gdy już Lillian z rodziną wieczorem wyjadą, pomówić o niej z Tobiaszem Seilerem, menedżerem hotelu.

– Hotelowa praczka? – zapytała. – Pobierająca opłaty za wstęp na molo? Czy pańska firma pozwala, aby kobiety zajmowały tak eksponowane stanowiska?

Gorycz w jej tonie zbiła go z tropu. Spytał:

– A co z myciem okien? Czy o tym pani myślała? Tam, w pokoju zawiadowcy?

Przycisnęła pięść do ust i zaklęła cicho.

– Wiem. Wiem, że nie mam żadnych praw! Tyle że ja zaczęłam wierzyć, że mogę wykonywać tę pracę. Najpierw myślałam, że pan jest wariatem, skoro mi ją pan oferuje, ale potem... Uwierzyłam, że mogłabym to robić. I to wszystko. I nadal w to wierzę.

– Dziewczyno – zaczął.

Nie spodobała jej się ta poufałość, i chyba też walijski akcent, z jakim wypowiedział to słowo. Powstrzymał się. Także od zadania pytania, które miał na końcu języka: dlaczego odmówiła przyjęcia pieniędzy, które chciał jej dać na podróż. Kilka szylingów i uniknęłaby tego wszystkiego.

Chciała tej posady. Uważała, że nadaje się do tej pracy. On to wiedział – od ich krótkiego spotkania w Londynie. I chciał odzyskać tę pewność.

Nadjeżdżał tramwaj.

– Panno Dobson, ma pani to świadectwo? – zapytał.

Wpatrywała się w tramwaj. Podniósł rękę i zamachał na znak, że chcą wsiąść. Odciągnął ją na bok, a jej oczy, lśniące zimnym blaskiem, znów na niego spojrzały. Zapragnął, nagle i bardzo mocno, przycisnąć palec albo dwa do jej warg.

Ale udzielił jej tylko rady:

– Nie kłam.



Nie ma wytłumaczenia dla źle zaadresowanej koperty.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Betsey Dobson przygryzła górną wargę. Kąciki jej ust się naprężyły. Titus Rew, konduktor tramwaju, zawołał Johna po imieniu.

John pomachał. Włożył z powrotem kapelusz. On i panna Dobson stali. Czekał, aż coś powie. Nie miała listu. Tak samo jak nie miała biletu na pociąg. Wiedział o tym. Czy dobre referencje by go uspokoiły? Kazał jej je przywieźć, raczej dla Tobiasa Seilera niż dla siebie, ale Tobias i tak zaufałyby jego rekomendacji, z listem czy bez.

– Nie mam. Dlatego, że...

Nie kłam.

– Ja... ja odeszłam w bardzo złej atmosferze. Szef nie chciał mi napisać dobrych referencji – takich, na jakie zasługuję – a... to była raczej nieprzyjemna scena.

– A dlaczego nie chciał?

– On jest... on mnie nie lubił. – Spuściła oczy. – Albo lubił. Że tak powiem. W każdym razie źle to wyszło.

Znowu przypomniał sobie zebranie u Baumstona & Smythe'a, tym razem szczególnie to, jak wszystkie oczy w pokoju śledziły wejście i wyjście panny Dobson. Nie była specjalnie ładna. Na ulicy, w galerii handlowej albo w kościele nie przyciągałaby wzroku (choć przy jej wzroście i...

tym czymś... trudno było jej nie zauważyć), ale w tym pokoju, pełnym mężczyzn zajętych biznesem, była uosobieniem czegoś nowego, tajemniczego i może obiecującego.

Co ją mogło czekać w codziennej pracy w tym gmachu? Nic dziwnego, że przerwała wymianę uśmiechów i że się cofnęła, kiedy tamtego dnia zauważyła, że John za nią idzie.

– To dlatego nie miałam na całą podróż pociągiem – powiedziała. – Nie dostałam wypłaty.

Nie miałam dość pieniędzy ani żeby zostać, ani żeby przyjechać, więc przyjechałam, bo nie miałam

dokąd pójść. Zresztą chciałam tu być.

Bryza przylepiła jej do ust kosmyk włosów. Chciała go odsunąć małym palcem i w tej chwili uświadomiła sobie, że to tylko pozostałość po jej lokach. Postawiła klatkę na ziemi, zdjęła rękawiczki i zaczęła upychać włosy pod kapelusz. Kiedy skończyła, zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez ramię. Poruszyła ramionami, odchyliła je do tyłu, po czym odwróciła się do Johna, jakby chciała się zaprezentować od nowa. Brodę miała lekko opuszczoną, więc wyglądało to tak, jakby patrzyła na niego z góry. Ot, taka niewinna sztuczka.

– Pani wie, że ludzie od Baumstona & Smythe’a przyjeżdżają tu za kilka miesięcy? – spytał, a ona przytaknęła. – Jak pani będzie się czuła, gdy spotka się tutaj z nimi i z byłym szefem?

Uniosła swoje demoniczne brwi.

– Panie Jones, sądzę, że jeśli zostanę menedżerem, to będzie po prostu uroczo.

John odwrócił się w stronę nabrzeża. Uśmiechał się szeroko. Za dziesięć minut może zacząć padać. Mógłby jej pokazać hotel później, po spotkaniu z paniami Gilbey.

– Otóż tak, panno Dobson: sir Alton, który ma większość ziemi, po której pani chodzi w Idensea, i który zasiada na miejscu dyrektora podczas spotkań zarządu firmy, nie chce mieć programów wycieczek. Chce, żeby Idensea pozostało miejscem ekskluzywnym, a jednodniowi wycieczkowicze nie pasują do tego pomysłu, szczególnie grupy z firm, takie jak te, które pani miałyby pilotować. Chwyci się każdego sposobu, aby przekonać zarząd do odwołania takiej imprezy. Musimy więc mieć pewność, że wszystko pójdzie jak najlepiej. Rozumie pani. Ze względu na zarząd, jeśli nie ze względu na samego sir Altona.

– Rozumiem.

Może i rozumiała. Bez wątpienia rozumiała to, że jeśli nie będzie programów wycieczek, to i menedżer nie będzie potrzebny. Nadjeżdżał tramwaj, ale w przeciwnym kierunku. John wziął to pod uwagę. Mogliby przeciąć Esplanadę i wsiąść do niego. W ten sposób zawiózłby ją do Sarah Elliot, u której załatwił dla niej pokój. Zajęłoby to więcej czasu niż odstawienie jej do hotelu, ale nadal mógłby zdążyć na spotkanie z Lillian. Obiecał pół godziny, a bez trudu mógłby się tam zjawić wcześniej, niż ona się spodziewa.

Jeśli pojedą tym tramwajem, będzie to równoznaczne z tym, że podjął decyzję. Menedżer może sobie pozwolić na pokój i utrzymanie w pensjonacie Sarah Elliot. A na przykład hotelowa praczka już nie.

– Próbowwała pani z tym zamkiem? – zapytał. – U zawiadowcy stacji, przy oknie.

– Czy ja... – Panna Dobson lekko uniosła brodę. – Za kogo mnie pan uważa?

Stojąc twarzą w twarz, chwycili swoje kapelusze w obronie przed nagłym gwałtownym podmuchem od morza. John zaczął się śmiać. Dotknął pleców panny Dobson, by ponaglić ją do przejścia na drugą stronę Esplanady. Musieli złapać ten tramwaj.

Co za niebo. Ogromne. Nigdy takiego nie widziała. Nie mogła ogarnąć wzrokiem długiego łuku wybrzeża i bezkresnego morza, ale zwłaszcza nieba, pełnego potężnych, niemal kamiennych chmur. Wyglądały, jakby ktoś w nich wyrzeźbił i rozjaśnił światłem urwiska i wzgórze. Upojona tym widokiem

chciała się śmiać, z radości, że może czuć, iż coś, czego dotąd nie знаła, jest częścią niej, i że to coś przemawia do niej gdzieś z głębi. Czy tak samo było w Blackpool, wiele lat temu?

Skoro tego nie mogła sobie przypomnieć, nic dziwnego, że mglista postać ojca zlała się w jedno z jakimś obcym człowiekiem.

Zapatrzyła się tak, że zatrzymała całą kolejkę wsiadających do tramwaju – pan Jones dotknął jej ramienia, żeby przeszła do przodu. Konduktor obrzucił podejrzliwym wzrokiem klatkę Thiefa, ale kiedy zobaczył pana Jonesa, wydał tylko zwięzłe polecenie:

– Proszę z tym na górę.

Betsey, zdana na opiekę pana Jonesa, dodała w myślach opłatę za bilet do listy długów, które będzie miała do uregulowania tego lata, oczywiście pod warunkiem że dostanie pracę. Pan Jones był w świetnym humorze, ale nie uznała tego za dobry znak, szczególnie że, jak zauważyła, do hotelu Swan Park powinni jechać w przeciwną stronę.

Czuła się jak kamyk pod poduszką, jak włos w ciastku. Jej nastrój nie pasował do roztaczającej się wokół urlopowej atmosfery, do wycieczkowiczów rozprawiających o tym, czy niemiecka orkiestra gra niezależnie od pogody, i do młodej pary, tulącej się do siebie i wybierającej pocztówkę. I pan Jones obok niej, w tym swoim żakiecie, niecierpliwy, chcący już wrócić do wybranki.

Przy akompaniamencie muzyki tramwaj rozgarniał tłumy spacerowiczów. Betsey zdjęła z klatki chustę. Czy Thief mógł zauważyć zmianę? Poczucie, że już nie ma londyńskiego gęstego powietrza i dostrzec bezmiar nieba? Odsunęła zasuwkę, kusząc ptaka wolnością.

Ona, Thief i pan Jones mieli morze za plecami. Niżej, wzdłuż Esplanady, ciągnął się rząd przyklejonych do klifu sklepów i restauracji, a wyżej, na tarasach, rozłożyło się samo Idensea.

Splowiałe ceglane mury dawnej wsi tworzyły postrzępiony pas wśród szeregów ciemnych szczytów i głębokiej czerwieni. Pan Jones wskazał przed siebie.

– Droga Sułtańska jest tam. Otwieramy w przyszłym miesiącu.

Betsey zmrużyła oczy. Miała przed sobą Drogę Sułtańską. Nie od razu zauważyła, jaka jest ogromna. Rzuciła się jej za to w oczy tajemnicza konstrukcja, połączenie pałacu z bajki i łańcucha górskiego jak z teatralnej dekoracji. Ułożono na niej prawdziwe tory. Biegły nie wiadomo dokąd, wynurzały się i znikwały.

– Kolejka górską? – Czuła, że się myli.

– Kolejka do jeżdżenia dla rozrywki. Nie ma drugiej takiej w całej Brytanii.

Wszystkie głowy w tramwaju odwróciły się, żeby spojrzeć na fasadę, na której barwne arabeski ozdabiały łuk łączący dwie wieże zwieńczone jakby cukrowymi ozdobami.

– Pan to zbudował?

– Nie sam – odpowiedział z uśmiechem, ale wyczuła, że jest dumny, kiedy widzi, jak współpasażerowie są podnieceni, i kiedy słucha ich uwag. Ale nie zazdrościła mu. Łańcuch górski wyrastający z angielskich piasków, molo rzucone w morze – można by to nazwać magią, jednak to słowo nie odzwierciedla włożonej we wszystko pracy.

Szeroki łuk pośrodku budowli nawiązywał formą do wież na fasadzie – wysoki na co najmniej cztery piętra, z cukrowym zwieńczeniem. Wyglądał jak główne wejście, ale za nim zasłaniało widok ogromne płótno z wymalowanym napisem: *Przygoda i egzotyka. Sceny ze Wschodu! Nowoczesne oświetlenie i efekty muzyczne! Groźne urwisko ponad kolejowym szlakiem!*

A niżej: *Wstęp sześć pensów.*

Betsey pomnożyła w pamięci tę wartość przez przybliżoną liczbę ludzi znajdujących się w zasięgu jej wzroku.

– Szkoda, że nie otwarto tego dla tych zielonoświątkowych tłumów.

John się roześmiał – ta uwaga przypadła mu do gustu.

Uznała, że to dobra okazja, żeby spytać:

– Wiecie mnie pan do hotelu?

– Do The Bows, tam się pani zatrzyma. Tobias, to jest pan Seiler, nie będzie miał dziś czasu, żeby się z panią spotkać.

Ucieszyła się i z jednego, i z drugiego. The Bows. To brzmiało jak nazwa pensjonatu, a ona miała nadzieję zamieszkać w tanich pokojach dla hotelowej służby. I nie będzie się czuła pewnie, dopóki menedżer hotelu nie potwierdzi, że zostanie zatrudniona. Ale nic nie powiedziała. Energię potrzebną do wyklócania się zostawiła razem z wypłatą u Baumstona & Smythe’a.

Poczuła, jak kropla deszczu spada na jej kapelusz, i zaczęła rozkładać płaszcz. Pan Jones zerwał się z siedzenia, włożył dwa palce w usta i przeciągle zagwizdał. Wychylił się z tramwaju.

Zawołał do kogoś, a potem ponaglił ją do wyjścia i podbiegli do pustego wozu zjeżdżającego z Esplanady. Pomógł jej wdrapać się na kozioł, a sam zasiadł z tyłu, na platformie. Woźnica spojrzał na nią i powiedział:

– Pani chyba nie jest tą jego dziewczyną z Londynu. Nie pani.

Pojedyncze krople zastąpił regularny deszcz. Wjechali na poźółkłe wrzosowisko, milę lub dwie od Esplanady. W miarę jak jej płaszcz nasiąkał wodą, opuszczał ją animusz. Przy ulicach stały domy, prawdziwe domostwa otoczone posiadłościami, dobrze utrzymanymi ogrodami, poodgradzane parkanami z żeliwnych sztachet, domy, w których mieszkały rodziny – nie domy z mieszkaniami do wynajmowania letnikom czy komukolwiek innemu, kto w każdej chwili może się wyprowadzić.

Jednym z takich domostw okazał się The Bows. Jego nazwa zapewne nawiązywała do szerokich, zwieńczonych łukami okien na pierwszej i drugiej kondygnacji, po obu stronach fasady.

Pan Jones zdawał się nie zauważać, że Betsey schodzi z wozu jakoś niemrawo. Nie przejął się tym. Skupił się na trzymaniu nad nią parasola, gdy podchodzili do drzwi, i stwierdził, że to ładny dom.

Na drzwiach widniał mały napis: The Bows, właścicielka Mrs. Elliot. Wpuściła ich służąca.

Od razu wsiadła na pana Jonesa. Zaczęła mu wyrzucać, że zjawił się z takiego powodu – jak mógł przyprowadzić pannę Gilbey bez uprzedzenia. Czy to jest panna Gilbey? Chyba nie, to niemożliwe, i

czy pani Elliot wie, co za skandal on im teraz szykuje? Było oczywiste, że pan Jones może się spodziewać jedynie tego, że nie zostanie do The Bows wpuszczony.

Betsey tylko jednym uchem słuchała, jak mężczyzna przedstawia swoją sprawę i towarzyszkę. W coraz większej panice zerknęła w lewo, w głąb salonu. W mdłym świetle pochmurnego dnia powinien być wyglądać na opuszczony. Ale tak nie było. Przeciwnie, wyglądał

zachęcająco i... ładnie. Ładne zielone tapety i zasłony, obrazy w złotonych ramach, krzesła zestawione po kilka, jak do rozmów, ładna waza z peoniami na fortepianie.

Ładnie. O wiele, o wiele za ładnie.

Dora Pink. Tak pan Jones przedstawił pokojówkę. Oddaliła się, żeby poszukać swojej pani. Betsey kaszlnęła, żeby oczyścić gardło, zaschnięte od nadmiaru emocji.

– Ja nie chcę... nie mogę tu zostać.

– Sarah trzyma pokój. Ma pani szczęście, że...

– Chcę mieszkać w hotelu, w kwaterach dla pracowników.

Ona mówiła, a on kręcił głową.

– Dlaczego nie mogę?

– Tobias nigdy się na to nie zgodzi, nigdy, jeśli będzie pani menedżerem. I nie byłoby to w porządku – mamy ludzi, którzy zostawili rodziny, którzy korzystają z tych kwater, żeby móc po sezonie zawieźć bliskim całe wynagrodzenie.

– To daleko, będę musiała codziennie płacić za tramwaj, nie mówiąc już o opłacie za pokój. To naprawdę za drogo i jestem pewna, że za... za elegancko.

Przy ostatnim słowie głos jej się załamał. Zniecierpliwienie pana Jonesa gdzieś uleciało, tak nagle, jak nagle postawił jej walizkę, sięgnął po jakąś książkę i zaczął ją wertować w poszukiwaniu konkretnej strony. Jej upór mógł się stać powodem niemiłego zgrzytu na koniec dnia, ale teraz nie zamierzała ustąpić. Nie chciała być obiektem jego dziwnej, natarczywej sympatii. Napotkała jego spojrzenie.

– Ja tu nie zostanę, panie Jones.

Nie przestał kartkować książki. Po chwili Betsey zorientowała się, że właścicielka stoi obok nich.

– Sarah – powitał ją. – To panna Dobson. Może zostanie, ja nie wiem. Wiem natomiast, gdzie nie zostanie, ale całą resztę zostawiam jej. Piliście już z Charliem herbatę?

– Tak, ale nic straconego – odparła właścicielka i obiecała, że zaraz poda. Pan Jones założył kapelusz i ruszył do wyjścia. Misja opiekuńcza została zakończona.

Pani Elliot uśmiechnęła się i nerwowo przeciągnęła obiema rękami po blond włosach opadających kaskadami na ramiona. Nosila żałobę, choć nie wyglądała na wiele więcej niż czterdzieści lat.

– Nie musi pani zostawać, oczywiście, nie musi pani. Ale są święta, sama pani widzi. Może być trudno znaleźć coś innego. Co do... No cóż, nie sądzę, żeby moje stawki były... pan Jones pomagał mi je ustalić. I jestem pewna, że... on by nie chciał. Zresztą dotychczas nikt się nie uskarżał...

Gospodarze i gospodynie domów – Betsey wiedziała to z doświadczenia – nigdy nie mieli problemu z mówieniem o pieniądzach, ale zakłopotanie pani Elliot zachęciło ją do szczerego wyznania.

– Pani Elliot, ja nie mam czym pani zapłacić.

– Ach! – Kobieta zaśmiała się z wyraźną ulgą. – O to chodzi! No to w porządku. Przecież najpierw musi pani dostać pensję, prawda? Zapłacą pani niedługo, a wtedy my... ach! Mogę zobaczyć pani ptaszka? Na pewno chce mu się pić. A pani? Mam nadzieję, że podróż była przyjemna. Ale płaszcz ma pani mokry...

Gorąca herbata, coś na ząb, oględziny domu z przedstawianiem pozostałym lokatorom.

Betsey patrzyła na to wszystko jak na nowy, zupełnie nieznaną świat. Pokazano jej pokój na trzecim piętrze. Syn pani Elliot, Charlie, zdążył już tam zanieść klatkę z Thieffem i walizkę. Betsey postawiła klatkę łataną stroną do ściany. Walizka, położona na białej kapie łóżka, wyglądała nędznie, a kiedy Betsey rozwiązała szpagat i ją otworzyła, uderzył ją zapach Londynu, Avery’ego i małego pokoiku. Przełożyła ją na podłogę.

Szyny na obrazy były na swoim miejscu. W jej dawnym mieszkaniu któryś z poprzednich lokatorów napalił nimi w kominku. W tym pokoju wisały na nich ryciny o tematyce botanicznej.

Było w nim mnóstwo przedmiotów służących wyłącznie wygodzie albo przyjemności: wełniany kilim nad łóżkiem, bujany fotel z wyszywaną poduszką. Podchodząc do okna, przesunęła palcem po krzywiznie żelaznego łóżka. Chłodna, gładka, żadnych zarysowań ani przemalowań.

Okno wychodziło na ogród przed domem i prowadzącą do niego aleję obsadzoną żywopłotem. Niżej, po lewej i po prawej, widać było szerokie markizy nad łukowymi oknami, połączone daszkiem nad werandą na piętrze. Daszek tworzył pod oknem jej pokoju coś w rodzaju balkonu – oczywiście gdyby ktoś chciał zaryzykować wychodzenie przez okno. A ją taka pokusa nawiedziła. Deszcz przestał padać i ponad dachami i wzgórzami porośniętymi żółtym kolcolistem mogła dostrzec molo i morze. Stąd fale wyglądały jak długie rozdarcia na płachcie wody. Wszystko to było tak majestatyczne i potężne, że nie dawało się ogarnąć.

Ogarnąć ani pojąć.

Tak jak ta kwiatowa rabata, ten dom, ten pokój. Dla niej to nie jest coś, w czym mogłaby się zanurzyć albo czym chociaż głębiej odetchnąć. Ale na razie tu zostanie, do jutra, no, może do poniedziałku. Gdyby zajęła jedną czy dwie szuflady, mogłaby tę brzydką walizkę schować pod łóżkiem, do czasu, kiedy znów będzie jej potrzebować.

Rozpakowała się. Trwało to trzy, może cztery minuty.

I co dalej?

Papieru, nawet marginesów, należy dotykać tylko czystymi palcami (niestety trzeba tutaj o tym powiedzieć).

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Lillian Gilbey porzuciła pisanie pamiętnika. Doszła do wniosku, że pamiętniki są dobre dla dziewczynek albo mężczyzn w średnim wieku, a jej życie, życie młodej damy, która zaczęła bywać, dostarcza jej tak wielu ciekawych wrażeń, że nie powinna marnować czasu na ich opisywanie albo roztrząsanie.

Tak więc ten pamiętnik, kiedy zostanie zapisany, będzie ostatni. Poniewierał się od czasu, gdy ukończyła szkołę. Lillian Gilbey uwielbiała nowe wyzwania, ale nie cierpiała porzuconych i nieukończonych. Obmyśliła plan zakończenia go: czyste strony zapisze w dwa lata. Potem wyjdzie za mąż i zostawi jakiś tuzin na opis uroczystości ślubnych. *Już nie przy tobie stąpać będę...* – opíše swoją ostatnią noc w domu rodziców i tym samym zamknie rozdział poświęcony latom panieńskim.

Ale teraz układała w myślach bardziej prozaiczny wpis do swojej na wpół ukończonej księgi. *John Jones*, miała zapisać tego wieczoru, *jest nieuważny w najmniej odpowiednich momentach*.

Oto on, leniwie oparty o balustradę ciągnącą się wzdłuż Esplanady, z jedną nogą na dolnej szynie, z rękami na górnej. Wzrok wbity w szare morze i brzeg, dłużej, niż ten widok jest tego wart.

Czy on sobie nie zdaje sprawy, że oto nadarza się sposobność, na którą czekał cały dzień? Jej matka i siostry znów poszły na spacer na molo, więc to dzisiaj ostatnia szansa, żeby mógł z nią być sam na sam. Czy po tylu miesiącach nie powinien jej wreszcie powiedzieć czegoś o tym, jakie ma wobec niej zamiary?

Chyba zamierzał to zrobić. A przynajmniej tak jej się przez chwilę wydawało. Spuściła oczy, bo uznała, że tak wypada w takich sytuacjach, i upomniała samą siebie. Zastanawiała się, jak daleko może pozwolić mu się posunąć. Jeszcze nie oświadczyły – zbyt wiele stron w pamiętniku pozostało do zapisania, zanim to nastąpi – ale potrzebowała czegoś, co pomogłoby jej zdecydować, czy jego imię może się znaleźć na wyższej pozycji na liście starających się.

Sama się zdziwiła, gdy pewnego wieczoru dodała do starających się jego nazwisko, wykreślając *Patricka Markwella*, aby na liście pozostało dziesięć pozycji. *John Jones*, napisała, *potencjalny*.

Nie, żeby musiał o tym wiedzieć już teraz, gdy tak stoi niedbale oparty o balustradę, plecami do niej, a jej nie pozostaje nic innego, jak kręcić parasolką.

I wtedy...

Wtedy spojrzął przez ramię i uśmiechnął się do niej tak, że nie mogła żałować, iż wykreśliła *Patricka Markwella*. Nie uważała, żeby miał szczególnie szlachetną twarz. Była zbyt pełna i zbyt chłopięca, ale gdy się uśmiechał, niemal całkiem zniknęła blizna, przez którą zwykle wydawało się, że opada mu powieka. Łatwiej jej wtedy było przyznać, że jest całkiem przystojny, choć może trochę surowy. Ledwo słuchała tego, co do niej mówił, o czymś, co zauważył na dole, na brzegu.

Skinęła głową, jakby nadążała za jego spostrzeżeniami. Dla niej, jeszcze gdy bywała nad morzem jako dziecko, najosobliwsze było to, jak swobodnie zachowywali się ludzie na plaży.

Zupełnie jakby byli w swoich domach, w łóżkach, a nie w miejscu publicznym. W Idensea nie wolno

się było kąpać mężczyznom i kobietom razem, a pogoda nadała morzu wygląd mało zachęcający, więc większość wozów kąpielowych wraz z końmi stała bezużytecznie na plaży. Ale wzdłuż brzegu dostrzegła przytulające się pary.

Trudno jej było oderwać od nich wzrok. Dlatego, że to było takie nieprzystojne. Większość tych mężczyzn i kobiet to prości robotnicy, przybyli tu z tanimi biletami z okazji Zielonych Świątek, więc takich nieobyczajności można się było spodziewać. Właśnie po nich.

– Świetnie się bawią, prawda? – powiedział John, akurat w chwili, gdy zauważyła trzy dorosłe kobiety siedzące na piasku. Żadna nie miała stosownego kostiumu kąpielowego. Wszystkie moczyły w morzu obnażone stopy. Za każdym razem gdy uderzała fala, piszczały ze strachu przed zimnem, nie zważając na to (a może całkiem tego świadome), że woda unosi im spódnicę dobrze powyżej kolan i ukazuje gołe ciało wszystkim, którzy akurat mają ochotę patrzeć.

Ale John, mówiąc o świetnej zabawie, miał na myśli dwa tuziny dzieci siedzące na kocach tuż pod nimi. Wyglądały ubogo. Zapewne była to wycieczka jakiejś instytucji opiekuńczej.

Siedziały na kocach i bez szczególnego skupienia odmawiały pacierz, a potem zaczęły wcinąć kanapki, które jedna z opiekunek wyjmowała z wiklinowego kosza. Czy to nie cudowne, że John akurat na nie zwrócił uwagę? *John Jones jest wrażliwy na urok dzieci.*

Nagle wyprostował się nad balustradą i dotknął jej ramienia.

– Zaczekaj tu.

I poszedł. Odwróciła się w stronę morza, udając, że coś przykuło jej uwagę. Stała i niecierpliwiła się, świadoma, że jest samotna wśród przechadzających się tłumów.

Wrócił z owiniętymi w brązowy papier twardymi jaskrawymi cukierkami w kształcie lasek, z wytłoczonym napisem Idensea. Zdziwiła się, że jest ich aż tyle, ale John powiedział:

– Pomóż mi je rozdać.

Wtedy zrozumiała, że chce je dać dzieciom z ochronki.

Raz już odmówiła brodzenia po piasku i teraz zaniepokoiła się, że ją zmusi, żeby znów powiedziała „nie” – uważała, że jedną z najskuteczniejszych strategii obłaskawiania mężczyzn jest mówienie im „tak” najczęściej, jak to możliwe – ale jej nowe buciki i wyszywany szenilą skraj spódnicy nie nadawały się do spacerów po nieutwardzonej ziemi tak samo jak przed godziną, więc zachęciła go, żeby poszedł do dzieci sam, i zapewniła, że z przyjemnością na niego poczeka.

Przeskoczył przez balustradę i zamiast rozdać słodycze dzieciom, wręczył całe zawiniątko jednej z opiekunek. Lillian nie mogła usłyszeć, więc raczej się domyśliła, że kobieta powiedziała:

– Niech pana Bóg błogosławi.

Wrócił z butami i spodniami oblepionymi piaskiem. Lillian westchnęła. Zdała sobie sprawę, że ma mieszane uczucia. Bardziej podobały jej się intencje niż wykonanie. Było to dla niej zarówno irytujące, jak i fascynujące.

John Jones, trzeba włożyć mnóstwo pracy.

Myśl o tym, żeby oszlifować ten nieobrobiony diament, być siłą, która napędzi inną siłę, mocno do niej przemawiała. Wierzyła, że kobieta ma swoje miejsce – tym miejscem jest tron, a ona bynajmniej nie jest jego ozdóbką.

– Mogłeś sobie oszczędzić fatygi i zapłacić sprzedawcy, żeby to dostarczył – powiedziała.

– Ale ta fatyga to cała przyjemność.

Odruchowo dotknął jej policzka. Kciuk miał wielki, twardy i szorstki. Poczuła, że ściska ją w gardle i że kolana robią jej się miękkie. Te mimowolne odczucia nie były całkiem przyjemne.

Pocałował ją raz. Był jedynym mężczyzną, który to zrobił. Kiedy zaczął ją całować w usta, odepchnęła go. Doznała szoku i... było coś jeszcze. Przeprosił, a ona nie napisała o tym w pamiętniku ani słowa, niepewna, jakimi słowami coś takiego można opisać. A jeśliby o tym napisała, to czy powinna potraktować Johna jako zalotnika, czy też to, co zrobił, miałoby świadczyć przeciwko niemu? Czy to było okropne, czy jednak nie? Od tamtej pory wiele razy próbowała to rozstrzygnąć.

Szli ramię w ramię do hotelu, aby razem z jej matką i siostrami wypić herbatę. Słuchała, jak opowiada o kolejce, którą pomógł zaprojektować. Mówiła „och!” we wszystkich odpowiednich momentach i z odpowiednią intonacją, jakby była zauroczona męskimi sprawami, o których kobieta dowiaduje się jedynie przy rzadkich okazjach. Jeśli go poślubi, będzie musiała go słuchać uważniej.

To mu się może przydać w karierze. Szkoda, że jego zainteresowania nie idą raczej w stronę poezji.

Jego samego uważała za niezbyt mądrego, a te jego nadmorskie budowle za dokonania nieistotne, jak sentymentalne ballady ludowe w zestawieniu z kantatą Bacha. Ale miały znaczenie dla kariery, zwłaszcza kogoś tak młodego jak John. Pewnego dnia on i ona zajmą się rzeczami, które liczą się naprawdę – wielką salą koncertową, ważnym muzeum, katedrą. Pewnego dnia John Jones i jego żona będą ozdobą towarzystwa.

– Nie pokazałeś nam swojego biura, kiedy nas oprowadzałeś po hotelu – powiedziała, gdy przywitał się z portierem i weszli do środka.

– Wydawało mi się, że lepiej będzie zostać na dworze, skoro nie zanosilo się na deszcz. A panie były znudzone.

Obruszyła się. Ośmiela się zmuszać ją, żeby zaprzeczyła, i bawi się jej zakłopotaniem?

Zauważył, że jest znudzona, ale nie to, obraził jej kobiecość, ale czego mogłaby się spodziewać po mężczyźnie, który ją oprowadza po kotłowniach, podziemnych kuchniach i pralniach?

Uprzedził, że jego biuro też ma być tylko praktyczne, ale obiecał, że będzie mogła je obejrzeć w drodze do saloniku herbacianego. Westchnęła, gdy zobaczyła, jak dokładnym jest człowiekiem. Plany przymocowane do ścian, biblioteczka pełna inżynierskich periodyków i poradników, para potwornie ubrudzonych błotem rękawic roboczych na biurku. Spodobała jej się industrialna atmosfera tego pokoju, ale całkowity brak akcentów osobistych ją zmartwił. Naprawdę, jeśli wybierze tego człowieka, czeka ją mnóstwo pracy.

Przesunęła palcem po grzbietach czasopism.

– A gdzie poematy Tennysona?

Ruchem głowy wskazał na drzwi za biurkiem.

– W moim pokoju.

Lillian przełknęła ślinę. Wiedziała, że mieszka w tym hotelu, ale nie że właśnie tutaj. W tej sytuacji to, że jest z nim sam na sam w jego biurze, oznaczało, że doszła do granic przyzwoitości.

A to, że tylko jedne drzwi dzieliły ją od jego prywatnego pokoju, to już było...

– Czy pan to czytuje?

Podszedł do biblioteczki, przy której stała.

– „Times”.

Uśmiechnął się do niej.

– Kiedy chcę zasnąć.

– Potwór z pana.

Może tylko przytaknął, ale poruszył głową, a jego powieki opadły. Poczula jego wargi na swoich. Nie pocałował jej pełnymi ustami, tak jak ostatnim razem, sama rozwarła wargi trochę szerzej. Czy to było straszne, czy jakieś inne? Miała do niego zaufanie? Musiała to wiedzieć, więc rozchyliła usta.

Tak, to było straszne. Teraz była tego pewna. Straszne, bo przywoływało najbardziej szalone myśli, o zerwaniu z konwenansami i o parach leżących bezwstydnie na piasku, i straszne było to, że w taki sposób odebrał jej spokój.

Odepchnęła go i przypomniała mu, że jest potworem, i natychmiast pożałowała, że przestali się całować. Nic by się nie stało, gdyby to trwało trochę dłużej, ale teraz nie umiałyby chyba po raz drugi zamknąć oczu i podać mu ust, nie teraz, kiedy stał tak i nie przeproszał, jak poprzednim razem, i wyglądał przy tym, jakby mu zdradziła jakiś sekret.

– Powinnam już teraz z tobą skończyć – powiedziała.

– Przed herbatą? Taką dobrą dla ciebie zamówiłem. A twoja matka zaprosiła mnie do twojego towarzystwa muzycznego na czerwiec...

– Dlaczego się zgodziłeś? Jestem pewna, że nigdy nie brałeś lekcji. Oboje będziemy tylko mieli kłopot.

– Ale wrócisz tu znowu w sierpniu na wakacje. Równie dobrze możesz poczekać do jesieni, prawda, Lils? I wtedy będziesz mogła ze mną skończyć.

Nie obawiał się. Sama nie wiedziała, kiedy pozwoliła, aby to się stało. Czy to się stało w chwili, kiedy rozchyliła wargi?

– Matka i reszta będą czekać.

Wymknęła się z biura przed nim. Zobaczyła jakąś postać na korytarzu i uświadomiła sobie, jaka jest lekkomyślna. Jak łatwo ktoś mógł ją przyłapać na całowaniu się z Johnem w jego biurze.

Zatrzymała się dopiero, gdy zorientowała się, że John stoi i rozmawia z tym kimś, na kogo omal nie wpadła. Była to młoda kobieta.

Nie mogła wejść do saloniku herbacianego sama. Czekała. Zajęła się poprawianiem wędnącej

kamelii, którą dał jej John. Kobieta z korytarza była bardzo wysoka i najwyraźniej pracowała w hotelu, choć Lillian nie mogła odgadnąć, w jakim charakterze. Nie była ubrana ani jak pokojówka, ani jak ktoś, kto pracuje w kuchni. Telefonistka? Albo jakaś asystentka pana Seilera?

Pytała Johna o niego.

John potrząsnął głową.

– To dlatego zawiozłem panią do Sarah. Tobias spotka się z nami – wskazał na Lillian – za chwilę na herbacie, ale dziś po południu będzie zbyt zajęty. W sobotnie wieczory ma zwyczaj podtrzymywać kontakty towarzyskie z gośćmi.

– Rozumiem.

Najwyraźniej na tym skończyli. Ale żadne się nie ruszyło. Oboje wyszeptali:

– Przepraszam.

John dodał:

– Myślałem, że Sarah zrozumiała. Niepotrzebnie tu panią przywiozła.

– Nie, to nie była jej wina.

Lillian postanowiła się odezwać:

– Panie Jones. – Wypowiedziała te słowa ze śpiewną intonacją.

John wyciągnął do niej rękę, ale musiała zrobić kilka kroków, żeby jej dotknąć. Wyczuła, że jest zakłopotany z powodu dziewczyny z hotelu, chociaż to ona sama się w tym kłopotliwym położeniu postawiła.

– Proszę iść z nami – powiedział.

Lillian i nieznajoma roześmiały się równocześnie.

W dziwnych oczach tej dziewczyny Lillian dostrzegła odbicie własnego strachu.



Ćwiczenie gustu i umiejętności oceny są w maszynopisanu równie ważne jak w każdym innym zajęciu.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

– Tobias będzie zadowolony, że panią pozna – mówił dalej John. – A pani będzie mogła się z nim zapoznać, zanim...

– Panie Jones – wtrąciła Lillian, tym razem bez śpiewnej intonacji.

Najgłupszy z możliwych pomysłów: zapraszać pracownika na przyjęcie, na którym będzie

zwierzchnik. Lillian od dwunastego roku życia bywała na *garden parties*, wieczorkach, przyjęciach świątecznych i balach – maskowych i innych. Pojawiła się na tyłu, że nie zdołałyby ich zliczyć, ale sama myśl o tak kłopotliwej sytuacji, i to w chwili, gdy miała poznać najbliższych przyjaciół Johna z Idensea, była nie do zniesienia. A poza tym... czy on nie potrafi wczuć się w położenie tej dziewczyny? Nie wie, jak upokorzona poczuje się w saloniku herbacianym, gdy wejdzie tam w takim stroju? John Jones nie zna, jak widać, najbardziej podstawowych zasad obowiązujących w towarzystwie.

– Pan już dziś zaprosił pana Dunninga – przypomniała. – Proszę pozwolić, że pójde pierwsza i uprzedzę pracowników o kolejnych zmianach, dobrze?

Puściła jego rękę, jakby już zamierzała zrealizować swój zamiar. Ale gdyby ją zmuszono, żeby weszła to tego saloniku bez asysty, tylko po to, żeby się upewnić, że będzie krzesło dla telefonistki czy kim tam ona jest...

Jednak nie. Była bezpieczna. Dziewczyna z hotelu zaczęła się wymawiać, próbowała odejść, nie dać Johnowi szansy, nie pozwolić mu szukać argumentów. Nie chciała, żeby ją przekonywał.

Lillian i ona były teraz po tej samej stronie, złączone w kobiecym rozsądku przeciwko męskiej bezmyślności.

John w milczeniu ruszył do saloniku.

Lillian wiedziała, co ma robić. Przy stole zasiedli jego przyjaciele: oboje Seilerowie pochodzili ze szwajcarskich rodzin hotelarskich. Pan Seiler był głównym menedżerem hotelu, a jego żona główną gospodynią. Obok pani Elliot, od kilku lat wdowa, razem z synem, chłopcem mniej więcej dwunastoletnim. John mieszkał u Elliotów przez pierwsze miesiące swojego pobytu w Idensea, gdy jeszcze żył doktor Elliot.

Ona miała ich olśnić.

Ale najważniejszy był ten, który dołączył do nich najpóźniej, pan Dunning, jedyny syn sir Altona.

– Panno Gilbey, jak najlepiej ukarać naszego spóźnionego gościa? – spytał, gdy ona i John usiedli.

Uśmiechnęła się do niego. Poznali się w Londynie, kiedy pewnego razu towarzyszył

Johnowi. Czy to nie zabawne? Pomyśleć tylko, że syn baroneta towarzyszy Johnowi Jonesowi. Ale było właśnie tak, nie odwrotnie.

– Oczywiście schować słodycze – odparła.

– Co za okropny podstęp. Ale obawiam się, że nie czułaby się pani dobrze skulona pod stołem.

Zart nie należał do najlepszych, jakie zdarzało jej się słyszeć, ale roześmiała się i tak, bo w tonie, jakim został wygłoszony, usłyszała coś pociągającego. A poza tym chciała, żeby John słyszał, jak się śmieje do innego mężczyzny i jak z nim rozmawia o nadchodzącym sezonie w Albert Hall. Na czerwiec trzeba zaprosić do towarzystwa muzycznego innego pana.

Pan Dunning był młody, niedawno ukończył Cambridge, i kiedy go zobaczyła, przypomniał

jej się prezent, który otrzymała od rodziców na osiemnaste urodziny – lśniąca perła spoczywająca na czarnym aksamicie. Teraz, kiedy spotkała go ponownie, przyszedł jej do głowy tuzin pomysłów na to, jak

i gdzie mogłaby te perły założyć. Noela Dunninga łatwo było lubić. I nikt nie czuł się w jego towarzystwie zakłopotany.

A taki John Jones – mnóstwo pracy. Jest tego wart? Z panem Dunningiem przy stole nie sposób było nie myśleć o sir Altonie, który tytuł zawdzięczał muzyce: skomponował utwór na cześć księcia Alberta. Czy budowniczy, który służy dobru publicznemu, może liczyć na taki zaszczyt?

I jeszcze to: komu innemu pozwoliłaby, żeby ją nazywał Lils albo całował w usta? Takie rzeczy bez wątpienia oznaczają coś, nawet jeśli żadne z nich jeszcze tego nie powiedziało.

Betsey chciała się wymigać od propozycji pana Jonesa tak bardzo, że obrała zły kierunek i poszła w głąb hotelu, zamiast, jak zamierzała, wyjść na zewnątrz. Na zewnątrz, na miłość boską!

Stała dopiero, gdy zrozumiała, że światło się zmieniło i że znalazła się w przestronnej sali z paprociami i palmami – całe drzewa w budynku! Na meblach, na dywanach pokrywających parkiet, na jej rękawie i rękawiczce, gdy zaczęła dotykać czoła, pojawiły się błękitne i turkusowe plamki światła. Padało skądś z góry.

Z kopuły z barwnego szkła, z białymi piórami i żółtymi wolutami rozrzuconymi po mozaice kolorowych szybek. Patrzyła na to z zachwytem. Podziwiała wyobraźnię twórcy, nieskrępowaną wymogami praktyczności ani umiarkowania. Patrzyła na pióra i woluty powtórzone w sztukaterii, okalające kopułę i spływające w dół na pilastry, obficie jak krem wyciśnięty na ciasto. Każdy łuk wokół niej tworzył obramowanie czegoś innego, na przykład schodów na wprost. Każdy był

idealnym kadrem dla eleganckich dam: spływał po stopniach i falował za nimi w zwiewnych tkaninach ich sukien.

Tu nikt się nie spieszył.

Dywan pod podeszwami jej butów był miękki, jakby go rozłożono na gąbkach. Kanapy i krzesła pokrywały kremowe obicia. Siedzieli na nich ludzie w wyjątkowo swobodnych pozach.

Ręce przierzucali przez oparcia. Jedna osoba trzymała filiżankę i spodek.

Betsey szepnęła sama do siebie:

– Do stu diabłów.

Zawróciła i pomyślała, że trzeba było zostać w pensjonacie. W ten sposób odsunęłaby w czasie tę przykrość.

Jak mogłaby tu pracować? Już salon w The Bows prawie ją pogłębił. Jak mogłaby tu wchodzić i nie czuć się jak aktorka albo cudzoziemka, której nazwiska nikt nie potrafi wymówić?

– Panna Dobson? – Nagle wyrósł przed nią pucołowaty boy.

– Tak?

Wyglądał, jakby odetchnął z ulgą. Betsey sądziła, że łatwo ją wyłowić z tłumu, jak włos na ciastku z kremem, ale boy najwyraźniej nie był pewny.

– Przysłał mnie pan Seiler, psze pani. Chciałby się z panią widzieć, tak powiedział, i pyta, czy

byłaby pani uprzejma poczekać na niego w jego biurze.

Pan Seiler, w końcu!

– Oczywiście...

Ale boy miał jej do powiedzenia o wiele więcej.

– Ale nie od razu będzie mógł się z panią spotkać, więc nie chciałby pani sprawić kłopotu.

Jeśli pani nie może poczekać, to pan Seiler z przyjemnością spotka się z panią w poniedziałek przed południem.

To były najuprzejmiejsze słowa, jakie kiedykolwiek usłyszała od zwierzchnika, ale nie łudziła się, że oznaczają coś innego niż polecenie, żeby została. Boy zaprowadził ją do przedpokoju przed biurem pana Seilera, tuż przy głównym wejściu do hotelu. Usiadła i już po kilku minutach przyniesiono jej herbatę. Podano ją w białej porcelanie ze złotym szlaczkiem z liści. Na spodku widniała harfa – nie, lira. Jej krzywiznę tworzyły głowy i szyje dwóch łabędzi.

Betsey zaczęła spokojnie nalewać herbatę do filizanki. Spodziewała się, że będzie musiała czekać dość długo, bo pan Seiler był na herbacie z panem Jonesem i jego dziewczyną z Londynu, panną Gilbey. Sarah Elliot powiedziała jej o tym, kiedy jechały do hotelu.

Pan Jones. Poprosił, żeby do nich dołączyła. Zupełnie jakby to, że jechała na gapę i że się posprzeczali, całkiem poszło w zapomnienie. Zupełnie jakby w tym tweedowym stroju i z opadającymi włosami mogła być gościem przy tamtym stole. Był szalony? Chyba tak. Jak inaczej można by wyjaśnić taki przyływ lekkomyślnej uprzejmości?

Już drugi raz tego dnia mieszała herbatę srebrną łyżeczką. Przedtem trzymała w ręku srebro tylko wtedy, kiedy miała je wyczyścić. Było to, gdy służyła w domu Dellaforde'ów w Manchesterze. Ta łyżeczka była prostsza, ale masywniejsza. Przyglądała się jej trzonkowi i mieszała. No dobrze, pomyślała, jeśli nie zostaną częścią tego miejsca, to dokąd mam pójść?

Gdyby nie afera z synem Dellaforde'ów, byłabym tam nadal? I czy wyszłoby mi to na dobre?

Nie. Wiedziała o tym doskonale. I ta wiedza pozwalała jej spojrzeć na jedną sprawę jasno: powinna przestać dawać się wszystkim zastraszać, inaczej Tobias Seiler nie znajdzie tu dla niej miejsca.

Pan Seiler przypominał świecznik – pełen poloru i wdzięku. Drobnej postury, bardzo zadbany. Prezentował się jako ktoś ważny. Skłonił się i wskazał jej drzwi do swego biura. Wyraził wdzięczność, że była taka cierpliwa. Betsey zaczęła wierzyć, że pan Jones zachował dla siebie szczegóły jej koszmarnego przyjazdu do Idensea. Nabrała pewności siebie.

Odwzajemniła się uprzejmościami. Przepraszała, że zabiera mu wolny czas.

– Pan Jones powiedział mi, że sobotnie wieczory spędza pan z gośćmi hotelu.

Uniósł brwi, wyraźnie rozbawiony.

– Panno Dobson, ja jestem hotelarzem – powiedział, a jego europejski akcent nadał słowu „hotelarz” szczególny odcień. – Mam wolne tylko wtedy, gdy jestem z dala od Swan Parku.

Spotkania z gośćmi, w każdym dniu tygodnia, to bodaj najpoważniejsza część mojej pracy.

Pochyliła głowę, jakby w pokorze przyznawała się do pomyłki.

– Z punktu widzenia gości musi to jednak wyglądać inaczej. Pan to rozumie. – Na tle jego jasnych włosów i przyciętych bokobrodów błyszcząły jasnoniebieskie oczy. Wpatrywały się w nią badawczo. Wydawało jej się, że mu się to spodobało. – Pod tym względem nasze zajęcia mają wiele wspólnego, czy mam rację?

Przyłożył do podbródka dłonie złożone jak do modlitwy, jakby na coś czekał. Betsey się zawahała. Nie była pewna, jak jak jej praca maszynistki, może wpłynąć na jego decyzję. Czy powierzy jej odpowiedzialną funkcję w takim pałacu jak Swan Park? Ale teraz jest już kimś więcej niż maszynistką.

– Chce pan powiedzieć, że nasi goście nie powinni dostrzegać wysiłku, jaki wkładamy w ich obsługę, nie powinni widzieć, że jesteśmy i gospodarzami, i menedżerami. Myślę, że to wiem, bo byłam dziewczyną na posługi, taką, której pracy nikt nie dostrzega. Czy to miał pan na myśli?

Nie odpowiedział. Ale jego nawoskowane wąsy uniosły się o milimetr. Uśmiechnął się.

– Więcej tu pracy niż reprezentacji.

– Tak, będę musiała rezerwować i przygotowywać podróże. Rozrywki i wycieczki muszą być zorganizowane, a każda grupa jada obiad tu, w hotelu. Mnóstwo szczegółów, o które należy zadbać. Mówiąc szczerze – uśmiechnęła się do niego bez skrępowania – chyba powinien pan był mnie zatrudnić nieco wcześniej, panie Seiler. Jest już prawie lipiec.

Śmiech zabalgotał mu w gardle, ale usta wciąż miał zaciśnięte.

– *Wie schade*. Co za szkoda, że Baumston & Smythe trzymali panią w ukryciu. I to prowadzi nas do kwestii pani świadectwa. Pan Jones powiedział pani, żeby je pani przywiozła, a z tego, co mi wiadomo, pani tego nie uczyniła.

Poczuła skurcz w żołądku. Co jeszcze pan Jones zdążył mu powiedzieć? Już kiedy opowiadała mu w skrócie, jak podle potraktował ją Wofford, czuła się niezręcznie. Wyłożenie wszystkich szczegółów wyrafinowanemu panu Seilerowi w jego wspaniałym biurze z pewnością pograżyłoby ją bez reszty. Znowu zawładnęło nią poczucie, że to niesprawiedliwe, że musi tam siedzieć i przyznawać się do porażki, zanim cokolwiek się zaczęło, że sama zrobiła z siebie pasażerkę na gapę, że prosiła Avery'ego o pieniądze i że omal nie rozplakała się publicznie i to akurat przy panu Jonesie. Inna, lepsza kobieta, żałowałaby, że wyrządziła komuś krzywdę, ale ona – wybac mi, panie Boże! – myślała wyłącznie o tym, że chętnie rozdeptałaby Woffordowi obcasem wszystkie palce.

– Nie, nie przywiozłam. – Przygotowała się na nieuchronne pytanie. Milczenie pana Seilera nie zaskoczyło jej tak bardzo, ale sprowokowało do dodania: – Przepraszam.

– *Merci*. – Założył okulary w cienkiej oprawie, otworzył skórzaną aktówkę i przerzucił kilka kartek, które wyjął ze środka. – Panno Dobson. Nie jest moim zamiarem straszenie pani, ale jako pani przełożony muszę pani o czymś powiedzieć.

– Oczywiście.

Znalazł kartkę, której szukał, najwyraźniej z informacjami, które otrzymał od pana Jonesa.

– Maszynopisanie, pisanie pod dyktando, kompozycja, księgowość, wymowa... gotowanie?

– To był kobiecy instytut. Uważali za swój obowiązek nauczenie nas przynajmniej w pewnym stopniu umiejętności praktycznych. A do czego może się przydać zamężnej dziewczynie stenografia? Za to dobra ryba zapiekana w cieście...

Zawiesiła głos. Pozwoliła, żeby odwieczne walory ryby w cieście przemówiły własnym. Pan Seiler patrzył na nią przez okulary. Trwało to kilka nieprzyjemnych chwil. Ale potem znów zbulgotał mu w gardle stłumiony chichot. Korzystając z tego, postanowiła dokładniej omówić praktyczną naturę pozostałych zajęć w Instytucie. Objasniła, że księgowość kryła się pod nazwą rachunki domowe, a lekcje wymowy polegały przede wszystkim na recytowaniu moralnych maksym ułożonych chyba głównie dla dzieci.

– Szło mi dobrze ze wszystkich przedmiotów, proszę pana. Moi nauczyciele mówili, że uczę się szybko. Przełożona wyznaczyła mnie do pomagania opiekunowi czytelnicy – taki zaszczyt go spotkał, widzi pan...

– Ale świadectwa ukończenia szkoły też pani nie ma.

– Nie, proszę pana.

Za to nie mogła już winić Wofforda.

– A pan Jones nadal uważa, że powinniśmy, jak powiedział, panią wypróbować.

– A jak pan uważa, sir?

– Ach! – Wyrzucił ręce w górę na znak, że uważa to pytanie za całkiem proste. – Ja jestem panią zachwycony i w normalnych okolicznościach z radością zaproponowałbym pani zatrudnienie na próbę. Ale, jak sama pani zauważyła, lipiec wisi nad nami i czas zysków zaczyna uciekać. Ja nie mam czasu na próby. Ani na niepowodzenia. Pani to rozumie.

Betsey poruszyła ręką, którą trzymała na kolanach. Przypomniała sobie, jak uściskał ją Richard – powiedział:

– Jak znów zrobisz coś, co spowoduje katastrofę, nie wikłaj w to mojej rodziny – powiedział.

– Panie Seiler, rozumiem pana doskonale.

Mężczyzna wręczył jej mały notes i ołówek, po czym poprowadził ją prywatnymi schodami do podziemi. Wejście było ukryte za panelem w jego biurze.

Podziemia były miastem, przeciwieństwem wygodnego i wyściełanego górnego świata.

Poznanie labiryntu magazynów i kuchni, wind, pralni i klatek schodowych wymagało czasu i doświadczenia. Betsey skupiła się na uwagach pana Seilera, nerwowo robiła notatki. Mówił

o swoich oczekiwaniach, sugerował, co powinna robić, podawał nazwiska ludzi, z którymi miała pracować.

Co jakiś czas przerywał, żeby ją komuś przedstawić albo wysłuchać pytania, ale poza tym szli oboje szybko, pilnie obserwowani, wśród dygnięć, ukłonów i powitań.

Kiedy wracali windą na górę, Betsey przyznała się, że nie wie, gdzie będą, kiedy windziarz otworzy drzwi.

– Nie dziwię się – odparł pan Seiler. – Proszę wykorzystywać czas i się uczyć, *avec discrétion* – moi pracownicy zawsze muszą być pod ręką, ale nigdy na widoku. Wierzę, że pani to rozumie.

Zrozumiała. I obiecała, że zapamięta.

Na parterze na tyłach była obszerna weranda z kratkowym dachem. Rozciągał się z niej widok na rozległy park. Czegoś takiego Betsey nie widziała nigdy, nawet na obrazie, i nagle zrozumiała, co ludzie mają na myśli, kiedy używają słowa „idylliczny”. Każda piaszczysta ścieżka prowadziła do uroczego i tajemniczego miejsca, do tunelu z bluszczu i kwiatów, zejścia między grzbietami wzgórz, w dół, do cienistej i pełnej zapachów ścieżki na brzeg morza albo do zielonego stawu, nad którym przelatywały, jakby bez wysiłku, łabędzie. Miłośnicy bardziej aktywnego życia mieli do dyspozycji kort tenisowy, tor rowerowy i przystrzyżone trawniki do gry w krykieta i w bowls.

– O mój Boże.

– Panno Dobson. – Pan Seiler znacząco wskazał na siedzących na werandzie gości.

– Jaki uroczy mały ogródek.

Spojrzała na park jeszcze raz. Tym razem zauważyła odkryty pawilon, w którym jej wycieczki miały się spotykać na wieczorach tanecznych. Wypatrzyła w kępie jodeł stalowo-szklaną kopułę, a pan Seiler potwierdził, że to jej pawilon. Musiała się powstrzymać od okrzyków zachwyty.

Chciała tam pójść od razu, ale przełożony poprowadził ją z powrotem do środka, do korytarza, który już знаła i za którym miał biuro. Były tam też biura hotelu i kompanii zarządzającej moło. Otworzył kluczem szerokie podwójne drzwi. Betsey się zdumiała. Spodziewała się, że zobaczy rzędy maszyn do pisania i szeregi urzędniczych pulpitów. Tymczasem biuro było niewielkie, podzielone trzema szerokimi łukami. Światło wpadało przez okna i świetlik w suficie.

Oszklone ścianki z wąskimi drzwiami wydzielają kilka pojedynczych boksów. Pod najdłuższą ścianą stały sekretarzyki i szafy z półkami, dwa telefony i jedna maszyna do pisania.

Pan Seiler przeprosił za biurko: najwyraźniej dostawiono je całkiem niedawno, wciśnięto za drzwi. Było zavalone książkami i luźnymi papierami.

– Jak pani widzi, w oczekiwaniu na pani przyjazd pozbieraliśmy różne rzeczy – powiedział.

– W poniedziałek pani pierwszym zadaniem będzie... no cóż... ogarnięcie tych spraw. Program wycieczek bardzo cierpi na tym, że nadzoruje go zbyt wiele osób. Zastanawialiśmy się nad rozdzieleniem tych obowiązków między naszych pracowników, ale szybko się okazało, że to nieskuteczne. Tutaj ma pani książki, faktury i inne dokumenty z różnych działów hotelu. Gdy już się pani w tym rozezna, spotkamy się,

żeby porozmawiać o tym, czego się pani dowiedziała.

Powiedzmy... kwadrans po piątej?

– Tak, proszę pana.

– A, muszę się poprawić. To pani drugie zadanie. Pierwszym będzie... – Wyjął z kieszeni srebrne etui i wręczył jej wizytówkę. – Prevet’s. King’s Lane. Wezmą miarę na ubranie, które będzie pani nosić w soboty. Coś, co potwierdzi, że jest pani naszym pracownikiem. Pan Hamble – wskazał w stronę jednego z biur – załatwi to tak, że połowa należności będzie potrącana z pani poborów w ratach.

Kiedy zobaczyła stertę papierów na biurku, palce zaczęły ją świerzbić. Chciała od razu wziąć się do pracy. Ale kiedy usłyszała to, wzdrygnęła się. Miała swój szary tweedowy kostium, i drugi, brązowy. Oba były przyzwoite i służyły jej bardzo dobrze. I swoje kosztowały. Te koszty wchodziły w skład sumy, którą miała spłacić Richardowi, chociaż był taki wielkoduszny. A tu całkiem nowy kostium na jeden dzień w tygodniu?!

– Czy nie wystarczyłaby jakaś szarfa albo odznaka, proszę pana?

Chyba udało jej się całkiem zamaskować zdumienie.

– Absolutnie nie – odpowiedział bez cienia irytacji. – Zakład pana Creacy’ego jest dwa sklepy za Prevettem. Dobierze pani rękawiczki.

Spodziewała się, że za chwilę powie jej, gdzie ma kupić szpilki do włosów, ale on spojrzał na kieszonkowy zegarek i odprowadził ją do wyjścia. Zanim zdążyła zaprotestować, wezwał powóz i polecił służącemu, żeby jej asystował. Wśród dam i panów w wieczorowych strojach, przy lśniącej fontannie i akompaniamencie muzyki w wykonaniu niewidocznego skrzypka, została wsadzona do powozu, zupełnie jakby i ona miała na sobie jedwabie i perły.

Gdy tylko zatrzasnęły się drzwi, ściągnęła rękawiczki. Starła się zawsze utrzymywać je w czystości, ale miały już dwa lata. Do diabła – jak długą drogę przebyła od chwili, gdy rano wyciągnęła z kieszeni Avery’ego pasztecik.

Poza tym pan Seiler miał rację. Potrzebowała nowych rękawiczek. I, na Boga, będzie mogła je sobie kupić. Nie odprawił jej.

Powóz ominął Esplanadę. Jechał przez urwisko i przez centrum miasta. Betsey zerkała w dół, tam, gdzie płonęły i migotały światła na molo. Jak dziwnie i pięknie wyglądały te odbijające się w wodzie jasne punkty. Nigdy nie uzna, że to zwyczajny widok. Przypomniała sobie, że może go podziwiać ze swojego okna w pensjonacie. T a m t e g o okna, nie j e j okna. Nie miała okazji spytać pana Seilera o kwatery dla pracowników. Może i nie należało. Skoro pan Seiler miał rację co do rękawiczek, to może i pan Jones nie mylił się w kwestii miejsca jej zamieszkania. Była zmęczona. I sama w powozie, więc przeciągnęła się swobodnie. A potem zabębniła palcami w ściankę. Pomyślała, że po prostu powinna tu zostać.



Każda, nawet prosta praca powinna być wykonana bezbłędnie.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

W niecałe dwa tygodnie po tym, jak zamówiła ten cholerny uniform, musiała przyznać, że i w tej sprawie pan Seiler miał rację. Dla oszczędności odebrała go od szwaczki. Chciała go wykończyć sama, i teraz, w przeddzień przybycia pierwszej wycieczki, stała na otomanie, a Sarah Elliot pomagała jej dopasować długość.

Robiły to w pokoju, który kiedyś był gabinetem świętej pamięci męża pani Elliot, z zawodu lekarza. Dora Pink, jedna z kilku służących, przemaszerowała przez środek pomieszczenia, po drodze zupełnie bezcelowo przestawiając kilka przedmiotów. Udawała mocno zaaferowaną. Betsey rozpoznała w tym taktykę służącej, która chce, aby zwrócono na nią uwagę, ale pani Elliot, całkowicie pochłonięta swoim zajęciem i z natury marzycielska, zupełnie tego nie zauważyła, dopóki nie zgasła jedna z lamp.

Szczerze zdumiona, przysiadła na piętach. I wtedy dostrzegła służącą: szła w stronę drugiej lampy.

– Doro Pink! – wykrzyknęła, ale lampa zgasła, zanim zdążyła wypowiedzieć jej imię.

Dora cofnęła szybko rękę i podniosła ją do ust, w całkiem udanym geście zaskoczenia.

– Och, przepraszam, psze pani. To dlatego, że w całym domu palą się już lampy, a ktoś musi tego doglądać, wie pani. Pani zobaczy, czy wisząca nie wystarczy. Mnie się widzi, że tak.

– Moja służba uważa mnie za głupią – powiedziała pani Elliot do Betsey, kiedy Dora wyszła, i westchnęła. – Obawiam się, że ciągle nie potrafię traktować swojego domu jak przedsiębiorstwa. Nie sądzi pani? Teraz proszę się obrócić.

Betsey odwróciła się posłusznie. Zdążyła już zauważyć, że pracownicy pensjonatu, zachowując pozory uległości, z lekceważeniem patrzą na panią Elliot, ale nie była pewna, czy ona o tym wie. Jako szefowa pani Elliot była roztargniona i nierozważnie wielkoduszna. Chroniło ją ciche porozumienie między służbą a gośćmi. Przy posiłkach zachęcała do brania dodatków i nikt nie protestował, gdy Dora Pink rozdawała je, jakby to były racje na szalupie rozbitków. Nowo przybyłym demonstrowała oświetlenie domu, a Dora Pink wydzielała każdemu mieszkańcowi trzy świece na tydzień. I było jasne, czyje zalecenia obowiązują.

W drzwiach stanął Charlie, ostatnie dziecko pani Elliot, które zostało jeszcze w domu.

Zatrzymał się na progu, kiedy zobaczył Betsey stojącą na otomanie. Ta wskazała na nową spódnicę.

– Będzie dobrze? Jak myślisz, Charlie?

Jego brwi, zwykle tak jasne, że prawie niewidoczne ponad głęboko osadzonymi oczyma, nagle pojaśniały jeszcze bardziej. Cała jego twarz pokryła się rumieńcem. Wzruszył ramionami.

– Jest nieźle. Mamo, przyszedł John na lekcję fortepianu. Ale się nie spiesz, bo dałem mu ten rocznik, żeby sobie obejrzał.

Wyszedł. Trzynastoletni chłopak.

Pani Elliot skończyła upinanie i powiedziała, że Betsey może korzystać ze wszystkich lamp, jakich będzie potrzebować, żeby to wykończyć.

– Pamiętam, że powiedziałam, żebyś mi mówiła Sarah! – Przerwała jej, kiedy zaczęła dziękować za pomoc. Złapała obie jej dłonie, ścisnęła je i złożyła na jej policzku szybkiego całusa.

– Jutro będzie wspaniale, ja to wiem.

Betsey miała obsługiwać setkę pracowników huty szkła Pollit & Company. Była zdenerwowana. Eksplozja gorących słów otuchy sprawiła, że o mało się nie rozkleiła. Ku swemu zaskoczeniu nie mogła wykrzusić słowa podziękowania i wreszcie powiedziała:

– Tak się cieszę, że pan Jones przekonał mnie, abym tu zamieszkała, Sarah.

Pani Elliot się roześmiała, a Betsey skarciła się w duchu. Te słowa musiały zabrzmieć dziwnie. Tak powierzchownie wyrażały jej wdzięczność.

Pani Elliot poszła, a Betsey zdjęła spódnicę i obrębiła ją na maszynie. Potem poszła do swojego pokoju, żeby przyszyć guziki do żakietu.

Większość gości siedziała w salonie. Gwar swobodnych rozmów splatał się z brzdąkaniną pana Jonesa na fortepianie. Zaczął – nie do wiary! – się uczyć i zjawiał się w The Bows niemal co wieczór. Sarah Elliot uczyła go grać, a raczej odtwarzać konkretne melodie. Starał się to opanować za wszelką cenę, aby móc się zaprezentować podczas party w Londynie. Pani Elliot zdążyła już Betsey o tym poinformować. Party panny Gilbey.

Pan Jones siedział i patrzył na dłonie pani Elliot. Łokciem opierał się o fortepian, a głowę wsparł na pięści. Spojrzał na zmierzającą ku schodom Betsey, a uśmiech, który jej posłał, był szczery, choć bardzo przelotny. Zanim zdążyła go odwzajemnić, znów patrzył w dół i mówił do pani Elliot:

– Teraz słyszę różnicę. Proszę mi pozwolić spróbować jeszcze raz.

Któż to uczy się grać w taki sposób? Kolejny dowód jego wariactwa, pomyślała Betsey, choć wszystko, co wiedziała o uczeniu muzyki, pochodziło z czasów, gdy słuchała w domu Dellaforde'ów gam w wykonaniu dzieci. Pani Elliot cmokała z dezaprobatą, kiedy pan Jones mówił, że nie ma zamiaru uczyć się czytania nut, i wierzy, że zdoła opanować pamięciowo jeden utwór, o ile ona zechce mu go odpowiednio dużo razy zademonstrować.

Betsey podejrzewała, że to nie takie proste. Stała niewidoczna na schodach, z kostiumem w rękach, i słuchała, jak gra, myli się, poprawia, gra, myli się, poprawia. Charlie Elliot rzucił jakąś drwinę. Któryś z gości ostrzegł, że się wyprowadzi. Pan Jones ze śmiechem poprosił o wybaczenie, a pani Elliot, też ze śmiechem, poprosiła, żeby bardziej się przykładał.

Nie do końca wierząc we własne szczęście, Betsey nruszyła na górę, do swojego pokoju.

Pokoju, który dzieliła tylko z Thieffem. Pokoju, w którym każdego ranka budziła się ze zdumieniem, co nie znaczyło, że nie jest świadoma, co się dzieje. Wiedziała, gdzie jest. Po prostu nie mogła w to uwierzyć.

Zapaliła lampę i otworzyła małe okienko w mansardzie. Od razu wpadły do środka rozmowy i lekcja muzyki z dołu. Przygotowała igłę i wysypała z koperty na łóżko siedemnaście guzików. Zgarnęła je i zaczęła przesiewać przez palce. Zupełnie jak skąpiec, który cieszy się swoim złotem. Albo jak jej

szwagier Richard z tymi swoimi puszkami pełnymi mąki czy czegoś tam. Przez chwilę go rozumiała.

Niewinna ekstrawagancja, te guziki. To tylko powleczone mosiądzem cyna, a i tak wykosztowała się ponad swoje możliwości. Ale kiedy je przyszyła do żakietu, przestała żałować.

Ostatnia przymiarka. Pochyliła małe lustro w gotowni i na przemian kucając i stając na palcach, usiłowała ocenić całość. Nie bardzo jej to wychodziło. Raczej czuła, niż widziała.

Podobała się sobie z tymi guzikami, w kostiumie z owczej wełny.

Tak, miał pan rację, panie Seiler. Żadna szarfa ani plakietka nie spełniłyby swojego zadania.

W tym uniformie mogła uwierzyć, że pełne optymizmu wieści, które posłała Caroline, to nie tylko pobożne życzenia. Mogła uwierzyć, że jutro sprawy pójdą tak, jak pójść powinny, że będzie mogła udowodnić panu Seilerowi, że jego obawy co do prób i niepowodzeń były bezpodstawne. Jutro, w tym stroju, po wszystkich tych przygotowaniach, zrobi na nim wrażenie. I na panu Jonesie też.

Szalonym, miłym panu Jonesie, który z jakiegoś powodu postanowił, że będzie jej sojusznikiem.

Chciałaby, żeby jutro pan Jones był zadowolony ze swojego wyboru.

Pociąg z wycieczkowiczami przyjechał punktualnie. Za to zamówiony przez nią szaraban – nie. Zirykowało ją to, ale trzymała tabliczkę ze znakiem Pollit & Co. wysoko, uśmiechała się i witała gości. Wyłaniali się kolejno ze stacji i gromadzili wokół niej. Wygłosiła kilka zdań na powitanie, rozdała ulotki z programem i orientacyjną mapką i zakończyła zapewnieniem, że szaraban wkrótce przyjedzie i tych, którzy zechcą poczekać, zabierze na Wzgórze Zamkowe.

Większość gości pomaszerowała aleją Busoli, ale około piętnastu osób miało zamiar skorzystać z szarabanu. Czekala z nimi i zabawiała ich rozmową, aż tematy zaczęły się wyczerpywać. Poprzedniego dnia myślała o panu Jonesie ciepło. Teraz zaczęły jej przychodzić do głowy dziwne pomysły. A wszystko dlatego, że to właśnie on polecił jej tego woźnicę jako kogoś najodpowiedniejszego, kogoś, kto powinien zawieźć gości na wzgórze.

Zegarek, który pożyczyła jej Sarah („Nigdy go nie używam” – zaklinała się), ciążył jej w kieszeni i z trudem powstrzymywała się, aby na niego co minutę nie spoglądać. Ale i tak widziała zegar na stacji, więc wiedziała dobrze, że wóz powinien być się zjawić przed dwudziestoma sześcioma minutami. I w końcu się zjawił.

Wycieczkowicze podążyli w stronę szarabanu, zanim się zatrzymał. Betsey pozwoliła im się wyprzedzić i wsiąść, licząc na to, że zanim odjadą, będzie mogła zamienić z woźnicą kilka słów na osobności. Wóz i konie wyglądały na świetnie utrzymane, uprzęż i koła były czyste, zielona farba lśniła, podobnie jak sześć rzędów ławek. Na boku czerwonymi i złotymi literami wypisano nazwę: The Sundial. Zegar słoneczny.

I wtedy zauważyła, że jej podopieczni odkryli coś jeszcze i że wyraźnie ich to rozbawiło: woźnica witał ich w przesadnych ukłonach, za każdym razem pochylając głowę aż do kolan.

Usłyszała, jak ktoś mówi:

– Na Boga, on jest zawiany!

Nagle konie ruszyły i szarpnęły. Jeden z wsiadających upadł, a wszystkie szczebioty i chichoty przerodziły się w zbiorowy okrzyk przestachu. Betsey pospieszyła ku leżącemu, ale ktoś, kto stał

najbliżej, już pomógł mu się podnieść. Wyglądało na to, że nic mu się nie stało.

Betsey odwróciła się energicznie i pomaszerowała w stronę woźnicy. Ten złapał za uprząż najbliższego konia.

– Panie Noonan!

Widziała, że jego rumiane policzki zbladły. Kuląc się pod jej spojrzeniem, obtarł usta rękawem płaszcza.

– Musiałem odrobinę, tego, no. Nic się nie stało.

Jej milczenie sprawiło, że skulił się jeszcze bardziej. Jego zaczerwienione oczy uciekły w bok i choć był to człowiek po czterdziestce, wyglądał teraz jak dziecko, które za chwilę się rozpłacze.

Betsey odwróciła się do wycieczkowiczów. Czekali na to, co powie.

– Panie i panowie, wygląda na to, że nie pojedziemy dzisiaj do ruin zamku. Jest mi bardzo przykro...

– Ale jak trzeba, to ja...

– Panie Noonan, proszę pilnować koni.

Mówiła dalej do wycieczkowiczów:

– Państwo byli tak łaskawi i czekali tak długo, wiem, że to zawód, ale muszę poprosić, aby wysiedli państwo z szarabanu.

Przypomniała, jakie rozrywki czekają na nich na Esplanadzie i że fotograf oferuje im specjalną zniżkę, jeśli zjawią się u niego przed południem. Odchodzili wśród narzekań, skarg i kpin. Wyglądało to żałośnie.

– Nie trza było odmawiać wycieczki po południu, psze pani. Do tej pory ja będę...

– Mniej pijany? Nie szkodzi. Nie musi pan przyjeżdżać po południu. Pańskie usługi nie będą w tym sezonie potrzebne, więc może się pan zalewać, ile pan chce. To już nie moje zmartwienie.

Miłego dnia.

– Ale przyjechałem dzisiaj. – Zdjął czapkę i zaczął gestykulować, wskazywać na wóz. – Tyle dni szykowania na dzisiaj. Malowałem wóz i w ogóle.

Nagle zrozumiała, o co mu chodzi.

– Pan oczekuje zapłaty! A za co? Za to przedstawienie? Myśli pan, że zrobił pan coś dobrego...

Coś kazało jej przestać. Jego wysunięta szczeka, jakieś zwiotczenie pod płaszczem. Skądś pojawiło się poczucie winy i poczuła się głupio i słabo, bo robiła to, czego od niej wymagano, coś, co było – na miłość boską! – bez cienia wątpliwości słuszne.

– Nic na to nie mogę poradzić, panie Noonan.

Wiedziała, że ma rację. A on się poddał, gdy do niego mówiła. Szybko odeszła, a potem natychmiast się zorientowała, że jeden z wycieczkowiczów na nią czeka.

Ale nie, to nie wycieczkowicz.

Avery Nash. Z bagażem.

Uśmiechnął się.

– Nareszcie pani menedżer dostrzegła moją obecność.

Betsey tylko patrzyła. Targały nią mieszane uczucia: cieszyła się, że widzi w tym obcym miejscu kogoś znajomego, i jednocześnie nie dowierzała i nie wiedziała, co o tym myśleć: *Czy on przyjechał za mną?*

Z uśmiechem wziął ją pod rękę i pocałował w policzek.

– Moja kochana Lizzie.

– Co, do diabła...

Avery, z całym swoim zamiłowaniem do teatru, który jest jak lustro odbijające rzeczywistość, snuł niebywale słodką opowieść. Zaczął od tego, jak to mu jej brakowało:

– Wiesz, że zawsze budziłaś mnie do pracy na czas. – Zmierzał do szczęśliwego zakończenia, którym miał być powrót do Londynu wraz z końcem lata: – Tu po sezonie wszystko się zamyka, będziesz mogła wrócić, a ja z pewnością skończę sztukę, a może i zacznę następną.

Miałaś rację, zdałem sobie sprawę... – Zrobił przerwę, wzniósł oczy ku niebu i wziął głęboki wdech: – Tutaj będę mógł dojść do siebie. Tu będę mógł pracować.

Pozostało jednak kilka zagadkowych szczegółów. Nie pracował już u Baumstona i Smythe'a – zresztą co dla niego mogło wyniknąć z urzędniczej posadki? – ale jak i z czyjej inicjatywy, to nie było jasne. Wyglądało na to, że powodem jego zwolnienia jest ona. Nie obudziła go na czas do pracy, bo – oczywiście – wyjechała. „A kiedy po jakimś czasie zjawiała się pani Bainwelter po czynsz, mnie nadal nie było” – zauważyła Betsey.

Avery zastanawiał się, co może zrobić z bagażem. Betsey nie miała żadnych propozycji.

– Avery, ja pracuję. I będę w pracy do późnego wieczoru. Może jutro będziemy mogli się zobaczyć, ale dziś nie można mi przeszkadzać.

Zawołał ją, poprosił, by była dla niego sprawiedliwa. Przejechał taki kawał, aby jej powiedzieć o swoich uczuciach.

Rzuciła przez ramię:

– I to właśnie robisz?

Oba poranne spotkania sprawiły, że była bardziej roztrzęsiona, niż dawała po sobie poznać.

Zamierzała towarzyszyć grupie na Wzgórzu Zamkowym, więc teraz, kiedy odwołała wycieczkę, miała trochę czasu. Mogłaby poświęcić Avery'emu pół godziny albo przynajmniej pokazać mu, gdzie jest zajazd. Ale to wszystko stało się zbyt nagle. Nie wiedziała, co z nim zrobić.

Ruszyła do hotelu. Mijała wczasowiczów podziwiających smukłe sosny i kępy zieleni wzdłuż alei Busoli, i nagle wpadła na pana Pollita, właściciela huty szkła. Poznał ją. On i jego żona już słyszeli o incydencie z szarabanem.

– Miałam na uwadze bezpieczeństwo wszystkich – wyjaśniła.

Przejęła od pana Seilera jego spokojny sposób bycia i to, że nigdy nie dawał nikomu odczuć, że przerwano mu coś niezwykle ważnego. Szła obok państwa Pollitów do Esplanady.

Zmieniła temat: mówiła o zwiedzaniu Swan Parku, które zorganizowała dla pana Pollita i jego dyrektorów po południu.

– Trudno mi sobie wyobrazić, że ktoś mógłby bardziej niż pan docenić kopułę z witrażowego szkła.

Znalazła dla nich krzesła w zacienionym miejscu obok estrady. Mogli stamtąd oglądać występ. Kiedy ich opuszczała, wydawali się zadowoleni, ale ona nadal przeżywała poranne niepowodzenie. Resztę przedpołudnia spędziła w pawilonie, w kuchni i w magazynach, upewniając się, czy wszystko jest przygotowane na wieczór taneczny. Po południu, kiedy weszła do biura, ku swej radości zobaczyła na biurku kilka listów. Kolejne rezerwacje – pomyślała z nadzieją.

Ale to były rachunki. Jednego się spodziewała – za ogłoszenie w tygodniku. Druga koperta była otwarta. Kwiaty.

Rozejrzała się po biurze. Inni już kończyli pracę. Większość już wyszła, ale Arland Hamble, księgowy, nadal siedział przy swoim biurku.

Podeszła do niego.

– Nie rozumiem, dlaczego to przyszło do mnie.

Rzucił okiem na rachunek.

– Pani. Rachunki. Proszę. Do. Pawilonu.

Nie tylko wymawiał każde słowo powoli, ale także osobno.

– Miałam zamiar wziąć stare bukiety z jadalni.

Zrobiło jej się słabo. Dopiero co wróciła z pawilonu, gdzie doglądała nakrywania stołów i wymieniała z pomocnikiem uwagi na temat tego, jak wszystko świeżo wygląda.

– Nie zamawiałam kwiatów. Tu jest data sprzed mojego przyjazdu.

– Ktoś. Zamówił. Proszę. Do. Pawilonu. – Znów akcentował każde słowo. – Pani. Rachunki.

Pomyślała, że najlepiej będzie, jeśli je przyjmie, bo ten pacan o twarzy jak księżyc w pełni traktuje z góry wszystkich, nie tylko ją, dlatego że jest tu nowa i że jest kobietą.

– Przekroczę przez to budżet! Trzeba coś z tym zrobić.

– Myślę, że mogę spytać pana Seilera...

– Nie.

Nie czas na porażki. Miała już na głowie Ethana Noonana i jego szaraban i chciała za wszelką cenę znaleźć inne wyjście.

Niestety, pacan z księżycową gębą był jej niezbędny, potrzebowała sojusznika.



Nigdy nie zostawiaj tekstu z wybitą niewłaściwą literą. Oceniaj krytycznie, poprawiaj, przepisuj, dopóki nie uzyskasz idealnego egzemplarza.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Tutaj, między wyrazami *emaciation* a *emanate*, powinno być jeszcze coś, coś jak *emaculate*.

Albo przynajmniej tak mu się wydawało.

Może kilka stron dalej? Em... m? Dwa m – to była jedna z możliwości.

– Na Boga, dlaczego po prostu mnie nie zapytasz? – Noel Dunning, niemal leżąc na krześle dla gości, wyciągnął nogę i kopnął w biurko Johna. – Zdajesz sobie sprawę, co to za tortura patrzeć, jak grzebiesz w tym słowniku?

– Już nic. Znalazłem.

John zanotował swój najlepszy, jak mu się wydawało, pomysł, aby uzgodnić go później z sekretarzem firmy. Biedaczysko, przyzwyczyił się do tego, Bóg mu świadkiem.

– A co do tortur, których doznajesz, gdy mnie widzisz przy pracy... – Spojrzał na Dunninga przez okulary, wzruszył ramionami i wrócił do listu.

– Całkiem nieźle – powiedział Dunning. – Ale to byłoby tylko dla twojego dobra. Pomyśl, ile czasu byś zaoszczędził. Może by się nawet okazało, że będziesz mógł skorzystać z przysługującego ci teoretycznie krótszego dnia pracy.

– A s k o r z y s t a ć oznacza partię golfa z tobą – powiedział John, gdyż wszystko wskazywało na to, że to właśnie jest główny cel wizyty Dunninga. Minęło ponad pół godziny, zanim zdołał mu powiedzieć, że nie może z nim pójść.

– Możemy też wziąć Scherzando, jeśli wolisz.

Jacht należący do sir Altona. Pióro Johna zawisło nad papierem. Dunning zauważył, że się waha, i

stał oparty biodrem o kant biurka. Podniósł muszlę służącą za przycisk do papieru i przystawił ją Johnowi do ucha.

– Jones, Scherzando. Wiatr na nią czeka.

– W niedzielę, co? Obiecałem Rolly’emu Bruesowi, że dziś wieczorem oprowadzę go po Drodze Sułtańskiej.

– Ach, to dlatego nie mogę cię skusić. Cóż za słabość masz do potentatów! Za dużo się naczytałeś Samuela Smilesa czy może ich córki wydają ci się tak pociągające?

Ale Johna najbardziej pociągało w ludziach takich jak Rolly Brues, to to, w jaki sposób doszli do majątku. A ponieważ nie słyszał dotąd żadnej historii, w której byłaby mowa o spędzaniu sobotniego popołudnia na polu golfowym albo na jachcie, nie przestawał pochyłać się nad pracą.

Dunning jakby nie zauważył, że jest ignorowany. *Taki na przykład Horace Gilbey. Chodzi ci o jego imperium dywanowe czy o ładną twarzyczkę jego córki?*

John uniósł głowę, ale Dunning wpatrywał się w muszlę. Trzymał ją wysoko i oglądał nieskazitelną linię jej spirali.

– To powinno być inspiracją dla wszystkich budowli wznoszonych w Idensea. A nie te oklepane neorenesansowe śmieci.

John lubił tę muszlę. Dostał ją od młodego Charliego Elliota, a poza tym przydawała się jako przycisk do papieru. Były jednak chwile, kiedy podnosił ją i podziwiał jako mały cud natury.

Ale inspiracja dla architektury? Prawdopodobnie Dunning miał na myśli coś konkretnego.

– Powinieneś się rano spotkać ze sztukatorem. Ze swoim ojcem i ze mną. On z pewnością doceni twoje artystyczne uwagi na temat projektowania.

– Z ojcem? Nie sądzę. Chociaż... – Dunning opuścił rękę i zamknął w niej muszlę. Naciskał kciukiem na ostry koniec. – On nie zawsze grał tak ostrożnie, wiesz? Pamiętam o wiele więcej, niż on chciałby pamiętać z czasów, zanim dostał sir przed nazwiskiem. Nie lubi, gdy mu o tym przypominam. A wczoraj wieczorem zastał mnie przy fortepianie i to też mu się wcale nie spodobało. Dlatego nie mam wielkiej ochoty chodzić za nim, gdy dogląda swoich projektów. – Odłożył muszlę i sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. – Pozwolisz?

– Tak. Ale nie przy moim biurku, dobrze?

Dunning wykonał nieokreślony ruch, machnął papierośnicą. Nadal opierał się o biurko.

Zaczął postukiwać niezapalonym papierosem o wieczko. John pogrążył się w pracy i o nim zapomniał. W końcu Dunning znów się odezwał:

– Słyszałem, że ostatnio uczysz się grać na fortepianie? Szykujesz się na wieczorek u panny Gilbey?

John chrząknął. To już druga uwaga na temat Lillian.

– Mógłbym ci pomóc, wiesz o tym.

– Zraniłem twoje uczucia, młody Noelu?

– Odchrząć się!

– Nie na moim biurku.

Dunning podszedł do kinkietu, żeby przypalić papierosa. O nim pierwszym pomyślał John jako o potencjalnym nauczycielu gry. Nie był za dobrze obeznany z wieloma aspektami życia, ale do muzyki miał talent. Ale kiedy przy herbacie Lillian zaprosiła go na przyjęcie, od razu zmienił strategię. Zbyt wiele atutów w rękach jednego konkurenta.

Trudno ocenić, czy Noel Dunning miał zamiar być konkurentem, czy to tylko Lillian chciała wzbudzić w Johnie zazdrość. Ale kulturalny i wykształcony syn pierwszego baroneta był konkurencją dla Iefana Rhys-Jonesa.

Rozległo się pukanie do drzwi. Papiery, które normalnie leżałyby przyciśnięte muszlą – gdyby Dunning odłożył ją na miejsce – uniosły się w powietrze, porwane przez przeciąg. John złapał tyle, ile zdołał, witając jednocześnie Tobiasa Seilera. Ten przyszedł mu zakomunikować, że Rolly Brues chce, żeby wziął udział w kolacji, którą wydaje wieczorem w hotelowej sali jadalnej.

– Rolly Brues – powiedział Dunning, nie wstając z podłogi. Siedział w kucki i zbierał papiery. – Dziwne imię jak na milionera.

– Ci cholerni Amerykanie – zgodził się John z ironią. – Każdy Amerykanin, który potrafi robić pieniądze, robi je.

Więcej niż jeden tom „The Building News” i „The Engineer” stojących w bibliotece obok biurka poświęcony był dokonaniom Bruesa w Stanach. Poprosił, żeby John pokazał mu Idensea. Już samo to było zaszczytem. Zaproszenie do wspólnego posiłku i na spotkanie z najmożniejszymi gośćmi hotelu było czymś znacznie więcej.

Kiedy zdejmował okulary, dostrzegł na twarzy Tobiasa zadowolenie. Najpewniej zaproszenie to było skutkiem jakichś jego zabiegów, czynionych na tyle sprytnie, że Brues uważał, że to jego własny pomysł.

– Marta mówi, że powinienem ci kazać wysłać jej przynajmniej dwa z twoich krawatów do uprania – powiedział Tobias. – Brues ma dwie córki na wydaniu.

Państwo Seiler – bardzo zainteresowani jak najszybszym i udanym ożenkiem Johna – informowali go, o czym trzeba, ale o córkach ledwie wspomnieli, bo od wizyty Lillian bez przerwy mówili tylko o niej. Dwa krawaty. John chciał powiedzieć Tobiasowi, żeby przypomnieli żonie, że on, John, ma tylko jedną szyję, ale zanim to powiedział, podniesione głosy wywołały Tobiasa na korytarz. John wstał, aby nie pozostać w tyle za Dunningiem. On też się ruszył, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Wielki Boże – wyszeptał John.

– I owszem – odparł Dunning.

Przeszył go dreszcz. Działo się źle. Betsey Dobson stała obok jednego z księgowych, z zaciśniętymi ustami i brwiami ściągniętymi bardziej diabolicznie niż zazwyczaj. To mogło oznaczać tylko kłopoty. Coś

je zapowiadało, jak kurtyna w teatrze, która właśnie się unosi.

Główną postacią w tej scenie była panna Dobson. Biodra, kibić. Piersi, które aż się prosiły, żeby im się dokładniej przyjrzeć. I skąd ta szyja wyrasta?

– Nic nie robi, tylko siedzi mi nad głową i mówi, jak mam pracować – powiedział księgowy do Tobiasa.

Księgowy nazywał się Arland Hamble. Od niedawna żonaty. Kiedy John sobie o tym przypomniał, od razu poczuł sympatię do pani Hamble i do wszelkiego przyszłego potomstwa Hamble'ów, a także do przyszyłych małżonków tego potomstwa.

– Panie Seiler, ja nie zamierzam się wtrącać – powiedziała panna Dobson. – Ja tylko chciałam...

Zawahała się, wciągnęła dolną wargę. Spojrzała w głąb biura Johna, najwyraźniej zakłopotana. Nie wiedziała, że on i Dunning są świadkami tej sceny. Mimo to w jej spojrzeniu nadal było coś władczego, coś, co kazało Dunningowi natychmiast wyjąć z ust papierosa.

– Proszę wybaczyć – wymruczał syn baroneta do maszynistki.

Wysunęła dolną wargę – oznaka zaniepokojenia.

– Liczyłam, że mi pomoże przy regulowaniu płatności. Więc miało być...

Znów spojrzała w głąb biura i w jej oczach pojawiło się jakieś rozmarzenie. Brązowych oczach. Zauważył to już. Ale one były całkiem brązowe, czy nie tak? Brązowy dobrze wygląda z niebieskim, naprawdę wspaniale, z takim niebieskim, jaki Betsey Dobson miała akurat na sobie, takim samym niebieskim, jaki mieli na dywanach, tapetach i w szklanej kopule Swan Park.

– Ale zanim do pana przyszliśmy, znaleźliśmy rozwiązanie – zakończyła.

Rozwiązanie. Szuka się go tylko wtedy, gdy pojawia się problem.

– Rozumiem – powiedział Seiler. Mówił łagodnie i stanowczo, jakby chciał wszystkich przekonać, że naprawdę rozumie, nawet jeśli nie zapoznał się ze sprawą. Wyjął kieszonkowy zegarek i przerwał Hamble'owi: ma bez protestów zostać po godzinach. Doceniwszy tę ofiarność – co za szkoda! – stwierdził, że panna Dobson i on zdołają załatwić sprawę rachunków w ciągu kilku minut, bo tak się złożyło, że ma akurat kilka wolnych chwil.

– Wystarczy, wystarczy! – powtarzał, gdy Hamble usiłował coś jeszcze powiedzieć, a w jego głosie słychać było i ton przełożonego, i jednocześnie gościa, który się wymawia od nadmiaru uprzejmości.

John chciał się uśmiechnąć, kiedy tego słuchał, ale twarz Tobiasa przybrała poważny wyraz.

Hamble się oddalił, a on i panna Dobson ruszyli do biur, mieszczących się dalej w tym samym korytarzu. John potarł kciukiem o palec wskazujący. Poczł świeży zapach tytoniu – to Dunning zaciągnął się papierosem.

– Jones, kim jest... – spytał Dunning, wypuszczając strugę dymu – kim jest ta twoja pani generał?

Panna Dobson. Zaczął kopać w papierach na biurku. Po tym, jak Tobias otworzył drzwi, leżały w nieładzie. Przejrzał stertę dwa razy, zanim się zorientował, że Dunning stoi z wyciągniętą ręką i podaje mu kolejne, zebrane z podłogi.

Jest. Zobaczył ten list, zanim wziął go z rąk Dunninga. List od jakiegoś urzędnika z firmy Baumston & Smythe, z dość dziwacznymi zarzutami pod adresem niejakiej panny Elizabeth Dobson. Napaść? Powiedział to tonem pełnym powątpiewania do sekretarza, który przyniósł mu ten list i który teraz odparł, że jemu również trudno w to uwierzyć.

No cóż, teraz John pomyślał, że jednak mógłby uwierzyć. Na Boga, widząc stworzenie, które sunęło korytarzem za Hamble'em, mógł uwierzyć bezgranicznie.

Poszedł do biura z listem w kieszeni żakietu. Miał nadzieję, że uda mu się wejść po cichu, ale zapomniał o biurku panny Dobson. Ustawiono je tydzień wcześniej tak, że drzwi musiały w nie uderzyć. Inni pracownicy poszli już do domu, więc uderzenie zabrzmiało jak wystrzał. Tobias i panna Dobson stali przy biurku Hamble'a. Podnieśli głowy znad rejestru, który badali.

Pani generał. Nagle dostrzegł trafność tego określenia. Taka właśnie była Betsey Dobson w swoim uniformie, tym, który Tobias kazał jej zamówić.

Leżał dobrze. Leżał tak dobrze, że wcześniej ledwo zwrócił na ten strój uwagę. To był strój kobiecy, a nie wojskowy, z otwartym żakiem odsłaniającym coś w rodzaju kamizelki, z wysokim, lamowanym, stojącym kołnierzykiem. A z niego wynurzała się mlecznobiała szyja. Rząd guzików spływał w dół, pokonując wzniesienie piersi, i dochodził tam, gdzie w innych strojach zaczynały się falbany i zmarszczki spódnicy. Tutaj były jedynie paski ciemnej tasiemki i ostre jak brzytwa plisy.

Strój pozbawiony ozdóbek, prosty i odpowiedni. A przy tym w przyzwoity sposób skupiał uwagę na jego właścicielce.

Tobias mówił coś do panny Dobson o jej budzecie, o czymś, co było w nim niepoprawne, i powtórzył to Johnowi, który, chociaż chciał uwolnić pannę Dobson od kolejnych zawirowań, poświęcał tej przemowie niezbyt wiele uwagi.

– Ja zrozumiałem, że ona... – Zreflektował się. Niezbyt uprzejmie było mówić o panie Dobson w trzeciej osobie w jej obecności. – Ja zrozumiałem, że pani ukończyła kurs księgowości w tym swoim instytucie.

Prawie go zabolalo, kiedy zmrużyła oczy. Jakby próbowała sprawdzić, czy chce jej pomóc, czy zaszkodzić.

– Kurs był... no cóż... mowa była głównie o rachunkach domowych – powiedziała. – Nauczyciel chyba nie umiał sobie wyobrazić, że będziemy rachować cokolwiek innego niż zawartość spiżarni w skromnym gospodarstwie domowym.

Tobias pochylił głowę.

– *Viele köche*, to jest przyczyna tej kłopotliwej sytuacji, a nie pani szkolenia, panno Dobson. Gdzie kucharek sześć... zgadza się pani?

Wyglądała, jakby się zgadzała. Tobias dodał łagodnie:

– Błąd poprawiony nie jest błędem. Zobaczmy, co da się zrobić.

John stał z boku, a panna Dobson i Tobias wrócili do rejestru. Stali przy biurku Hamble'a i przyjrzał się jej dokładniej niż kiedykolwiek od czasu, gdy uwolnił ją z biura zawiadowcy. Z trudem mógł sobie wyobrazić, jak napada na zwierzchnika. Stała obok Tobiasa i wyglądała na kogoś tak skoncentrowanego i czujnego jak dowódca zapoznający się ze strategią bitwy. Na jej biurku, po prawej stronie, dostrzegł dwa koszyki. W jednym był tuzin tanich fajek, każda z przywiązaną do niej – oczywiście niebieską wstążką – paczuszką tytoniu. W drugim malowane ramki do zdjęć z grubo uformowanego papieru. Upominki dla wycieczkowiczów, pomyślał, i wziął ramkę, aby ją obejrzeć. Zapewne wyroby jakiegoś miejscowego rzemieślnika, tania ozdóbka, ale na tyle ładna, że mógł sobie wyobrazić, że kobiety, na przykład jego siostry, chętnie ustawią coś takiego w swoich domach.

Odłożył ramkę do koszyka i przyjrzał się pozostałym przedmiotom leżącym na biurku.

Chwilę to trwało. Podstawka z gotowymi do użycia piórami. Kałamarz. Uniósł pokrywkę i zauważył, że porcelanowy brzeg zbiorniczka jest czysty jak czekająca na kredensie filiżanka.

Podniósł coś innego – notes. Ach, przyciągnął jej uwagę. Machnął notesem, gdy zauważył, że na niego patrzy. Jedno skinienie głowy, a odłoży go na miejsce. Ale ona znowu patrzyła w dół, więc nałożył okulary i otworzył notes.

Listy. Przypomnienia. Nazwiska i daty. Miał już okazję zwrócić uwagę na ten ciasny, wyraźny dukt jej pisma, wtedy gdy spotkał ją u Baumstona i Smythe'a. Teraz, kiedy zobaczył go znów, zrozumiał, że między innym dlatego zaproponował jej tę pracę.

Tobias wspomniał, że zdążyła już zrobić kilka nowych rezerwacji. Inne listy włożono w drugą część notesu.

– Tobias – wtrącił, prostując się nad biurkiem – widziałeś, co dostała ze stowarzyszenia browarników?

Podał notes Tobiasowi, ale zanim ten zdążył do niego zajrzeć, panna Dobson powiedziała:

– Panie Seiler, powiedział mi pan, że mogę próbować podnosić opłaty w pełni sezonu – i to właśnie robiłam. Może to trochę za wcześnie, ale jeśli są skłonni zapłacić? Wszystkie rozrywki będą dostępne, a kolejka ma już być gotowa.

Rzuciła Johnowi oskarżycielskie spojrzenie, jakby jego nieobecność na placu budowy miała uniemożliwić uruchomienie kolejki w terminie.

Nie mogła wprawdzie mieć pojęcia o stanie prac, ale to, że wyraziła wątpliwość, zirytowało go.

– Zostanie uruchomiona, Dobs – powiedział Tobias. – Panno Dobson, nie może pani myśleć, że pan Jones albo ja jesteśmy niezadowoleni z tego, że pani zadbała o wyższe zyski. Przyznaję, miałem zastrzeżenia co do tego, ile możemy wyciągnąć z pierwszego sezonu, działając według tego schematu, ale pani udowodniła, że się myliłem. – Zamknął notes i rejestr i wręczył jej jedno i drugie. – Proszę kontynuować.

Jeśli nawet odczuła ulgę albo dumę po tym, co powiedział, nie okazała tego. Skinęła głową i podziękowała, a Tobias odwzajemnił się tym samym. Gdy wyszedł, przycisnęła obie książki do piersi jak

skarcona pensjonarka.

Dlaczego tu za nią szedłem? – zastanawiał się John, bo był pewny, że jakiś powód miał. Powoli zdjął okulary. Próbował sobie przypomnieć.

– Był dla mnie taki uprzejmy – powiedziała w końcu. – Nie powiedział mu pan o kłopotach ze mną – to jasne.

O jakich kłopotach? Że nie miała listu? Ani biletu? Że próbowała uciec z aresztu? Albo o tym – dotknął kieszeni, przypominając sobie, dlaczego przyszedł – kierownikowi, którego ponoć zaatakowała?

– Dobs, Tobias ma do mnie zaufanie – powiedział. – Dlatego musiałem mu o tym wszystkim powiedzieć zaraz pierwszego dnia, ale on chciał tylko, żebyś dobrze pracowała.

– Wiem. Ten hotel to dla niego wszystko, widzę to.

Nie o to chodziło, ale nic nie odrzekł. W kolejce czekała ważniejsza sprawa.

– A teraz powiedz mi, kto to jest Joseph Wofford.



Uważaj, żeby znaki interpunkcyjne wystukiwać bardzo lekko.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Wofford. Betsey byłaby gotowa stawić czoło całemu biurze wypełnionemu Arlandami Hamble'ami, gdyby to miało ją uchronić przed ponownym usłyszeniem o tym człowieku.

– Zapewne pan wie, skoro zna pan to nazwisko – odparła. – Czy to znaczy, że w końcu przysłał moje świadectwo?

– To, co zrobił, ma z tym coś wspólnego.

Coś, co postawiło jego, Johna, w położeniu, z którego nie widział wyjścia. Czowała, że jej nowe życie, tu, w Idensea, jest jak grudka ziemi trzymana w dwóch palcach i że wystarczy palce rozsunąć, a zamieni się w pył. Nie wiedziała, co powiedzieć panu Jonesowi, aby zechciał tę grudkę utrzymać.

Zniosła obie księgi na biurko i z zadowoleniem słuchała stukotu swoich obcasów, szelestu spódnicy, które rozbijały nieznośną ciszę.

– Widzę, że Prevett skończył pani suknię.

– To nie jest suknia – powiedziała i ugryzła się w język. Co za głupota go poprawiać.

Złapała uchwyt jedynej szuflady biurka i szarpnęła. To był najlepszy sposób na otwarcie jej w tym wilgotnym powietrzu. – Zabrałam to od nich i sama skończyłam, aby oszczędzić trochę grosza.

Nieźle wyszło, prawda?

Spojrzała na niego przez ramię, w chwili gdy wkładała księgi do szuflady. Spodziewała się, że

uchwyci jego taksujące spojrzenie. Zamiast tego...

Zamiast.

Odwróciła wzrok, aby ukryć coraz szerszy uśmiech. Pan Jones nie musiał mówić, o czym myśli. Wiedziała. Jej też się to spodobało. Spodobało jej się to, o czym myślał. W tej samej chwili, rozczarowana równie mocno jak zadowolona, pomyślała: Czy o to mu chodzi? I wiedziała, że może to wykorzystać. Pan Jones nie miał już teraz takiej władzy. Jak elektryczne lampy na molo mogła jak za naciśnięciem guzika jaśnieć i promieniować ciepłem. Mogła kusić, na tyle tylko, żeby pan Jones odczuwał przyjemność, przyjemność z oferowania jej drugiej czy którejś tam kolejnej szansy.

Co za szczęście, że jest ta uparta szuflada. Zamykanie jej zajęło dodatkową chwilę. Całe biurko aż się trzęsło od szarpnięć.

Dopiero wtedy odwróciła się do niego, z uśmiechem, ale ten uśmiech był znacznie mniej spontaniczny niż poprzedni.

Ale on go nie zobaczył. Był zajęty wyciąganiem z kieszeni różnych rzeczy – chusteczka! okulary! Potem zabrał się do wycierania szkieł, a tak bardzo był przy tym zdenerwowany, że poczuła się winna.

Schował okulary. Nawet ich nie założył. Poczuła, że głupi dziewczęcy zachwyt zamyka się w niej jak ręce składane na zakończenie pacierza.

Odwróciła się z powrotem do biurka i uporządkowała ramki w koszyku. Pan Jones nie zostawił tam wielkiego nieporządku, ale wydało jej się, że najrozsądniej będzie, jeśli właśnie teraz poświęci im całą uwagę.

– Powinnam była zrobić lepszy interes – powiedziała o pamiątkach dla turystów. – Albo dać sobie z nimi spokój. To mi nie pomoże zamknąć budżetu.

– To miły akcent. Sądzę, że Tobiasowi się to spodobało. Podszedł do jej biurka i wziął do ręki jedną z fajek z tytoniem. – Może zrezygnować z tytoniu? Następnym razem dla pań pachnące bukieciki. Będzie taniej.

Następnym razem. A więc nie ma mowy o zwolnieniu. Starając się ukryć głęboką ulgę, pochyliła się ku niemu, aby wziąć jedną z fajkowo-tytoniowych paczuszek, tę z krzywo zawiązaną wstążką.

– Albo mydełko – dodał nagle. – Hotel ma własne, miejscowego wyrobu. Zawinięte w niebieski papier, z widoczkiem hotelu na etykiecie. One... one pachną lawendą.

Betsey знаła te mydła. Żona pana Seilera, która nadzorowała pracowników hotelu, dała jej kilka. Poprzedniego wieczoru zużyła jedno. Umyła nim włosy. Ale pomysł z dawaniem takiego upominku jej się nie spodobał, tak samo jak ten z bukiecikami. Skąd mu się to wzięło, że myśli o kwiatkach jako o czymś bardziej opłacalnym? A poza tym ludzie przyjeżdżający nad morze robią sobie zdjęcia. Ramki są idealne, jeśli tylko będzie mogła je kupować nieco taniej. Odwiązała niebieską wstążkę i powiedziała:

– Może i tak...

Znowu zapadła cisza. Jak z nim rozmawiać? Pan Jones zawsze przekraczał dystans, ale teraz milczał, a ona z walącym sercem mogła co najwyżej poprawić kolejną kokardkę i czuć jego wzrok na sobie. Czy on chce, żeby mu powiedziała coś więcej o panu Woffordzie? A może to spojrzenie jest takie ciężkie, bo chodzi o coś innego?

– Panno Dobson – zaczął.

– Tak? – odpowiedziała. Szybko, bardzo szybko, bez reszty skupiona na niebieskich wstążkach w koszyku.

– Mam coś do zrobienia – rzucił tylko.

Kątem oka widziała, jak wychodzi.

Kilka sekund później, już na korytarzu, powiedział głosem, który zapewne miał być szeptem:

– Niech to diabli.

I wtedy drzwi znowu uderzyły o jej biurko. Oboje się wzdrygnęli. Pan Jones przeprosił, a ona skłamała, że już się przyzwyczaiła.

– Miałem zapytać... – zaczął znów. – Chodzi o Ethana Noonana. Widziałem go dziś w mieście. Powinna mu pani coś zapłacić.

Betsey patrzyła na niego zdumiona. Niepewność nagle zniknęła.

– Panie Jones, skoro pan go widział, to wie pan, dlaczego nie dostanie ode mnie ani pensa.

– No cóż. – Włożył ręce do kieszeni i przybrał pozę, która mogła się wydawać zupełnie obojętna, ale przeczyło temu jego przenikliwe spojrzenie. – No cóż. Przykro mi, że miała pani kłopoty. Powinienem być panią ostrzec. Ale myślę, że zapłaci pani Ethanowi Noonanowi za jego kłopot.

– Ostrzec mnie? – Poranne zdenerwowanie wróciło. – Dlaczego mówi pan o ostrzeganiu mnie przed tak spokojnym człowiekiem jak pan Noonan? Czekałam tam do wpół do dziesiątej, obiecując gościom, że pojedą, potem pozwoliłam im wsiąść tylko po to, żeby chwilę później kazać im wsiąść. Pan zresztą o tym wie!

Przerwała. A właściwie błysk w jego oku kazał jej przerwać, ostrzegł ją, że powinna się podporządkować. Wydał jej przeciw polecenie. Wprawdzie w jego głosie dźwięczał słodki walijski akcent, a on sam stał z rękami w kieszeni, zupełnie jakby byli starymi dobrymi kumplami, ale to, co powiedział, to było polecenie. Miał oczywiście do tego wszelkie prawo. I jedyną właściwą odpowiedzią było w tym przypadku:

– Tak, proszę pana.

Zacisnęła zęby.

– Więc kiedy prześle mu pani pieniądze – ciągnął, a jedyna zmiana w jego głosie polegała na tym, że przeszedł na poprawną angielszczyznę, którą zresztą na ogół się posługiwał – proszę mu też napisać

karteczkę, żeby podstawił szaraban pod hotel w następną sobotę, wcześniej, przed pociągiem. A jeśli nie będzie w formie, to proszę posadzić na koźle któregoś ze stajennych, a panu Noonanowi zapłacić za to, że korzystamy z jego wozu.

– Dlaczego? – spytała, a „tak, proszę pana” jakoś się rozpuściło, jak cukier na języku. – On nie mnie upokorzył, on reprezentował firmę. Dlaczego więc mam...

– Dlatego, że Ethan Noonan... – zaczął John i przerwał. – Dlatego, że ja tak mówię i tak samo powiedziałby pan Seiler, gdyby wiedział. I niech to wystarczy za wyjaśnienie.

A czy to nie było wyjaśnienie? Żadna prosta prawda, nad którą nie ma co dalej dyskutować. Jakie to krzepiące mieć przed sobą mężczyznę, który mówi o tym otwarciu i nie gada, tak jak gadał Wofford, nie udaje, że jest sprawiedliwy i że myśli. To tylko i wyłącznie autorytet zwierzchnika – i dlatego miałyby być zaskoczona tym, że go wykorzystał? A mimo to mogłaby zachwiać jego pozycją, wiedziała o tym, sam jej to pokazał. Spojrzała na niego.

– Rozumiem – powiedziała słodko. – Panie Jones, ma pan... całkowitą rację.

Uśmiech zamkniętych ust, powolne mrugnięcie okiem. Oznaka należnego podporządkowania się albo nieśmiałego zaproszenia. Była ciekawa, jak on to odczyta. To taki test dla niego. Gra. Jeśli zobaczy zaproszenie, to nie będzie mogła przytrzasnąć mu palców drzwiami.

Nawet by nie próbowała, sama przed sobą to przyznała, mimo że z nich dwojga tylko ona mogłaby przegrać tę grę.

Wyczuła, że nabiera rezerwy, choć nie dał nic po sobie poznać. Ale musiał jej być wdzięczny za to, że współpracuje. Był umówiony na spotkanie. Tak powiedział. I wyszedł. A ona wiedziała, że miała szczęście.

Postanowił nie podejmować gry.

Nie wyobrażał sobie nawet, na co się zanosilo, gdy tak stał i dyskutował o ramkach i tytoniu. Lawendowe mydełko, dobry Boże. Miał dopilnować spóźnionej o kilka tygodni budowy i wizyty amerykańskiego milionera z dwiema córkami na wydaniu.

Betsey Dobson. Ona jest szalona. Prowokuje go, żeby ją zwolnił, a chwilę później...

Do czego właściwie ten jej uśmiech miał go zachęcić?

Nie zastanawiał się jednak nad tym, bo umysł miał zaprzątnięty Drogą Sułtańską, kolejką górską, która miała być otwarta za nieco ponad tydzień, a którą teraz zamierzał zaprezentować Rolly'emu Bruesowi. Odczuwał dumę. Był jedynym człowiekiem, który przedstawił ten pomysł zarządowi, jedynym, który przekonywał sir Altona, i teraz czuł się zaszczycony, że może pokazać to dzieło Bruesowi, właścicielowi największej kompanii tramwajowej w Ameryce. Ale wyskoki panny Dobson uwierały go jak źle dopasowane ubranie.

Udało mu się zebrać myśli, gdy z Bruesem oglądali kolejkę. Brues opowiadał mu o Kalifornii i o swoich inwestycjach na wybrzeżu, ale gdy wrócili do hotelu i zastali panią Brues z córkami przy herbacie, w cieniu dębu, John przywitał się z nimi dość pospiesznie, bo coś akurat rozproszyło jego

uwagę. Plama ciemnego błękitu na tle trawnika.

Oto panna Dobson maszerowała przez ogród w stronę pawilonu, w którym jej wycieczkowicze mieli się zgrupować na kolację i wieczorne tańce. Nie była sama. Niosła koszyk z fajkami i ramkami, a jakiś facet za wszelką cenę starał się opóźnić jej marsz. Szedł za nią krok w krok, a czasami wręcz próbował zatrzymać. Z pewnością nikt z pracowników. Któryś z wycieczkowiczów? Miał ten charakterystyczny odświętny wygląd, któremu jednak sporo brakuje do zamierzonej elegancji. Żeby zatrzeć ślady przynależności do klasy pracującej, potrzeba nie tylko mydła, ale przede wszystkim pieniędzy, choć nawet wtedy pozostają pewne sekrety, których ani temu mężczyźnie, ani nawet jemu nie udało się zgłębić.

Pani Brues nalegała, żeby zasiadł z nimi do stołu, więc przyjął zaproszenie. Gdy siadał, zauważył, że panna Dobson się zatrzymuje. Ona i ten mężczyzna trzymali koszyk zupełnie tak, jakby zamierzali przeciągać linę.

Zerwał się. Ten facet tam nie pasował. Nie pasował ani do panny Dobson, ani do hotelu.

– Proszę wybaczyć – rzucił i pomaszerował w stronę nowej menedżer.

Ale było już po wszystkim. Panna Dobson podążała w swoją stronę z koszykiem, a mężczyzna zawrócił, potknął się i padł na trawnik. Podniósł się szybko i poszedł w przeciwnym kierunku. Panna Dobson, nie oglądając się za siebie, zmierzała w stronę pawilonu.

John był przekonany, że ten człowiek miał okazję poznać jej jadłowity język, i dałby wiele za to, żeby stać bliżej i samemu móc co nieco usłyszeć. Wewnętrzny głos, któremu ufał, kazał mu za nią iść. Ale czekał na niego milioner. I jego dwie córki. Na wydaniu. I przyjemnie zastawiony herbaciany stolik. Usiadł. W ramionach czuł nieprzyjemne drętwienie.

Może to przez to uczucie zaraz po herbacie stanął z młodymi Amerykankami do ostrej rozgrywki: zagrali w krokieta. Młodsza, jak się dowiedział, szesnastoletnia, a więc nie na wydaniu, tylko śmiała się z jego zawziętości i przetaczała kule tak, że mógł to jedynie podziwiać. Ale gdy uderzona przez niego kula jej starszej siostry po raz drugi potoczyła się aż pod kort tenisowy, omal nie wybuchnęła płaczem, a on był zły na samego siebie. Zamienił się z nią kolorami kul i powiedział, że robi mu przyjemność, jeśli przejmie następne dwie kolejki. I wymienił jej czerwony młotek na swój niebieski. A potem pokłusował zobaczyć, dokąd potoczyła się kula, i znalazł ją pod krzewem azalii. A gdy sięgał, żeby ją stamtąd wydobyć, użądliła go pszczoła. I na tym popołudniowe rozrywki się zakończyły. Zaproszenie na kolację zostanie odwołane – John nabrał co do tego pewności już wtedy, gdy odprowadzał obie młode damy do rodziców. Młodsza miała rozwichrzone włosy i sukienkę pobrudzoną trawą, starsza szła w milczeniu, z naburmuszoną miną, bo zmuszono ją do przerwania gry akurat wtedy, gdy zaczynała wygrywać. Ale Rolly Brues rzucił tylko:

– Rozchmurz się.

A pani Brues spokojnie poleciła młodszej pójść z pokojówką do pokoju i się przebrać.

– Znowu? – Pannica i pokojówka zgodnie wyraziły zdumienie.

A jednak kilka godzin później John siedział w jednej z prywatnych sal restauracyjnych, przy wspólnym posiłku z kilkoma najznaczniejszymi gośćmi hotelu oraz z sir Altonem Dunningiem, który

właśnie wrócił z przejażdżki. Sir Alton posłał mu cierpki uśmiech, który miał ukryć zaskoczenie, że go widzi w tym miejscu. Związki Johna z firmą zarządzającą moło i z hotelem dawały mu już okazje do uczestniczenia w takich spotkaniach, ale teraz, gdy jego kontrakt w Idensea się kończył, znaczyło to więcej niż kiedykolwiek przedtem. Zwykła rozmowa z odpowiednią osobą mogła oznaczać ofertę zatrudnienia.

Dyskomfort gdzieś uleciał. Mimo to John nie był bardzo zaskoczony, gdy jeden z pracowników szepnął mu na ucho:

– Panie Jones, pan Seiler prosi, żeby pan przyszedł. Jest kłopot z wycieczkowiczami w pawilonie.



Naciskanie klawiszy zamazuje tekst. Należy w nie uderzać z góry, lekko, sprężysto, wystarczająco mocno, żeby czcionka się odbijała, ale nie za mocno.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Kiedy szli przez wielki hol i palmiarnię, John, wzorem Tobiasa Seilersa, zachowywał spokój. Ale gdy znaleźli się na tylnym tarasie, pełnym gorączkowo rozprawiających gości wpatrujących się w elektryczną poświatę bijącą z pawilonu, puścił się biegiem. Na szczęście odległość między budynkami była zbyt duża, aby mogli zobaczyć coś więcej. Kilku najbardziej ciekawskich ruszyło ścieżką pod górę, w stronę pawilonu, ale John pospieszył naprzód w nadziei, że Tobias taktownie zechce ich zawrócić do hotelu.

W pawilonie panował nieopisany harmider. Muzykę zagłuszały krzyki. Ludzie, zbici w grupki, nie do końca rozumieli, czy mają do czynienia z awanturą, czy z zaplanowaną atrakcją.

John rozpoznawał gości hotelowych oraz miejscowych i wiedział, że ludzi jest o wiele więcej, niż być powinno.

Zerknął przez ramię, żeby się upewnić, że Ian i Frederick, dwaj najbardziej krzepcy pracownicy, którzy wybiegli za nim z hotelu, nadal są u jego boku, i dał nura w tłum. Teraz słyszał, jak ponad ogólny gwar wybija się jeden głos:

– Avery Nash, ty cholerny głupcze! – krzyczała panna Dobson. I nie wydawała się zmieszana.

I wtedy w tym rozgardiaszu dostrzegł faceta, chyba tego samego, który kręcił się koło niej po południu. Nie zaprzętał sobie głowy wypytywaniem jej ani nawet sprawdzaniem, czy Ian i Frederick nadal są przy nim. Rozgarnął tłum i zobaczył mężczyzn kotłujących się na podłodze.

Złapał za kołnierz tego, który akurat był na wierzchu, i zaczął go odciągać.

Mało brakowało, a upadłby pod jego ciężarem, gdy ten spróbował się uwolnić. Wyprostował się nagle, zamachnął i uderzył Johna łokciem w twarz. John go puścił, ale gdy tamten stracił równowagę, znów go złapał. Mężczyzna spróbował zadać kolejny cios. John usłyszał przeraźliwy krzyk. Towarzyszyły mu okrzyki z tłumu, a gdy rzucił w tamtą stronę okiem, zobaczył pannę Dobson z twarzą we krwi.

Odwrócił mężczyznę do siebie i wymierzył mu silny cios w żołądek, a drugi w i tak już zakrwawioną twarz. Ten drugi cios powalił go na podłogę. John osunął się razem z nim. Oparł

kolano o jego pierś i zebrał poły jego płaszcza. Facet ciężko dyszał, a każdy wydech kończył się głębokim kaszlnięciem. Teraz John był pewien – to był człowiek, którego widział po południu.

– Dość tego. – Aby się upewnić, że facet zrozumiał, powtórzył: – Dość. Nie jesteś stąd i nie masz prawa tu być.

Frederick zajął się drugim z walczących. Odciągnął go na bok. Niewątpliwie musiało dojść do grubej awantury – John zauważył kilku innych mężczyzn, którzy stali wokół, potargani i ciężko dyszący, trzymani przez tych, którym udało się ich poskromić. Panna Dobson kucnęła obok niego i powiedziała:

– Panie Jones, John. John, nie jest z nim dobrze.

Gdy zobaczył czerwień na jej ustach, znów szarpnął jeńca za kłapy i cisnął nim o ceglana podłogę pawilonu.

– Panie Jones! – powtórzyła.

Mężczyzna uderzył ją znowu, tym razem niechcący, ale John jakoś nie potrafił wziąć tego pod uwagę.

– Wezwać konstabla. Zająć się panną Dobson.

Nie zwracał się do nikogo konkretnego, ale stojący ludzie zaczęli coś robić. Panna Dobson wstała i usłyszał, jak wydaje komuś polecenie:

– Niech muzycy grają galop.

Po chwili znowu się odezwała, tym razem do niego:

– Czy konstabl jest potrzebny?

Patrzył na nią. Dotknęła palcem krwawiącej wargi i odgadła jego ponure myśli.

– Nie jest z nim najlepiej. Ale konstabl na terenie hotelu? To nie będzie dobrze wyglądało”.

Leżący na ziemi jeńiec Johna – panna Dobson nazwała go Averym Nashem – przestał kasłać i wyjęczał:

– Lizzie.

– Zamknij się – wysyczała. – Wszystko to twoja robota.

Orkiestra odegrała gromki tusz. Panna Dobson przeciągnęła dłonią po ustach, wstała i dołączyła do tłumu ruszającego do zabawy. John chwilę się wahał, był skonsternowany. A potem postawił Nasha na nogi. Mężczyzna wyglądał fatalnie. John poczuł się trochę niepewnie. Nie wiedział, na ile sam się do tego przyczynił. Nash uśmiechnął się do niego, ukazując zęby pokryte różowym nalotem.

– Sama wytworność, czyż nie? – powiedział. – Na szczęście ona potrafi zapominać o manierach, kiedy jest w łóżku.

John, nadal z jego płaszczem w garści, popchnął go w stronę niskiej balustrady. Zrobił to tak gwałtownie, że o mały włos obydwaj by przez nią wypadli. Nie potrafił nawet powiedzieć, dlaczego się wściekł, ale miał niejasne poczucie, że ociera się o coś nie do końca moralnego. Z ulgą usłyszał, że Ian jest obok niego i proponuje, żeby Nasha i człowieka, z którym ten się bił, do przybycia konstabla zamknąć w stajni. Pozwolił Nashowi odejść, a kiedy Ian i Frederick wyprowadzali go z pawilonu, przez chwilę walczył z wielką ochotą odciśnięcia mu na tyłku swojego buta.

A teraz panna Dobson. Wreszcie ją wypatrzył. Rozmawiała z jednym z hotelowych dozorców. Gdy się zbliżył, zorientował się, że robi coś, o czym on sam powinien był pomyśleć – prosi dozorcę, żeby jej pomógł grzecznie, acz stanowczo wyprosić miejscowych z terenu hotelu.

Dozorca spojrzał na Johna, jakby szukał u niego aprobaty. Ten nawet nie skinął głową. Dozorca chwilę stał bez ruchu, a potem odszedł w stronę grupki młodych ludzi usiłujących wmieszać się między gości.

Panna Dobson zamierzała odejść. John pociągnął ją za rękę.

– Poproszę panią na chwilę.

Posłuchała, a potem zorientowała się, że chce ją wyprowadzić z pawilonu.

– Nie mogę wyjść. Tańce zaraz się skończą, a oni niedługo mają pociąg.

– Pani jest ranna. – Ponaglił ją, żeby wyszła.

– To nic.

Zatrzymał się. Jej górna warga spuchła i wystawała poza dolną. Wyglądała przez to nieco groteskowo i zarazem jakby była wściekła. Kiedy to zauważył, pomyślał o Nashu, i ręce znowu zaczęły go świerzbic. Miał ochotę poślinić palec i zetrzeć czerwone ślady, które zostały na jej twarzy.

Dotknęła ust, ale nie poranionej górnej wargi, tylko dolnej.

– Och – powiedziała. – Czy ja wyglądam tak jak pan?

Wyszli z pawilonu. Na ścieżce prowadzącej do hotelu nadal było mnóstwo spacerowiczów, więc John wybrał drogę przez trawnik.

– Pani go zna – powiedział.

Szła obok niego, ale nie odezwała się słowem.

– Dobry człowiek ten nasz konstabl. Sprowadzi lekarza, jeśli będzie trzeba. Przy takim tłumie nie można nad tym przejść do porządku, zwłaszcza jeśli hotel ma zachować dobre imię.

Ale wątpliwości dręczyły go nawet wtedy, gdy to mówił. Uwolniony od emocji, które zawładnęły nim w pawilonie, zastanawiał się, czy nie powinien rozważyć tego, co powiedziała, i odwołać konstabla.

– Do diabła. Do diabła. Po trzykroć do diabła. Co ja zrobiłam?

Trudno było na to odpowiedzieć. Rozumiał, dlaczego słyszy w jej głosie strach. Sam się bał.

Paskudna historia. Program wycieczkowy zawalił się przy pierwszej próbie, a sir Alton, Rolly Brues i dosłownie każdy gość hotelu byli tego świadkami. Nadzieje na kolację z Bruesem, jego żoną i bogatymi przyjaciółmi też się rozwiały. A najgorsze, że tak łatwo można było temu zapobiec.

Widział pannę Dobson z Nashem i nie zorientował się, że jest jakiś powód, żeby interweniować.

– Najlepiej będzie, panno Dobson, jeśli mi pani powie, kim jest ten mężczyzna. To nikt z miejscowych.

– Nie. Jest z Londynu.

– I przejechał taki kawał do pani? To pani... pani mąż?

Roześmiała się.

– Nie, panie Jones. Avery nie ożeniłby się ze mną, a ja nie mam zamiaru wychodzić za mąż.

Nie wiem, po co tu przyjechał, bo on sam nie potrafił wyjaśnić, kiedy go o to zapytałam. Wiem tylko, że był bardzo zbity z tropu, kiedy mu powiedziałam, że Sarah Elliot nie będzie tak pobłażliwa jak nasza poprzednia gospodyni.

Gospodyni? Przez chwilę nie rozumiał, o czym ona mówi, a gdy nagle pojął, odebrało mu mowę. Więc insynuacje Nasha nie były bezpodstawne. Był zszokowany.

– Teraz pan wie, jak się sprawy mają – powiedziała miękko.

Trawa szeleściła im pod stopami. Głośniejsze szeleściły jej halki. Nie mógł tego nie słyszeć i nagle nie potrafił się powstrzymać od wyobrażania sobie, jak wyglądają.

– To taki sposób na życie? – zapytał głupio.

Nadal nie wiedział, co powiedzieć.

Ona się zatrzymała, znowu zaśmiała i klasnęła w dłonie przed swoimi oczami.

– Tak jest. Sposób na życie. Radzić sobie. Dach nad głową, trochę ciepła.

– Dobs. Panno Dobson. – Żałował, że ją zawstydził. Na końcu języka miał mnóstwo pytań i słów pociechy, ale zmagął się z nimi, a milczenie się przeciągało. W końcu powiedział po prostu: – Betsey, ja wiem, co to znaczy nie mieć gdzie spać i co jeść.

– To było coś więcej.

– Kochałaś go?

Już ułożył w głowie całą historyjkę na jej temat: kochała Nasha, chciała za niego wyjść.

Prawdopodobnie był zdolny do wszelkich łajdactw, a ona – zbyt naiwna, aby sobie z tego zdawać sprawę. Zwabił ją do swojego domu, obiecał, że w ciągu kilku tygodni wezmą ślub, a tak naprawdę zależało mu tylko na tym, żeby mieć za darmo dziewczynę do wszystkiego, tak długo, jak z nim będzie. Taka historia, historia niewinnej istoty, ofiary uwodziciela, była zupełnie zrozumiała. Taka historia

zasługiwała na współczucie.

Ale Betsey Dobson, nadal z zamkniętymi oczami, jednym ruchem głowy zaprzeczyła tej wersji. Opuściła rękę, zebrała w garść fałdy spódnicy i odmaszerowała w stronę tylnego tarasu.

John nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Czuł się tak, jakby mu ktoś oznajmił, że ogląda plan budynku, trzymając go do góry nogami. Ale rzut oka na taras uświadomił mu, że czekają go znacznie poważniejsze kłopoty. Ruszył biegiem, żeby ją dogonić. Myślał o tym, jak długie nogi musi mieć pod tymi szeleszczącymi spódnicami, skoro zdążyły ją już zanieść tak daleko. Dotknął jej pleców, aby ją zatrzymać, i powiedział jej do ucha:

– Ma się pani spotkać z sir Altonem Dunningiem.

Napięcie, które wyczuwał w każdym calu jej ciała, sięgnęło zenitu.

– Ja jestem z panią – powiedział.

Sir Alton stał na tarasie z bezbarwnym uśmiechem i udawał bardzo zainteresowanego

ogrodem. Właśnie podnosił do ust kieliszek porto, gdy zobaczył wyłaniających się z cienia Johna i Betsey i zszedł do nich po stopniach. Bez względu na to, jak swobodnie to wyglądało, Johnowi nie umknęło, że sir Alton był zbyt wzburzony, aby czekać spokojnie, aż się zbliżą. Noel Dunning trzymał się za ojcem, zachowując wszelkie pozory obojętności.

– Proszę, proszę, proszę! Tyle było hałasu i oto mamy skutki naszego małego eksperymentu. Prawda?

W tonie sir Altona rzadko można było usłyszeć emocje. Nieważne, czy recytował *Noc wigilijną*, czy odczytywał skazańcowi wyrok śmierci – zawsze taki sam radosny ton, zupełnie jak metronom, którego rytmu Sarah kazała się Johnowi trzymać podczas lekcji muzyki.

– I któż by pomyślał, że moje zastrzeżenia potwierdzą się w tak dosadny sposób? – powiedział. – Oczywiście nikt poza mną samym. Wierzę, że zechce mi pan wybaczyć tę nutę tryumfu w głosie. Nie mogę się powstrzymać.

Spojrzał na Betsey. Jego uśmiechu nie sposób było określić inaczej: był przyjemny i uprzejmy.

John chciał jakoś przygotować grunt.

– Pan nie miał okazji poznać panny Dobson – powiedział. – To jest ta młoda dama, którą zatrudniliśmy do nadzorowania programu wycieczek. Panno Dobson, sir Alton Dunning. Pani... – dodał, kiedy zauważył Noela Dunninga, powoli wynurzającego się zza pleców ojca – już spotkała jego syna, pana Dunninga.

Sir Alton złożył powściągliwy, kurtuazyjny ukłon. Gdyby Betsey wyciągnęła rękę, musiałyby pokonać niemały dystans. Sir Alton właściwie nie przywiązywał do tego wielkiej wagi.

Dunning powiedział kiedyś, że pamięta ojca jako jednego z najbardziej ekspresyjnych dyrygentów, jakich zdarzyło mu się widzieć, ale John mógł go sobie wyobrazić, jak prowadzi orkiestrę najwyżej mrugnięciami i marszczeniem nosa.

Betsey skłoniła tylko głowę.

– Panna Dobson – powiedział sir Alton. – Miło poznać. Choć żałuję, że taka młoda dama musiała być świadkiem tak prostackich zachowań naszych – na Boga! o mało nie powiedziałem g o ś c i, ale to nie byłoby właściwe, prawda? Musiała się pani przerazić, gdy się okazało, że ma pani pod opieką tak straszną hałastkę.

Pierwszy cios. John ukradkiem obserwował Betsey. Chciał wiedzieć, jak go przyjmie.

Zbladła jak ściana i stała tak sztywno jak sir Alton, choć raczej z przerażenia niż dlatego, że nad sobą panowała. John pamiętał połączenie demona z generałem, jakim była jeszcze po południu, i zrobiło mu się przykro, że widzi taki upadek. Tych kilka chwil, kiedy byli sami, należało raczej poświęcić na podtrzymywanie jej na duchu, a nie na wypytywanie o Avery'ego Nasha.

– Noel – sir Alton odezwał się do syna, nie odwróciwszy się do niego. – Jaki ty jesteś przebiegły. Informację o znajomości z panną Dobson zachowałeś dla siebie.

Młody Dunning był zajęty grzebaniem w papierośnicy.

– Wydaje mi się, ojcze, że, no cóż, jakoś mi to umknęło. Nie uznałem tego za takie ważne. Więc myślę...

– Nie, to wcale nie jest ważne. – Sir Alton odwrócił się do syna i klepnął go w plecy. – Tę prośbę, żebyś miał baczenie na wszystko, kiedy mnie i twojej macochy nie ma na miejscu, rzuciłem ot tak. Nie spodziewałem się, że mogłoby być inaczej.

Znów klepnął go w plecy i papierosy posypały się na ziemię. Dunning wykonał dziwny ruch, jakby zamierzał się po nie schylić, ale zamiast tego zamknął papierośnicę w dłoni. Jego twarz lśniła od gorąca, a oczy wpatrywały się w ciemność, gdzieś daleko poza taras. Betsey Dobson wydała ledwie słyszalny odgłos. Ścisnęła połę kamizelki tak mocno, że zgniotła część swoich wspaniałych złocistych guzików.

John dotknął jej łokcia.

– Panno Dobson, powinna pani iść do kuchni i przyłożyć sobie do tej rany trochę lodu. I dziś wieczorem jest pani zwolniona z obowiązków.

Obrzuciła go nieufnym spojrzeniem. Widział, że najszcześliwsza byłaby, gdyby mogła uniknąć tej konfrontacji, ale bała się tego, co się stanie, kiedy sobie pójdzie. Na jej twarzy zobaczył grymas niezadowolenia. Ścisnął jej łokieć.

– Tak, panie Jones – wymruczała i ominąwszy łukiem sir Altona, ruszyła w stronę tarasu.

– Pracowała u Baumstona i Smythe’a, sir – powiedział John, zatrzymując się. Schylił się, pozbierał papierosy i miękким ruchem podał je Dunningowi. – Wie pan, że oni wybierają najlepszych.

– Owszem, wiem. Czy zechciałby mi pan powiedzieć, jakie obowiązki pełniła u Baumstona i Smythe’a?

– Ona... tak się składa, że była maszynistką.



Jeśli papier nie wchodzi równo, tylko przekrzywia się w jedną stronę, to możliwe, że gumowa nakładka zsunęła się z rolki. To najczęstsza przyczyna przekrzywiania się papieru.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Sir Alton bynajmniej nie wyglądał na niewzruszonego tym, co czuł albo myślał. Wszystko to okazywał, ale bardzo przelotnie i w sposób ledwie zauważalny. Również jego emocje przechodziły płynnie w chłodny spokój.

Po chwili milczenia powiedział:

– Moja wiedza na temat maszynopisania jest doprawdy więcej niż znikoma, więc nie mogę sobie wyobrazić... ale oczywiście w świadectwie tej dziewczyny musiano wymieni ć wiele jej innych umiejętności.

– Pan Seiler i ja byliśmy zadowoleni – odpowiedział John w nadziei, że w ten sposób temat zaświadczenia Betsey zostanie zamknięty. Jeśli sir Alton będzie nalegał, on nie zdoła nie tylko wyjaśnić, lecz także uzasadnić, dlaczego zatrudnił pannę Dobson. Nie mógł po prostu powiedzieć: zobaczyłem ją i uznałem, że to odpowiednia osoba. Ani też: przyniosła świetne świadectwo, więc można jej wybaczyć, że podróżowała na gapę i żyła z mężczyzną bez ślubu.

– Niepotrzebnie pana o to pytam, Jones. Niezależnie od tego, jakie ta dziewczyna ma referencje, czy jest maszynistką, czy wyplata krzesła albo czy jest bliźniaczką samego Thomasa Cooka, będę usatysfakcjonowany, jeśli zdoła odwołać wszystkie pozostałe rezerwacje jednodniowych wycieczek.

John oglądał po południu jej wyliczenia i na samą myśl o wszystkich utraconych dochodach, straconych pieniądzech, które przecież są tak samo dobre jak każde inne, gdy hotel musi przynosić zyski, poczuł się niemal chory z wściekłości.

Uśmiechnął się do sir Altona szeroko, mimo że bolały go zmasakrowane wargi.

– Może w poniedziałek podyskutujemy o tym, jak to przedstawić zarządowi? Gdy tylko uzyskamy ich aprobatę, będziemy mogli zakończyć program.

Sir Alton, który nigdy nie lubił, żeby mu przypominano, że ma radę dyrektorów, z którą musi się liczyć, odpowiedział:

– Wspaniale. W Iden Hall. Do poniedziałku będę miał zestaw artykułów z gazet. Przy herbacie poczytamy sobie o tym, co tu się dzisiaj stało. To fascynujące móc być świadkiem, jak reputacja Idensea zmienia się na naszych oczach.

Lepiej będzie, jeśli nauczysz się odwzajemniać sarkazm mojego ojca – poradził Johnowi Noel Dunning wkrótce po tym, jak przyjechał do Idensea. – Inaczej uzna cię za głupka.

W ciągu kilku lat John zdołał zmienić to i owo w sobie i swoich zachowaniach, a to żeby łatwiej wzbudzać zaufanie u Anglików, dla których pracował, i skrupulatnie zabiegał o każdą korzyść, bo wszystko w jego życiu i pochodzeniu zdawało się przemawiać przeciwko niemu.

Nauczył się mówić niemal całkiem bez walijskiego akcentu. Zmienił nawet imię. Ale z rady Dunninga skorzystać nie mógł – tak bardzo była sprzeczna z jego naturą.

Zresztą okazało się, że Dunning się mylił. Sir Alton nie uważał go za głupka. Co więcej uznał, że można na nim polegać. Kiedy więc zaproponował spotkanie z zarządem w poniedziałek, sir Alton podniósł do ust kieliszek i ponad jego krawędzią posłał Johnowi spojrzenie pełne uznania.

– Bardzo dobrze – powiedział. – Noel i ja pójdziemy do palarni i przedstawimy całą tę klapę jako drobne niepowodzenie. Noel, to zadanie chyba będzie ci odpowiadać: mówić o tym tak lekceważąco, jakby nie było żadnych konsekwencji. A pan...

– Tak. Idę załagodzić sprawę wśród wycieczkowiczów – domyślił się John.

– Otóż to.

Na chwilę na uśmiechniętej twarzy sir Altona pojawiło się coś na kształt smutku. Spojrzał na syna, ale mimo że stał obok niego, niewzruszony jak posąg, pod każdym innym względem był

nieobecny.

– Ale niech pan tego nie ciągnie za długo. Brues pytał o pana. Chce, żeby pan jak najszybciej do nas dołączył.

Rolly Brues! Może jednak trafi się tego wieczoru jakiś miły akcent.

– I z tym – sir Alton wskazał oczami na jego zakrwawione wargi – niech pan coś zrobi.

Betsey dostała w kuchni lodu. Ci, którzy tam pracowali, stale poganiani, nie mieli zbyt wiele czasu na zaspokajanie ciekawości. A potem popędziła do biura i korzystając z małego lusterka wiszącego na ścianie, próbowała coś zrobić, żeby wyglądać lepiej. Lusterko było wypukłe i powiększało rozmiary rany na jej wardze. Wzięła z szuflady biurka kilka szpilek do włosów i wyszła z biura. Po drodze starała się doprowadzić do ładu fryzurę.

Spodziewała się i zarazem bała spotkania z panem Seilerem. Popełniła błąd nie do naprawienia. To nie było niepowodzenie, to była jej klęska. I nie spodziewała się, że wyjdzie z tego obronną ręką.

Ale to nie pana Seilera, tylko Jonesa spotkała na pustym korytarzu. Oboje stanęli jak wryci.

W cieniu jego czupryna, dziko rozwichrzona podczas walki, wyglądała jak wycięte z papieru tańczące płomienie. Na ten widok poczuła, że zbliża się nieuniknione. Stała w miejscu z rękami przy głowie. Przypomniała sobie, jak Jones przygniół Avery'ego do podłogi.

Wpięła ostatnią szpilkę, opuściła ręce i przygotowała się na wiadomość, że zostaje zwolniona w trybie natychmiastowym. Ale gdzieś w środku czuła też niedawny uścisk jego ręki i to, że końcami palców przekazywał jej siłę i wsparcie.

Polubiła go. Ktoś z pracowników powiedział jej, że Noonan został kaleką, bo miał wypadek podczas budowy molo, i całe jej niezadowolenie z powodu tego, że pan Jones kazał mu zapłacić, uleciało. Przeciwnie, zaczęła myśleć o Jonesie jeszcze cieplej.

– Miałam właśnie wracać do pawilonu – powiedziała. – O ile nie zostałam wyrzucona.

– Nie dzisiaj.

Chciała się w tej odpowiedzi doszukać nadziei, ale raczej jej nie znalazła.

Ruchem głowy wskazał na drzwi swojego biura:

– Muszę się doprowadzić do porządku. Proszę poczekać, pójdziemy razem.

Weszli. John zapalił lampę i wszedł dalej, do swoich prywatnych pokoi. Betsey obrzuciła wzrokiem biurko oraz biblioteczkę i z pewnym zdziwieniem zauważyła, że do tapet przypięto kilka planów. Pierwszy przedstawiał linię kolejową, dość szczególną, bo wzniesienia i zakręty nie były poprowadzone po naturalnych krzywiznach terenu, tylko po estakadach. Kolejka górską, ale pokazaną bez tuneli i otoczenia. Podeszła bliżej i zaczęła sunąć palcem wzdłuż toru, i nagle usłyszała, że Jones wrócił.

Odwróciła się. Włosy miał teraz wilgotne i przyczesane, górną wargę oczyścił z zaschłej krwi. Zagryzła usta i czekała, aż się odezwie.

Ale on milczał. Zauważyła, że jest nią zainteresowany. Było to świeże, mocne i namacalne jak strugi deszczu na twarzy i jak smagnięcia wiatru.

– Sir Alton jest bardzo zły? – zapytała, chyba zbyt cicho, bo z początku wydawało jej się, że nie usłyszała. – Co miał na myśli, kiedy mówił o zakończeniu eksperymentu?

Jego twarz się rozjaśniła. To było proste pytanie.

– Po prostu ma obawy.

– Czy właśnie o tym była mowa tam, na tarasie?

– Proszę mi zaufać. Zarząd zmusił go, żeby się zgodził na program wycieczek i żebyśmy go zaczęli realizować. Teraz, po dzisiejszym zajściu, uważa, że to wystarczający powód, żeby z tym skończyć.

Kiedy to usłyszała, poczuła, że jej nadzieje się rozwiewają. Przypomniała sobie, jak sir Alton szorstko objął swego syna i jak się wtedy szyderczo uśmiechał.

– Musi mu pani pokazać, że bez tego długo nie pociągniemy.

Nie miała najmniejszego pojęcia, jak miałyby to zrobić. Ale czuła, że nie powinna się do tego przyznawać.

– Zbierz, dziewczyno, te swoje księgi. Wypisz nowe stawki za te rezerwacje, które zrobiłaś.

Pokaż, ile dodatkowych pieniędzy przyniesie to na koniec lata, i przyjdź w poniedziałek do Iden Hall. Wypijemy herbatę – ty, ja i sir Alton Dunning.

Dotarło do niej, że to bardzo, bardzo zły pomysł. Ona mogła zrobić wyliczenia, o których mówił, ale tym, który powinien zaprezentować je sir Altonowi, z pewnością był albo on, Jones, albo pan Seiler. Dlaczego uważa, że właśnie ona mogłaby to zrobić? W jego oczach dostrzegła jednak pewność, więc odpowiedziała:

– Niech tak będzie, do diabła.

Uśmiech przebiegł mu po twarzy. Powstrzymał go, skrzywił się i włożył palce do ust. Ale ponad jego pięścią oczy nadal mu się śmiały – myślał o kolejnym pokazie jej temperamentu.

– Wiedziałem, do czego jest pani zdolna, panno Betsey Dobson. Tamtego dnia u Baumstona i Smythe'a. Wiedziałem. Ja się nie mylę.

Jej policzki zapalały z emocji. Nie umiałyby powiedzieć, kiedy ostatni raz usłyszała taki komplement.



Jeśli będziesz trzymać ręce we właściwej pozycji nad klawiaturą, przekonasz się, że łatwiej jest wtedy poprawnie uderzać w klawisze...

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Oboje, pan Jones i Betsey, chcieli porozmawiać z wycieczkowiczami i potwierdzić, że nic złego nikomu się nie stało, ale gdy weszli, w pawilonie panowała cisza. Wszyscy słuchali pana Pollita, który podsumowywał dzień. Wyczuwając, że Jones zdenerwuje się z powodu opóźnienia, Betsey powiedziała mu, że nie jest jej potrzebny do odgrywania roli dyplomaty. Odpowiedział

szeptem że obiecał to sir Altonowi. Jakiś pracownik pomógł jej rozdać wychodzącym fajki i papierowe ramki. Była zdumiona, że tak skromny upominek potrafi przywrócić życzliwość i uśmiech.

Tramwaj, do którego się wcisnęła, rozbrzmiewał głośnymi, wesołymi rozmowami. Bliżej tyłu zauważyła Jonesa. Rozmawiał z panem Pollitem, który wyrażał przekonanie, że wszystko poszło dobrze.

Wszyscy wysiedli na przystanku przy alei Busoli prowadzącej do stacji. Kiedy zobaczyła, jak pan Jones się żegna, życzy panu Pollitowi i pozostałym dobrej nocy i wsiada z powrotem do tramwaju, zawołała:

– To ostatni kurs. Lepiej niech pan nie jedzie do końca.

Mimo to wskoczył i podszedł do niej, ale nie usiadł. Dotknął krawatu, a kiedy tramwaj mocno szarpnął, złapał się poręczy.

– Jestem pewna, że sir Alton nie kazał panu odprowadzać mnie do domu.

– Ktoś musi.

– Po Londynie regularnie jeździłam sama.

– Nic dziwnego, jeśli to na tym typku Nashu musiała pani polegać.

Schyliła głowę, żeby ukryć uśmiech. Zabawniejszy od pomysłu, że mogłaby polegać na Averym, był cierpki ton Johna. Wiedziała, że zszokowała go opowieść o jej związku. Aż dziwne, że jej za to nie potępił.

Do jadącego tramwaju wpadało światło kolejnych latarni. Wyczyszczone na błysk buty Johna przyciągnęły jej wzrok. Zauważyła ścięte obcasy: świadczyły o tym, że ich właściciel nosił je więcej sezonów, niż przewidują żurnale dla panów. Nikt by tego nie zauważył – poza nią. Była wyczulona na takie szczegóły, ale kiedy je zauważała, potrafiła powściągnąć uśmieszek.

– Jest pan dziś niezwykle elegancki.

– To ta kolacja. Bruesowie i kilka innych osób.

To wyjaśniało, dlaczego tak się niecierpliwił. Byłby teraz w prywatnej palarni, gdyby się nie wtrącił do awantury w pawilonie.

– Pan Brues jest bardzo bogaty, prawda?

– Jak sułtan. Western Car Company. Zajmuje się głównie tramwajami, ale w Ameryce takie firmy jak jego często prowadzą też parki rozrywki, aby zapewnić sobie stałe obroty także w soboty i w niedziele. On też zaczął teraz u siebie budować coś takiego.

– Coś takiego jak Droga Sułtańska?

– Nie tylko. Wozy Rolly’ego Bruesa jeżdżą po ulicach miast od Chicago po San Francisco.

Betsey wyobraziła sobie, że to spora odległość.

– I on zaprosił pana na kolację.

Wyczuł w jej głosie sztuczny podziw i się uśmiechnął.

– I jeszcze z tuzin innych osób, które zasiądą przy stole jako najważniejsi goście.

– Widziałam jego córki. Może zaprosił pana, bo liczy, że za jakiś tydzień zostanie pan jego zięciem.

– Dobs, niechże pani ma dla mnie odrobinę litości. Takie dziewczyny polują na tytuły, a tam będzie wyedukowany w Cambridge dziedzic sir Altona.

Ale ani słowa o pannie Gilbey.

– Mógłby pan ich wszystkich mieć po swojej stronie, gdyby pan chciał.

Kolejna latarnia. W plamie światła ich spojrzenia się spotkały. Betsey sztywno skrzyżowała ręce na kolanach. Trzymała rękawiczki. Sprawiało jej przyjemność powolne lustrowanie jego postaci, aż po obcasy.

Do końca podróży nie odezwał się już ani słowem.

Gdy zatrzymali się na przystanku, próbowała go odwieść od zamiaru odprowadzenia jej do The Bows. Przypomniała mu, że to opóźni jego powrót do hotelu.

– Nie powinna pani wracać sama, a poza tym jest późno.

– Zamierza pan co tydzień towarzyszyć mi w drodze do domu? Jeśli nie zostałam zwolniona?

– Proszę o tym nie wspominać. Będę panią odprowadzał. Ja albo ktoś inny. Może Tobias. On tego dopilnuje.

– Pan Seiler miałby opuszczać hotel w sobotni wieczór?

– No to Charlie.

Charlie Elliot zaczął tego lata pracować w hotelu jako boy.

– Charlie! Jego matce to się nie spodoba!

– To nie będzie często.

– Sobota jest co tydzień. Powinien pan być dać mi pokój w kwaterach dla pracowników, tak jak mówiłam na początku.

– Dziewczyno!

Wybuchnęła śmiechem. Nie potrafiła się powstrzymać. Usłyszała w jego głosie irytację, która zresztą w tej samej sekundzie uleciała.

– Dokucza mi pani? – powiedział dobrodusznie. – Myślę, że teraz już by pani nie chciała spać w żadnym z tych łóżek dla pracowników.

– Nie, za daleko od The Bows.

Szedł pół kroku przed nią. Obejrzał się, uśmiechnął i wyciągnął do niej rękę. Kiedy ją ujęła, pociągnął ją do biegu. Wiedziała, że to wysoce niestosowne, a przy tym zupełnie zwariowane, biec tak i czuć wielką radość po tak paskudnym dniu, po balansowaniu na krawędzi. Mogła stracić wszystko, a teraz biegła za Johnem jak latawiec na sznurku, podskakiwała, tańczyła, niemal szybowała w powietrzu.

Dobiegli do ścieżki z kamiennych stopni – skrótu do dróg na klifie. Dla odważnych. To przejście było jedną z najstarszych konstrukcji w Idensea. Teraz stało się za wąskie, a stopnie zbyt wytarte i strome, aby można je było naprawić. Tracili dech. Zwolnili i pan Jones poprowadził ją po stopniach za rękę.

– Wysłałam panu Noonanowi trzy szylingi.

Zatrzymał się, aby na nią spojrzeć. Wysokie okno rzucało na aleję słabe światło i omijało ciemne oczodoły pod jego brwiami. Jak przyjemnie poczuć tu wieczorną bryzę przelatującą ponad głową, chłodzącą kark i chłuszczącą policzek kosmykiem włosów.

– Wielkodusznie z pani strony.

Pokręciła głową. To on był hojny, był tym, który od czasu wypadku na budowie myślał o Ethanie Noonanie bez przerwy. Ona nawet nie zauważyła, że Noonan kuleje.

– Przyzwoity z pana człowiek. – Jej kciuk natrafił na twardą poduszeczkę na jego dłoni i w tej chwili przypomniała sobie o jego spuchniętych kostkach. – Ręka w porządku? Panu chyba też przydałby się lód.

– To pszczoła.

Zaśmiała się miękko, krótko, i powiedziała „och”, bo chyba zdała sobie sprawę, że dla pana Jonesa ten dzień był równie męczący jak dla niej. Ujęła palcami jego dłoń, opuszkami palców wyczuła spuchnięte miejsce, tam, gdzie został użądłony. „Biedny pan Jones”. Pochyliła się nad jego ręką i odcisnęła na niej pocałunek.

Zabolało i w tym momencie przypomniała sobie swoje zniekształcone odbicie w wypukłym lusterku. Zaśmiała się, może trochę teatralnie.

– Oj. – Podniosła wzrok i dotknęła nabrzmiącej wargi. – Ciągle boli.

– Dobs.

Użył poufatego zdrobnienia, ale tembr głosu go zdradzał i zachęcał ją, żeby poszła za ciosem.

– A co z pańską wargą?

Odwróciła dłoń, jakby mu ją prezentowała, tak jak usta, żeby dokonał dokładnych oględzin. Przy panu Jonesie była jak latawiec szarpiący się na naprężonym sznurku.

Niespodziewanie złapał ją za rękę i jej oddech przyspieszył. Zrobił to nagle, a do tego mocno. Jego kciuk wypełnił zagłębienie w jej dłoni. Pieścił ją. Oparła się drżąca o ścianę za plecami. Czuła, że miękną jej kolana. Przysunął się do niej. Trwali tak z dłońmi przy ustach, dzieliła ich cienka warstwa drgającego powietrza.

– Zobacz, czy to boli – wyszeptała.

W końcu się zdecydował. Zabrał kciuk i złożył we wnętrzu jej dłoni pocałunek. Wszystkie nerwy jej ciała zbiegły się w tym miejscu. Pod dotknięciem jego obrzmiałej wargi jej palce zdrząły. Przekroczyli bezpieczne granice.

– Tak – wyszeptał. – To boli.

Mimo to po chwili przycisnął usta do jej nadgarstka, jeszcze mocniej. Ból przeszył go głębiej. Przyciskał tak długo, aż obrzmienie pękło i smak jego krwi zmieszał się ze smakiem jej skóry, a kiedy wreszcie poczuł przypływ nowego bólu, zamknął jej dłoń w swojej i wspierał się o nią, pochylony i bliski osunięcia się na ziemię.

Mosiężne guziki wbijały mu się w pierś. Wełna łaskotała wargi. Opierał dłoń o szorstki, porowaty kamień sterczący ze ściany na wysokości jej szyi, a uszy wypełniał mu szum pulsującej krwi i pożądania.

Dalekie, słodkie westchnienie:

– Myślę, że jest pan cudowny, panie Jones.

A on myślał o tym, żeby się z nim położyła. Tutaj. Gdziekolwiek. Teraz.

– Betsey.

Jego westchnienie stłumiły wełna jej kołnierza i skóra podbródka. Odwróciła się do niego, rozpalona i wilgotna.

– Ja nie jestem dla pana.

Długą chwilę tylko oddychali bez słowa.

– Panna Gilbey?

– To jest... – zaczął. – Nie. To nie jest...

– Więc jesteście zaręczeni?

– Chodzi mi o to, że ona nie jest...

- Pani Elliot wspomniała...
- Nie jesteśmy. Nie zaręczeni, jakkolwiek to wygląda...
- Wy nie...
- Jeszcze nie.
- Jeszcze.
- Ale jeśli nie ona...

Zamilkli.

– To ktoś taki jak ona – dokończyła, a on poczuł ulgę, choć wyglądało na to, że musiało ją to mocno zboleć. Ale nie wiedział, jak tego uniknąć. To ona była tą, która wszystko zaczynała.

– No to może powinien pan dać sobie spokój.

W jej głosie pobrzmiwała wesołość. John się odsunął. Zrobił to tak szybko, że się zdradził: był zakłopotany. Puścił jej dłoń, ale ona zastygła z ręką w górze. Nadal opierała się o ścianę. Nie wyglądała jednak na rozbawioną. Wyglądała na słabą, oddychała pospiesznie. Jej policzek znaczył odcisk jego kołnierzyka, a guziki ledwo trzymały się na miejscu przy każdym oddechu.

Wyobraził sobie, jak cała ich garść spada po stopniach. Wyrwane z równego szeregu grzechocą o kamienie, odbijając błyski światła.

W górę. Wyżej. Wspinał się, każdy krok wykonując siłą woli, palcami czepiając się skał po obu stronach. Wszedł na szczyt i zdał sobie sprawę, że została z tyłu. Nadal opierała się o ścianę w połowie wysokości schodów. Kręciła górnym guzikiem kostiumu. Błazka połyskiwała w mdłym świetle. Westchnęła i odepchnęła się od ściany. Ruszyła w górę.

– Pani... pani powinna mieć inną suknię – powiedział tonem przyjacielskiej porady.

Zatrzymała się i przesunęła ręką po zakiecie.

– Myślałam... Co jest nie tak z tym uniformem?

Powiedział to, żeby nie wyjść na palanta ze sterczącym penisem.

– Nic. Mam na myśli suknię wieczorową. Na dancing. Powinna pani mieć strój na wieczór, żeby bywać w pawilonie z gośćmi.

Jej oczy błysnęły, jak poprzednio guziki, ale bardziej miękko, połyskiem wody, nie metalu.

– Będą panią prosić do tańca. To może być okazja, żeby znaleźć męża.

Co za kretyn – skarcił się w duchu. Miał zamiar ją pocieszyć, jakoś nawiązać porozumienie, ale kiedy

to powiedział, dotarło do niego, jakie głupstwo palnął. Zrozumiał to zresztą wcześniej, niż Betsey zdążyła się nad tym zastanowić. I jakoś, mimo że była o ileś tam stopni niżej od niego, posłała mu spojrzenie, jakim patrzy się na kogoś z góry. Miał ochotę uciec.

– Rozumiem, panie Jones, że w ten sposób oboje możemy znaleźć sobie partnera do małżeństwa, prawda?

Stojąc wyżej, pozornie miał nad nią przewagę, ale widok Betsey Dobson wspinającej się w mroku po schodach, z diabolicznymi brwiami, w niebieskim uniformie z lśniącoymi guzikami, sprawił, że poczuł się żałośnie mały. Pokonała jeszcze kilka stopni i prawie się z nim zrównała.

Krew znowu uderzyła mu do głowy i zorientował się, że ma wzwód.

– Ojej, panie Jones – powiedziała. – Czasem nawet myślałam o tym, że jest pan takim snobem jak sir Alton. Ale z pewnością nie wtedy, kiedy prezentuje pan coś tak stojącego jak teraz.

Otarła się o niego. Stał oniemiały, zgnębiony i wdeptany w ziemię, unicestwiony w każdym calu, z wyjątkiem penisa, sterczącego po tej uwadze tym dumniej i wskazującego teraz na jej plecy i powiewające spódnice.

– To śmieszne, że pan mnie odprowadza – powiedziała, gdy zdała sobie sprawę, że idzie za nią. – Powinien pan raczej odprowadzić swoje cygaro.

Cygaro?

Nigdy nie palił cygar, chyba że – chyba że – ofiarował mu je ktoś bogaty.

Brues i wszyscy pozostali na pewno bawili się w hotelu, a on stracił szansę, żeby być z nimi, bo postanowił się przystawiać do menedżerki od wycieczek.

– Powiedz Charliemu, że oddam mu rower jutro – powiedział, gdy dotarli do domu Sarah. Nie odpowiedziała.

Jemu tak bardzo spieszyło się do hotelu, że nawet nie sprawdził roweru, więc po zaledwie kilku minutach jazdy dostał skurczu w nogach, a ponieważ nie miał narzędzi, żeby dopasować siodełko i kierownicę, zostawił rower w bramie sąsiada i ruszył dalej pieszo.

Ale to i tak już nie miało znaczenia – było za późno i na cygara, i na towarzyską konwersację. Zasiadł do fortepianu i zaczął grać melodię, którą przygotowywał na wieczór muzyczny Lillian. Ćwiczył tak długo, aż uznał, że gra dobrze. Grał, dopóki palce nie odmówiły mu posłuszeństwa. Ale cały czas myślał o fortepianach – i tym w pokoju muzycznym, i tym w sali balowej Swan Parku. Teraz, w sobotni wieczór, z pewnością grał tam ktoś jeszcze.

Ale na Esplanadzie było dość pusto i niesamowicie spokojnie, choć wokół wiał wiatr i szalało morze. Ryk żywiołów sprawiał, że budowle, które wydawały się potężne, gdy wypełniał je tłum, teraz wyglądały na karłowate. Z wyjątkiem Drogi Sułtańskiej. Gdy stał przed nią z zadartą głową, aby móc objąć wzrokiem szczyt głównego łuku i kopuły, czuła, że jest dla niego o wiele ważniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. To on zaryzykował utratę stanowisko, pokazując projekt kolejki górskiej członkowi zarządu po tym, jak sir Alton kategorycznie odrzucił sam pomysł. To dobre dla Blackpool albo Southend –

powiedział Johnowi – taka jarmarczna rozrywka dla klasy pracującej, która nie bywa w Idensea.

A mimo to postawił na swoim. Kolejka powstała. Wchodziło się między kamiennymi lwami i palmami sprowadzonymi z archipelagu Scilly. Jeszcze tydzień i zasłona spadnie. I wtedy ukaże się ziggurat z wiszącymi ogrodami, a maszynieria zacznie wozić gości. John przekroczył łuk i zatrzymał się, aby przeciągnąć ręką po mozaice. Nie tak dawno temu projektant pokazał mu jedynie płataninę barwnych plam, a teraz kafelki zdawały się pod jego dotykiem emanować ciepłem.

Przeszedł na drugą stronę Esplanady i szedł jeszcze kawałek, przyglądając się dojściu do kolejki. A potem zawrócił. Chciał jak najprędzej znaleźć się w hotelu.

Dlaczego nie powiedział Lillian tego c z e g o ś? Stali tu, przy tej poręczy, i był zadowolony, że dzieci odwracają ich uwagę i że może popędzić za sprzedawcą słodyczy, zamiast spędzić kilka chwil sam na sam z nią.

Wiedział, że była kobietą, jakie trzyma się pod kloszem, zaspokaja ich potrzeby i właściwie nic więcej.

Mimo to powinien ćwiczyć. Powinien pójść na jej przyjęcie. Nie może przecież żadnej z tych dwóch kobiet stawiać w niezręcznej sytuacji. Powinien porozmawiać z Lillian. Nie wolno mu zmieniać zdania w kwestii tego, co chciał jej powiedzieć.

W swoim pokoju w The Bows Betsey obcinała guziki od żakietu. Pozwalała, aby spadały na podłogę. Upadały z mizernym brzękiem blaszki, która nie ma wagi prawdziwego mosiądzu.

Położyła się do łóżka. Guziki zostawiła rozrzucone po pokoju.

Chwilę później klęczała na podłodze i je zbierała. Nie płakała. Włożyła je razem z przyborami do szycia do blaszanego pudełka po herbatnikach. Na wieczku widniał rysunek domu w Derbyshire, w którym najpewniej wytwarzano te ciasteczka, przemysłem niejakej pani Knight.

Zamknęła wieczko i pochyliła się nad nim, żeby się przyjrzeć wytłoczonym szczegółom. Wodziła po nich opuszką palca, tak samo jak kiedyś poznawała dom dla lalek panny Elizabeth Dellaforde, w pierwszym dniu pracy u tej rodziny. Miała wtedy prawie dwanaście lat. Ona i Caroline były na tyle wysokie, żeby móc bezpiecznie twierdzić, że są starsze. Tamta zabawka wyglądała tak realistycznie, że wyobraziła sobie, iż to nasionko: sadi się je przy ulicy i po kilku tygodniach wyrasta z niego prawdziwy dom, z całą rodziną.

Później szukała w tym nasionku pociechy, nawet gdy już wyrosła z takiej dziecinady. Kiedy Caroline poślubiła Richarda i wyjechali do Londynu, zakradała się do dziecięcego pokoju, od dawna pustego, bo dzieci Dellaforde'ów były już zbyt duże, aby w nim mieszkać. Siadała na niskim stołku przed domkiem dla lalek. Pewnej nocy poszła się tam wypłakać, z listem od Caroline w dłoni. Był bardzo podobny do poprzednich: *Jeszcze kilka miesięcy, kochanie, i będziesz mogła przyjechać. Richard mówi, że teraz mamy o wiele za dużo wydatków, ale niedługo...*

Ale pokój dziecięcy nie był tej nocy pusty. Thomas Dellaforde, który właśnie przyjechał do domu z uniwersytetu, ukrywał się tam przed ojcem z papierosami.

Zostań i zapal. To ci pozwoli oderwać się od tego, z powodu czego płaczesz.

Usiadła na małym stołeczku i udawała, że to jej pierwszy papieros. Była zdziwiona, że Thomas Gregory Dellaforde wie, jak ona ma na imię.

– Ale to nie jest bardzo ładne imię, prawda? – powiedział. – Lizzie? Bardziej by ci pasowało Liza. Albo Beth.

– Mama zawsze mówiła na mnie Elisabeth. Elisabeth przez s. Kiedy tu przyszedłam, pani Filgace nazwała mnie Lizzie, a ja byłam zbyt nieśmiała, żeby zaprotestować. Więc tak już zostało.

Ale jego siostra miała na imię Elizabeth.

– No to niech będzie Betsey, tak między nami. Bardzo ładnie. Zawsze tak uważałem. Bardzo...

Wypowiedział słowo, którego wtedy nie znała. Nie pamiętała go teraz, ale jej się podobało.

Zapomniała o swoim smutku, o liście od Caroline. Zapomniała o domku dla lalek stojącym niemal w zasięgu ręki. Nie myślała o nim długo, nawet gdy ona i Thomas wymykali się czasem do dziecięcego pokoju.

A teraz, gdy blaszany domek rozgrzewał się pod dotknięciem jej palca, przypominała sobie tamten bardzo wyraźnie. O wiele wyraźniej niż twarz Thomasa.



Należy siedzieć prosto i wygodnie, jak najbliżej maszyny.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

– Czy pani wie, panno Gilbey, że lord Tennyson napisał wiersz, który ma w tytule pani imię?

Lillian nie przestawała przeglądać nut pana Dunninga, z przyjemnością myśląc o tym, że specjalnie dla niej odświeża sobie Tennysona. Niedzielne popołudnie wypełniało im ćwiczenie duetu przed występem w czasie wieczoru towarzystwa muzycznego i właśnie zrobili sobie przerwę na herbatę.

– Papa dręczył mnie tym wierszem, gdy byłam zbyt mała, żeby mnie besztać, zawsze gdy uważał, że stroję fochy.

Noel Dunning odwrócił się od stołu i odezwał do matki Lillian oraz jej ciotki Constance, które z odległego kąta salonu sprawowały funkcję przyzwoitek.

– Szanowne panie, musicie mi opowiedzieć, jak to możliwe, że mała panna Gilbey stroiła kiedykolwiek fochy albo że jej ojciec uznał za konieczne ukaranie jej.

– Horace Gilbey wyrabiał u swoich córek nawyk posłuszeństwa przez żarty i komplementy – odparła ciotka Constance. – Wątpię, żeby znał słowo „besztać”.

Mama się uśmiechnęła.

– Niewiele miał okazji, żeby je poznać.

– Tak też myślałem.

Pan Dunning postukał jednym palcem o knykięć Lillian. Ach, te jego wspaniałe dłonie muzyka...

– Pani raczy żartować. Mówi się o poetyckiej sprawiedliwości, ale kto słyszał o poetyckim besztaniu?

– „Zwiewny duszek Lillian” raczej nie jest przyjemną dziewczynką. Powinam zmienić imię, jeśli to ja przyczyniłam się do takiego godnego pożałowania wizerunku.

– Godnego pożałowania!

Lillian się roześmiała. Spodziewała się, że będzie zaskoczony, iż mogłaby znaleźć jakąś wadę w ulubionym Tennysonie. Ale nawet geniusze mają swoje słabostki. Ot, choćby muzyczna kolekcja pana Dunninga, w której skład wchodzi wszystko, co zostało zapisane nutami. A więc hymny, salonowe ballady i operetki obok Schumanna i Haendla. Przy okazji przypadkowej wizyty w Albert Hall w ubiegłym tygodniu wyznał, że bardzo lubi widowiska rewiowe, a teraz właśnie zachwycił się piosenką *Och, Angelina zawsze lubiła żołnierzy*. Ten brak reguł wprawiał ją w zakłopotanie.

– Panie Dunning, to, że pan tak bezkrytycznie dobiera utwory, trochę mnie niepokoi. Proszę, niech pan nie mówi, że się pan zachwyca tym wierszem.

– Wydaje mi się, że jest, no cóż... całkiem uroczy. Tak sędzę.

Sprzeczali się w ten sposób często i starcia te zawsze wprawiały ich w ożywienie. Ale tym razem on zdawał się ustępować – Lillian zauważyła, że jego jedyną wadą jest brak pewności siebie, więc czasami zbyt łatwo się poddawał. Musiał tylko nauczyć się nad tym panować, jeśli chciał mieć nadzieję, że coś osiągnie. A to wymagało dyscypliny.

Tymczasem ona drążyła dalej:

– Ależ to trywialne i banalne. I to wszystko o kobiecie bezwstydnej i przebiegłej. Chyba się pan ze mną zgodzi?

Koniuszki jego uszu poróżnowiały. Wziął z jej rąk tekę z nutami, przekartkował do końca i wyjął kartę.

– Nie wydaje mi się. To znaczy... ja to trzymam ze względu na muzykę.

Lillian zamarła. Wyobraziła sobie, że wieczorem będzie musiała wykreślić Noela Dunninga ze swojej listy, i to wcale nie dlatego, że tego chce. Jeśli on słyszał cokolwiek o niebezpieczeństwach wynikających z owijania w bawełnę, to dobrze, ale z tej nauki teraz akurat nic dla niej nie wynikało. Jak powinna załagodzić ten afront?

Zaczęła z wyraźną niechęcią przeglądać manuskrypt.

– No cóż. Z pewnością musiałam to gdzieś słyszeć. Jeśli pan potrafi zrobić z tych poezji coś, czego się da słuchać, to będę wszem i wobec słać pański geniusz.

Rzuciwszy to wyzwanie, podprowadziła Dunninga do fortepianu, gotowa udać, że zachwyca się nawet najbardziej nieudanym występem. Ale już po pierwszych kilku taktach wiedziała, że nie będzie musiała odgrywać komedii. W jego wykonaniu, jak pod wpływem czarów, tandetna rymowanka zabrzmiała przejmująco pięknie, a „okrutną małą Lillian” nagle zawładnął smutek.

Skinieniem dłoni powstrzymała pokojówkę wnoszącą herbatę i jak w transie podeszła do fortepianu. Pochyliła się nad nim i zastygła. Stała tak, dopóki nie przebrzmiała ostatnia nuta.

Mama i ciocia Constance nagrodziły wykonawcę oklaskami, ale ona zdołała tylko westchnąć:

– Och, panie Dunning, och, panie Dunning.

Rzuciwszy jej niepewne spojrzenie, Dunning zaczął składać nuty. Lillian wyjęła mu je z ręki.

– Nie, nie i nie, panie Dunning! To jest... wyśmienite. Wyjątkowe i wyśmienite. Mamo, czy słyszałaś? – Szeleszcząc spódnicami, odwróciła się gwałtownie do matki, a po chwili znów do fortepianu. – Musi pan to zagrać na przyjęciu. Proszę powiedzieć, że pan zagra. Musi pan.

– Ale nasz utwór...

– Tak, tak, duet... ale może pan mieć w programie dwa utwory, jeśli pan zechce. Prawda, że pan zechce?

– Jestem szczęśliwy, że mogę spełnić każde pani życzenie, panno Gilbey, ale chcę się narzucać. Wspomniała już pani, jak bardzo program jest przepełniony.

Mama przyniosła mu filiżankę herbaty.

– Kochanie, to prawda. Spędziłaś wczoraj całe popołudnie na ustalaniu kolejności występów, tak jak tobie to odpowiada, i wszystko jest przygotowane dla drukarza. Zamierzasz to teraz zmienić?

Lillian nie odpowiedziała. Układała ten program pracowicie nie dla siebie, tylko po to, by stworzyć spójną całość, nastrój, nie mówiąc już o towarzyskich konwenansach i etykietce. Mama niewiele z tych zawiłości rozumiała.

Nie rozumiała też tego, że w gruncie rzeczy one nic nie znaczyły. Głównym punktem programu będzie nowy utwór: kompozycja nigdy niepublikowana i nigdy dotąd publicznie niewykonywana. Odegra ją dziarski syn sławnego kompozytora, przypadkiem baronet...

Najważniejsze w tym wszystkim miało być echo tego wydarzenia. Towarzystwu Muzycznemu z Sydenham gazeta miała poświęcić notatkę, która z kolei miała utorować drogę Bóg wie ilu kolejnym zaproszeniom.

A poza tym był to wspianiały, wspianiały utwór.

No i w ten sposób wykonawców zrobiło się zbyt wielu. A może ktoś nabawiłby się zapalenia krtani albo dostał tremy, albo po prostu wspianiałomyślnie ustąpiłby miejsca panu Dunningowi...

John. Z pewnością teraz żałuje, że się podjął takiego zadania. I z pewnością z ulgą przyjąłby

zwolnienie z tego obowiązku. Nie mówiąc już o tym, jak bardzo by ulżyło jej. Pewnej nocy miała koszmarny sen, w którym John zjawił się na scenie z czymś o wiele bardziej żenującym niż *Och, Angelina...*

Nie zdradziła się jednak ze swoim pomysłem. Mama była za Johnem i nie spodobałoby jej się to. A ona i pan Dunning nie wspominali już o Johnie, kiedy rozmawiali. Byłoby to niezręczne, a poza tym mieli tyle innych tematów.

Podsunęła Dunningowi talerz z ciasteczkami.

– To się rozwiąże samo. Nie warto się tym teraz zajmować.

Poprosiła go, aby zagrał swoją piosenkę raz jeszcze, zanim wyjdzie. I orzekła, że to idealne, absolutnie idealne.

– Z wyjątkiem...

Zawahała się. Z pewnością lord Tenyson nie pochwaliby jej za tę prośbę. Ale wobec sformułowań „westchnienia miłosne” i „pąsowe wargi” i mając za towarzysza Johna, nie Tenyssona, czy mogła postąpić inaczej?

– Panie Dunning, czy mógłby pan użyć innego imienia? Marion? Gwendolina?

Nie chcąc go urazić, odwróciła wzrok – powinien zrozumieć, że jej skromność nie może sobie pozwolić na żadną natarczywość. Jako prawdziwy dżentelmen zrozumiał.

– Marion, to brzmi dobrze. Ale czy zechce mi pani wyświadczyć podobną uprzejmość? Mnie też chodzi o imię. – I wyszeptał jej do ucha: – Noel. Od teraz już tylko Noel.

Sukces. Nagle desperacko zapragnęła samotności, chciała rozważyć, czy pocałunki Johna są aż tak wyjątkowe, jak myślała. I czy inny mężczyzna też mógłby ją tak całować. Na przykład syn baroneta?

Zmiana programu po odejściu pana Dunninga trwała tylko chwilę. Nie mogła usunąć występów stałych członków towarzystwa, a Johnowi na pewno na tym tak bardzo nie zależało.

A jeśli jednak – no to cóż, może jej wybaczyć. On po prostu musi jej przebaczyć.

– On musi za tobą szaleć – stwierdziła Sarah, gdy w niedzielne popołudnie zbierały z Betsey zioła w ogrodzie. – Przyjechał z Londynu, bił się o ciebie. Właściwie to żal takiego człowieka. – Uśmiechnęła się blado, gdy podeszła do Betsey, aby włożyć rośliny do jej koszyka.

Betsey podniosła do nosa gałązkę rozmarynu. Nie miała ochoty na prostowanie domysłów Sarah na temat nieodwzajemnionej miłości Avery’ego. Nie zamierzała jej też opowiadać o prozaicznych wypadkach swojego życia. Wolała po prostu milczeć.

O wiele więcej powiedziała tego wieczoru panu Jonesowi, więc o czym jeszcze miałyby opowiadać? O maszynie do pisania, której potrzebowała do ćwiczeń? O dodatkowych lekcjach maszynopisania? Wspomnienie o Thomasie Dellaforde, pomysły na dzieła literackie, które Avery nosił w głowie, i jeszcze te stosy książek, które kiedyś zawały jego mieszkanie?

Nie zamierzała ryzykować, że Sarah przestanie ją lubić, więc to, co się stało minionej nocy, zrelacjonowała jej możliwie ogólnikowo.

Sarah ze śmiechem zatknęła jej za ucho kwiat. Burza jej własnych loków już była obsypana drobnymi płatkami i listkami.

– No dobrze, powiem ci: on jest łobuzem najpodlejszego rodzaju i nie zamierzam mu współczuć.

– On mógłby... i nadal może zaszkodzić mojej pozycji, Sarah.

– Ja oczywiście chciałam powiedzieć, że to łobuz. Paskudny typ, bez cienia romantyzmu. – Zmarszczyła brwi, przypomniawszy sobie o czymś, co się wiązało z Betsey. – Twoje biedne usta. Jak w ogóle mogłaś...

Przerwała samej sobie i nastawiła ucha w stronę domu. Betsey przyjęła to z zadowoleniem, bo Sarah, ciekawa, kim jest Avery, zadawała jej coraz bardziej niewygodne pytania.

– Któregoś dnia skręcę mu kark. – Wrzuciła nożyce do koszyka i zaczęła ściągać rękawiczki. – Tysiąc razy mówiłam, żeby nie hałasował w domu, zwłaszcza kiedy są goście.

Ale kiedy jej syn ukazał się w drzwiach wychodzących na ogród, zdobyła się jedynie na słowa:

– Kochanie, czy nie lepiej, żebyś ten harmider urządził na dworze?

Choć wymownie podparła się pod boki.

Charlie był tak bardzo podekscytowany, że w ogóle nie zauważył jej gestu.

– John jest ze mną, czeka od frontu.

– Zaniosę zioła do kuchni – powiedziała Betsey.

Rano w kościele starała się unikać pana Jonesa. Wykorzystała jako osłonę Charliego i Sarah i trzymała się z dala od grupek parafian rozmawiających po nabożeństwie. Przy odrobinie szczęścia mogłaby teraz umknąć do swojego pokoju i nie natknąć się na niego.

Charlie powiedział:

– Niech sobie wędzną. To na panią John czeka. Pani idzie.

Spojrzała na Sarah i od razu tego pożałowała. Sarah wyglądała na bardzo zaciekawioną i... czujną. Kiedy jej opowiadała o tym, co zaszło między nią a panem Jonesem poprzedniego wieczoru, podsumowała to tak: „Jest mną rozczarowany”. To pojemne określenie zawierało wszystko – od jej pomyłki w kosztorysie po fakt, że nie była ani dziedziczką rodu, ani dziewicą.

Nie chciała być zmuszona do prawienia mu uprzejmości po tym, jak ją obraził i potraktował protekcyjnie. Nie zamierzała tracić ani chwili na rozpamiętywanie, jak głupio dała upust uczuciom.

Ale Charlie z niecierpliwością w głosie oznajmił:

– Powiedział, żebym panią przyprowadził.

A ona zrozumiała, że po prostu po nią posłano. Wyjęła z włosów kwiat od Sarah i pozwoliła, żeby Charlie poprowadził ją przez dom do frontowych drzwi, gdzie posłusznie, tak jak jej kazał, zamknęła oczy, i nie otworzyła ich, dopóki jej nie pozwolono.

Pan Jones przyprowadził dla niej rower. Czekał na nią z tym prezentem na drodze przed domem.

– Wybieraliśmy razem z Johnem – powiedział Charlie. – To z hotelu. Oni dostali nowe dla gości, a dla pani jest stary. Oni go pożyczają, ale nie jest tak naprawdę stary, bo jest jak nowy. Naprawiliśmy go dla pani. John i ja.

Pobiegł ścieżką i przeskoczył przez ogrodzenie. Nacisnął na przednią oponę.

– Pneumatyki!

Betsey podeszła do bramy i się zatrzymała. Patrzyła na rower.

– Pytałem Tobiasa – powiedział pan Jones. I dodał: – To rozwiąże problem pani powrotów z hotelu do domu, kiedy jest późno.

Zupełnie jakby to było tematem ich wczorajszej wieczornej rozmowy.

Gdy Charlie przekładał nogę przez ramę, Betsey wymruczała:

– I uchroni nas od marnowania czasu, prawda?

Pan Jones pokraśniał. Wyglądał jak mały chłopiec. Zarumieniony, stał w tej swojej marynarce, z czapką zsuniętą na tył głowy. Zupełnie inny od pana Jonesa w stroju wieczorowym, ale obie wersje wzbudzały w niej nieznośną tęsknotę. Była zadowolona, że potrafi sprawić, żeby się czuł niezręcznie, że mogła odebrać Johnowi Jonesowi jego pewność siebie.

– Ja nie umiem jeździć na rowerze, Charlie.

– To nic. John pani pokaże. Mnie nauczył i niech pani zobaczy, jak jeżdżę.

I popedałował. Wyglądał trochę niezdarnie, gdy tak wystawiał łokcie na zewnątrz i z wysiłkiem naciskał na pedały. Rower wychylał się raz w jedną, raz w drugą stronę. Charlie podskakiwał wraz z nim, dziwacznie pochylony, z łokciami i kolanami wystawionymi na zewnątrz.

Udawał niezdarę i robił to, tak jak mógłby udawać tylko ktoś bardzo wprawny.

Betsey patrzyła na pana Jonesa z ukosa. Uśmiechał się.

– A to spryciarz – powiedział.

– Widzi pani, dobry nauczyciel! – zawołał Charlie, skręcając. I znowu zaczął się poruszać z gracją. Puścił kierownicę i jechał ku nim z rękami wyciągniętymi na boki.

– Lubi się popisywać.

Pan Jones spojrział na nią zdziwiony.

– Sama go pani przekabaciła na swoją stronę.

– Nie wiem, o co panu chodzi.

– Chodzi mi o to, że pani jest czarodziejką, Dobs.

Wygłosił tę uwagę łagodnym tonem, ale Betsey i tak się najeżyła. Nie próbowała wpływać na Charliego, nie próbowała go zrazić do Johna. Miał szczęście, Charlie akurat do nich podjechał.

A może to ona miała szczęście. W każdym razie powstrzymała się od komentarza.

– Widzi pani? – powiedział Charlie, zsiadając z roweru. – To bardzo proste.

– Ja nie potrzebuję roweru – powiedziała. Wyszła przez bramę i przeciągnęła palcem po kierownicy.

– Tramwaj w zupełności mi wystarczy.

– Ale jazda na rowerze to przyjemność o wiele większa niż jeżdżenie starym tramwajem konnym – odparł Charlie.

– I nie trzeba płacić za przejazd – zauważył pan Jones. – Nie dlatego to mówię, że pani tak bardzo martwi się o wydatki, ale... – Położył rękę na ramieniu Charliego i pochylił się nad nim. – Widzisz to spojrzenie, Charlie? Zupełnie jakbyśmy kupili od niej krowę za ziarna fasoli zamiast złota. Chyba zapomniała, że w tej bajce ziarna okazały się magiczne.

– Były magiczne – potwierdził Charlie, jakby to był absolutnie sprawdzony fakt, niemający nic wspólnego ze zdewastowanym ogrodem, zaginionym synem i paskudnym olbrzymem. No i z tym, że to była bajka.

– Nie mam stroju do jazdy na rowerze.

Pan Jones prychnął, uznając ten argument za jeszcze bardziej niedorzeczny niż ziarna magicznej fasoli. Panie mają specjalne stroje na każdą okoliczność, gdy pokazują się publicznie i zapewne też na okazje prywatne, ale ona była po prostu Betsey Dobson.

– Poradzi sobie pani. Tylko proszę pamiętać o spódnicach.

Zrobił gest, jakby chciał zademonstrować, jak powinna je podwijać. Ale gdy ich oczy się spotkały, ten ruch wypadł dziwacznie i dwuznacznie, więc znowu poczerwieniał.

Obiema rękami ściągnął z głowy czapkę i przytrzymał bramę.

– No to proszę spróbować, panno Dobson – powiedział bardzo angielskim tonem zwierznika. – Popołudnie zaraz nam ucieknie.

Chciała się sprzeciwić, przypomnieć mu, że jest niedziela i że nie ma prawa wymagać od niej, żeby się uczyła jeździć na rowerze, ani posyłać Charliego, aby ją przyprowadzał, bo takie ma widzimisie. Nie

liczyło się to, że jazda na rowerze była przyjemnym zajęciem, którego od dawna zamierzała spróbować. Teraz chciała po prostu pokazać, że ma trudny charakter.

Trochę tortur. Po prostu po to, żeby wyrównać rachunki.

– No dobrze. Niech to diabli – powiedziała i przekroczyła bramę.

No cóż, sprawiedliwość to mimo wszystko luksus, po jej nocnych występach jeszcze kosztowniejszy. Gdyby była bardziej uparta, niż on zdołałby znieść, to co by z tego wyszło?

Sarah zawołała Charliego do domu. Pan Jones dopasowywał dla Betsey siodełko. A potem stanął okrakiem nad przednim kołem, aby stabilizować rower, kiedy wsiadała, żeby sprawdzić, czy jest odpowiednio wysoko. Wyraźnie zakłopotany przyglądał się, czy nogi ma zgięte pod właściwym kątem, i nawet uniósł rąbek spódnicy, aby sprawdzić dokładniej.

– Proszę zejść – zakomenderował. – Musi być wyżej. Proszę iść i założyć buty na niższym obcasie, a ja to w tym czasie zmienię.

– Dam radę w tych butach.

Uniósł brwi. Wyraźnie nie miał zamiaru powtarzać ani domagać się od niej wyjaśnień.

– Nie mam innych butów.

– W tych też będzie dobrze – zgodził się. – Chodzi tylko o wygodę.

Chwilę później, nadal zajęty regulowaniem siodełka, wymruczał:

– Zniknęła pani gdzieś po kościele.

Nie spytał dlaczego ani dokąd poszła, więc nie odpowiedziała. Po drugiej próbie siodełko było dopasowane, więc poszli oboje, każde ze swoim rowerem, na puste pole sąsiada, gdzie według pana Jonesa miały być najlepsze warunki do odbycia pierwszej lekcji. Natychmiast zapytała, dlaczego nie może spróbować na drodze. Na drodze mógłby ją popchnąć w dół zbocza.

Odpowiedział, że pole opada łagodnie, więc tam będzie jej łatwiej się uczyć. A poza tym on będzie cały czas obok upierała się, że lepiej jej pójdzie na drodze. Zaczął jej objaśniać zasady ruchu, mówić o tarcu i równowadze, i o tym, w jaki sposób nachylenie wzgórza zwiększy siłę ciężenia.

Ona odpowiedziała, że wiele razy widziała rowery na drodze, ale na polu nigdy.

– Trawa złagodzi lądowanie, gdyby pani upadła.

– Postanowiłam nie spadać.

– No to bez różnicy. I tak zrobimy tak, jak ja chcę.

Nic nie odpowiedziała, a przynajmniej nie głośno.

– Bo ja to już sprawdziłem w praktyce – dodał, a w jego głosie było słycać ton tryumfu, podkreślony ostrym walijskim akcentem: samogłoski ślizgały się jak buty na sypkim piasku.

– Rozumiem. Panie Jones, ma pan... absolutną rację.

Uśmiechnęła się do niego zaciśniętymi ustami.

– O, cholera – burknął, gdy podczas marszu zawadził piszczelą o pedał. – Łapanie równowagi. Nauczy się pani tego, ale kiedy pani poczuje, że się chwieje, to musi pani pamiętać, że koło należy skrócić w stronę, w którą się leci. Skręt w stronę przeciwną to murowany upadek.

Należy cały czas trzymać kierownicę, nie wystawiać rąk, żeby się osłonić. W ten sposób można sobie złamać nadgarstek albo zrobić jeszcze większą krzywdę.

Nie miała ochoty niczego sobie łamać. Odrzuciła przekorę i postanowiła słuchać go uważnie. Był, tak jak mówił Charlie, dobrym nauczycielem. Jej postępy pochłonęły go całkowicie, do tego stopnia, że zapomniał o skrępowaniu i przysunął się bliżej, żeby jej pomóc utrzymywać równowagę. Jedną ręką przytrzymał rower z tyłu, drugą z przodu. Kiedy w końcu udało jej się przejechać spory kawałek bez jego pomocy i to całkiem pewnie, nie posiadał się z radości. Biegł do niej, gdy zatrzymała się na zboczu, i wołał, że wiedział, iż sobie poradzi.

Niby skąd miał to wiedzieć? Sama nie wiedziała. Ale ona też dała się ponieść euforii, zdumiona własnymi postęпами, upojona jego pochwałami, wzmocniona nimi jak nigdy dotąd niepróbowanym przysmakiem. Pozwolił jej spróbować jechać po drodze, a ona ochno przystała na propozycję dłuższej przejażdżki. Pojechali w stronę Wzgórza Zamkowego, tam, gdzie nad morzem górowały ruiny wieży Iden.

Nie zatrzymał się, mimo że podjazd robił się coraz bardziej stromy. Betsey zmagala się z rowerem i usiłowała nadążyć za Johnem. Rozbolały ją uda, a entuzjazm znikł. Gdy John się obejrzał, zauważył, że w zaciśniętych ustach miele przekleństwo. Zaczął pedałowac wolniej, ale nie widać było po nim zmęczenia. Ona walczyła nadal, choć wiedziała, że słabnie, a gdy mimo że pedałowala, poczuła, że coraz trudniej jej panować nad rowerem, poddała się.

– Mam dość! – wydyszała, schodząc z roweru w sposób, jakiego na pewno jej nie uczył.

– Na Boga! – wykrzyknął i zeskoczył ze swojego. – Dobs! Nie sądziłem, że jest pani aż tak wytrzymała.

Brakowało jej oddechu. Nie mogła odpowiedzieć. Podeszła do Johna i zapytała, rzucając pojedyncze słowa:

– To dlaczego... pan się... nie... zatrzymał?

– Chciałem jechać tak długo jak pani. Na Boga! – Zdjął czapkę i przeciągnął dłonią po brwiach i po włosach. – Nie przypuszczałem, że ma pani serce konia wyścigowego.

Zachnęła się, gdy spytał, czy może dalej jechać pod górę.

– Możemy obejrzeć ruiny. To już niedaleko – powiedział.

– Widzę je i stąd. Widzę je też z hotelu. Widzę je z każdego miejsca w Idensea, na miłość boską. Ale nie widzę powodu, żebym miała dostać apopleksji, pedałowac na to wzgórze. I już nie mogę. Po prostu nie mogę.

– Możemy pójść pieszo. Dobs, jak nie wejdziemy na górę, to nie będziemy mogli zjechać na dół. – Pochylił się ku niej nad kierownicą swojego roweru i posłał jej przymilny uśmiech. – Pani, zwłaszcza pani, nie powinna rezygnować z takiej jazdy.

Betsey zaczęła się zastanawiać. Raz po raz łapała oddech. Wspaniały zjazd w dół na rowerze, zielony blask oczu Johna... Zastanawiała się o jedną chwilę za długo, chwilę, która sprawiła, że te dwie tak różne rzeczy stały się jedną, tak bardzo przez nią pożądaną. Patrząc przez ramię w dal, na schodzącą w dół drogę, starała się je rozdzielić.

– Czuję, że się nie boisz – powiedział pan Jones. – Ale jeśli jest inaczej, to cię nie zmuszam.

Dotknął jej twarzy dwoma palcami i delikatnie odwrócił w stronę drogi, którą mieli przed sobą.

Przez jej ciało przebiegł dreszcz. Było to zbyt podobne do tego, co zrobił ubiegłej nocy, zbyt wiele nad to, do czego miał prawo. I zbyt mało, by mogło cokolwiek znaczyć. Coś, czemu nie potrafiła odmówić, z powodu własnych odczuć i dlatego, że chciała, żeby mógł zakończyć tym swoim bo-ja-tak-powiedziałem.

Odchyliła głowę i odsunęła jego rękę, a potem zaczęła się wspinać pod górę.

– W porządku. Niech to licho.



Kiedy się pisze do dżentelmena, nigdy nie wolno zapomnieć o W. P., Sz. P. i innych zwrotach grzecznościowych.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

– Teraz widać Iden Hall – powiedział, gdy podchodzili pod szczyt i Betsey przystanąła.

Dom sir Altona stał na odległym wzgórzu: szara budowla, której idealną symetrię podkreślało rozmieszczenie kominów, kolumn i rzędów okien.

– Jutro pojedę sama – powiedziała. – Nie musisz przyjeżdżać.

Taką decyzję podjęła ostatniej nocy, gdy oboje szli w milczeniu do domu Sarah. O wiele za mocno chciała, żeby jej spieszył z pomocą.

Była przygotowana na to, że będzie musiała bronić tej decyzji, ale on się nie sprzeciwił.

Zapytał tylko:

– Dlaczego chcesz tak zrobić?

– Bo to ja ponoszę odpowiedzialność. Chodzi o moje plany, moje rozliczenia. To moja wina.

– Westchnęła. – Mogłam jakoś udobruchać Avery’ego, kiedy przyszedł do pawilonu. Chciał mi powiedzieć, że już rozmawiał z dyrektorem szkoły w Parkhurst o pracy. Mogłam mu poświęcić dwie minuty i go wysłuchać.

– Miałaś czas na pogawędki?

Był zirytowany. Zaskoczyło ją to. Zapewne wspomnienie o Averym wywołało tę irytację.

No cóż, jej londyński kochanek paskudnie wybrał moment. Ona była zajęta obowiązkami, tuzinem szczegółów, setką błędów, które mogła popełnić. Nie miała czasu słuchać i oceniać jego intencji i odczuć. Po pierwsze, jego tam w ogóle nie powinno być. Po drugie, pił. Oczy mu błyszczały od alkoholu.

– Nie – odpowiedziała. – Nie miałam.

– Tak też myślałem.

Oparł oba rowery o żywopłot i poprowadził ją w stronę ruin, znów stromo wznoszącą się ścieżką. Nic dziwnego, że przybywający tam wycieczkowicze i urlopowicze wydawali się ospali – wszyscy byli zmęczeni podejściem i oszołomieni musnięciami bryzy. Położył znowu rękę na mojej – pomyślała Betsey. Wtedy by ją ujęła w obie dłonie i powiedziała, jak bardzo jest mu wdzięczna za to, że złożył cały świat u jej stóp.

Kamienie wieży były tak poszarpane, że wyglądała jak wyciągnięty z morza porośły pąklami wrak. Przez łukowate okna można było dostrzec postrzępione kawałki nieba. Od wieży odchodziły kilkumetrowej długości fragmenty fundamentów i murów. Tworzyły nieregularny wzór na porośniętej trawą i stokrotkami ziemi. Gdy mijali jeden z wyższych ułomków muru, pan Jones położył na nim dłoń. Ten gest był tak wymowny, że poczuła się wręcz zmuszona zrobić to samo.

Ciepło muru było zwodnicze, z wnętrza wydobywały się chłód i wilgoć.

Sięgnął do kieszeni płaszcza. Na złożonej kartce widniało nazwisko: Betsey Dobson, wypisane ręką Avery'ego.

– Przyszło do Swana dziś rano. Chciałem to pani dać w czasie nabożeństwa...

Ale ona wiedziała, że żadna pora nie byłaby odpowiednia.

– Pewnie chce pieniędzy. – Starła się nadać swojemu głosowi obojętny ton, ale jej dłoń z kartką zwinęła się w pięść.

Ruszyła szybko do przodu. Kiedy wspinała się na ostatnią stromiznę, tę, na której stała wieża, uniosła spódnicę. Pan Jones nie próbował dotrzymać jej kroku. Przechadzała się sama wśród ruin – które dzięki Ethanowi Noonanowi oglądała dotychczas tylko z oddali. Znalazła miejsce do siedzenia na kamieniu, który kiedyś zapewne był okazałym elementem architektury, i rozłożyła kartkę.

Dwadzieścia jeden szylingów. Sugerował zaliczkę z pensji albo pożyczkę. Betsey na pewno zna kogoś, kto jej nie odmówi. On poświęcił wszystko, aby pojechać za nią na tę cholerną zabawę.

Jeśli pozwoli mu dziesięć dni gnić w ciupie z powodu tego nieporozumienia, właściwie wypadku, to znaczy, że jest wiedźmą, zimną, mściwą Morganą Le Fay.

No więc niech tak będzie. Przedała kartkę na pół, a potem jeszcze raz na pół. Czuła, że jest zdesperowany. Wiedziała, że jeśli teraz dokona pewnych zmian w starannie zaplanowanym budżecie i skromnych planach, będzie mogła, porównując jej obecną sytuację do tej sprzed jakichś dwóch tygodni, mu pomóc. Ale kawałki papieru leżały na kupce na jej kolanach.

Dwoje dzieci przebiegło obok, krzycząc coś o piratach. Trzecie podążyło za nimi i upadłoby głową

na kamień, gdyby Betsey na nim nie siedziała. Mała dziewczynka zaczęła o jej spódnicę i skrawki papieru poleciały z wiatrem.

– Oj, psze pani, czy to się da naprawić?

To było szpadą zmajstrowaną z dwóch kijków związanych białą tasiemką. Betsey wzięła to do ręki i całkiem udanie przywróciła do pierwotnego stanu. Mała obserwowała ją i ciężko dyszała u jej kolan.

– No i gotowe – powiedziała Betsey, pokazując swoje dzieło. – A teraz strzeż się piratów.

– Psze pani, ja jestem piratem – powiedziała dziewczynka.

– Ach! No to powodzenia.

Dziewczynka pobiegła. Kawałki papieru przywarły do trawy, kamieni, a nawet nosków butów pana Jonesa. Betsey nie zauważyła, że stoi kilka metrów od niej, między węgarami zrujnowanego łuku.

– Ma pani braci albo siostry? – zapytał, gdy podeszła do niego. Wyszli spomiędzy ruin na trawę. Kilku urlopowiczów niespiesznie kończyło popołudniowy piknik.

– Siostrę w Londynie. I brata, gdzieś w świecie. Mamy nadzieję, że żyje. Chyba jest na morzu, ale od lat nie dostałybyśmy żadnych wieści. A pan?

– Siedem sióstr – odpowiedział z uśmiechem. – Brat Owen będzie niedługo miał cztery lata, dwaj inni umarli, ale ja znałem tylko jednego: Daveya, czyli Daffyda. Poszedł do nieba, kiedy miałem dwanaście lat.

Zanim zdążyła okazać współczucie, dodał:

– Jestem głodny. Sądzi pani, że Sarah będzie miała dla mnie herbatę przed lekcją?

Miał na myśli lekcję muzyki, ćwiczenie tego kawałka, który miał zagrać na przyjęciu u panny Gilbey. Betsey często słuchała go ze swojego okna na trzecim piętrze albo wdrapywała się na dach, zwłaszcza kiedy śpiewał. Jego głos, niski, głęboki i wibrujący, zdradzał, że za nic nie może się skupić. Jego gra – wręcz przeciwnie. Ale przez ostatnie trzy tygodnie był bardzo pilny.

Najwyraźniej starał się, żeby panna Gilbey się nie zorientowała, ile wysiłku włożył w to, żeby ją zadowolić.

Betsey mogłaby mu powiedzieć, że to zła strategia. Wszystkie te wieczory, słuchanie, jak uparcie poprawia każdy błąd i stara się zatrzeć wrażenie, że go to kosztuje dużo wysiłku – gdyby panna Gilbey była tu, na tym dachu, każda fałszywa nuta sprawiałaby tylko, że stawałby się jej coraz bliższy.

– Jestem pewna, że Sarah zadba, żeby pan miał wszystko, czego pan sobie zażyczy – powiedziała.

– Połowę z tego Dora Pink zabierze z powrotem.

– Nie, jeśli wsunie jej pan w dłoń kilka monet. Często pana za to wychwala.

– Mam nadzieję, że nie przed Sarah. – Wyciągnął się na trawie. Ułożył się na boku i spojrzał

na port. – Pewnego dnia będę bogaty i pójdę do domu w południe, w środę. Na wspianiałą ucztę przy herbacie – trzy, cztery rodzaje dżemów, piramida kanapek, a chłopcy i psy będą walczyć na dywanie o ostatniego herbatnika.

– Chłopcy i psy – powtórzyła Betsey. Zaśmiała się i złapała oddech. – Posiadanie sióstr zmęczyło pana na tyle, że nie chce pan mieć córek, czy tak?

– Ach, córki. Będą mi siadywały na kolanach i dostaną tyle słodyczy, ile tylko zapragną. – Spojrzał na nią, osłaniając ręką oczy. – Dobrze by było, gdybyś trochę odpoczęła, Dobs – powiedział, a gdy się zawahała, niepewna, czy usiąść na trawie, dodał: – Nie musisz się martwić o tę suknię. Nie widać na niej brudu.

– Co za przyjemne zaproszenie.

– Pardon! Pomyślałem, że o tym właśnie myślisz.

Usiadła obok niego i – ponieważ odrobina tortur wydała jej się stosowna – nie wygładziła swojej praktycznej i idealnie czystej sukni z brązowego tweedu. Wyciągnęła nogi i nie zasłoniła kostek. Trzymała je tuż przed jego nosem.

Położył się na plecach i naciągnął czapkę, aby zasłonić oczy. Uznała to za punkt dla siebie.

– Moja mama przejmowała się takimi rzeczami – powiedział. – Pamiętam, jak wybierała każdą sztukę materiału na nasze ubrania. Siostry zawsze rozpaczały, bo chciały mieć coś ładniejszego. – Zaśmiał się cicho, a potem podłożył sobie ręce pod głowę. – Raz na Boże Narodzenie, kiedy mnie już z nimi nie było – wcześniej opuściłem dom – miałem trochę pieniędzy, żeby posłać im jakiś prezent. I znalazłem belę materiału, muślin, ale ładny. Niebieski, taki jak śnieg rano, wiesz?

Betsey pomyślała, że chyba nigdy nie widziała takiego śniegu. Ale daleko w dole morze mieniło się bielą, żółcią i lawendą, więc odpowiedziała:

– Tak.

– Myślałem o nowej sukience dla matki. Kupiłem to i wysłałem jej. Po latach przyjechałem i jak myślisz, co zobaczyłem?

– Zrobiła z tego firanki.

Drgnął i odwrócił się na brzuch, żeby ją lepiej widzieć.

– Tak jest, ty czarownico. Śnieżnobłękitne zasłony, we wszystkich oknach małego domku.

Betsey się roześmiała.

– Jestem pewna, że cieszyła się z nich tak samo, jak by się cieszyła z nowego ubrania. A może bardziej, bo cały czas ich używała.

– Nie, nie zrozumiałaś. Były wszędzie. Nawet w oknach innych domów. Zachodzę do pastora i widzę błękitne firanki. Idę po jajka do kurnika, a tam... śnieżnobłękitne firanki.

– Przesadzasz! – powiedziała Betsey. Śmiała się już na całe gardło.

– Ja przesadzam! Przez sześć miesięcy żadna kobieta w wiosce nie miała niebieskich nici! Mamo, mówię do niej. Chciałem, żebyś miała sukienkę, a nie firanki stąd do Kanału Bristolskiego.

– I co ona na to?

– Patrzyła na mnie tak, jakby mi brakowało piątej klepki. Pomyśl, jak to by się brudziło, Iefan, mój synu. Pomyśl o brudzie.

Przewrócił się znowu na plecy i Betsey mogła zobaczyć, jak jego spoczywająca na brzuchu ręka unosi się i opada w rytmie śmiechu.

– Dobry Boże! – Trząsł się już wolniej, a na koniec wypuścił całe powietrze. – Błogosław, Boże, moją matkę – powiedział półgłosem.

Zerwała długie źdźbło trawy i zaczęła nim owijać palce, powściągając w ten sposób natrętą chęć zagłębienia ich w ciemnej czuprynie leżącej obok niej na trawie, lśniącej jedwabście na tle zieleni.

– Czy w związku z tym następnym razem posłałeś jej brązowy tweed? – zapytała, choć przypuszczała, że i tym razem odpowiedź jest oczywista.

– Nie, nigdy więcej żadnych materiałów. Wysłałem jej gotową sukienkę na ślub mojej siostry Mair. Była żółtawa, taki odcień, nawet nie tyle żółta, ile kremowa, jak masło.

– I nosiła ją?

– Myślę, że tak, chyba nawet dość często. Wiem, że zrobiła sobie w niej zdjęcie, z ojcem i z najmłodszymi. I w niej ją pochowali, teraz, w marcu tego roku.

Betsey drgnęła, źdźbło upadło jej na podolek. Schowała stopy pod spódnicę.

– Och, jak mi przykro. Nie wiedziałam.

– Moje siostry powiedziały mi, co zrobiły, kiedy przyjechałem na pogrzeb, a ja zacząłem się śmiać. Były coraz bardziej wściekłe, a ja się śmiałem, bo słyszałem tylko jedno: jak matka robi mi wyrzuty z zaświatów. *Iefan, mój synu, pomyśl, jak to się ubrudzi.* A potem płakałem, że nikt mnie nie zawiadomił i przyjechałem za późno.

Wydał odgłos, jakby znowu miał się rozpłakać. Znow poczuła, że ma ochotę dotknąć jego włosów, ale tym razem z innego powodu. Gdyby go dotknęła, byłoby to spełnieniem jego oczekiwań, nie jej. Tylko przy skroni, tak łagodnie, jakby chciała powiedzieć: Rozumiem, boleję nad twoją stratą.

Spomiędzy ruin dobiegły głosy. W oddali zastukotał pociąg. Nad trawą zabrzczała pszczoła, ucichła i znów zabrzczała.

– Myślę, że tego dnia, kiedy zrobiła sobie w tej sukni zdjęcie, musiała się czuć jak księżna.

Pociąg było słychać coraz słabiej.

– Tak myślisz?

– O tak.

Po chwili odwrócił się znowu i podparł na łokciu, żeby na nią spojrzeć. A ona nagle poczuła przemożną chęć, która całkiem zatarła chwilowe współczucie: chciała odpowiedzieć na każde pytanie czające się w jego oczach. Mężczyźni nieraz na nią patrzyli, patrzyli różnie, ale to uczucie, że jest widziana...

Chciała więcej. Chciała, żeby ten człowiek, właśnie ten, ją poznał. Nie mogła się powstrzymać od zagryzania wargi, ale poza tym siedziała spokojnie. Pragnęła, żeby nie przestawał patrzeć.

– Dzięki. Za rower. Za lekcję.

– Większość ludzi chce więcej niż jedną lekcję.

– Podobało mi się.

– Wiem. To dobrze, chciałem powiedzieć. To znaczy wiedziałem, że ci się uda. Wierzyłem w to.

Tak. Tak powiedział podczas lekcji: wiedziałem, że potrafisz. A ostatniej nocy: wiedziałem, do czego jesteś zdolna. Coś radosnego zaczęło wzbierać w jej piersi.

– Iefan to twoje walijskie imię?

– Iefan Rhys-Jones. Iefan to po walijsku tyle co John.

– Iefan.

Objęła kolana i oparła o nie klatkę piersiową. Kosmyki tweedu drażniły jej skórę. Przypominało to szorstkość jego policzka, którą poznała poprzedniego wieczoru.

– Iefan?

– Tak? – odpowiedział, ale tak naprawdę nie było nic, co chciałaby mu w tamtej chwili powiedzieć. Pragnęła tylko wymówić jego imię. I go pocałować. To wszystko. Wymówić imię, pocałować i jeszcze raz dotknąć jego włosów. To wszystko.

Wyciągnęła rękę. Jej palce delikatnie złapały wystający spod czapki kosmyk ciemnych włosów.

– Trawa – wyjaśniła i strzepnęła palcami, jakby strącała na ziemię suche źdźbło.

Nie poruszył się. Ale zapytał:

– Jeszcze?

– Mhm... – skłamała i znowu dotknęła jego włosów, a potem ramienia. Strząsała nieistniejące trawki.

– Na tobie też – powiedział, a ona oponowała, choć przecież wcale nie leżała na trawie.

Usiadł, wziął w palce opadający pukiel jej włosów, przełożył go na właściwą stronę i założył jej za ucho. Pasma opadło znowu, więc zrobił to jeszcze raz, tym razem staranniej.

– Jeszcze?

Wyglądało to tak, jakby się zastanawiał, co odpowiedzieć. Nigdy nie miała do czynienia z mężczyzną, który by się tak długo zastanawiał nad tym, czy chce ją pocałować, który by robił

wokół tego tyle zamieszania i który by wyglądał na przegranego. Może wahał się specjalnie, ale w tej chwili czuła, że dotychczas była oszukiwana. Wszystko, co chciała powiedzieć, to te same szalone słowa, które wypowiedziała poprzedniej nocy: Myślę, że jest pan cudowny.

– Jak twoja... – Jego palec zawisł nad jej wargą.

– Lepiej.

– Złapałaś trochę słońca. Tutaj. – Znowu jej dotknął. Palec musnął grzbiet jej nosa.

Wstrzymała oddech i znieruchomiała: powiedział „I tutaj” i po kolei dotknął jej policzków.

– Nie wzięłam kapelusza.

On nie jest dla niej. Tak powiedział. A może jest. Wyglądało na to, że oboje myśleli, że może jednak jest, więc zdjęła mu z głowy czapkę i sama ją założyła. Wpadła jej aż na oczy. Ze śmiechem spoglądała spod daszka, przesuwała palcami wzdłuż brzegu.

Z przerażeniem stwierdziła, że ta odrobina kokieterii to był o jeden krok za daleko. Pan Jones odwrócił się od niej, z powrotem w stronę morza. Przez jakiś czas się nie odzywał, tylko wpatrywał w swoje splecione palce. Ona, zasłonięta jego czapką, zastygła w niepewności.

– Sir Alton jest kompozytorem, wiedziałaś o tym?

Pomyślała, że próbuje zatrzeć wrażenia ostatnich kilku minut i przywrócić poprzedni nastrój. To by oznaczało, że jest dobrym uczniem. Z pewnością była to lepsza taktyka, niż gdyby zaczął jej doradzać, żeby sobie uszyła wieczorową suknię.

– Nie.

– No więc jest. To za to dostał ten swój tytuł, za muzykę.

– I zostawił to, żeby otworzyć hotel?

– Nie dlatego, że chciał zostać biznesmenem. Ja to widzę tak, że on nie znosi spraw finansowych. Był prawie bankrutem. Wszystko, co miał, to ta posiadłość w Idensea. Jego druga żona, lady Dunning, to ona miała pieniądze.

– Bogata żona to jak spełnienie próśb do Pana Boga.

Zapadła cisza. Chyba przez tych kilka chwil na nią patrzył. A ona patrzyła na swoje palce. Rozgarniała nimi trawę. Twarz nadal osłaniała jej czapka.

– Pewnie sir Alton się o to modlił – powiedział spokojnie. – Ale tam chodziło nie tylko o pieniądze. Lady Dunning ma wycucie, i to w każdej sprawie. Wszystko, co w tym hotelu najlepsze, co tak się ludziom podoba i co sprawia, że chcą tam wracać, to jej dzieło. To ona wiedziała, czym Idensea może się stać, i przekonała go, że to warte ryzyka. A on tak się boi ryzyka.

I pamiętaj, że ci o tym mówię, Betsey.

Usłyszała swoje imię i uniosła głowę. Poczuła, że powinna była słuchać uważniej i że ta opowieść o sir Altonie nie jest tylko pustą gadaniną.

Pan Jones zsunął jej czapkę, odsłaniając twarz.

– Szybko się przekonałem, że jego decyzje są podyktowane strachem i że dozjuje zaufanie tak jak Dora Pink wydziela potrawkę z jagnięciny. Ufa lady Dunning, Tobiasowi i kilku członkom zarządu. Mnie też.

A więc szaleństwem było pójście do sir Altona samej. To miał na myśli. Nie nazwał jej szaloną, nie powiedział, żeby nie szła, ale to właśnie miał na myśli.

Zdjęła z głowy jego czapkę i położyła na trawie między nimi. Szybko położył na niej rękę i zamarł.

– Wiem coś jeszcze. To może przyprawić o bicie serca: pójście samej w takie miejsce jak Iden Hall i zastanawianie się, czy zapukać do drzwi frontowych, czy do tych dla służby.

Nie miała wątpliwości, które on by wybrał. Wiedziała, że miał rację, że nie powinna iść sama. I że cokolwiek powie ona, będzie bez znaczenia, o ile jego tam nie będzie i nie będzie mógł tego potwierdzić.

Równie dobrze mogłaby walczyć z wiatrakami. Jeśli ma nadzieję zachować pracę, powinna teraz powiedzieć: Tak chciałabym, żebyś ze mną tam był.

– Rozumiem. – Wstała i spojrzała w stronę żywopłotu, przy którym zostawili rowery. – Myślę, że chyba będzie lepiej, jeśli jutro jednak przyjdiesz – rzuciła przez ramię.

Co za głupota. Nie umiała mu tego powiedzieć prosto w oczy. Myślała, że jest silniejsza. Znowu założyła jego czapkę. Ale głupio.

Gdy brała rower, usłyszała, że John jest tuż za nią i mówi, żeby jeszcze nie wsiadała, bo część drogi w dół pokonają pieszo.

Odwróciła się do niego.

– Mówiłeś, że zjedziemy.

– Zapomniałem, jak tu jest stromo. Za stromo, a ty dopiero zaczęłaś jeździć. Nawet nie wiesz, jak tu się można rozpędzić.

Nie było sensu dyskutować. Nie zamierzała kwestionować jego doświadczenia, ale wiedziała, że jest

gotowa wsiąść na rower tam, na wzgórzu i zrobić coś, co wydawało się być poza jego zasięgiem.

– Rozumiem. Dobrze.

Przyprowadził jej rower i odwrócił się, żeby wziąć swój.

Wsiadła i popędziła w dół. Nie zdążyłby nawet przypomnieć jej, co należy zrobić z kierownicą, jeśli się wie, że zza chwilę się upadnie. Była jak wiedźma umykająca na miotle.

Rower nie miał hamulców. Hamulec to zbędna dodatkowa waga, tak powiedział pan Jones, a poza tym niszczy opony. Zademonstrował jej, jak się pedałuje do tyłu, żeby spowolnić bieg. Ona miała o tym blade pojęcie. Widziała wzgórze, ciągle w oddali, i nie martwiła się tym – przeciwnie, była zadowolona, że rower tak wspaniale ją niesie. Rękawy trzepotały o jej ramiona, wiatr odsłonił

jej nogi do kolan, a szpilki nie zdołały utrzymać na miejscu jej włosów. Pędziła w uniesieniu. W jej ramionach, miednicy i kręgosłupie wibrowały wszystkie części dwukołowej maszyny. I wtedy zrozumiała, że kontrola nad rowerem jest iluzją i że niebezpieczeństwo może być blisko.

No cóż, czy nie tak jest zawsze? Tyle że nie zawsze tak emocjonująco. Ten pęd mógł się zakończyć śmiercią albo utratą pracy, tego była pewna, a mimo to trzymała stopy na pedałach.

Teren okazał się płaski. Słyszała, że pan Jones pedałuje za nią i pyta, czy zdaje sobie sprawę, że ma więcej szczęścia niż rozumu.

– I owszem, panie Jones. Wiem.

Spojrzała na niego, ale za żadne skarby nie potrafiła ukryć, że pod przykrywką skruchy jest zachwycona. Widziała jego wściekłość, ale widziała też, że mu przechodzi...

Musiła patrzeć, dokąd jedzie. Cokolwiek zastępowało złość, dla niej było nieuchwytnie. Ale on słabo udawał. Kiedy później próbowała opisać swoje rowerowe przygody w liście do Caroline, o nim nie wspomniała ani słowem.



Pracodawca będzie cię cenił bardziej i będzie ci płacił więcej, jeśli zobaczy, że troszczysz się o jego własność.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

W poniedziałek rano Betsey dowiedziała się, że podczas wizyty w Iden Hall jej i panu Jonesowi będzie towarzyszył pan Seiler. Wezwał ją do swojego biura, żeby zobaczyć, co przygotowała, i podarował jej prosty, ale ładny grzebień.

– Moja żona zwykle daje takie swoim pracownikom – powiedział, ale nie sugerował, że ma z niego zrobić użytek natychmiast, choć pokojówki w Swan Park wyglądały zawsze jak spod z igły.

Po południu pojechali na budowę Kursaalu, żeby zabrać pana Jonesa. Do szukania go pan Seiler musiał zatrudnić więcej niż jednego robotnika – teren był rozległy. Mieściły się tam między innymi sala koncertowa, ogród zimowy i wrotkarnia. Wszystko miało zostać oddane do użytku w sierpniu. Betsey

pomyślała, że chciałaby, żeby wszystkie te atrakcje były czynne już teraz, mogłaby dzięki temu pobierać od wycieczek wyższe opłaty. I choć teraz Kursaal otaczał bezmiar porytego koleinami błota, prezentował się okazale: wznosił się w górę sześciobocznymi, coraz to mniejszymi piętrami z jasnego kamienia, z wieloma frontonami i kolumnami. Było to dość zabawne nawiązanie do architektury greckiej. Najniższą kondygnację tworzyły skrzydła, całe ze stali i szkła, odchodzące w bok od głównego wejścia. Za nim wznosiło się ogromne beczkowe sklepienie.

Betsey zobaczyła pana Jonesa: wychynął spod rusztowania z płaszczem przerzuconym przez ramię. Spodobał jej się ten widok. Nie przestając rozmawiać z robotnikiem, strzepywał z ubrania kurz. Kursaal stał na wschód od molo, bliżej Swan Parku, na klifie ponad Esplanadą. Betsey jeszcze nigdy nie była tak blisko. Wszystko powstawało pod nadzorem i dykcją pana Jonesa, a sir Alton wyciąga go stąd z powodu tej przepychanki z Averym. Zdała sobie z tego sprawę i poczuła, że nie obawia się już sir Altona tak bardzo. Miejsce obaw zajęła zwykła irytacja.

Pan Jones wskoczył do powozu jakby od niechcienia, rzucił jakieś powitanie i wspomniął coś o przewodach elektrycznych. Zwrócił się do pana Seilera:

– Jak wyglądam?

Betsey słuchała tego z lekkim rozbawieniem. O ile mogła zauważyć, pan Seiler ledwie skinął głową, ale pan Jones wyjął chusteczkę i zaczął przecierać buty.

A potem spojrzał groźnie na nią.

– Gdzie pani służbowy strój?

– Wymaga naprawy – odpowiedziała zaskoczona. – Zresztą on jest tylko na soboty. A poza tym dlaczego pan o to pyta?

– Panno Dobson – wymruczał pan Seiler.

Powiedziała to zbyt ostro. To te nerwy. Ale tak naprawdę... po co on o to pyta?

– Proszę wybaczyć.

Pan Seiler spojrzał na nią życzliwie.

– Strój ma pani odpowiedni i wygląda pani dobrze.

– Nie chodziło mi o to – pan Jones szarpał się z mankietami koszuli – że nie jest... że pani nie jest... no, chodzi o to, że uniform... – Chrząknął, położył wyciągniętą rękę na oparciu sąsiedniego pustego siedzenia i zapatrzył się na coś w oddali. – Tak byłoby dla pani lepiej.

Betsey niemal zaczęła żałować, że ubrała się inaczej. To może być jej ostatnia szansa. A co będzie, jeśli ją zwolnią i nie zapłacą?

Poza tym uniform dodałby jej pewności siebie już w chwili, gdy lokaj wprowadzałby ich do Iden Hall. Dwór nie był wprawdzie tak wspaniały jak Swan Park, ale poczuła się tak samo onieśmielona jak wtedy, pierwszego dnia w hotelu. Może nawet bardziej, bo wiedziała, że tam wszystko jest przeznaczone tylko dla jednego człowieka – i dla jego rodziny.

Do tego trzeba dodać to, że najwyraźniej jej nie oczekiwano. Pan Seiler musiał ją przedstawiać, tak jakby ona i sir Alton nie poznali się już dwa dni wcześniej. Ale sir Alton zapewnił, że bardzo mu przyjemnie, a nawet kazał przynieść krzesło dla panny... panny Dobson, i sam wskazał, gdzie należy je postawić, tuż przed jego biurkiem, delikatnie na granicy swobodnej konwersacji i służbowej rozmowy.

Z rozmysłem porozkładał na biurku gazety, otwarte na stronach, na których donoszono o incydencie, awanturze, nieporządkach albo wręcz o zamieszkach. Nie było wśród nich gazet londyńskich, tylko lokalne. Donoszono o tym na pierwszej stronie „Gazetteera”. W innych tytułach znalazły się mniej sensacyjne notatki, po kilka wierszy wśród doniesień z kurortu. Pan Jones przekazał jej teksty, bo on i pan Seiler już je przejrżeli. Leżały na jej kolanach i nie mogła się powstrzymać od nieustannego zerkania na nie. Przygotowania do spotkania, to, że nabrała dystansu do tego, co się stało, zatarły świadomość konsekwencji, jakie to mogło mieć dla niej. Relacje w gazetach nagle jej tę świadomość przywróciły.

– Nie tego oczekiwaliśmy – stwierdził pan Seiler. – Ale weźmy pod uwagę pozytywy, które pojawią się tego lata. Na przykład Droga Sułtańska, która zostanie otwarta w ciągu tygodnia.

Betsey się wzdrygnęła. Wiedziała od pana Jonesa, że sir Alton nie znosił tej kolejki od samego początku i nie dał się do niej przekonać podczas budowy. Pan Jones dodał szybko.

– A poza tym otwarcie Kursaalu i wizyta księcia. Ludzie będą myśleć właśnie o tym, kiedy usłyszą gdzieś nazwę Idensea.

– O ile wcześniej im się o nich powie – powiedział sir Alton. Siedział zwrócony bokiem do biurka, więc Betsey nie widziała dobrze jego twarzy, ale jego głos brzmiał bardzo ugodowo. – Przez kilka ostatnich nocy powinienem był sypiać jak niemowlę. Co za uroczyste historie. Co pani o tym sądzi, panno Dobson?

Ponagląjące spojrzenia pana Jonesa i pana Seilera uświadomiły jej, że sir Alton mówił do niej. Ani na nią nie patrzył, ani nie zmienił się spokojny, rytmiczny ton jego głosu.

– Czy moje zainteresowanie reputacją Idensea jest przesadne? – kontynuował. Teraz raczył zwracać się do niej przez ramię. – Czy mylę się, zakładając, że ludzie z towarzystwa mogą uznać hordy awanturujących się murarzy za zbędny dodatek do wakacji nad morzem?

To nie byli murarze, oni byli z zakładów szklarskich, rzemieślnicy z żonami, a rezerwację zrobił osobiście pan Seiler, jeszcze zanim przyjęto ją do pracy. I kto mógłby stwierdzić, że wycieczka murarzy nie zachowywałaby się lepiej?

I co, do diabła, ona może wiedzieć o ludziach z towarzystwa?

To dlatego zadawał te pytania właśnie jej. Nie zwracał się jednak do niej, tylko do panów Jonesa i Seilera.

Betsey zerkała na nich obu, licząc na jakieś wskazówki albo na sygnał, że któryś z nich się w tej sprawie odezwie. Ale twarz pana Seilera była nieprzenikniona, a pan Jones wydawał się ledwie zainteresowany, mimo że ona za chwilę miała się znaleźć w centrum uwagi.

Może też powinna poudawać. Sir Alton mógł grać rolę pana i władcy, więc i ona mogła udawać, że

chce mu się przypodobać.

– Awanturująca się horda z pewnością popsułaby mi wakacje. Obojętne, kto by to był. Tego jestem pewna – powiedziała.

Teraz przynajmniej sir Alton odwrócił się do niej. Skorzystała z okazji, żeby mu spojrzeć w oczy, i uśmiechnęła się ciepło.

– Para, która mieszkała nade mną w Londynie, jest tego dowodem, a oni psuli mi tylko popołudniową herbatę raz czy dwa razy w miesiącu. A teraz to. – Zebrała gazety, które trzymała na kolanach, i wręczyła je panu Jonesowi. – Czy pozwoli pan, że pokażę panu te liczby? Bardzo bym chciała wiedzieć, co pan o nich sądzi.

Sir Alton uniósł brwi, a pan Jones powiedział:

– Zanim pan poprosi o aprobatę zarząd, z pewnością zechce pan poznać finansowe skutki zawieszenia programu wycieczek.

Łagodna groźba. Sir Alton przyjął ją z wdziękiem.

– To może być bardzo pouczające. Proszę mówić, panno Dobson.

Otworzyła rejestr i przez chwilę szukała właściwej strony.

– Jestem trochę zdenerwowana – wyznała teatralnym szeptem i powoli zdjęła rękawiczki. – Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym... – Wstała z dziwnie ustawionego krzesła, obeszła biurko i położyła rejestr przed sir Altonem. – Czy tak nie lepiej?

– Proszę się nie krępować – zachęcił.

Jedni widzą tylko dobre strony, inni zawsze szukają dziury w całym. Sir Alton sprawiał wrażenie zaskakująco szczerego, ale Betsey uznała, że może się w tym kryć niebezpieczeństwo.

Serce jej waliło, gdy pochylała się nad jego ręką, tworząc przestrzeń dostępną tylko dla nich dwojga. Zaczęła od końca, od wpływów przewidywanych na wrzesień przy rezerwacjach na każdą sobotę, od tego, w jaki sposób zwiększyła ich liczbę w stosunku do rezerwacji letnich. Przebiegała palcami po stronicach notesu i prezentowała mu rejestr korespondencji i kopie ogłoszeń, dowodzące, że nie proponowała pobytu w hotelu na chybił trafił, jakimś śmieciarzom czy robotnikom.

Wydawało jej się, że wypadła całkiem dobrze. Wyprostowała się – nadal stała obok sir Altona – i spojrzała na pana Jonesa. Twarz miał ponurą, napiętą. Siedział jak na szpilkach.

Pan Seiler powiedział:

– Dziękuję, panno Dobson.

W jego tonie było słycać aprobatę. Ale dopóki nie potwierdził tego pan Jones, ona tej aprobaty nie czuła.

Sir Alton też podziękował, zamknął książki i przesunął je w jej stronę.

– To czarujące, jak pani mówi o liczbach. Proszę usiąść. Przyznaję, że zbyt dobrze znam się na etykietach, żeby pozwolić pani stać, kiedy my, dżentelmeni, siedzimy wygodnie.

Zebrała swoje książki. Pan Jones wstał, żeby przyciągnąć jej krzesło bliżej swojego, przed biurkiem, ale było już za późno. Betsey aż się spociła. Była skonsternowana.

– Panie Jones, czy byłby pan łaskaw objaśnić mi – powiedział sir Alton – czy tak samo dobrze radzi pan sobie z psami albo, powiedzmy, z małpami, jak z maszynistkami?

– To zależy od temperamentu zwierzęcia, tak myślę.

Miała ochotę trzasnąć któregoś z nich rejestrem w głowę. Pytanie tylko którego.

– Panie Seiler, czy pan widział te plany?

– Oczywiście. Wie pan, że podzielam pańskie obawy, ale ten plan przewiduje właściwe wykorzystanie możliwości, jakimi dysponuje hotel, i zapewnienie Swan Parkowi dodatniego bilansu przez cały sezon wcześniej, niż zakładaliśmy. To nie jest błahostka.

– Za pozwoleniem, nie mogę się z tym zgodzić. Jeśli się myśli o dobrym imieniu hotelu, różnica w bilansach sezonu jest sprawą błahą, zwłaszcza kiedy ma się do czynienia z wyraźnym ostrzeżeniem, jak fatalnie może się zakończyć przedsięwzięcie z pawilonem. Bardzo to uprzejmie z pana strony, Jones, że zechciał mi pan przypomnieć, iż musimy ciągnąć to nieporozumienie do następnego zebrania zarządu, ale zdaje pan sobie sprawę, że zaniedbałbym swoje obowiązki, gdybym tej kwestii nie włączył do programu. Do tego czasu zawieszamy wszystkie dalsze rezerwacje...

– Zawiesić rezerwacje! – przerwała mu Betsey. – Lato się kończy, mogłabym zapełnić piątki i niedziele, tyle...

– Nie – dzie – le. – Sir Alton przerwał jej spokojnym głosem, ale pobrzmiwało w nim rozbawienie. – Cóż za nadzwyczajny pomysł, panno Dobson.

Betsey przygryzła dolną wargę i wymieniła szybkie porozumiewawcze spojrzenie z panem Jonesem. To nie był nadzwyczajny pomysł. To był cholernie dobry i logiczny kolejny krok. Ale powinna była zachować to dla siebie na trochę dłużej.

– Z pozycji akcjonariusza zapewniam pana, że dla mnie ma ogromne znaczenie, jakim wynikiem zakończy się sezon – powiedział pan Jones. – I nie ma co ukrywać, dla zarządu też. Może to mieć jeszcze większe znaczenie, gdy się dowiedzą, że żaden z wycieczkowiczów nie był zamieszany w sobotni incydent.

– Sami postronni obserwatorzy. No, po prostu niebywałe!

– Dopóki się w tę rozróżbę nie wtrącili. Zostali sprowokowani przez jednego typa, o ile dobrze zrozumiałem. W dodatku był to niepoprawny łobuz, ale konstabl sobie z nim poradził i już tu nie wróci.

Betsey uśmiechnęła się, kiedy usłyszała, że Jones używa tak niewinnego słowa.

Z pewnością ze względu na sir Altona obietnica, że Avery już nie wróci, brzmiała jak przyrzeczenie,

choć ona sama nie miała takiej pewności.

Dodała:

– Reszta to miejscowi i inni, tacy, którzy w ogóle nie powinni byli się tam znaleźć. Pan Seiler i ja postanowiliśmy już, że skierujemy tam więcej pracowników, żeby zagwarantować, że te spotkania będą miały charakter zamknięty.

– Dobry pomysł. Zalecę zawieszenie programu wycieczek na następnym zebraniu zarządu, więc nasza obecna tu menedżerka nie musi się martwić o nowe rezerwacje. – Wstał i wyciągnął do niej rękę. Zmieszała się i zrobiła to samo. Klepiąc ją po dłoni, dodał słodkim głosem: – Tak naprawdę już teraz tego absolutnie zakazuję.

– Menedżerka – powiedziała Betsey, jakby to słowo miało zastąpić siarczyste splunięcie przez burzę pojazdu Tobiasa.

John mógłby przysiąc, że od patrzenia na pojedynek, który toczyła w atmosferze przyjaźni i dobrych obyczajów z sir Altonem, rozbolały go oczy. Nie umiałby ocenić, jak dobrze wypadła w tym starciu.

– Ty z nim flirtowałaś.

Była zaskoczona, zrobiła wielkie oczy, jakby chciała zaprzeczyć, ale najeżyła tylko swoje diaboliczne brwi.

John powiedział do Tobiasa:

– Widziałeś to, prawda?

– Że flirtowała? No, może trochę. – Zachował powściągliwość ze względu na nią. Było oczywiste, że darzy ją sympatią. – W sam raz. Nic niewłaściwego. Ale ja nie jestem Brytyjczykiem.

Ty też tak uważasz?

John skręcał się pod ich wyczekującymi spojrzeniami. Każda odpowiedź mogła się okazać niebezpieczna i żałował, że w ogóle poruszył ten temat.

– No... ja przynajmniej sporo się dowiedziałam – powiedziała Betsey. – Porównał mnie do tresowanej małpy. Ty tresujesz małpy.

– To był komplement.

– Może dla ciebie.

Odwróciła się, patrzyła na uciekające do tyłu drzewa. Została sromotnie pogiębiona, tak jej się wydawało, ale John był innego zdania. To, że sir Alton rzucił uwagę o tresowanej małpie, świadczyło, że ma obawy, było swego rodzaju przyznaniem się, że jego pozycja nie jest tak mocna, jak chciałby wierzyć. W jakiś sposób Betsey sprawiła, że jej słuchał. Na pewno jakąś rolę odegrały jej smukłe palce biegające po papierze. Ale nie tylko. Także nastawienie. I wspólny język.

Powóz zakołysał się i razem z nim kolana Betsey Dobson, bardziej niż u innych kobiet rysujące się

pod gładką tweedową spódnicą i tym, co miała pod nią. Na kolanach trzymała księgi.

Przesuwały się po spódnicy w rytm poruszeń powozu. John widział, że jest wzburzona. Zdradzały ją nerwowe ruchy kciuka na rogu księgi. Pod rękawiczką prężyły się kostki.

– Jak długo będę musiała czekać, żeby zrobić nowe rezerwacje? – zapytała.

– Niewiele dłużej niż dwa tygodnie, do następnego zebrania zarządu.

Jej kciuk i kostki dłoni znieruchomiały. Położyła rękę na księgach i przyciągnęła wszystkie do siebie. Nadal patrzyła w dal. Spoglądała na morze, które właśnie pojawiło się w zasięgu wzroku.

Nagle pomyślała o swoim kanarku i o tym, czy klatka naprawiona sznurkiem i gazetą długo będzie się trzymać.

Ona coś liczy, pomyślał John. Ile rezerwacji może zrobić w ciągu czternastu dni? Do końca sezonu zostało kilka tygodni. Utracona prowizja. Pensje w innych miejscach, gdzie mogłaby pracować w Idensea. Koszt przeprowadzki z powrotem do Londynu.

W piersi czuł coś dziwnego. Jakby coś rozsypało się na kawałki. Czy ona żałuje, że przyjechała? Czy on się mylił, przekonując ją, żeby wszystko rzuciła dla Idensea? *Y ferch a wnaeth wayw yn f'ais* – tak się zaczynał stary walijski wiersz. Dziewczyna, która dała mi kuksańca w bok.

Przypomniawszy to sobie teraz, przypomniał sobie także swojego małego braciszka, Owena. To wtedy, kiedy próbował się pożegnać z tym dzieckiem, poczuł po raz pierwszy, jak jego pierś rozpada się na kawałki.

Betsey powiedziała do niego i do Tobiasa:

– Czekałam na kilka potwierdzeń. Jeśli nadejdą, to nie będą to chyba nowe rezerwacje, prawda?

– Nikt rozsądny ich chyba za takie nie uzna, tak uważam – odpowiedział Tobias.

John przytaknął. Żaden z nich nie obiecywał sir Altonowi, że będzie rozsądny, ale w razie potrzeby byli gotowi ją poprzeć.

– I musisz się przygotować do tego zabrania zarządu, tak jak do dzisiejszego spotkania.

– Ja? Mam rozmawiać z zarządem?

Tobias spytał:

– Wolisz, żeby sprawę przestawił tylko sir Alton?

Wypuściła powietrze. Pewnie wyrwałoby jej się: cholera.

– No, na pewno nie. Ale czy oni... ja jestem tylko...

– Powiesz im, to, co mówiłaś dzisiaj. Wiem, że potrafisz.

Jej rumieńce. Kiedy się czerwieniła, zastanawiał się, czy kiedykolwiek widział dziewczynę, której z rumieńcami byłoby bardziej do twarzy.

Dojechali do Kursaalu. Ale za kilka godzin, gdy przyjdzie na lekcję muzyki, znowu ją zobaczy.

Powinien ćwiczyć. Powinien ułożyć swoje sprawy z Lillian. Znowu dopadła go niecierpliwość. Chciał osiągnąć biegłość w graniu, a dni, które zostały do piątku, szybko mijały.

– On ciężko pracuje. Jest bardzo ambitny – powiedział pan Seiler spokojnie. – Jeśli będzie robił, co trzeba, może wiele osiągnąć.

Patrzyła, jak pan Jones idzie z powrotem do pracy, i myślała: Przyjdzie wieczorem na lekcję muzyki.

– Też tak sądzę.

– Panna Gilbey jest jeszcze dziewczyną, ale dojrzeje i rozwinie swoje naturalne zdolności. Ale pani chyba jeszcze jej nie spotkała, prawda?

Sądziła, że chce ją chronić, tak samo jak to robił John. Obydwaj przed tym samym.

– Owszem, spotkałyśmy się – odpowiedziała, a ponieważ to, co powiedział, spełniło swoje zadanie, a jej zdolność do samodzielnego utrzymywania się była najważniejsza, zmieniła temat. – Zacznę przygotowywać wystąpienie na posiedzenie zarządu. Ale co jeszcze? Sir Alton odebrał mi znaczną część obowiązków, które mnie czekały w ciągu najbliższych dwóch tygodni, ale nie mogę przecież siedzieć w biurze i kręcić młynków.

– To może potrwać dłużej niż dwa tygodnie. *Die Schlägerei...* – Skinął głową. – Po tym, co się stało w pawilonie, dyrektorzy wezmą stronę sir Altona. A nawet jeśli nie, to ich decyzje z tego sezonu, nie muszą obowiązywać w następnym. I w następnym. Czy pani jest przygotowana na taką ewentualność, panno Dobson?

Już same te słowa sprawiły, że prawie wpadła w panikę. Poczuła, że ma gułę w gardle. Ale pan Seiler nie powinien o tym wiedzieć. Uśmiechnęła się do niego.

– Wcale. Jestem gotowa zrobić, co będzie trzeba, żeby coś takiego się nie powtórzyło.

– W to nie wątpię, panno Dobson. – Dyskretnie zerknął na swój kieszonkowy zegarek. – Ja i niżsi rangą zarządzający codziennie o wpół do drugiej przeglądamy książki skarg. Ponieważ nie zawsze mamy czas zajmować się poprawianiem i udoskonalaniem, proszę do nas dołączać, jeśli będzie pani miała czas. I niech wszyscy w biurze wiedzą, że może im pani pomagać prowadzić korespondencję i wykonywać różne podobne zadania. Wkrótce się pani przekona, że nie ma czasu wolnego, a w razie czego nauczy się też pani wielu nowych rzeczy.

W razie czego. Na przykład zawieszenia na stałe programu wycieczek.

Nie powinna była pozwolić, żeby do tego doszło, to wszystko. Ale jak przekonać zarząd?

Pomyślała, że jest różnica między mniejszą a większą ilością pieniędzy i że ona nie zna bardziej przekonującego argumentu.

Niezależnie od tego, co powie sir Alton.

Z maszynopisaniem jest tak jak z nauką gry na instrumencie. Do doskonałości dochodzi się dzięki wielokrotnemu powtarzaniu tego samego pasażu.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Tak naprawdę Lillian nie lubiła do niczego zmuszać matki. Starsza pani była tak powściągliwa i miła, że podczas przyjęć takich jak to zrezygnowana Lillian pozwalała jej zasiadać w jakimś odległym kącie i prowadzić rozmowy na zupełnie obojętne tematy z osobami, które zechcą dotrzymać jej towarzystwa. Ojciec wcześniej odkrył, że w przeciwieństwie do jego żony córka ma talent do krążenia i zabawiania gości, i od tej pory Lillian pełniła w rodzinie Gilbeyów funkcję pomocniczej pani domu, zdejmując z matki ciężar wylewnych powitań, błyszczenia dowcipem i powtarzania niewinnych plotek.

Więc mama coś chyba był jej winna. I nie chodziło o wygłoszenie mowy przed gośćmi ani o to, żeby została królową balu. Chodziło o jedną rozmowę z jednym człowiekiem, którego zresztą nadal lubiła, o zwykłe przekazanie niedobrej, albo raczej niepomysłnej, ale raczej mało znaczącej wiadomości.

Ktoś to musiał zrobić, a jej matka była jedyną osobą, która to zrobić mogła.

Lillian stała w salonie i czekała na znak, że matka wywiązała się ze swojego zadania. Pani Gilbey udało się już odciągnąć Johna na stronę, gdzie mogli pomówić w cztery oczy, ale w tym akurat nie było nic dziwnego. Ona i John zawsze dobrze się dogadywali. John potrafił sprawić, że starsza pani czuła się swobodnie. Siedzieli na kanapie i wyglądali na zajętych serdeczną konwersacją, jak kilka minut wcześniej, kiedy Lillian odwróciła się, żeby porozmawiać z kilkoma gośćmi.

Kłopot. Jeśli matka zawiedzie, będzie musiała powiedzieć Johnowi sama, a tego by nie chciała. Nie chciałyby kłóżyć się mu z czymś niemiłym.

– Proszę powiedzieć, kim jest zwierzyzna.

Głos miał niski, wesoły. Zabrzmiał tuż koło jej ucha. Noel Dunning.

– Zwierzyzna, sir?

– Widzę tu oczywiście misję szpiegowską. Więc kto... ach! To pan...

Kiedy się do niego odwróciła, niemal otarli się twarzą o twarz. Wyprostował się szybko, ale ją wytrąciło to z równowagi, tak samo jak jego podejrzenia.

– Szpiegowską! Proszę nie mówić głupstw, panie Dunning!

Był tak miły, że nie drażył.

– A zatem stokrotne przeprosiny.

Podniósł szklankę z lemoniadą i podał jej.

– Jest gorąca – ostrzegł, gdy podniosła ją do ust. – Poprosiłem, żeby dla pani podgrzali.

Lillian oblizwała wargi.

– Z miodem?

– To na pani głos.

Ich duet miał zamykać wieczór. Lemoniadę powinien był jej podać później, bliżej występu, ale nie zwróciła na to uwagi.

– Jest pan bardzo troskliwy, Noelu. – Uśmiechnęła się do niego, szczerze ujęta, ale korciło ją, żeby znów spojrzeć badawczo na matkę i Johna. – Wydaje się, jakby w ogóle nie miał tremy. Nie ma pan nic przeciwko temu, że umieściłam pana na początku programu? Uznałam, że to wyróżnienie.

– Jestem zaszczycony. Oczywiście. Ale muszę przyznać, że również zaskoczony.

– Jak najlepiej pana przedstawić?

– A John... – Pan Dunning trzymał w palcach wydrukowany program, w którym nie było nazwiska Johna. – Czy on nie zostanie przedstawiony?

– Mhm... – Sączyła lemoniadę, żeby nie zerkać przez ramię. – Zmienił zdanie. Myślę, że uznał, iż najlepiej będzie ustąpić pola... dobrze przygotowanym wykonawcom.

Pan Dunning wyglądał na zakłopotanego. Zauważyła, że spojrzał na kanapę, na której nadal siedzieli John i matka Lillian.

Chciałaby móc odwołać to kłamstewko. Mogłoby wyjść na jaw podczas pierwszej rozmowy Dunninga z Johnem.

– Ale mnie się wydawało, że on ćwiczył, przynajmniej na ten występ.

– No... może i tak – wymruczała.

Teraz obawiała się dezaprobaty pana Dunninga tak samo jak rozczarowania Johna.

– Czy mogę powiedzieć, panno Gilbey...

– Lillian. – Myślała o tym cały tydzień.

– ...jak wyjątkowo uroczo pani dziś wygląda, Lillian? To mi przypomina tę frazę... – Zanucił. Potokowi łagodnych dźwięków towarzyszył blask jego oczu.

– To najnowsza kompozycja?

– Całkiem nowa.

– A jak idzie dalej?

– Niestety, nie mam pomysłu.

– Myślę, że warto to dokończyć.

Po przeciwnej stronie salonu ktoś wygrywał na fortepianie *Syd, Syd, Sydenham*, śmieszna melodia, którą skomponował któryś z członków towarzystwa. Miała być sygnałem zwołującym członków. Lillian wzięła pana Dunninga za rękę. Poczła przyływ satysfakcji, gdy szli w stronę miejsca, gdzie miały się odbyć występy. Było wesoło, wszyscy rozmawiali, żartowali i gromadzili się wokół niskiego podium, które kazała wznieść na ten wieczór. Za podium pięć okien francuskich otwarto na taras. Chińskie lampiony kiwały się na drutach rozciągniętych od ogrodu do salonu: dzięki temu otoczenie stawało się przedłużeniem pokoju.

Osiągnięcie swobodnego, bezpretensjonalnego efektu kosztowało ją wiele zachodu.

Zrezygnowała ze zwyczajowych w takich sytuacjach rzędów krzeseł z prostymi oparciami, a w ich miejsce kazała służbie poznosić z całego domu najrozmaitsze siedziska. Poleciała je rozstawić tak, aby tworzyły układ przypadkowy i spontaniczny. Nawet dywany ułożono nierówno. Zachodziły na siebie. Może jacyś goście, bywali w środowiskach cyganerii, zechcą usiąść na podłodze. Czy to nie będzie wspaniałe?

Widok Johna wkraczającego do salonu w towarzystwie jej matki zmącił radosny obraz całości. Bezcelowe byłoby silenie się na uśmiech. W stroju wieczorowym wyglądał sztywnie, choć rozpoznała jego żakiet i zauważyła, że jej sugestie, żeby odświeżył w nim kłapy, były najwidoczniej zbyt subtelne. Przeprosiła pana Dunninga i poszła uwolnić Johna od towarzystwa matki.

Radosna paplanina, potoki słów. Czy był taki spokojny dlatego, że ona nie mogła przestać mówić? Posadziła go na jednym z głównych miejsc – nie obok siebie, nawet nie w takiej odległości, żeby mogli rozmawiać szeptem, ale tam, gdzie mogli wymieniać ukradkowe spojrzenia i niedostrzegalnie flirtować.

Clark Winters, aktualny prezes towarzystwa, wystąpił z mową otwierającą. Pełnymi garściami korzystał z notatek, które mu dostarczyła. Przedstawił ją jako gospodynię wieczoru, o ona zaprezentowała Noela Dunninga, wspaniały młody talent, którym z pewnością przewyższy sławnego ojca. Obiecała wcześniej panu Dunningowi, że nie wspomni o sir Altonie. Ale jak mogłaby nie wspomnieć? A jednak powinna była go na to przygotować. Gdy podchodził do fortepianu, przez tłumek uczestników przeszedł szmer podniecenia. Wyraźnie zbiło go to z tropu i początek występu nie okazał się udany.

Pan Dunning doszedł do końca frazy, rzucił jakiś żart o tremie, jaka towarzyszy występom przed tak szacownym audytorium, jakim jest Towarzystwo Muzyczne Sydenham, i zaczął od początku. Wybaczone mu. Wszyscy życzili mu powodzenia.

Lillian próbowała się zachwycić jego wykonaniem, tak jak zachwyciła się w niedzielę, ale nie mogła przestać się obawiać, że John mógł wreszcie przejrzeć tom Tennysona. Jej przyjaciółka Roberta przepchnęła się do niej przez tłum. Ona знаła prawdziwe imię Marion.

Wykonanie pieśni nagrodzono gorącym aplauzem. Lillian wraz ze wszystkimi biła brawo, zerkając jednocześnie na Johna. Nie od razu uchwyciła jego spojrzenie, i wiedziała dlaczego: mógł odczuwać tylko ulgę, że oto uchroniła jego – i siebie – przed niechybnym upokorzeniem.

W czasie przerwy pozwoliła, żeby odprowadził ją na taras. Kiedy zauważyła, że śledzi jej palec przesuający się po perłach, które miała na szyi, natychmiast opuściła rękę. To szkodzi perłom.

– Jestem zdenerwowana. – Westchnęła lekko. – Tym występem, który mnie czeka pod koniec wieczoru.

Zmarszczył brew.

– A co ja mam powiedzieć? Pan Dunning wypadł znakomicie, a ja... ja nie wiem, czy zdołam mu dorównać.

Rozejrzał się po salonie. Zbici w grupki goście rozmawiali z ożywieniem. Clark Winters, który zamierzał śpiewać niemieckie pieśni, miał być ostatnim wykonawcą przed przerwą i teraz, mimo wszystkich jej strategicznych zabiegów, był w nastroju raczej minorowym.

John odwrócił się plecami do sceny.

– Zjem swój krawat i twój wachlarz, jeśli jest choćby jedna rzecz, której ty, Lillian Gilbey, nie potrafisz sprostać.

Tylko on mógłby się zdobyć na tak dalece nieelegancki, graniczący z afrontem, a zarazem cudowny komplement. I wtedy jej dotknął. Przesunął palcami po wewnętrznej stronie jej przedramienia, po odsłoniętym kawałku skóry powyżej sięgającej łokcia rękawiczki, i sprawił, że koraliki zwisające z jej wąskiego rękawa połaskotały ją w skórę.

– Lillian, jedźmy do Idensea.

Wstrzymała oddech. Przypomniała sobie, że jeszcze jej tego wieczoru nie pocałował. Stali lekko bokiem jedno do drugiego, ona wpatrzona w światła i ruch w salonie, on – w ciemność ogrodu. Dyskretnie dotknął jej ręki. To było wszystko, na co zamierzała mu tego wieczoru pozwolić. Żadnych pocałunków.

Jego palce zsunęły się w dół i splotły z jej palcami. Nachylił się do jej ucha.

– Zbierz całe towarzystwo i wsadź do pociągu do Idensea. Teraz.

Ciepło jego oddechu. Poczwała się jak odurzona. Bez pocałunków. W środku pan Dunning, który szedł w stronę tarasu, został poproszony do fortepianu. Roberta siedziała obok niego na ławeczce. Po drugiej stronie stanęła ta flirciara Lynette Ramsey.

– Już połowa programu. Za chwilę kolacja...

– Zbierz ich. Piknik w pociągu. Zakończymy program w salonie muzycznym Swana.

A wczesnym rankiem zerwę któregoś z mechaników i zabierzemy wszystkich na Drogę Sułtańską, na przejażdżkę przed otwarciem.

Ach. Ta jego kolejka.

– Jesteś szalony – powiedziała, choć coś w jego głosie ją ujęło. W tym planie dostrzegła i

romantyzm, i zabawę. To mógł być niezły pomysł, gdyby go przedstawił wcześniej. Na przykład w lutym.

Przy pianinie pan Dunning raz mówił, raz wygrywał wesołe pasażę. Wywołał okrzyki zachwyty.

– Odprowadzisz mnie na miejsce? – spytała.

Nie podał jej ramienia. Zmusił ją, żeby powiedziała:

– Absolutnie nie. Przykro mi, John, ale nie. Tego się nie da zrobić.

A potem się odwróciła i poszła do swojego towarzystwa, zmieszana, zakłopotana, choć nadal z poczuciem winy, że usunęła jego występ z programu.

To, że musiała odmówić, było dla niej tak przykre, że postanowiła, że każe mu czekać aż do sierpnia. Dopiero wtedy pozwoli się przeprosić.

Zwłaszcza że wyszedł wcześniej, przed jej duetem z panem Dunningiem.

A ich występ okazał się sukcesem.

Guziki Betsey czekały w pudełku po herbatnikach od tamtej nocy, gdy pozrywała je w złości, ale nazajutrz miała założyć strój służbowy, więc musiała je przyszyć. Zabrała się do pracy w piątek późnym wieczorem. A to dlatego, że Sarah Elliot zarządziła sekretną sesję produkcji słodczy. Sekretną, gdyż trzeba było zaczekać, aż Dora Pink pójdzie spać, by nie mogła zrzędzić z powodu zwiększonego zużycia cukru. Betsey i Charlie dołączyli do Sarah, więc młodzieniec był

na nogach jeszcze dobrze po północy. Gdy Betsey zabrała się do naprawiania kostiumu, uprosił ją, żeby mu pozwoliła wyjść przez okno na dach. Kiedyś ten pokój zajmował John i zawsze go tam zabierał, och – zapewniał – bardzo często. Zgodziła się pod warunkiem, że teraz będzie to jednak robił tylko od czasu do czasu.

I tam to się stało. Gdy kończyła przyszywać pierwszy guzik i rozprawiała przyciszonym tonem o jutrzejszym otwarciu kolejki, Charlie pochylił się i ją pocałował.

W szczękę, a właściwie w ucho. Źle obliczony, szybki cmok, który wyciska łyzy, tajemnicze łyzy spływające wzdłuż nosa. Przez chwilę zmagala się z igłą, próbując przebić nią wełnę. Dopiero potem się odezwała:

– Ej, Charlie, co to miało być?

W nocnej ciszy nić cicho zaszeleściła. Przesunęła się kilka razy przez materiał, o kilka razy za dużo – szkoda nici.

– Bo ja myślę, Betsey, że ty jesteś miła.

Chciała to zignorować, chciała go wyśmiać i przywołać do porządku, ale kolejne ukłucie pod powiekami ją powstrzymało: nie może powiedzieć wprost tego, co myśli.

– Jesteś bardzo uprzejmy, że tak uważasz, wiesz?

Nie odpowiedział od razu. Dopiero po chwili powiedział:

– Nie wiem.

– No więc jesteś. A ja ci dziękuję, Charlie.

Zawiązała nitkę, owinęła końcówkę wokół palca i szarpnęła. Nitka nie puściła.

– No to... no to proszę bardzo.

Spojrzała na niego z guzikiem i nitką w palcach.

– Tak myślę – dodał i wzruszył ramionami.

Roześmiali się oboje: Betsey z jego zmieszania, a Charlie – tak sądziła – z ulgą, że ma to już za sobą. Podniósł rękę i potarł policzek, by schować w ten sposób twarz. Źle zrobiła, że mu uległa, ale wyrzucić go teraz znaczyłoby urazić go jeszcze bardziej.

Chwila mocowania się z nitką – i wreszcie puściła.

– To potrwa całą noc, jeśli nie przyniosę nożyczek.

Czuła, że Charlie się przygląda, jak wiąże supełek i szykuje następny guzik, ale nie ruszył się, kiedy powiedziała, żeby wszedł do środka.

– Czy to nie te same guziki co przedtem? Przyszywasz je z powrotem?

– Te same. Ja... – Więc miała mu opowiedzieć o swoim szaleństwie. Westchnęła. – Poobcinałam je.

– Po co?

– Nie wiem. Były zbyt ekstrawaganckie. Myślałam, że może je sprzedam i przyszyję jakieś zwykłe, a pieniądze wydam na suknię, bo pan Jones uważa, że powinnam mieć suknię.

– A co go to obchodzi?

– Nie obchodzi. – Chciałaby zresztą, żeby nie obchodziło. – Po prostu mi kazał. Chyba lubi rozkazywać ludziom, prawda?

Prowokowała go, ale Charlie był zbyt lojalny, aby przyznać, że pan Jones choćby odrobinę odbiega od ideału.

– No, może. W pracy.

– W każdym razie uznałam, że nie ma racji. Nie będzie sukni. Więc guziki zostaną, dopóki nie będę musiała ich sprzedać, żeby mieć na chleb. A może, jeśli taki dzień nadejdzie, po prostu je zjem.

Charlie się roześmiał, ale ona pozostała poważna. Pomysł, żeby zjeść własne guziki, od czasu wizyty w Iden Hall był dość prawdopodobny. Przesunęła się trochę, żeby złapać więcej światła padającego z latarni za oknem. Raczej trudne warunki do szycia. Księżyc świecił słabo i nie rozpraszał nocnych cieni, a gdy powiew bryzy zmieniał się w porywisty wiatr, pomyślała, że chyba nie powinna tam siedzieć bez

butów.

Już chciała zarządzić powrót do środka, kiedy Charlie powiedział:

– Ktoś jedzie. – Siedział twarzą w stronę drogi i wpatrywał się w zbliżający się do domu pojedynczy promyk światła. – To chyba John.

Betsey spojrzała na światełko i zmarszczyła brwi.

– John jest w Londynie, na przyjęciu u panny Gilbey.

A nawet jeśli nie, pomyślała, to pora jest chyba zbyt późna na odwiedziny. A mimo to coś się w niej obudziło. Nagle zrozumiała, dlaczego niewinny pocałunek Charliego napełnił jej oczy łzami. Poznać beznadziejne nadzieje tego chłopca to jakby poznać własne.

Światło na pewno pochodziło z roweru. Przestało się ruszać. Przez jakiś czas stało w miejscu. Betsey wyobraziła sobie, że rowerzysta – pomyślała o panu Jonesie – zatrzymał się i patrzy na okna, w których nie panuje ciemność. Patrzy w jej okno? Czy to właśnie robi?

– Dlaczego on nie wchodzi? – Charlie włożył palce w usta i zagwizdał.

– Och, Charlie. Okno u panny Elverson jest zawsze otwarte, obudzisz ją.

– Nie będzie tam przecież stał całą noc. Widzisz? To on. Tak jak mówiłem.

To był on. Przed bramą zsiadł z roweru i spojrzał w górę, na nich. Wykonał jakiś gest – chyba przyzywający. Tak jej się wydawało.

– Chyba chce, żebym zeszła na dół – powiedziała i się podniosła. Zrobiła to niezbyt ostrożnie i reszta guzików, które trzymała na podołku, stoczyła się z grzechotem w ciemność. Przez chwilę błyskały w srebrnym świetle księżycy jak sztuczne gwiazdki.

– O cholera. – Schodziła ostrożnie. Rzuciła Charliemu spojrzenie pełne poczucia winy. – To jest... – Popatrzyła na ciemny ogród, w którym zniknęły guziki, bardziej rozdrażniona tym, że chciała odpowiedzieć panu Jonesowi, niż tym, że je straciła. – Cholera, cholera i jeszcze raz cholera.

Przy akompaniamencie chichotu Charliego wrzuciła przez okno do pokoju kamizelkę, jeden but i pończochę. Drugi but stracił z dachu Charlie, gdy wychodził przez okno.

Wdrapała się do środka i po chwili usłyszała głos chłopaka:

– Zejdę z tobą.

– Nie. – Odwróciła się do okna. Charlie siedział z jedną nogą przerzuconą przez parapet, zastygły po tym, jak usłyszał odmowę. – Jest za późno, a poza tym twoja mama myśli, że już jesteś w łóżku. – Chcę być z nim sama, pomyślała, i zawstydziała się. – Jestem pewna, że to ma jakiś związek z wycieczkami. Lepiej będzie, jeśli pójdziesz do łóżka, dobrze?

Skinął głową, a ona poczuła się jak Judasz.

– Ale jutro wieczorem odprowadzam cię do domu, prawda? John prosił, a mama powiedziała, że

mogę.

Pomyślała, że to śmieszne, że musi mieć kogoś, kto by ją odprowadzał do domu, ale zgodziła się, a potem zgasiła światło. Zdjęła fartuch i przeciągnęła ręką po włosach. Zaplotła je do spania w dwa krótkie warkocze. Pamiętała, że musi z nimi zrobić porządek.

– Betsey – powiedział Charlie, stojąc pod oknem. – Czy było... czy było ci miło?

Znieruchomiała i opuściła rękę. Poczwała w sercu ciepło.

– Och, Charlie. Myślę, że to był najmiłszy pocałunek, jaki można sobie wyobrazić.

Spojrzał w mrok nocy. Błady połysk jego włosów przyciągnął ją do niego. Podeszła i pacnęła go w głowę, tylko raz. Zatrzymaj to dla kogoś innego, kogoś, kto na to zasługuje – chciała tak powiedzieć. Ale zamiast tego rzuciła lekko:

– I wiesz, jak jeszcze raz spróbujesz czegoś takiego, to zepchnę cię z dachu.

Kiedy wyszła frontowymi drzwiami, pan Jones podał jej but.

– Pończochy pewnie nie znalazłeś? – spytała.

– Jest w bucie.

Wydawał się onieśmielony, czyżby dlatego, że dotykał jej pończoch? Nie rozumiała.

– Proszę.

Otworzył dłoń. Jej guziki leżące na kupce wydawały się malutkie, a ona myślała tylko o tym, jak zapewne dla niego są lekkie i tanie. On był ubrany w swój najlepszy garnitur i mimo że podpiął spodnie do jazdy na rowerze, a włosy miał rozwiane na wszystkie strony, czuła, jak żałośnie sama musi wyglądać z rękawami szmizjerki podwiniętymi do łokci, w spódnicy, w której przed ponad siedmiu laty została wyrzucona z domu Dellaforde'ów, wyblakłej i zakończonej pasem materiału, którym ją przedłużyła. W dodatku tak gorliwie biła wieczorem pianę na bezowe całuski, że dopiero teraz poczuła, że całe ręce i twarz ma pokryte zaschniętymi kropkami.

– Możesz je potrzymać? – zapytała, mając na myśli guziki. – Zimno mi w stopy. – Usiadła na stopniu i zaczęła naciągać pończochę. – Chyba trochę późno na wizytę, co?

Nie odpowiedział. Zapinając podwiązki, spytała, dlaczego nie jest w Londynie. Ale i to pytanie pominął milczeniem. Był zbyt zaabsorbowany przyglądaniem się jej pończochom – zdała sobie z tego sprawę, gdy podniosła wzrok – chociaż niewiele mógł zobaczyć poza uniesioną spódnicą i rękami niemanipulującymi pod spodem, gdy przyczepiała pończochę do podwiązek.

Lepszy pokaz urządziła, zakładając drugą: skrawek nagiego kolana, syrop zaschnięty na nadgarstku.

Może wprawiała go w zakłopotanie, gdy udała, że kaszle, i zmusiła go, żeby spojrzał jej w oczy. Ale zadbała o to, żeby to wyglądało tak, jakby zapinanie pończoch pochłaniało ją bez reszty. Tak jak jego.

Od poniedziałku zamienili ledwie kilka słów. Schowała swoje poplątane myśli o nim, dokładnie tak samo jak wcześniej schowała guziki do pudełka. A teraz – jeden zapraszający gest i oto pędzi do niego.

Jeden gest, który tak naprawdę mógł być grą wieczornych cieni, sprawiał, że gotowa była zdrzeć spódnicę, jakby wierzyła, że jego pożądanie może jej dać ciepło, którego tak pragnęła.

Złączyła kolana i owinęła spódnicą nogi aż po kostki. Flirtować z nim, drażnić, dlatego że zauważył jej bujną kobiecość – to jedno. Ale mieć nadzieję, że podąży za swoim popędem – to byłoby działanie na własną zgubę.

– Przypuszczam, że występ się udał – powiedziała. Oboje powinni byli sobie przypomnieć o istnieniu panny Gilbey. – Sarah będzie chciała usłyszeć, jak było. Ale od dawna już śpi, powinieneś o tym wiedzieć.

Spojrzała na niego.

– Wiem. Nie przyszedłem do niej.

– Ja... ja wysłałam Charliego do łóżka.

– To nieważne.

Podniosła jeden but i położyła sobie na kolanach. Zaczęła nawlekać sznurowadła, starannie je krzyżując. Idź, wracaj na górę, ostrzegała samą siebie. I obiecywała sobie, że właśnie tak zrobi, gdy tylko zawiąże oba buty.

– Czy ty mnie słuchasz?

– Powiedziałeś, że to nieważne, że Charlie nie zejdzie.

Słyszeć – to jedno. Rozumieć – co innego.

Nadzieja, do cholery, ciągle tylko nadzieja. Rąbkiem spódnicy przetarła czubek buta i wzięła do ręki drugi but.

– Przyjechałem na rowerze. Myślę tylko o Drodze Sułtańskiej. Jutro otwarcie.

– Wiem.

Wszyscy wiedzieli. To miało być największe wydarzenie w Idensea do sierpnia, czyli do przyjazdu księcia Winchesteru na otwarcie Kursaalu.

Usłyszała nad głową jego śmiech.

– Oczywiście, że wiesz. Oczywiście.

A potem zaskoczył ją zupełnie: kucnął obok niej, tak blisko, że mogła zobaczyć, jak na jego twarzy pojawia się uśmiech. Był jak kropla czystej wody marszcząca gładką powierzchnię.

– Chodź ze mną popatrzeć. Pójdziesz, Betsey? Teraz?

Próbowała odgadnąć, co się kryje za zagadkowym wyrazem jego twarzy. Cokolwiek to było,

sprawiło, że odpowiedziała:

– Oczywiście.



Pamiętaj, że rozbieranie maszyny do pisania jest ryzykowne i że żadne grzebanie w mechanizmie niczego nie poprawi, wręcz przeciwnie – na pewno pogorszy.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Oczywiście. Zupełnie jakby nie istniała inna możliwość albo jakby nie trzeba było już o nic pytać. Założyła buty, a on przyprowadził jej rower. Pojechali.

Jutro pawilon kolejki górskiej będzie się jarzył światłami. Wypełni go tłum amatorów jazdy.

Teraz, przy zamkniętym moło i pustej Esplanadzie, hulał tam wiatr. Wydymał płócienne zasłony w głównym łuku i wypełniał powietrze łopotem proporców i szelestem palmowych liści. Pan Jones przejechał obok łuku ozdobionego warującą parą lampartów i zatrzymał się przy wysokim płocie z desek, kryjącym przed oczyma publiczności mniej atrakcyjną, ale bez wątpienia niezbędną część kolejki. Miał przy sobie klucze do kłódek, więc oboje przeprowadzili rowery przez bramę i oparli o płot.

Przez chwilę odczepiał od roweru lampę, a potem podał Betsey rękę. Zapomniała o doświadczeniach innych nocnych spacerów z panem Jonesem i z radością oddała mu się w opiekę.

Szli między podporami toru a ścianą urwiska nad zatoką, ciemnym przejściem węższym nawet od ścieżki pod The Bows. Najwyższy odcinek krętego toru, który śledziła palcem na planie, teraz wznosił się nad jej głową.

Trzymała lampę, a on szukał klucza do drzwi wbudowanych w filar. W środku oświetlił gigantyczną plataninę rur i różnych urządzeń. Ich nazw nawet nie znała.

– Maszyna i kocioł – powiedział po prostu, ale Betsey podejrzewała, że gdyby go choć odrobinę zachęciła, z przyjemnością wygłosiłby wykład o każdej części i o tym, jak działa.

Powściągnęła więc ciekawość i spytała tylko, jak wyglądają wagoniki dla pasażerów.

Czy było coś innego na świecie, co John znalazłby lepiej od tej kolejki? Miał lampę i w jej mdłym świetle prowadził Betsey sobie tylko znanymi szlakami. Labirynt metalowych schodów i wąskich czarnych przejść, pachnących farbą, świeżym drewnem i oliwą. Raptem usłyszała głuchy szum wiatru uderzającego w płócienną zasłonę. I nagle...

Ogród. Rowerowa lampa była za słaba, żeby rozświetlić miejsce, w którym się tak niespodziewanie znaleźli, ale to był ogród, z kwiatami i zielenią – nawet na balkonach wysokiego, schodzącego tarasami pałacu. To przerastało wszelkie jej wyobrażenia. Usiłowała porównać tę architektoniczną fantazję z czymś, co znała.

– Czy to... to jest jak teatr, czy tak? – Avery zabrał ją raz do Empire. To była sensacja, móc wystąpić na scenie, w żywym obrazie przedstawiającym wiszące ogrody Babilonu. – Nie myślałam... nie wiem, co powiedzieć, to jest zachwycające.

– Poczekaj, aż ruszą wodospady. Poczekaj, aż to zobaczysz za dnia, z Esplanady. Albo wieczorem, w pełnym oświetleniu. – Wskazał na ogromną ścianę za ogrodem i pałacem. Nie była to oczywiście ściana, tylko kurtyna wisząca na ogromnym łuku w stylu mauretańskim. Miała skrywać całą dekorację aż do otwarcia.

Roześmiała się.

– Wodospady.

Czy jeden by nie wystarczył?

– A czy tunele panoramiczne też są takie wspaniałe?

– Przygody i egzotyka Wschodu – powiedział, powtarzając słowa wypisane na kurtynie od strony ulicy. – Może nie tak bogate, jak się wydaje, gdy się szybko między nimi jedzie.

– Za to też masz u mnie sześć pensów.

– Chodź, cyniczna istoto. Wsiadaj do wagonika.

Lampą wskazał jej drogę na platformę, między łukiem a pałacem, tam, gdzie miał się gromadzić podekscytowany tłumek chętnych na przejażdżkę. Wózki stojące na torze były zgoła niepodobne do tych, jakie jej się kojarzyły z normalną koleją: nie miały dachów i właściwie przypominały skrzynki z parkowymi albo kościelnymi ławkami. Albo małe złote trony, pomyślała, przesuwając palcem po wyrzeźbionych w drewnie słoneczkach.

Wybrała pierwszą ławkę i choć obok było jeszcze miejsce, pan Jones usiadł za nią. Przed nimi ciągnął się tor, niewidoczny poza zasięgiem mdłej plamy światła rzucanego przez lampę.

Wiatr zawodzący w fałdach kurtyny przyprawiał Betsey o drżenie. Wrażenie potęgował jeszcze ogrom przestrzeni i cicha obecność pana Jonesa za plecami.

– Ostatni rzut oka. W porządku?

– To jest wspaniałe – zaczęła – i ty o tym wiesz. Mam nadzieję, że w to nie wątpisz.

– Chciałabyś się przejechać?

– O, tak. Będę zabierać moich wycieczkowiczów...

– A teraz?

– Teraz? – Nie bardzo rozumiała, jak to możliwe bez mechaników.

Poczuła, że położył rękę na oparciu jej ławki.

– Jeden facet z przyjęcia u Lillian, taki z byczym karkiem, śpiewał coś zupełnie nie po angielsku, więc pomyślałem: dlaczego nie zabrać całego towarzystwa i nie wsadzić do pociągu do Idensea? Przejechaliby się Drogą Sułtańską z tuzin razy, potem śpiewaliby i grali w salonie muzycznym do rana i mieliby na starość co opowiadać, jakie to szaleństwa wyczyniali w młodości.

Betsey się uśmiechnęła.

– To brzmi jak jeden z tych kaprysów, na jakie pozwalają sobie bogaci. Dlaczego więc ich nie zabrałeś?

Minęła chwila, zanim odpowiedział.

– Lils... to znaczy panna Gilbey, nie chciała nawet o tym słyszeć.

Odchylił się z powrotem do tyłu, a ona była zadowolona, bo nie widział jej twarzy, gdy słuchała tych rewelacji. Ale nie trwało to długo.

– Na Boga, ależ to uparta dziewczyna – wymruczał.

I znowu była zadowolona, że on nie może zobaczyć jej twarzy ani tego, że chce jej się z niego śmiać, z niego i z siebie, że tak siedzą, z zawiedzionymi nadziejami, których w ogóle nie powinni byli sobie robić.

– Nie powinieś był się spodziewać, że zmieni program przyjęcia – powiedziała. – Zmienić wszystko, żeby pod wpływem nagłego impulsu pojechać do Idensea?

– Ale ty tak zrobiłaś.

– Ja tu mieszkam.

– Mówię o Londynie. Rzuciłaś Londyn z dnia na dzień i przeniosłaś się tutaj.

– To nie to samo. Panna Gilbey ma na głowie więcej spraw i więcej do stracenia niż ktoś taki jak ja.

Chrząknął.

– Jedno wywrócone do góry nogami przyjęcie w życiu pełnym takich przyjęć? Podczas gdy ty... gdybym cię wtedy zostawił na łasce zawiadowcy... Co by ci zostało?

Zostawić ją na łasce zawiadowcy stacji. Miała ochotę zakpić sobie z niego i przypomnieć mu, kim jest. Ale wtedy na stacji nie czuła się taka pewna siebie. Tamtego dnia była gotowa wyskoczyć przez okno. A potem przekonałaby się, dokąd jej spryt ją zaprowadzi.

I oto, proszę bardzo – przeleciało jej przez głowę. Oto jak doszłaś do tego, że bez reszty polegasz na nim.

Czekał, co mu odpowie.

– Zostałaby mi historyjka do opowiadania na starość – przyznała, poklepała się w ramiona i odwinęła zrolowane rękawy.

Czas iść. Dzięki spotkaniu z sir Altonem nabrała dystansu i godności, ale teraz znowu to wszystko przekreśliła, przychodząc z Johnem tutaj, i to w charakterze zastępczyni panny Gilbey.

Nawet nie zastępczyni. Zmienniczki. Ostatniej deski ratunku.

Ta huśtawka nigdy się nie uspokoi. Czas iść.

– Chciałem, żeby powiedziała: oczywiście! Tak jak ty.

Bez wątpienia. Zapięła mankiety i pomyślała o guzikach od uniformu spoczywających w jego kieszeni. Musi pamiętać, żeby je od niego odebrać.

– Nie potrafię myśleć o tym, co chcesz zyskać, porównując nas obie. Panna Gilbey nie lubi spontaniczności, to wszystko. To nie znaczy, że jest obojętna. Ja przyszedłam z tobą – a to nie znaczy... nic szczególnego, poza tym że nie spałam i byłam niespokojna.

A teraz jestem zmęczona i chcę już iść – chciała dodać i odwrócić się na pięcie. Zobaczyła jednak, że John siedzi z łokciami na kolanach, z włosami zmierzwionymi przez wiatr i opadającymi na czoło. Między jego palcami zabłysła jasna plamka i przez chwilę myślała, że to guzik.

– Iefan – westchnęła, kiedy zobaczyła, co to takiego. – Chciałeś ją dzisiaj poprosić o rękę?

– Nie wiem. Ja tylko... nie osiągnąłem jeszcze tego, co postanowiłem, żeby móc się ożenić. W tym cały szkopał.

Spojrzał na nią, a brwi nadawały jego twarzy wyraz smutku i przygnębienia.

– Czy jest coś takiego jak pierścionek poczekaj-na-mnie?

– Gdyby było, to byłoby to dla was, mężczyzn, bardzo wygodne.

– Ale nie wydaje mi się, żeby ona poczekała. Ona ma plany, jej młodsza siostra mi powiedziała.

– A jeśli ślub miałyby się odbyć dopiero za rok o tej samej porze, to myślisz, że ona poczeka?

Zaśmiał się.

– Coś w tym rodzaju.

Betsey z niedowierzaniem potrząsnęła głową. Ale pamiętała, jak to jest, gdy się pokłada taką ufność w przyszłości. Może dla panny Gilbey to nic dziwnego. Lizzie, pokojówka zakochana w synu chlebowdawcy, powinna jednak wiedzieć lepiej.

Sięgnęła za oparcie i wyjęła mu pierścionek z palców. W delikatnej oprawie ze złotego filigranu osadzony był ciemny kamień, może rubin. W półmroku nie mogła rozpoznać.

– To twojej matki? – spytała.

– Mojej matki! W dzieciństwie dostała srebrny medalion i to była cała jej biżuteria, o której wiem. Nie, znalazłem go w Londynie.

– Miałam kiedyś medalion.

Od Thomasa Dellaforde'a. Sprzedała swoje włosy i wszystkie rzeczy, bez których mogła się obyć, zanim w końcu i z nim się rozstała. Obracała pierścionek w dłoniach i patrzyła, jak ścianki kamienia połyskują, a potem spójrzała na wewnętrzną stronę obrączki. *Dziecko czarów* – taki napis widniał na jej medalionie, zapożyczony od Keatsa, ulubionego poety Thomasa. Podobał jej się, dopóki nie przeczytała całego wiersza. Piękna kobieta bez litości naprawdę potrafi zniewolić.

Betsey wiele razy podchodziła do półki z książkami i czytała ten wiersz, aby się upewnić, czy go dobrze zrozumiała, i wreszcie postanowiła udawać, że tego napisu tam nie ma.

– Czego tam szukasz? – spytał pan Jones.

– Napisu. Ale jest za ciemno.

– Napisu?

– Jest jakiś?

– A powinien być?

Skwitowała jego zdziwienie uśmiechem.

Pokręcił głową.

– O ile wiem, jest tam imię innej dziewczyny. Na Boga, wytargowałem go dziś po południu w lombardzie, a kiedy już wyszedłem, zdałem sobie sprawę, że powinien być w coś zapakowany, jak normalny pierścionek. Gdzie ja miałem głowę!

– Jest ładny, niezależnie od tego, skąd pochodzi. Nie powinieneś być tylko z tego powodu jej go nie dawać.

Chciała mu oddać pierścionek.

Nie wyciągnął po niego ręki. Jego wzrok skupił się na żółto połyskującym kółku, jakby to był wizjer, przez który można zobaczyć jakieś odległe światy.

– To co powinienem zrobić?

Mówił niskim głosem, jakby chciał podkreślić kategoryczność tego pytania. Betsey rozluźniła palce i pierścionek zsunął się w zagłębienie jej dłoni, ale on nadal patrzył na nią twardo.

– A co jeśli ja mam dosyć? Co? – spytał.

Zaskoczyło ją, że skierował to pytanie do niej. Choć wyglądało to tak, jakby mówił raczej do siebie.

– To dobieranie słów, zanim się coś powie, myślenie o wytartym miejscu na klapie... od tego ma zależeć mój los. I te cholerne lekcje muzyki.

Co tam się jeszcze stało na tym przyjęciu? Wydaje się niemożliwe, żeby zagrał źle. Podczas ostatniej próby w domu Sarah z pół tuzina razy odegrał utwór perfekcyjnie, dochodząc do takiego tempa, że na

koniec wszyscy w salonie wybuchnęli śmiechem.

Chciała zapytać, ale powiedziała coś, co jeszcze wydłużyło jego listę powodów do utyskiwania.

I to, że cię nie całuje.

– Słucham? – Podniósł głowę.

– Czy przed daniem jej pierścionka powinno mnie powstrzymać to, że mam dość tego, że mnie nie całuje?

Chciała, żeby to zabrzmiało jak odpowiedź, a wyszło nieszczercze. Słuchała go, a każdy włoszek na jej ręce i na karku tarł o materiał szmizjerki.

Ach tak. Dotarło to do niej teraz. Było coś w sposobie, w jaki podniósł głowę. Sprowadził ją tutaj, żeby się z nią pieprzyć. Ciekawa była, czy zdaje sobie z tego sprawę. Bo ona aż do tej chwili tego nie widziała i wierzyła, że szuka pociechy, towarzystwa, jej towarzystwa. Że też ciągle jest tak łatwowierna.

Patrzył na nią i jego spojrzenie drżało na tyle tylko, na ile drgał płomień rowerowej lampki. Spojrzenie ciężkie, przytłaczające. Wyobraziła sobie siebie w łóżku, a jego na niej. W górę i w dół, raz za razem. Jednak jaki nowy ciężar będzie musiała na siebie wziąć, gdy już pan Jones uwolni ją od swojego?

– Może i nie – odpowiedziała i wzruszyła ramionami. Nie ma sprawy – nie ma konsekwencji. Nic między nimi się nie zmieniło. – Jeśli o to chodzi, życie jest raczej gówniane.

Napięcie opadło. Potarł palcami powieki, pomasaował skronie i się zaśmiał.

– Racja. Nie schodzić ze ścieżki, o to chodzi?

Potrafiłaby go sprowadzić ze ścieżki na manowce. Na razie niech to będzie dla niego lekcja: przekona się, że kutas go zawiódł, dowie się, że jego piękna kolejka nie nadaje się ani do poprowadzenia jednej dziewczyny do ołtarza, ani do zaciągnięcia drugiej do łóżka.

– Tutaj.

Światło wyraźnie przygasło i pierścionek ledwie lśnił, gdy go od niej odbierał. Nałożył go na koniec palca, kilka razy przesunął po nim kciukiem, i w końcu wsunął go do kieszeni.

– Chodźmy – powiedziała.

Na Boga, zanim cię uduszę...

– Chcesz, żebym posłał po Mila Chestera, żebyśmy mogli się przejechać?

...albo zgwałcę, a potem uduszę...

– Czy ja chcę, żebyś zrywał z łóżka ciężko pracującego człowieka, żeby tu przyszedł i spełniał moje kaprysy? Nie, dziękuję...

Dotknął jej twarzy. Jędrną poduszczką u nasady kciuka nacisnął na jej policzek, palcami objął głowę. Z tyłu, na karku, u nasady włosów, czuła opuszek jego małego palca, chropowaty jak kawałek drewna albo wysuszona skóra. Nie była aż tak bezpieczna, jak się jej wydawało. On też nie był – wiedziała o tym. Ale kiedy jego dłoń zsunęła się niżej i złapała za warkoczyk, tuż za uchem, zamknęła oczy. Lekko, bardzo lekko pociągnął.

Jego wargi otarły się o jej szczękę.

– Słodko. Pachniesz jak cukier.

Zanim zrobię coś, po czym pozostanie tylko wspomnienie na stare lata, chodźmy stąd, na miłość boską.

– Elisabeth.

Ich wargi się zetknęły. Nie w pocałunku, jeszcze nie. Jak bączek zabawka zastygły między palcami a podłogą, ze sznurkiem nawiniętym i naprężonym. Jego westchnienie przedarło się do jej ust, a walijski akcent wydobyl miękko „s”, choć nie mógł przecież wiedzieć, że taką właśnie pisownię imienia wybrała jej matka. Nikt poza matką nie nazywał jej Elisabeth, a teraz on wyszeptał to imię tak jak się powierza sekret albo zanoszą do świętego ważną modlitwę. Mówił do niej Betsey, gdy chciał zaznaczyć, że są równi, albo Dobs, gdy wydawała mu się zabawna lub irytująca. Albo panno Dobson, gdy zwracał się do niej z poleceniem czy naganą. A teraz Elisabeth... Tylko perswazja. Czuła, jak jego oddech ogrzewa jej skórę, jak wszystko w niej się poddaje, a ona pamięta. Pamiętała, że każde miejsce, w którym dziś siedzieli, powstało dzięki jego darowi przekonywania, i o tym, że musiał użyć zaledwie ułamka tego daru, aby ją tutaj sprowadzić.

Nie chciała być złośliwa, nie względem niego.

– Nie weźmiesz mnie w ten sposób – przypomniała mu.

Wyrwała się, odwróciła, zasłoniła usta. Otworzyła oczy i zobaczyła ciemność – wydało się jej, że stało się coś strasznego. Ale nie, to tylko zgasła lampa rowerowa. Paliwo się skończyło.

Przestrzeń, która ich otaczała, była ogromna, a mimo to ich oddechy zdawały się ją wypełniać. Rozbrzmiewały głośniejsz niż łopot miotanej wiatrem kurtyny.

– Ja wiem, jak to jest – powiedziała. – Wykorzystywać, być wykorzystywaną. Pocałujesz mnie, bo ona cię zraniła. Pocałujesz mnie, a będziesz myślał o niej. – Pamiętała dotyk jego dłoni, gdy zbliżali się do sir Altona tego wieczoru, kiedy Avery urządził awanturę. – Nie zrobisz tego.

Nadal nie było światła. Czekala na próżno, a potem wyciągnęła ręce, żeby wymacać drogę do skrajnego siedziska.

– Nie zrobię – powiedział, jakby całą tę ciszę, która między nimi zapadła, poświęcił na formułowanie tej odpowiedzi.

Wstała i przytrzymując się burty wózka, wystawiła stopę. Zaczęła macać palcami, aż natrafiła na platformę.

I nagle znowu nic nie widziała. Zmrużyła oczy i podniosła ręce do twarzy. Cofnęła nogę do wózka. Przez palce dostrzegła jego twarz, złocistą ponad płomieniem i częściowo ocienioną.

– Poczekaj, żebyś sobie nie zrobiła krzywdy.

Ale nie wykonał żadnego ruchu, żeby ją poprowadzić ani żeby znaleźć lampę. Pozwolił, żeby płomień zgasł mu w palcach. Zirytowała się, że marnuje zapałki. Dodatkowo obawiała się, że poparzy sobie palce.

– Powiedziałaś mi kiedyś, że nie wyjdiesz za mąż. – Zapałka zgasła. – Naprawdę tak postanowiłaś?

– Zapal lampę. Chcę już iść.

– Postanowiłaś tak?

Plątała się w ciemności, niepewna nawet tego, dlaczego nie chce mu tego wyjaśnić.

Chwyciła się swojego stałego wybiegu i odpowiedziała pytaniem:

– Dlaczego chcesz to wiedzieć?

Wypowiedziane z zagadkowym uśmiechem było magiczną formułą działającą na wszystkich ciekawskich.

Poza nim.

– Nic nie poradzę, że tak jestem ciekaw wszystkiego, co dotyczy ciebie.

– Tak – potwierdziła. – Po Averym.

Słowa stały się namacalne, rosły wraz z ciszą, rozlewały się między nimi. No cóż, nie był pierwszy. Wielu innych wykazywało to samo zainteresowanie: czy, skoro spała z kimś, kogo oni znali, to prześpi się także z nimi. Na plus należało mu zapisać, iż nie udawał, że nie rozumie.

– Nie pójdę z panem do łóżka, panie Jones – powiedziała miękko, na wypadek gdyby nadal był ciekaw.



Początkujący czasem cofają karetkę tak gwałtownie, że wyginają prowadnicę wózka i tym samym psują całą maszynę.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Wymruczał:

– Dzięki Bogu.

A ona usłyszała w jego tonie, jak bardzo mu się nie spodobało to wypowiedziane bez ogródek stwierdzenie. A potem, bardziej szczerze, zapytał:

– Dlaczego nie?

– Bo chcę czegoś więcej niż wspomnień na stare lata. I tyle. Nie próbuj... nie możesz mnie za to karać.

Nagle wózki drgnęły, popchnięte jakąś uruchomioną przez niego siłą. Jakby zapamiętał, gdzie siedziała w chwili, gdy płonęła zapalka, od razu trafił na jej rękę i ją chwycił.

– Ciebie ukarać?

– Czy zrobię coś tak, czy inaczej, ty zawsze możesz sprawić, żeby sprawy stały się dla mnie... trudne.

– Rany boskie. Elisabeth.

Można go było urazić – jeśli sam tego chciał. Ale to musi boleć. I z pewnością wiedział, że ona musi o tym opowiedzieć.

– Widzisz, ja wybrałam – powiedziała. – Musiałam wybrać. Tego się nauczyłam po Thomasie.

– Thomasie?

– Najstarszym synem Dellaforde'ów. Służyłam u nich. On wybrał mnie, ale co ja wtedy wiedziałam o różnicach między ludźmi? Myślałam, że najważniejsze to poprawić akcent, więc kiedy nadszedł tamten dzień, potrafiłam się wysławiać jak prawdziwa pani Dellaforde.

Powinien zrozumieć, wszak zrobił to samo za swoją wymową. Rozluźnił palce na jej rękę.

– Ach – powiedziała. – Ty myślisz, że Avery był pierwszy. I jedyny. Nie. Pierwszy był Thomas. I wtedy nauczyłam się wybierać.

W ciemności nic nie dało się zobaczyć. Wyobraziła sobie, jak jego warga wysuwa się w stronę koniuszka nosa, brwi się zbiegają, i jak go nienawidzi za ten szydery uśmiezek, mimo że tylko go sobie wyobraża.

– Marbie. Elias. Ned. John – inny John. Nawet Avery'ego ja wybrałam. Myślisz, że to byle jaki wybór, ale tak naprawdę nic nie wiesz. Straciłam szansę na skończenie Instytutu... Teraz też wybrałam, i to nie jesteś ty.

Jeszcze raz pewnie i bezbłędnie odnalazł ją w ciemności. Delikatny dotyk jego kciuka na rękę sprawił, że jej oczy zapłonęły.

– Niech pan sobie nie wyobraża, panie Jones, że jestem kobietą, która nie liczy się z konsekwencjami. Tylko dlatego, że pan nie może mnie zniszczyć, dlatego że nigdy nie zajdę w ciążę i nigdy nie zażądam, żeby się pan ze mną ożenił...

Czuła, że to go poruszyło. Oczywiście nie mógł wiedzieć, że ona nie może zajść w ciążę.

Poczuła, że już nie ściska jej dłoni tak mocno, pomyślała, że za chwilę powie coś o współczuciu.

Zabrała rękę.

– Jeśli chcesz sobie mniej wyobrazić jako kogoś unikającego konsekwencji, pogadaj z Averym Nashem. Kiedy go wypuszczą z aresztu, spytaj go, gdzie był rok temu.

– Chciałabym dostać swoje guziki. Będą mi chyba potrzebne? – poprosiła, gdy John zamykał bramę od strony Esplanady.

Uznał, że tym pytaniem chce wysondować, czy poniesie jakieś konsekwencje tego, że mu odmówiła.

Powiedział, że Lillian go skrzywdziła. Ale w porównaniu z pytaniem Betsey to, że tamta dziewczyna za nic miała jego dumę, było jak złe wieści z dalekich i obcych krajów. To była rana nowa i bliska.

Przesypał guziki w jej dłoń. Nie miała kieszeni, więc rozłożyła chusteczkę, zawiązała węzełek i włożyła do koszyka przy rowerze.

– Och, nie – zaprotestowała, gdy zorientowała się, że zamierza ją odprowadzić do The Bows.

A on usłyszał w jej tonie zdecydowanie i nie nalegał. Pewność słyszał w jej głosie zawsze, cokolwiek mówiła. Pewność, z jaką wymieniła wszystkie te imiona, pewność, że przyprowadził ją tutaj żeby... żeby ją przelecieć. Pewność, że tego nie zrobi.

Czy rzeczywiście tak było? Czy właśnie po to ją tu przyprowadził? Chciał zapomnieć o tym wszystkim, tego był pewny. Ale w swoim pokoju w hotelu znalazł w kieszeni jeszcze jeden guzik.

Tylko chwilę zajęłoby mu pójście do biura i położenie go na jej biurku.

Obracał go jak monetę, a potem położył na gzymsie kominka. W łóżku próbował myśleć o tym, co będzie nazajutrz, o otwarciu kolejki.

Przez sześć godzin i trzy kwadransy nowa rozrywka Idensea spełniała oczekiwania.

Jednodniowi wycieczkowicze i stali mieszkańcy, podekscytowani, ustawiali się w – jak na Brytyjczyków przystało – karnej kolejce, aby zapłacić sześć pensów i przejechać się kolejką widokową zwaną Drogą Sułtańską. Przez sześć godzin i trzy kwadransy wszyscy zgadzali się, że ponura pogoda w najmniejszym stopniu nie psuje widoków na Esplanadę i morze ani nie osłabia ekscytacji, kiedy się patrzy na ciągnące się w dole wybrzeże. W ciemnych tunelach kradli sobie pocałunki i wykrzykiwali zaskoczeni, gdy nagle otwierały się na jakąś groteskową scenę albo panoramę. Tam, gdzie trasa biegła przez egzotyczne okolice, zachwycali się, a tam gdzie mieli się bać – wrzeszczeli ze strachu.

Przez sześć godzin i trzy kwadransy Droga Sułtańska święciła triumfy. A potem w jej mechanizmie coś się popsuło. Pracownicy Johna z Kursaalu zawiadomili go, że kolejka stanęła.

John uznał, że ta awaria jest sprawą precedensową. Powiedział majstrom, co mają robić, i popedałował na miejsce. Zastał niezły bałagan.

Dwie grupy pasażerów uwięzły na trasie. Jedna dopiero ruszyła i zatrzymano ją prawdopodobnie po ostrzegawczym gwizdku hamulcowego drugiej grupy. Wózki stały około czterech metrów nad ziemią, tam, gdzie zaczynał się ostatni podjazd – albo raczej blisko tego miejsca, ponieważ hamulcowy zaangażował męską część pasażerów do pchania wagoników pod górę. Na grzbiecie zamierzał kazać im wskoczyć. Wózek miał swobodnie zjechać na dół, bez względu na to, czy wszyscy zdążyliby wsiąść, czy nie.

Taki był plan hamulcowego. Opowiadał o nim głośno i w kółko, protestując tym samym przeciwko

właściwym procedurom wdrażanym w czasie szkolenia.

– Na rany Chrystusa – mrucał. – Tyle roboty w to włożone. A teraz takie coś, jak grom z jasnego nieba.

– Stać! – ryknął John, ile pary w płucach. – Cofnij pan to! Vernonie Crabbe, mówię do pana. To polecenie służbowe!

– Musimy sprowadzić pasażerów na dół. Powiedz tym przy kasach, żeby wstrzymali sprzedaż biletów, a potem przyjdź tu z Eadym. Schodki dla obsługi są w tunelu. Będziemy ich sprowadzać po dwoje i wsadzać do wozów Chestera.

Mechanik, do którego skierowała słowa, skinął głową i ruszył truchtem, żeby wykonać polecenia. Ale kiedy John ruszył w stronę toru, Vernon Crabbe zaczął się opierać.

– O co tyle hałasu – powiedział. – Po mojemu byśmy ich wszystkich już mieli na platformie, tam, gdzie się wsiada. Już to dziś raz robiłem. Jakby pan to widział, toby pan zmienił zdanie.

John kipiał z wściekłości. Miał ochotę udusić tego głupca. Ale potrzebował go zdrowego i gotowego do współpracy, więc tylko mu zdawkowo pogratulował, a w zamian wysłuchał opowieści o tym, że za niecałą godzinę ma odebrać wypłatę z kasy kompanii.

John wyjaśnił pasażerom, że zostaną sprowadzeni z powrotem po torze aż do tunelu panoramy, po schodkach obsługi i że wkrótce znajdą się z powrotem na Esplanadzie. Kilku wyraziło niepokój, gdy się dowiedzieli, że nie pójdą wszyscy naraz i że przez kilka minut będą musieli siedzieć na deszczu w kolejce.

– To lepsze niż stracić stopę pod wózkiem – powiedział jeden z tych, którzy pchali wagonik, gdy John się zjawiał.

W ciągu pół godziny wszyscy byli mokrzy, ale znaleźli się bezpiecznie na Esplanadzie. Zwrócono im pieniądze za bilety. Powóz sir Altona czekał tam od co najmniej dziesięciu minut. John dał znać, że ma ręce pełne roboty. Sir Alton wysiadł, a jego lokaj stał z parasolem obok.

– Jakież kłopoty, co, Jones? Niespodziewane kłopoty?

Na tym drwiny się skończyły. John odgarnął z czoła mokre włosy – jego kapelusz spadł między rusztowania, strącony przez kobietę, która bała się iść pomostem dla mechaników wzdłuż toru – i zauważył Rolly’ego Bruesa, Amerykanina. Wysiadł z powozu sir Altona. Doskonale.

Dziwna chęć zawładnęła jego duszą: uczucie, że chce powiedzieć „cholera” sir Altonowi i „cholera” Bruesowi, i „cholera” wszystkim cholernym rzeczom w Idensea, a potem siedzieć w tym błocie, dopóki ktoś mu nie przyniesie tego cholernego kapelusza.

Miał dość wszystkiego, tak jak powiedział Betsey zeszłej nocy. Czy to cokolwiek znaczyło? Pewnie nie. Pod tym względem życie to gówno.

Jej słowa nie poprawiły mu humoru od wczorajszej nocy. Powiedział do sir Altona:

– To już wszyscy pasażerowie. Zostali bezpiecznie ewakuowani. Wysyłam ich do Pimlotta na lody.

– Wspaniały gest. Mam nadzieję, że powiedział im pan, że to na koszt firmy.

– Wiedziałem, że właśnie tego będzie pan ode mnie oczekiwał – odparł John.

Sir Alton usłyszał w jego głosie sarkazm i skrzywił usta, ale bez szczególnej dezaprobaty.

John poczuł się silniejszy. Odwrócił wzrok, żeby się przywitać z panem Bruesem, który właśnie do nich dołączył.

Obaj z sir Altonem spojrzeli niepewnie na Johna.

– Naprawimy to – rzucił.

Lokaj sir Altona, zaspany albo niezgrabny, przechylił parasol. Uderzył go w głowę i wylał mu na plecy strumień wody.

– Wózek nie chwyta liny na drugim wzgórzu. Dziś w nocy, najdalej jutro rano będę wiedział, kiedy zdołamy to naprawić.

Brues chrząknął i zmrużył oczy.

– Nie ma pan jakiegoś pomysłu już teraz?

John nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

– Byłem zajęty pasażerami – przyznał. – Ale za chwilę porozmawiam z mechanikami.

Nastrój trochę mu się poprawił, gdy Brues zaoferował, że pójdzie i sam spróbuje się przekonać, o co chodzi. Klepnął sir Altona w plecy i zachęcił, żeby mu towarzyszył.

Sir Alton przez chwilę wyglądał, jakby chciał potrząść skronie, ale uśmiechnął się na tyle, żeby móc grzecznie odmówić. Brues ruszył w stronę kolejki.

– Jak tam mój syn? – spytał. – Chyba widział się pan z nim zeszłego wieczoru u tego producenta dywanów?

– Wiedziałem. – Producent dywanów, pan Gilbey. Człowiek, który produkował i sprzedawał dywany o wartości wielokrotnie przekraczającej majątek sir Altona – także te, które zdobiły posadzki hotelu. – Występ Noela był niezwykle udany. Grał utwór, który chyba sam skomponował.

I oczywiście ten duet z Lillian, ale on nie został na tej części programu. Nie. Patrzył, jak ta dziewczyna z pewnością siebie godną królowej bawi się perłami i zarazem bać się, że może nie być na tyle dobra, żeby zaśpiewać razem z Noelem Dunningiem. Ten obraz, który już od siebie odegnał, teraz nagle wrócił z całą mocą.

– Świetnie – powiedział sir Alton. – Obawiałem się, że pańska obecność może go zbić z tropu, rozumie pan, przypomnieć mu o jego obowiązkach tutaj, ale jestem zachwycony, że potrafił się wznieść ponad to. Mam nadzieję, że nie dał panu znać, że w najbliższym czasie zamierza sobie popsuć przyjemność.

– Nie powiedział mi, kiedy zamierza wrócić do domu, jeśli o to pan pyta.

Głos sir Altona stracił radosną barwę.

– Powinien pan go przekonać. On pana słucha.

– Trudno mi się wtrącać w sprawy między panami.

Po chwili sir Alton znów się uśmiechnął.

– To prawda. To niewłaściwe tak na pana naciskać. Zwłaszcza że Noel wie dokładnie, czego się od niego oczekuje. Całkiem niedawno uświadomiłem mu, że to do pana, a nie do niego będę się zwracał, jeśli nadal nie będzie potrafił odróżniać rzeczy ważnych od nieistotnych. I naprawdę będę tak robił.

Jeszcze nigdy nie wypowiedział się na temat przyszłości Johna w firmie tak jednoznacznie.

Jako właściciel gruntów miał prawo do stanowiska dyrektora zarządzającego. Wolał jednak zająć się sprawami estetyki niż kierowaniem tym wszystkim. Dlatego John poza tym, co wynikało z kontraktu, miał też inne obowiązki. Przynosiły mu znaczne dochody i dzięki temu, że je wypełniał, sir Alton był wolny od przyziemnych kłopotów związanych z prowadzeniem biznesu.

Nadzorowanie tego, co już zostało zbudowane, wprowadzanie w życie wizji kogoś innego – dla Johna nie było to bardziej kuszące niż dla Noela Dunninga. Spojrzał na wzgórze, na tory kolejki, na trwały ślad, jaki zostawi w tym miejscu, i zrozumiał, że nadal chce tego samego. Jego czas w Idensea dobiegał końca.

A jednak coś się popsuło. Gwałtownie odwrócił się od sir Altona i zawołał do Rolly’ego Bruesa. Jego wola naprawienia wszystkiego była niezłomna.



Obserwuj na bieżąco ruch taśmy i naucz się odwracać kierunek przewijania.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Kiedy John i jego ludzie wreszcie opuścili teren kolejki, było już ciemno. John, zmęczony i zniechęcony, krążył między Kursaałem – żeby zobaczyć, jak idzie praca – a hotelem, i nie mógł się zdecydować, czego potrzebuje najbardziej: jedzenia, kąpieli czy snu.

Wszystko to okazało się mało ważne, gdy do jego uszu dobiegła muzyka, żywa i kusząca, akurat w chwili, kiedy odstawiał rower do hotelowego schowka. Dźwięki dochodziły z pawilonu.

Pracownicy firmy wyrabiający powozy tańczyli na zakończenie całodziennej wycieczki. Imprezą prawdopodobnie zarządzała sprawnie Betsey Dobson. Mając w pamięci to, co się stało w ostatnią sobotę, uznał, że najlepiej będzie najwyżej przejść obok – powiedzmy, przespacerować się – żeby się upewnić, że wszystko idzie jak należy.

W pobliżu pawilonu przystanął i oparł się o drzewo. Światło elektryczne ledwie tam docierało. Z ulgą stwierdził, że Betsey wezwała więcej pracowników, mimo że jej o tym nie przypomniał. Z mniejszą ulgą zauważył w kącie sekretarza sir Altona. Najwyraźniej wszystkiemu się przyglądał, aby nazajutrz zdać relację chlebodawcy. John zastanawiał się, czy Betsey go zauważyła. Była wśród tańczących i

cieszyła się dużym powodzeniem, zapewne dlatego, że tego wieczoru mężczyzn było więcej niż kobiet. A może z powodu tego, jak wyglądała w swoim służbowym kostiumie. Albo bez specjalnego powodu.

Przegapił porę herbaty, a potem kolacji i mimo że każdy mięsień jego ciała domagał się odpoczynku, stał oparty o pień i patrzył, jak Betsey Dobson przechodzi od jednego tanecznego partnera do drugiego.

To go zaszokowało. Nie tańczący, tylko tamci mężczyźni, których wymieniła ostatniej nocy. Wielu, bardzo wielu. I żadnego nie miała zamiaru poślubić?

Nie, jednego – Thomasa Dellaforde’a. Myślała, że zostanie jego żoną. Kim on był, poza tym, że najstarszym synem? Dlaczego tylko on, a nie któryś z pozostałych?

I dlaczego oni wszyscy, a nie on, John Jones?

Przykucnął pod drzewem. Ona odpowiedziała na to pytanie. Powiedział sobie, że rozumie i że pod pewnymi względami w jej życiu nie było nikogo innego. Zrozumiał, jak to się dzieje, kiedy się szuka, kiedy jedne rzeczy przelatują między palcami, a inne zamyka się w kołysce dłoni.

Bezwiednie zrywał i odrzucał źdźbła trawy. Zeszłej nocy z łatwością rozwiązała kilka zagadek: wybór tego, a nie innego, *pocałuj mnie, bo ona cię zraniła*. Ale jeden z jego sekretów pozostał nierozwikłany: nie dowiedziała się, dlaczego zwrócił uwagę na pierścionek. Stało się tak dlatego, że właściciel lombardu zawiesił go na wstążce w pustej klatce dla ptaka. Klatka z mosiężnych drutów, taka, jakiej nie trzeba naprawiać gazetą i szpagatem, ustawiona w obskurnej witrynie w Londynie przyciągnęła jego uwagę. A pierścionek – teraz mógł to przyznać – to był późniejszy impuls.

Nie powinien był jednak mówić, że tamtego wieczoru szukał jej z tego powodu. Nie, nie spodziewał się, że ją spotka. Ale gdy wysiadł z pociągu z Londynu, poczuł, że jego duch jest tak głodny i poobijany jak ciało, a jedynym lekarstwem wydawały się wiatr, szybkość i wysiłek fizyczny. To, że znalazł się pod domem Sarah, było przypadkiem. Nie miał takiego zamiaru.

Ale to się nie liczyło. Betsey wierzyła, że było inaczej. A on pragnął ją posiąść. Tam, w tym wózku dla pasażerów. Gdyby nie odmówiła, wziąłby ją.

Nic pięknego wiedzieć coś takiego o sobie. Nic pięknego patrzeć na kobietę i myśleć: bez konsekwencji.

Ale to ciągle w nim tkwiło: złość z powodu straconej okazji. Patrząc teraz na tańczącą Betsey, czuł, jak świeże jest jej wspomnienie pod jego palcami i w ustach, i to wstrętne uczucie, nad którym, jak sądził, od dawna potrafił panować, nagle pojawiło się znowu i podniosło go na nogi.

Pawilon był otwarty, stał na podwyższeniu, na które prowadziło z pół tuzina niskich stopni.

Betsey uważnie wszystko obserwowała, nawet kiedy tańczyła. Zobaczyła go w chwili, gdy wchodził na pierwszy stopień. Przeprosiła mężczyznę, z którym tańczyła, i ruszyła ku Johnowi, i na jej twarzy coraz wyraźniej malowało się zmieszanie. Nagle zorientował się, jak musi wyglądać: wracał z pracy przy kolejce, z rękami i ubraniem ubrudzonymi olejami i ziemią. Kołnierzyk i krawat miał w kieszeni. Przeciągnął ręką po włosach, żeby je przygładzić.

– Nie musiałeś przychodzić – powiedziała, gdy podeszła całkiem blisko. – Twój szpieg jest wyjątkowo spostrzegawczy.

Oczywiście, zauważyła go.

– Szpieg sir Altona, nie mój.

– I kto to jest?

– Walbrook, sekretarz.

Zakłęła. Niezbyt ostro.

– Co mu powie? Wszystko idzie dobrze, bez cienia kłopotów.

– No więc to właśnie powie, taką przynajmniej mam nadzieję. Nie uważam, żeby był szczególnie złośliwy.

– Nie? No to powinienes go przede mną ostrzec.

– Dziewczyno... – Chciał ją zbesztać za takie samooskarżanie, ale ona ciągle patrzyła na Walbrooka.

Skrzyżowała ręce i zaczęła kręcić palcami ostatni guzik kamizelki. Powinien być przedostatni, ale tego najwyższego brakowało. Nie, nie zginął. Leżał na kominku w jego sypialni, przypadkiem zostawiony i celowo niezwrócony.

Przyłapaną na tym nerwowym ruchu puściła guzik.

– Ja nie chciałam nowej sukni.

John nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Uznał, że najmądrzej będzie się nie odzywać.

– Skarć mnie, jeśli musisz, ale nie mam na to pieniędzy. A poza tym nie spodobało mi się to, jak o tym powiedziałaś. Nie potrzebuję nowej sukni, żeby złapać męża.

Ach. O to chodzi...

– Więc jeśli dla ciebie to bez różnicy, będę nosić swój służbowy strój. Chyba że to polecenie.

W jej ostatnich słowach wyczuwało się niepewność.

– Co do ubrania... rób, jak ci się podoba. Jeśli chcesz, możesz nosić swój uniform na co dzień – powiedział. – Nawet w nim możesz panować nad całym światem i nad wszystkimi mężczyznami, jacy na nim żyją.

Wygłosił dość koślawy komplement, a w zamian dostał jej spojrzenie (mówiło, że nie ma czegoś takiego jak magiczne ziarna fasoli) i – dość niespodziewanie – „no to dobrej nocy”.

– Ja wrócę – rzucił pospiesznie, zanim zdążyła się odwrócić i zniknąć w pawilonie. – Umyję się i

przyjść, żeby cię odprowadzić do domu.

– Charlie przyjdzie. Sam to załatwiłeś. Dobrej nocy.

– Słyszałaś o awarii?

– Tak.

Wydawało mu się, że chciała kolejny raz powiedzieć „dobranoc”, ale wyczuł jakąś dziwną miękkość w jej postawie, a przede wszystkim w głosie.

– To niedobrze. Wiem, że jesteś zawiedziony. Czy to się da naprawić?

Skinął głową.

– To kwestia jednego dnia, może dwóch. Przy odrobinie szczęścia znajdą się jeszcze ryzykanci, którzy będą chcieli się przejechać.

– Oczywiście, że się znajdą. W tej chwili idziemy tam wszyscy.

Wskazała na tańczących wycieczkowiczów. Nie próbowała już powiedzieć „dobranoc”.

Patrzyła na tańczących, a on spoglądał na nią, i nagle zrozumiał, zanim wydała jakikolwiek dźwięk, że za chwilę wybuchnie śmiechem.

Rozśmieszył ją jej własny pomysł.

– Kiedy to już zostanie naprawione, powinieneś wyprawić na przejażdżkę sir Altona i lady Dunning, żeby im pokazać, że można mieć do tej kolejki zaufanie. A kiedy na otwarciu Kursaalu przyjedzie książę, jego też wsadź do wagonika i każ sfotografować. To wam przyniesie pożądany rozgłos.

Natychmiast to zobaczył: książę, księżna i wszystkie ich dzieci, ile ich tam mają, i cała świta, która zwykle się za nimi wlecze – cały wagonik, albo i dwa, pełne zażywających rozrywki dostojnych gości. I to wszystko w londyńskiej prasie na stronach kroniki towarzyskiej.

– Wspaniały pomysł, Betsey – odparł z uśmiechem, a ona zaróżowiła się z zadowolenia, choć nic nie powiedziała. – Naprawdę świetny. Zrobisz to?

Komplement ją połechtał, ale co do reszty, sądziła, że żartuje.

– Tak. Jeśli Ethan Noonan nie będzie tego dnia zbyt pijany, wyjedziemy po księcia i zabierzemy go na przejażdżkę.

Myślę, że jego książęca mość będzie miał własny powóz, ale Walbrook powinien być tam i pilnować programu. Spojrzała na sekretarza sir Altona, a John dodał:

– I może się skontaktować z sekretarzem księcia, gdyby trzeba było coś dodatkowo uzgodnić.

Przygryzła dolną wargę.

– To twoja specjalność Dobs. Każdy na właściwym miejscu o właściwej porze, wszyscy są weseli i

nie zauważają, ile pracy w to włożono. Ja jestem zajęty w Kursaalu, ale Droga Sułtańska ma swoje wymagania.

– Spróbuję – powiedziała niepewnie. – Chyba powinienesz mnie przedstawić panu Walbrookowi. Zatrzymał ją.

– Zrobię to, ale...

Czekała na ciąg dalszy.

– Byłem ciekaw... – zaczął, ale po chwili zamilkł, jakby nie wiedział, jak skończyć.

– Ciekaw? Czego...

Tych twoich innych facetów, Betsey Dobson. Dlaczego ich wybrałaś.

Powinna zapytać: *Dlaczego w ogóle chcesz to wiedzieć?*

A on by odpowiedział: *Ponieważ chcę...*

Niewypowiedziana myśl utknęła. Zupełnie tak samo utknęłaby, gdyby ją wypowiedział.

Betsey stała i czekała, aż dokończy, a on tymczasem zdał sobie sprawę, że nie wie, co ma powiedzieć i jak wyrazić to, o co mu chodzi, i że to dla niego doświadczenie zupełnie różne od tego, z czym miał do czynienia przez całe życie. Wrócił myślami do czasów, gdy liczył dwanaście lat, był sam i zagubiony w Swansea, które wtedy wydawało mu się ogromnym miastem. Nie mógł znaleźć pracy, był głodny, nie miał dachu nad głową, planów ani perspektyw. Coś podobnego czuł teraz, kiedy odkrywał, że jeśli chodzi o Elisabeth Dobson, instynkt go zawodzi.

Dzięki Bogu nie była to prawda. Miał instynkt. Pojedynczy impuls kierował nim jak bicz spadający na grzbiet głupiego bydlęcia.

To on był tym bydlęciem. Bicz uderzał, a on się natęzał, żeby ruszyć naprzód, ale był zbyt głupi, żeby wiedzieć, jak wyciągnąć swój ciężar z błota, w którym utknął. Na razie wymyślił tylko tyle:

– A może... a może zatańczymy, panno Dobson?

Co dowodziło, że instynkt jednak go opuścił. Taniec, jak kiedyś poinformowała go Lillian, nie jest jego mocną stroną. Kapelmistrz zapowiedział taniec ludowy i choć minęły lata, uznał, że nieźle sobie z nim poradzi, lepiej niż z melodiami, które usiłował opanować na muzyczny wieczór u Lillian.

Betsey spojrzała na niego, a on znowu przypomniał sobie, że ze swoim obecnym wyglądem raczej nie powinien pokazywać się publicznie i że jego brudne ubranie w połączeniu z niezgrabnym tańcem mogą ją wprowadzić w zakłopotanie. Poza tym bez wątplenia zalatywało od niego potem, oliwą, ziemią i deszczem. Ale w jej taksującym i pełnym zrozumienia spojrzeniu nie było ani dezaprobaty, ani zakłopotania. Przypominało tamto, którym go obrzuciła w tramwaju przed tygodniem, kiedy założył jeden ze swoich najlepszych garniturów. To spojrzenie jej brązowych oczu przywróciło mu odrobinę pewności siebie.

– Czy zatańczymy? – powtórzyła. – Jeśli zatańczymy, panie Jones, to tylko zatańczymy. Nic więcej.

– Oczywiście, panno Dobson – odpowiedział i podał jej ramię.

Był brudny. Brudniejsze od ubrania były jednak jego myśli, wypełnione palącym pożądaniem: chciał posiąść tę dziewczynę. I nagłą chłodną determinacją: chciał wymyślić, co powinien zrobić, żeby zostać jednym z facetów, których wybrała.

Wmieszali się między tańczących. John patrzył na innych mężczyzn, podpatrywał ich kroki i uważał, że właściwie potrafi im dorównać. Betsey unikała jego wzroku, więc chyba nie zauważała, że spóźnia się o pół kroku. Za każdym razem gdy wszyscy klaskali, obawa, że ją pobrudzi swoimi brudnymi rękami, wprost go bolała. Zmieniali figury, a on był w rozterce: próbował nadążyć za krokami i znaleźć odpowiednie słowa.

Łatwiej było z taką Lillian i podobnymi do niej dziewczętami. Flirt, prawienie komplementów – wszystkie miały na uwadze tylko małżeństwo. A z Betsey...

Z nią było inaczej. Ale powiedzenie sobie, na czym polega ta odmienność, nie było łatwe.

– Wczoraj w nocy zesłaś na dół – powiedział jej do ucha, gdy zbliżyli się do siebie w kolejnej figurze. Przypomniawszy jej, bo wyglądało, że o tym nie pamięta, a było to coś, co warto zachować w pamięci, nie tylko dlatego, że kiedy wspominał, jak otwierają się drzwi, czuł się szczęśliwy. Kiedy chwilę wcześniej zobaczył ją w oknie na górze, pomyślał, że do niego nie wyjdzie.

– Kazałeś mi – odpowiedziała. I urok tego wspomnienia znikł.

– Nie kazałem – zdołał odpowiedzieć, zanim zakończyli kolejne okrążenie. Puścił ją i z impetem wpadł na parę, która stanęła mu na drodze.

– Co się z tobą dzieje? – syknęła, wyciągając go z miejsca, gdzie nie powinno go być.

– Chyba zapomniałem tej figury.

Na powrót dołączył do tańczących, podpatrując innych i licząc. Kiedy poczuł się wystarczająco pewnie, powiedział:

– Mimo wszystko zesłaś.

– Co za różnica? Żadna.

– Nieprawda.

Rozdzielili się. On znalazł się w kółku z kimś innym. Równie dobrze mógł to być mężczyzna, bo ledwie zauważył swoją nową partnerkę.

Ale po chwili już byli razem:

– I o to chodzi. Odmówiłaś, ale najpierw zesłaś.

Nadepnęła mu na palce. Znowu byli w niewłaściwym miejscu.

– A ty... ty uważasz, że jestem cudowna.

Kolejne kółko. Betsey wpadła na niego i to była jego wina.

– Dość – powiedziała.

Cofnęła się i zostawiła go z wyciągniętymi rękami. Zanim się wyswobodził z kręgu tańczących, ona już zdążyła wyciągnąć rękę do sekretarza sir Altona. Nie czekała, aż John ją przedstawi.

Zamyślił się: myślał o słowie „zrujnowany”. O tym, jak na przykład w ciągu jednego kiepskiego sezonu słabe zbiory mogą zrujnować rolnika. Gorączka, upadek, nadużywanie alkoholu albo zbyt tłuste jedzenie i człowiek jest zrujnowany. Odkryta tajemnica, spóźnione przybycie, strącona lampa – i już gotowa ruina: reputacji, możliwości, majątku. Ruina czai się w złych namiętnościach i może się zacząć nagle albo tak powoli, że człowiek orientuje się dopiero, gdy dopada go nieszczęście, orientuje się, że cały czas sam ku temu nieszczęściu zmierzał.

Wrócił do hotelu. Przeszedł przez kuchnię, która pełniła funkcję jadalni dla pracowników. Rozbrzmiewała szczękiem naczyń, odgłosami szorowania i przekrzykiwaniami pomywaczek.

Pierwsza zauważyła go nowa, przyjęta w tym sezonie. Uśmiech zamarł jej na ustach. Nie wiedział, jak ma na imię.

– Iva. To jest pan Jones. Daj mu wszystko, czego będzie chciał, wszystko jedno, jaka będzie pora – powiedziała Meggie Wright i puściła do niego oko.

Iva nałożyła mu jedzenie na talerz. Czy ty już jesteś zrujnowana, mała Ivo? – pomyślał, biorąc od niej talerz. – A ty, Meggie Wright?

Uderzyła go dziwna myśl: tak wiele jest sposobów doprowadzenia się do ruiny i tylko jeden, żeby tego uniknąć. I to zarezerwowany dla kobiet.

Wziął kąpiel i zasiadł do zimnej kolacji. W pawilonie był taki niezręczny. Dręczyło go to. Nie niezdarność w tańcu, tylko nieporadność w rozmowie. Był głodny, ale jadł powoli. Myślał o tym, że mógłby ją skłonić, żeby zmieniła zdanie, sprawić, żeby zauważyła, że nie stanowi dla niej zagrożenia w pracy, chociaż wierzyła, że jest inaczej. Mógłby ją do tego skłonić. Mieli do siebie wystarczająco dużo zaufania. Tak przynajmniej było do chwili, gdy popedałował do domu Sarah w środku nocy.

Mógł ją przekonać, żeby zmieniła zdanie. I co dalej? Za rok o tej porze jego już nie będzie w Idensea, znajdzie zajęcie gdzie indziej, jeśli Bóg pozwoli, przy większych projektach. Stanie się coraz sławniejszym wykonawcą, a każdy sukces będzie go przybliżał do odtworzenia własnej firmy.

Małżeństwo mógł odłożyć, ale tego – nie. Nie zamierzał skończyć kariery na prowadzeniu interesu sir Altona.

Zmieniłby jej nastawienie. A potem...

To powinna być tajemnica.

Odstawił talerz na mały stolik, choć zjadł ledwie połowę. Zagłębił się w fotel i wpatrzył w puste palenisko kominka. Niewidoczny, niedostępny na gzymsie leżał mosiężny guzik, który sobie przywłaszczył. Rozmyślał ciągle o tym samym.

Tajemnica. Bo on może ją zrujnować. Proponowanie jej czegokolwiek poza zalotami było jak proszenie, żeby podjęła ryzyko, a tego już odmówiła. A on nie zamierzał się zalecać do panny Dobson.

Chciał ją mieć w swoim łóżku. Wszelkie pragnienia, które dotychczas tłumiał, dotyczyły Elisabeth Dobson, okrutnej, zniewalającej i nietolerancyjnej.

Wsunął rękę pod kołdrę, tak jak wtedy, kiedy był chłopcem. A potem długą chwilę leżał w ciemności.

Nie możesz mnie zrujnować.

Bo ona już była zrujnowana. Nikt tego nie kwestionował. I jak to jest, kiedy ma się zrujnowane życie? Mieć świadomość, że nie można tego pokonać, bo to od zawsze było częścią nas? Tak ona myślała o sobie. I choć to był fakt, teraz, w ciemnościach, czuł, że chciałby zmienić jej pogląd na tę sprawę. Teraz, w ciemnościach, wydawało mu się, że najszlachetniejszą rzeczą, jakiej mógłby spróbować, byłoby pokazanie Elisabeth Dobson, że jej życie nie jest zrujnowane.



Naucz się robić większe i mniejsze odstępki między wierszami.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Tak więc pan Jones był nieznośnym, nic nierozumiejącym głupcem. I niczym więcej.

W poniedziałkowy rano hotelowe biuro zapełniło się spoconymi mężczyznami. Sapiąc, mocowali się z meblami. Nawet księgowy, Arland Hamble, pokraśniał. Pan Seiler powiedział jej, że to pomysł Johna, i pokazał szkic z nowym ustawieniem mebli, precyzyjny i z nagryzłymi objaśnieniami. W ten sposób całość będzie lepiej urządzona. Wszyscy wydawali się z tym zgadzać.

– A tu zmiana przyjemna dla pani. – Pan Seiler wskazał na prostokącik, w którym napisano: „panna D”. – Nikt już nie będzie walił drzwiami w pani biurko, wchodząc do pokoju.

To była jedna z miłszych rzeczy, jakie kiedykolwiek zrobił dla niej mężczyzna. Pan Jones pomyślał nawet o tym, żeby ją ulokować jak najdalej od pana Hamble’a. Później znalazła w szufladzie biurka kilka kartoników z guzikami. Bardzo pasowały do jej służbowego stroju.

To był kolejny miły gest.

*

Avery zniknął. Liczyła dni do końca jego kary i spodziewała się, że się pokaże, gdy tylko wyjdzie. Ale ulgę przyniosłaby jej świadomość, że odszedł na dobre.

Podejrzewała, że pan Jones podjął w tej sprawie jakieś starania.

– Spytałem, czy chce wrócić do Londynu – przyznał, kiedy spytała go o to wprost pewnego popołudnia w jadalni dla pracowników. Tylko tamtędy przechodził i przywitał się z nią tak jak z pozostałymi, ale ona odciągnęła go na bok. – Powiedział, że tak, więc załatwiłem mu podróż z Noelem Dunningiem.

– Mogę sobie wyobrazić, jak ty załatwiasz takie sprawy.

– Nie było tak, jak myślisz. Uprzejmie w każdym calu, ale bez litości.

Wierzyła mu. Chyba zawsze chciała mu wierzyć. Był nieznośnym, nic nierozumiejącym głupcem, i prawdopodobnie pomógł Avery'emu po to, żeby móc realizować własne samolubne plany. Może myślał, że ona jest głupią, naiwną gąską. Ale musiał wiedzieć, co czuje w związku z tym, że Avery odszedł na dobre, i że nie jest to tylko zwykła ulga. Przygryzała od środka wargę, żeby się nie skrzywić, ale on i tak wiedział. Powstrzymał się przed skomentowaniem, co o tym myśli.

– On nie ma wstępu do hotelu – powiedział. – To pewnie dlatego się z tobą nie pożegnał.

Tak więc Avery Nash odszedł, zostawiając jej na pamiątkę umiejętność komponowania zgrabnych pism biznesowych. Sekretarz sir Altona z uznaniem wyraził się o jej stylu, kiedy przeczytał prośbę do księcia Winchesteru o to, żeby mogli go sfotografować na Drodze Sułańskiej.

Choć pan Walbrook jako sekretarz sir Altona wydawał się rozsądny, a nawet uprzejmy, miała pewne wątpliwości, czy rzeczywiście przekaże tę prośbę sekretarzowi księcia. Ale myliła się, odpowiedź

nadeszła szybko: Jego Wysokość z przyjemnością będzie pozował do fotografii, pod warunkiem że jego wnuki też będą się mogły na niej znaleźć.

Nie zamierzała się sprzeciwiać decyzji sir Altona o zawieszeniu rezerwacji, ale też nie odrzuciła potwierdzeń, które napłynęły już po jej wydaniu. Miała komplet wycieczkowiczów na kilka kolejnych sobót. W konfrontacji z zarządem mogło jej to zostać policzone tylko na plus.

Z tego samego powodu prowadziła rejestr wszystkich wpływających zgłoszeń. Ale jak odpowiadać na zgłoszenia, żeby nadawcy się nie zorientowali, że cały program mógł już zostać zawieszony?

Ostatecznie wpadła na to, że może odpowiadać, iż proponowane daty są niedostępne, a jeśli jakiś termin się zwolni, to nie omieszka o tym powiadomić. Dwie prawdziwe informacje, które pozwalały grać na zwłokę – aż do spotkania z zarządem. Skutkiem ubocznym tej korespondencji było to, że wraz ze wzrostem liczby odmów rosło też zainteresowanie. W co najmniej jednym telegramie ponaglano ją, żeby zaproponowała datę – obiecali ją zaakceptować. Podniecało ją to, ale też frustrowało. Jej nadzieje były jak żwawe, nieposkromione dzieci, wierzące się w oczekiwaniu, aż ten, kto ich pilnuje, spuści je z oka. Wyobraziła sobie kilka wycieczek w ciągu tygodnia, sezon bożonarodzeniowy, wysokość prowizji – a potem przypomniała sobie, że do posiedzenia zarządu, a może nawet później, będzie miała związane ręce.

Zgodnie z zaleceniem pana Seilera starała się być użyteczna w biurze. Pomagała prowadzić korespondencję i oczywiście pisała na maszynie. Najbardziej lubiła spotkania przy książce skarg.

Każdy dział hotelu prowadził rejestr skarg i codziennie przedkładał je panu Seilerowi. Ten zjawiał się w swoim biurze o wpół do drugiej, żeby przeczytać najnowsze wpisy. Wypijał przy tym dwie filiżanki kawy, najczarniejszej, jaką Betsey kiedykolwiek widziała.

Między jednym a drugim łykiem czytał skargi i rozważał propozycje kierowników. Ona występowała w roli obserwatora, czujnego i uważnego, wyprzedzającego innych w wymyślaniu, jak rozwiązać dany problem. Proponowanie niezadowolonemu gościowi, aby w przyszłości starannie pakował bagaż, a najlepiej w ogóle został w domu, raczej nie wchodziło w rachubę, niezależnie od tego, jak niepoważnie brzmiała skarga. Ale z każdym takim spotkaniem Betsey poznawała nowe sposoby radzenia sobie z takimi sytuacjami. Mogło to być posłanie do Londynu po specjalną mieszankę herbat, zamiana pokojówek na kilka tygodni, surowe upomnienie gburowatego stajennego.

Czasami pan Seiler, czytając skargi, zniżał głos do niezrozumiałego pomruku, a potem wypijał łyk kawy i mówił: „Für mich”. To z reguły oznaczało, że zamierza się zająć daną kwestią osobiście. Sprawiał wrażenie człowieka, który bez wysiłku, a nawet spontanicznie robi takie rzeczy, jak witanie gości, gdy przechodzą przez westybul, albo wybieranie dla nich specjalnego stolika w saloniku herbacianym. Dzięki prostym, sympatycznym gestom Tobiasa Seilera goście okazywali więcej zrozumienia i dobrej woli, niż gdyby dostali największy bukiet kwiatów.

Jeśli pan Seiler sam nie znajdował rozwiązania, powierzał sprawę komuś z niższych rangą kierowników. Albo mówił: „Panno Dobson?” i przekazywał zadanie jej. Drobne zlecenia, sprawy, które naprawdę trudno byłoby popsuć, ale które pozwalały jej się wykazać. Wszystkie przyjmowała z radością. Zbliżało się zebranie zarządu i zaczęła ćwiczyć swoje wystąpienie. Robiła to wieczorami – przemawiała do Thiefa – albo w ciemności nocy, na dachu. Siedziała tam na dwa dni przed zebraniem, kiedy usłyszała głośne pukanie do drzwi. Głos Dory Pink oznajmił:

– Pan Jones mówi, żeby pani zeszła na dół.

Wydawanie poleceń władczym tonem wychodziło Dorze Pink tak samo dobrze jak Johnowi.

Mimo to Betsey postanowiła rzucić mu wyzwanie i zjawiła się w salonie po dziesięciu minutach.

Pan Jones, zajęty grą w domino z Charliem, z początku zdawał się cierpliwie czekać, ale gdy tylko ją zobaczył, zerwał się i powiedział:

– Chcę posłuchać pani wystąpienia.

Sarah i inni mieszkańcy pensjonatu uśmiechali się do niej. Szykowali się na nietypową rozrywkę.

– Pan Seiler już je zaaprobował.

Skinął głową. Owszem, pan Seiler uznał, że jest ciekawe, i takie, jakiego oczekiwał, ale nie ma powodu, żeby go nie posłuchać jeszcze raz.

– To nawet nie wystąpienie, to głównie liczby. Dlaczego miałabym zanudzać wszystkich czymś takim?

– Dlatego, że trening się przyda – powiedział.

Dlatego, że Sarah i inni są ciekawi. Dlatego, że na pewno nie chce sprawić zawodu Charliemu. Dlatego, że... krótko mówiąc... on, John, chce posłuchać, i będzie drażył tak długo, aż uzna, że wystąpienie jest dobre. Betsey poszła zatem do pokoju po notatki. Chciała to już mieć za sobą.

Charlie był wyraźnie rozczarowany, że musiał przerwać grę. Zanim zaczęła wygłaszać trzecie zdanie, zaczął układać kostki domina w piramidkę. Sarah i goście słuchali, jakby śpiewała jakąś pieśń. Jakby doceniali wykonanie, ale nie samą treść, więc oklaski na koniec były rzęsiste, ale też dość fałszywie.

Ale to się nie liczyło. Liczył się pan Jones. Zupełnie jak tego dnia w Iden Hall, kiedy to na niego spoglądała, szukając aprobaty i prawdy. Brwi miał zmarszczone, jakby był mocno skupiony.

Charlie zburzył swoją piramidę i pomieszał kostki. Zapraszał ją do gry. Zgodziła się, ale głównie po to, żeby mieć okazję wyszeptać do pana Jonesa:

– No dobrze. I o co w tym wszystkim chodzi?

Zmarszczył brwi jeszcze bardziej. Po chwili zerwał się, wyjął z rąk pani Everson krawieckie

nożyczki, wrócił, przesunął krzesło – Betsey oniemiała – i ustawił je naprzeciwko swojego.

Poruszył nożyczkami.

– Chodź no tutaj. Przystrzygę cię.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Pan Jones jakby tego nie zauważył. Sarah pospieszyła z ostrzeżeniem:

– John, jeśli popełnisz błąd... pamiętaj, że ona stanie przed tymi wszystkimi ludźmi już za kilka dni!

Dopiero teraz jakby się zawahał.

Pani Everson ostrzegała, żeby nie ryzykować, ale w umyśle Betsey błąkało się wspomnienie wykreślonego precyzyjnymi liniami szkicu, na którym pan Jones przedstawił nowe urządzenie biura. Wzięła ze stołu gazetę, rozłożyła ją sobie na kolanach, nachyliła się i wsunęła złączone kolana między jego uda.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Zamknęła oczy. Poczwała na czole chłodne dotknięcie metalu i ścinki włosów zaczęły spadać na jej nos i policzki. Jego oddech owiewał jej wargi.

Pracował powoli. Goście w salonie podjęli rozmowy. John przesunął kciukiem po jej skórze, strącając włosy.

– Jest dobrze – powiedział.

Betsey sprawdziła palcami grzywkę, otworzyła oczy i zobaczyła, że jego gardło się zaciska, kiedy przełyka, a fałdka skóry zachodzi na kołnierzyk.

– Znowu widać brwi – powiedział.

– Więc to o to chodziło?

– To nie zaszkodzi. – I rzucił do Charliego: – Przynieś karty ze zwierzętami.

– Ja już w to nie gram – zaprotestował chłopak. Ale przyniósł karty.

Pan Jones ułożył je na stole obrazkami do góry.

– Proszę. Oto twój zarząd.

Betsey podniosła kartę z osłem.

– Sir Alton?

Charlie parsknął śmiechem. Pan Jones też się roześmiał i położył kartę z powrotem na stole. Grubym palcem wskazał inną.

– Sir Alton.

Z obrazka patrzył brązowy pręgowany kot. Przyciskał łapą kłębek niebieskiej włóczki. Miał nią omotaną szyję. Obrazek był tak miutki, że zdawał się nie mieć wiele wspólnego z rzeczywistością.

– Rozumiem – powiedziała, a on pogrupował karty według wspólnych interesów i nadał grupom nazwy mówiące o ich historiach i motywach działania. Dołączył do tego kostki domina. Miały wyobrażać akcjonariuszy i objaśniać strukturę spółki.

Charlie sobie poszedł. Był znudzony. Betsey ledwo to zauważyła, skoncentrowana na łamigłówce. Zastanawiała się, jak to wszystko wykorzystać. A jej serce biedziło się nad zagadką o nazwie „pan Jones”. Był wyjątkowo nieudolnym uwodzicielem, jeśli myślał, że rozprawianie o kapitale i rejestracji spółek załatwi sprawę, ale ona nie potrafiła wymyślić innego powodu, dla którego miałby jej poświęcać tyle czasu i uwagi.

Z wyjątkiem jednego: chciał jej przyjść z pomocą. Choć tak czystych intencji raczej się nie spotyka. Ale jeśli jednak tak... jeśli tak, to był niebezpiecznie skutecznym uwodzicielem.

Przerwał i się zamyślił.

– Twoje wystąpienie jest przejrzyste i przekonujące. Wszystko z nim w porządku. – Zgarnął karty na stos i spojrzął na nią z powagą. – Tylko że ty to wszystko zrobiłaś dla pieniędzy.

Betsey stłumiła śmiech, zaskoczona taką niespodziewaną krytyką. Powściągnęła też sarkazm: nie spytała, czy powinna też podzielić się z zarządem swoim przepisem na rybę zapiekaną w cieście. Było w jego słowach coś tak poważnego, że nie chciała tego obracać w żart.

– Firma może zarobić mniej albo więcej. Czy nie o to chodzi?

– Każdy z nas byłby bogatszy, gdyby chodziło tylko o pieniądze. Gdyby tak było, ty też nadal byłabyś maszynistką w Londynie. Ale człowiek nie robi biznesu tylko ze względu na zysk. Ci akcjonariusze... – Położył dłoń na kostkach domina. – Inwestujemy w coś jeszcze, nie tylko w obietnicę dywidendy. Gdyby chodziło tylko o pieniądze, człowiek nie kupowałby pierścionka, który zobaczył w oknie sklepu, rozumiesz?

Rozumiała. Ale nie wierzyła. Czy to był ten sam mężczyzna, który miał wielkie ambicje, który siedząc na Wzgórzu Zamkowym, opowiadał jej, jak śnił o bogactwie? A ona chciała tylko czuć się bezpieczna i nic nikomu nie być winna. Co by zyskał, opowiadając, że przybyła do Idensea po coś innego niż po pieniądze – tego nie umiała sobie wyobrazić.

– Dziewczyno, sir Alton nie będzie rozmawiał o pieniądzach. Myślisz, że to z korzyścią dla ciebie? Oczywiście, tak, bez wątplenia. Ale on tam nie przyjdzie z niczym. On ma swoją wizję i zamierza im ją przedstawić.

Jadalnia sir Altona nie była najbardziej typowym miejscem obrad zarządu, ale w sezonie jego członkowie woleli odbywać posiedzenia nie w Londynie, tylko na miejscu, w Idensea, żeby móc popatrzeć, jak mnożą się pieniądze, które wyłożyli. Betsey i pan Seiler przybyli kilka minut wcześniej – Betsey zdenerwowana jak nigdy. Pod spojrzeniem sir Altona, aż nadto wymownym, omal nie straciła

pewności siebie. Tak groźnie zmarszczonego czoła, i to na jej widok, jeszcze nie widziała.

Jego sekretarz, pan Walbrook, wyrósł obok niego. Szeptał mu coś do ucha. Twarz sir Altona się wygładziła. Jej imię. Zdała sobie sprawę, że wypowiedział jej imię. Zareagowała zduszonym, nerwowym śmiechem, gdy zdała sobie sprawę, że od czasu gdy przed dwoma tygodniami stała obok niego i prezentowała księgi rachunkowe, nie poświęcił jej ani sekundy uwagi. No tak, program wycieczek go obchodził, ale ona – wcale.

Pan Seiler coś wymruczał. Po niemiecku. Brzmiało to jak przesypywanie kamieni. Może chciał jej dodać otuchy, a może przestrzec, żeby nie chichotała w takiej chwili. Nie zwracał szczególnej uwagi na sir Altona, który siedział w tłumie mężczyzn wypełniających salon i tworzących niezwykły w tym miejscu rozgardiasz. Zebranie jeszcze się nie zaczęło i większość przybyłych była zajęta rozmowami. Nie zwracali uwagi na nią i pana Seilera. Ale byli i tacy, którzy przerywali, patrzyli i próbowali odgadnąć, co tu robi ta kobieta, która nie wygląda na służącą.

Jeden z mężczyzn podszedł i ukłonił się panu Seilerowi z uniesioną dłonią, ale pan Walbrook dopadł ich pierwszy. Przeprasającym tonem poinformował, że zarząd ma zamiar rozpocząć obrady w zamkniętym gronie i że salon będzie właściwym miejscem, żeby zaczekała, dopóki...

Przerwał, gdy zdał sobie sprawę, że pan Seiler zamierza jej towarzyszyć w salonie. Ach nie, on uważa – on jest całkiem pewny – że pan Seiler powinien zostać i że jest potrzebny w hotelu, żeby przyjąć raport.

– Poślę po panią we właściwym czasie – obiecał pan Seiler, a Betsey zrozumiała, że to najlepsze wyjście z sytuacji i że na zebraniu jest ktoś, kto dopilnuje, żeby o niej nie zapomniano.

Pan Walbrook odprowadził ją do salonu, wykonując tym samym zbędny gest, jako że ona i pan Seiler ledwie zdołali przekroczyć próg jadalni. W typowy dla siebie powściągliwy sposób zachęcił ją, żeby, jeśli ma ochotę, zadzwoniła po herbatę, gdyż on się obawia, że to może trochę potrwać. Może usiąść, gdziekolwiek sobie życzy, gdzie będzie jej wygodnie – mówiąc to, wyraźnie spoglądał w stronę bankietki stojącej przy ścianie pod drzwiami, a wróciwszy do jadalni, zasunął za sobą drzwi tylko do połowy.

Zebranie się zaczęło. Betsey przesunęła się na sam skraj bankietki i odwróciła w stronę drzwi. Pochyliła się na tyle, na ile tylko pozwalał jej gorset. Słyszała dobrze wszystkich z wyjątkiem sir Altona. Potrafił uspokajać ludzi, przyciągać ich uwagę swoim miękkim głosem, jak dyrygent unoszący batutę przed orkiestrą. Jakies pół godziny później dźwięki dochodzące z przeciwnego końca salonu kazały jej się wyprostować i przyjąć przyzwoitą postawę. To był pan Jones w towarzystwie lady Dunning. Rozpoznała ją, mimo że nigdy przedtem jej nie spotkała.

Zatrzymali się w drzwiach. Lady Dunning nalegała, aby pan Jones przyszedł znowu na obiad, jak najszybciej, albo najlepiej gdy sezon się zakończy, bo teraz na pewno jest bardzo zajęty. A jeśli dałoby się to zrobić dyskretnie, to czy mógłby powiadomić sir Altona, że ona przyśle Noela, gdy ten tylko przyjedzie?

Po chwili westchnęła zrezygnowana:

– Miał przyjechać z Londynu w nocy. Boję się, że zapomniał o swojej obietnicy.

Betsey poczuła, że powinna zasygnalizować swoją obecność. Ale ciągle patrzyła, jak się żegnają, a

potem pan Jones wyciągnął z kieszeni krawat i ile sił w nogach popędził do drzwi.

Przypomniała sobie ich rozmowę na Wzgórzu Zamkowym. Dzieci, psy, swoboda powrotu do domu w środku dnia na herbatę i sandwicze. O tym marzył, nie tylko o pieniądzach.

Zatrzymał się przed lustrem umieszczonym między dwiema wielkimi wazami. Przeciągnął dłońmi po włosach. Przyniosło to mizerny skutek. A potem ruszył w stronę jadalni i odkrył, że Betsey tam jest.

Na jego twarzy wyraźnie odmalowała się radość z tego niespodziewanego spotkania, zupełnie jakby Betsey była monetą znalezioną w kieszeni dawno nienoszonego ubrania. Skinęła głową. Podszedł do niej, zmarszczył brwi i spojrzał w stronę jadalni.

– Polecono mi tu czekać, aż mnie poproszą – wyjaśniła ściszym głosem.

Rozchyliła wargi i po chwili znowu zacisnęła w ponurym grymasie, który miał oznaczać, że to rozumie. Pan Jones spojrzał na wolne miejsce obok niej, wziął ze środka salonu krzesło i ustawił je tak, żeby siedzieli naprzeciwko siebie. Stosowne zachowanie.

– Byłam pewna, że masz zamiar wejść tam od razu.

Usiadł, wyzywający, nagle lojalny, trochę zabawny – mężczyzna dość masywnej budowy na krześle wątlej konstrukcji. Betsey przygryzła od środka policzek.

W salonie zaczęto rozmawiać o zarządzeniach władz miasta i planach rady hrabstwa dotyczących ograniczenia liczby zezwoleń wydawanych artystom estradowym.

– Dlaczego to dla nich ważne? – wyszeptała do pana Jonesa.

Nachylił się i oparł łokcie na kolanach, żeby mogli dyskretnie porozmawiać.

– Chodzi o konkurencję dla Kursaalu, kiedy już ruszy. Niektórzy się tego obawiają.

I o atmosferę. Sir Alton za chwilę uświadomi im, jak zepsuje się wizerunek miasta, jeśli każdy włóczęga, który ma trzy funty i instrument albo tresowane zwierzę, dostanie zgodę na występy na ulicy.

I rzeczywiście, po chwili gwar ucichł. W salonie zapadła cisza, która zwykle, jak już Betsey zdążyła się przekonać, towarzyszyła wystąpieniom sir Altona. Nie zdołała dosłyszeć ani słowa, ale wiedziała, że pan Jones przewidział, o czym będzie mowa. Zdławiła śmiech. Za to John roześmiał się głośno.

Kilka głosów odezwało się naraz i dyskusja rozgorzała w paru punktach salonu jednocześnie. Pan Jones podniósł wzrok. Betsey spojrzała w tę samą stronę i zobaczyła, że sir Alton stoi w drzwiach. Odpowiedział na powitanie pana Jonesa, ale wzrokiem omiatał wszystko dookoła.

Bankietka Betsey stała za jego plecami, więc na nią spojrzał na końcu. Po raz kolejny wyczuła, że jest skonsternowany: Kto to, do diabła, jest?

Przypomniał sobie – tym razem szybciej niż poprzednio. Przywitał się z nią dość wylewnie, po czym odwrócił się do niej plecami, aby zwrócić się do pana Jonesa.

– Noela nie ma z panem? Myślałem... – Kolejny rzut oka na kąty i kanapy.

– Lady Dunning powiedziała, że przyśle go, jak tylko przyjedzie.

Trzask zamykanej koperty kieszonkowego zegarka.

– Biedny Noel zawsze ma pecha z pociągami z Londynu. Zawsze albo ostatni odchodzi przed końcem koncertu, albo wykoleja się w drodze z jednego klubu do drugiego. A pani zapewne czeka tu na osobne zaproszenie?

– Tak przewiduje program spotkania.

Ponad ramieniem sir Altona zobaczyła, jak pan Jones delikatnie wskazuje głową w jej stronę. Uśmiech, którym sir Alton ją obdarzył, odwracając się do niej, był jak zwykle mdły, ale ją uspokoił.

– No więc, Jones, niech pan teraz zaprowadzi naszą menedżerkę na spotkanie z zarządem.



Piszac do młodej niezamężnej kobiety, zazwyczaj opuszcza się zwrot grzecznościowy.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Członkowie zarządu gęsto wypełniali pokój. Krzesła ustawione pod ścianami zapewniały miejsce wszystkim. Kilku mężczyzn zauważyło pojawienie się Betsey, i wstało. W ich ślady poszli w końcu wszyscy zgromadzeni. Pan Jones znalazł dla niej miejsce obok pana Seilera, a sam usiadł

na krześle pod przeciwległą ścianą. Gdy przechodził, jeden z dyrektorów lekko mu się uklonił. To musi być Matthew Munsell, indyk z wczorajszych kart ze zwierzętami, któremu pan Jones zawdzięczał swój pierwszy kontrakt przed laty i stanowisko w firmie zarządzającej molo.

Przysłuchując się dyskusji, Betsey zauważyła, że uspokaja ją dopasowywanie dyrektorów do zwierzątek z kart – to ropucha, a to kruk – mówiła do mnie. A tu – wieprz. U szczytu stołu siedział kocur o ostrych pazurach.

Pan Jones posłał jej ponad stołem ciepły, trochę kpiarski uśmiech. Tak właśnie się poznali: zaczepił ją po podobnym spotkaniu biznesowym on uśmiechnięty, jakby znał jej myśli. Ona zaniepokojona jego czujnym spojrzeniem i tym, że została zauważona. Tym razem nie była tak spłoszona. Dotknęła papierowej ramki wystającej z terminarza i znów pomyślała o kartach i kostkach domina.

Sir Alton poprosił pana Seilera, żeby poszedł do stołu i zaprezentował sytuację hotelu. Po chwili pan Seiler przedstawił Betsey. Zrobiło się małe zamieszanie: jedni uznali, że powinni wstać, inni – przeciwnie. Ci, którzy zamierzali wziąć przykład z większości, byli zupełnie skołowani.

Betsey zachowała spokój. Pierwsza część wystąpienia była prosta: dane liczbowe dostarczyła już sir Altonowi, a ich kopie mieli teraz przed sobą wszyscy zebrani.

Ale gdy zaczęła, przerwał jej Pan Wrona:

– Panno... Dobson. Czy tak? Czemu, o nieba, mamy się zajmować taką bagatelą? – Nie krył irytacji. Zbił Betsey z tropu do tego stopnia, że zaniemówiła. To było znacznie gorsze od tego, że nie

wiedziała, co u diabła znaczy słowo „bagatela”.

Ale czy to było pytanie retoryczne? Patrzył na zebranych i mówił dalej:

– Program wycieczek został ustalony całe miesiące temu. Próbnym, na jeden sezon. Czy ja mam zły kalendarz? A może zasnąłem w maju i obudziłem się we wrześniu?

Betsey nigdy nie widziała, żeby ktoś tak przemawiał. Zebranych zalewały potoki słów wypływające spod wąsów mówcy. Jego pytania brzmiały coraz groźniej.

Pan Wrona najwyraźniej oczekiwał odpowiedzi. Kręcił głową zupełnie jak prawdziwy ptak. Dwoma palcami stuknął w stół przed sir Altonem:

– Ja pana pytam.

Sir Alton na chwilę zacisnął usta.

Ktoś powiedział:

– Przez tę awanturę temat zrobił się dość palący.

– Awantura. No proszę!

– Awantura jest wtedy, kiedy prasa tak to nazywa. – Sir Alton przybrał ton katechety, który przypomina działo o zasadzie: nie czyni drugiemu... – Jeśli ludzie czytają o awanturze, to znaczy, że doszło do awantury.

– Awantura, dobre sobie. „Times” poświęcił temu jedną linijkę, a tego słowa nie użyto ani razu. W okresie próbnym zawsze można się spodziewać nieprzyjemnych wydarzeń i błędów i należy im się przyjrzeć, gdy już ten okres się zakończy. Do tego czasu poczytuję sobie za obrazę to, że się tu ściągają tę dziewczynę, żeby marnować czas naszego grona na roztrząsanie zastrzeżeń, które już raz były omawiane i – chyba pan pamięta – zostały oddalone.

Zapewne część zebranych się z nim zgadzała, ale nikomu nie było w smak takie wyzwanie rzucone sir Altonowi, przynajmniej w obecności stremowanej Betsey. Ona sama mogłaby odczuwać satysfakcję, że ktoś przyparł sir Altona do muru, gdyby nie to, że to ona pierwsza miałaby ponieść konsekwencje. Stała więc, świadoma, że odebrano jej możliwość nie tylko zabrania głosu, lecz także zaprotestowania przeciwko temu w jakikolwiek sposób.

Sir Alton wygłosił zwięzłą ripostę:

– Jestem wdzięczny za przypomnienie i sądzę, że pocieszę pana, jeśli powiem, że pamiętam, jak ku swojemu rozczarowaniu zostałem wówczas przegłosowany. Sprawia mi przykrość myśl, że moja troska o sprawy Swan Parku pana obraża. Ale w jednej kwestii jesteśmy zgodni. Wciąganie tej dziewczyny w nasze dyskusje jest pożałowania godną stratą czasu.

– Co do tego nie ma żadnej choleryjnej...

– Panie Herries, wśród nas jest kobieta...

Troska o kobietę wrażliwość była w tamtym momencie wzruszająca. Betsey zaczęła się obawiać, że zostanie odprawiona, że nie pozwolą jej zabrać głosu.

– Panowie, na Boga. – Uśmiechnęła się tak, że ani sir Alton, ani Pan Wrona nie mogli się poczuć urażeni. – Mogę tylko mieć nadzieję, że nie wyglądam, jakby mnie siłą w cokolwiek wciągano.

Uniosła ręce, demonstrując, że nie są skute kajdanami, i modliła się, żeby się okazało, że włosy ma w najlepszym porządku. Pan Jones będzie mógł jej później zarzucać, że flirtowała. Z tyłu dobiegł zdławiony śmiech kochanego pana Seilera. Na szczęście kilku innych mężczyzn zareagowało tak samo.

– Niech mi będzie wolno zapewnić panów, że jestem wdzięczna, iż mogę zabrać głos przed tym zgromadzeniem. Na początek muszę się zgodzić z panem Herriesem: program wycieczek nie miał szczęścia pokazać się od najlepszej strony. Liczby, które panom przedstawiłam, ukazują nasze oczekiwania. Myślę, że są warte potwierdzenia. W istocie muszę wyznać, że uważam, iż zarząd lepiej spożytkowałby swój czas, gdyby nie dyskutował o zawieszeniu programu, tylko o jego rozbudowaniu.

Pomruk. Matthew Munsell, Pan Indyk, poprosił o wyjaśnienia.

– Tydzień ma tylko jedną sobotę. Niektóre firmy proszą o rezerwację na piątek, skoro sobota jest zajęta. Tak więc koncentrujemy się na pozyskiwaniu grup z Londynu, podczas gdy większe obroty uzyskalibyśmy z programów niedzielnych i obsługi zorganizowanych grup, prywatnych wycieczek. Można sobie darować mówienie o tym, że nie święcimy dnia świętego, a za to zatrudnić więcej urzędników i przewodników, a nie muzyków...

– Czy zgodzą się panowie, że to śliska droga? – Miękki głos sir Altona uciszył ją i przyciągnął uwagę. – Sądziłem, że budujemy molo dla publiczności, a pawilon dla gości hotelu.

Za gości uważam tych, których stać na zamieszkanie tutaj, nie jednodniowych wycieczkowiczów.

Kilku obecnych pokiwało głowami, ale paru innych wykonało taki sam gest, gdy mówiła ona. Na razie nikt nie wygłosił własnej opinii. Betsey uznała to za przyzwolenie, żeby mówić dalej.

– Boże Narodzenie to kolejna sposobność pełnego wykorzystania zaplecza hotelu, które często bywa pomijane. Jedna z dwóch sal do tańca jest zamykana z końcem sezonu. Zamienienie tej przestrzeni w przestrzeń dochodową to wyłącznie kwestia promocji – całą resztę już mamy i trzeba jej tylko użyć.

Sir Alton prychnął i wymruczał na poły do siebie:

– Teraz jeszcze hotel.

Jeden z członków zarządu chciał o coś zapytać, ale Pan Wrona mu przerwał.

– Panowie, okres próbny. Panno Dobson. Dlaczego coś takiego pojawia się teraz? Czy my nie mieliśmy wystarczającej wiedzy, żeby coś takiego wymyślić? Dlaczego więc nie mielibyśmy się tego trzymać? Ja bardzo proszę o trzeźwą, rozsądną decyzję, opartą na faktach, szybko, co nie znaczy, że natychmiastową, żeby się trzymać pierwotnego planu. To dobry plan. Będzie nas chronił przed nierozważnymi działaniami, jeśli tylko pozwolimy, żeby był realizowany.

Głos zabrał inny członek zarządu.

– Ale, panie Herries, można wybiec nieco w przód i zastanowić się, co jeszcze da się zrobić.

Rozważenie tego nic nas przecież nie kosztuje.

– Zakładając, że to i pożyteczne, i możliwe, przyjrzyjmy się temu i przejdźmy do spraw istotnych. Panno Dobson, proszę nam przedstawić swoje wnioski.

– Oczywiście. – Była tak rozczarowana, że miała ochotę na tym zakończyć, usiąść i więcej się nie odezwać. Pan Herries, wrona, pokrzyżował jej plany. Ale postanowiła, że nikt z obecnych, od sir Altona po pana Jonesa, nie będzie świadkiem jej kapitulacji.

– Jeśli miałabym wskazać jedną sprawę, którą chciałabym, aby panowie rozważyli, to jest nią ta ciemna sala balowa, ukryta zupełnie jak... – Posłała panu Herriesowi szczególny uśmiech. – Chciałam powiedzieć: zamknięta skrzynia skarbów, ale to dla pana zabrzmiałoby chyba niezbyt poważnie, prawda? Tak jak ja nie wydaję się panu poważna. – Dotknęła palcami ramki wystającej z terminarza. Zastanawiała się, czy powinna jej użyć. – Ale nie trzyma pan swoich pieniędzy w materacu, nie myślę się? Używa ich pan, żeby dla pana zarabiała.

Pan Herries rzucił jej bystre spojrzenie. Jeśli kiedyś się jeszcze spotkają, na pewno będzie ją pamiętał. Z tym samym uczuciem, z jakim wsiadała do pociągu w Londynie, wyjęła ramkę. Jak daleko zajedzie z tym biletem?

– Każdemu uczestnikowi wycieczki na zakończenie wieczoru dajemy upominek. Kobiety dostają takie ramki. Wybrałam je dlatego, że moja matka miała podobną.

Musiała przerwać, nagle sparaliżowana strachem: uświadomiła sobie, że się przed tymi mężczyznami otwiera. To jak zatańczyć na stole kankana. Ale jakie to ma dla nich znaczenie?

W łydkach i pod kolanami czuła ukłucia igiełek strachu.

– Było w niej nasze zdjęcie, trojga dzieci, zrobione w Blackpool. Byliśmy tam tylko raz, a to stanowczo za mało, żeby wiele zapamiętać – więcej tam nie pojechaliśmy. Na końcu stołu, tam, gdzie siedział sir Alton dało się zauważyć niespokojne poruszenie. Pan Herries wymówił jej nazwisko. Igiełki atakowały teraz podeszwy stóp. Fala gorąca zalewała ją, zupełnie jakby stała na stosie, przywiązana do pala. Spojrzała na pana Jonesa, trochę z rozpaczą, trochę oskarżycielsko. To jego wina, że teraz tu stoi i opowiada o swojej matce. Miała ochotę go zamordować. Albo poszukać schronienia u jego boku. Spojrzała jej w oczy, przygotowany na obie ewentualności. Siedział

niedbale, ze stopą opartą na kolanie, ale był tam, z nią, dla niej. Czuła to wyraźnie i pomyślała, że są inne, wspanialsze i miłsze sprawy, pasujące do gwiazdzistych nocy lepiej niż posiedzenie zarządu.

Przyszła jej też do głowy bardziej przyziemna myśl: że skoro już zaczęła, to musi dokończyć. Mogła to zrobić. Gestem poprosiła pana Herriesa o cierpliwość, po czym opuściła rękę.

Miała nadzieję, że nikt nie zauważył, jak drży.

– Tamten dzień wiele dla mojej matki znaczył, dlatego to zdjęcie stało nad kominkiem. Sir Altonie, niech mi pan wybaczy, ale myli się pan, twierdząc, że wycieczkowicze nie mają środków na Swan Park.

Sir Alton też ją teraz zapamiętał, do następnego razu, gdy ich ścieżki się przetną. To więcej niż pewne.

Mówiła dalej:

– Niektórzy mają. Inni będą mieli. Oczywiście niewielu z nich. Ale niezależnie od tego, jakie są te ich środki, ich pracodawcy uznali za stosowne wyróżnić ich tym jednym dniem. A to dodaje rangi firmie, która pomogła im tego dokonać. Panowie, czy pozwolicie mi powiedzieć, czym jest wasza firma?

Niebezpieczne pytanie. Wiedziała o tym. Niebezpieczne, bo otwierało drzwi sarkastycznym uwagom sir Altona i napaści pana Herriesa. Ale to pan Munsell odpowiedział, a jeśli wydawał się trochę rozbawiony, to przynajmniej starał się to ukryć:

– Ja jestem wręcz zaintrygowany, mogąc poznać pani punkt widzenia, panno Dobson.

– Dziękuję, sir. Prawdopodobnie mój punkt widzenia nie różni się aż tak bardzo od pańskiego. Chodzi po prostu o to, że ta firma nadaje rangę wypoczynkowi. Oznajmia, że jest wart rodzinnych pieniędzy i całego zachodu związanego z przyjazdem tutaj. Nie sądzę, abym mówiła panom coś nowego. Chyba tylko to, że nie zdajecie sobie sprawy, że moja matka ceniła sobie wypoczynek tak samo jak dama wynajmująca apartament w Swan Parku.

Skinęła głową na znak, że skończyła. Znowu zrobiło się zamieszanie. Panowie kolejny raz mieli wątpliwości, czy powinni siedzieć, czy wstać. Przez to jeszcze wyraźniej poczuła, że poniosła porażkę. Zanim ona i pan Seiler doszli do drzwi, zarząd zaczął omawiać następną punkt programu.

*

Nie zamierzała płakać. W hotelu przejrzała stos próśb o rezerwację i wysłała odpowiedzi, które przygotowała w nadziei, że zarząd je zaakceptuje. Ale wszystko to robiła bez poczucia zwycięstwa. Omówiła z szefem kuchni menu, odpowiedziała na telegramy, wysłała opłaty za ogłoszenia w „Timesie”. Tak spędziła popołudnie, robiąc wszystko, czego się po niej spodziewano, i jeszcze kilka innych rzeczy, o których nikt by nie pomyślał, że należą do jej obowiązków, a potem wsiadła na rower (nie do końca swój) i popedałowała do pensjonatu. Na szczęście o tej porze Sarah jak zwykle była zajęta przygotowaniem kolacji, a Charli gdzieś wyszedł, więc w drodze do pokoju nie spotkała nikogo. Zamknęła drzwi, zdjęła żakiet i pozwoliła sobie wylać kilka łez w obecności jedyne go świadka – Thiefa.

Sądziła, że jej oczekiwania są rozsądne, a nadzieje – uzasadnione. Ale to rozczarowanie uświadomiło jej, że chciała zbyt wiele i wierzyła w bajkę, którą sama ułożyła.

Woda w misce była niemal tak samo ciepła jak jej łzy, ale trochę ją orzeźwiła, gdy spryskała nią twarz. No, wystarczy, powiedziała sobie, i spróbowała się pozbierać. I wtedy zauważyła list, który Dora Pink zostawiła na jej łóżku. List od siostry, pełen czułych wspomnień o domu, który nie dał jej schronienia, mimo jej, Caroline, najlepszych intencji. Szwagier chyba w ogóle zamierzał się jej wyprzeć. Najchętniej zabroniłby jej wstępu do swojego domu, mimo że był tylko jednym z kilkorga jego mieszkańców.

Ani ona, ani Caroline nie pozwoliłyby na to, ale Betsey nie poprzestałaby na rzuceniu mu wyzwania. Zdjęła szary tweedowy żakiet i położyła obok brązowego, tego, który zamierzała założyć nazajutrz. Za oba zapłacił Richard, uiścił również opłatę za kursy w Instytucie. Tak długo, jak ten dług będzie jej ciężki, nie zdoła mu się przeciwstawić.

A co, jeśli pod koniec sezonu stanie się to, co przewidywali i Richard, i Avery? Że znajdzie się w takiej samej beznadziejnej sytuacji, w jakiej była w maju? Teraz przerażało ją to nawet bardziej niż

przedtem. W maju nie miała pracy, którą zdążyła polubić.

Zegar w korytarzu wybił godzinę. Spóźnienie na kolację wprowadziło Dorę Pink w nastrój, który cały dom odczułby na własnej skórze, ale gdyby nie przysłała wcale, zaczęłoby się pukanie do drzwi i pełne obaw pytania, co się stało. Przynajmniej to się zmieniło w ciągu tych kilku miesięcy, zauważyła, schodząc po schodach. Zmiana niewielka, ale coś warta, i kolejny powód do obaw.

Na dole okazało się, że gdy ona u siebie łykała łyzy, wszystkich mieszkańców pensjonatu opętało istne szaleństwo. Sprawcą zamieszania był pan Jones. Stał w ogrodzie przy wazie pełnej lodów. Zrzucił płaszcz i podwinął rękawy. Powietrze wypełnił śmiech, a gdy Sarah oznajmiła, że przysłała Betsey, rozległy się okłaski. Przyjmowała od wszystkich gratulacje. Na końcu szpaleru czekała na nią czara z taką ilością lodów, jakiej nie zobaczyłaby chyba nigdy w życiu, gdyby nie przyjechała do Idensea. Państwo Seiler przysli oboje. A gdy już wszyscy, łącznie ze służbą, dostali swoje porcje, pan Seiler wzniosł czarę i wygłosił toast:

– *Miss Dobson, l'astucieuse, la douée, la belle.*

Jakikolwiek byłby to język, uznałaby to za nonsens. Ale całą czarę lodów zjadła, a gdy Charlie podszedł i zwierzył się jej, że nie da rady przełknąć dokładki, pochłonęła i jego porcję.

Ktoś przesunął pianino bliżej okna. Kolację podawano w ogrodzie, a cały porządek i zwyczaje poszły tego wieczoru w ką: służba i goście tańczyli razem, deser podano przed daniami głównymi...

Pan Seiler przyniósł jej lemoniadę i przysiadł się do niej pod drzewem. Zwierzyła mu się, że się niepokoi:

– To nie był taki wielki sukces, jak wszyscy mówią.

– Czy ja przespałem moment, kiedy zawiesili program?

– No tak, mogło być gorzej. Ale nawet nie zamierzali rozmawiać o jego rozszerzeniu.

Pan Seiler wzniosł oczy ku wieczornemu niebu i westchnął.

– Uprzedzał mnie pan, żebym na to nie liczyła. Próbowałam. – Patrzyła, jak pan Jones i Charlie podsycają rozpalony ogień, i dodała miękko: – Chciałabym zostać.

– *Tu veux toutes les fleurs dans le jardin à fleurir au même moment.* Pani chce, żeby wszystkie kwiaty w ogrodzie zakwitły naraz.

Gdy pan Seiler i jego żona się pożegnali, została pod drzewem sama, ale było jej tam zbyt dobrze, żeby chciała się ruszyć. Pan Jones dołączył do niej. Wyciągnął się na ziemi, zupełnie tak jak wtedy na Wzgórzu Zamkowym.

– Co za wydatek, tyle lodów – powiedziała po chwili. Miało to zabrzmieć jak podziękowanie.

– Ale smakowały ci?

– Bardziej niż cokolwiek innego.

– No więc...

Gwiazdzista noc. Na tęskne rozmyślenia lepsza niż zebranie zarządu. Muzyka ucichła. Sarah i pozostali zaczęli wszystko zbierać i zanosić do domu. Betsey rzuciła w Johna kilkoma listkami koniczyny.

– Ty chcesz, żebym poszła z tobą do łóżka.

Miała zamiar się z nim podroczyć, ale gdy odwrócił twarz od ogniska, zrozumiała, że była okrutna. Zamiast zażartować, zakpiła sobie z niego. Sprowokowała go, nie będąc wcale pewna, czy tego chce. Okrucieństwo. Teraz wolałaby, żeby nic nie odpowiedział.

– Tak, chcę. Prawie szaleję na tym punkcie. Tak myślę.

Głęboko w jej ciele coś pulsowało jak fala. Nie spodziewała się, że będzie aż tak bezpośredni.

Ogień trzaskał, wyrzucając iskry. Szybowały w niebo jak skowronki porzucające gniazda.

– Ale nie myśl, że to wszystko było tylko po to – dodał, a potem wstał, żeby pomóc nosić meble.



Poleruj swoją maszynę miękką bawełnianą szmatką i nakrywaj, gdy jej nie używasz.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Lato było coraz gorętsze. Jakby chciało przyćmić wszystkie inne pory roku i czasami – w drodze z hotelu do domu Sarah, zjeżdżając z ostatniego wzgórza, albo w środku długiego wlokącego się niedzielnego popołudnia – Betsey fantazjowała, że lato jest cierpliwe i daje jej swój czas, żeby mogła się przygotować na mrozy.

W rzeczywistości niewiele mogła. Może jedynie zachowywać się tak, jakby to miała być prawda. Jediną szansą na uratowanie programu wycieczek i posady było osiągnięcie jak najlepszych wyników, więc kiedy Arland Hamble, księgowy, powiadomił ją, że obcięto jej budżet, przygryzła policzek i tylko skinęła głową. Pan Hamble nie mógł się powstrzymać od uśmiešku, gdy jej to mówił, ale ona wiedziała, że i tak przekazuje tylko polecenia sir Altona. Przejrzała swoje wydatki i uśmiechnęła się do siebie. Stwierdziła, że przy pełnych rezerwacjach na soboty do połowy września może przeznaczyć na co innego pieniądze z funduszu na ogłoszenia.

Zarząd odrzucił jej pomysł, żeby przyjmować grupy w niedziele, a i w soboty pawilon stał pusty aż do wieczornej potańcówki. Za aprobatą pana Seilera zaczęła przyjmować rezerwacje na niedziele od szkół i damskich kółek towarzyskich, na spotkania przy przekąskach i na herbatki.

Prowizja z tego była niewielka, a i czasu pochłaniało to coraz więcej, ale jakieś pieniądze spływały, więc mogła zaplanować, że pod koniec lata spłaci szwagra. Miała nadzieję, że będzie mogła to zrobić, kiedy do Idensea przyjadą pracownicy firmy Baumston & Smythe, ale Caroline w kolejnych listach pisała, że nie udaje jej się przekonać Richarda do wzięcia udziału w tym wyjeździe.

A ponieważ firma pokrywała koszty przejazdu i wieczoru tanecznego, wiedziała, nawet jeśli Caroline nie chciała tego napisać, że Richard nie zamierza być świadkiem ponownego spotkania panny Betsey Dobson z jej dawnymi pracodawcami. Nie mogła go za to winić. Różowe paluszki Wofforda stawały jej przed oczyma za każdym razem, gdy wyobrażała sobie, jak czeka na peronie na pociąg, i niezależnie od

tego, czy mu je złamała, czy nie, widok ten stale przyprawiał ją o mdłości.

Próbowała odpędzać te myśli. Czasami widziała wyraźnie, że próbuje się kurczowo trzymać tego, co zdobyła, trzymać, żeby się nie rozsypało, zupełnie tak samo jak na początku sezonu starała się spinać zmasakrowane włosy spinką. Takie chwile się nie zdarzały, kiedy pracowała, kiedy starała się powiązać ze sobą tuziny luźnych nitek. Było tak wtedy, kiedy pokonała Charliego w wyścigu rowerowym, i we wtorkowe wieczory, gdy na jej komodzie pojawiał się stos świeżej bielizny, i podczas kolacji, gdy zasiadała na swoim krześle, na swoim miejscu przy stole w pensjonacie, który coraz częściej nazywała domem.

Pewnego popołudnia, jadąc z pracy na jedną z tych kolacji, zatrzymała nagle rower. Zauważyła, że coraz więcej ludzi na Esplanadzie w coś się wpatruje. Kursaal.

Spojrzała więc i ona – i zauważyła: latarnia się świeciła. Główną część Kursaału stanowiła ośmioboczna wieża zwieńczona latarnią, artystyczna wizja latarni morskiej.

Popołudniowe światło letniego dnia tłumiło blask, ale widać było, że latarnia świeci – po raz pierwszy od czasu, kiedy ją zbudowano.

Zawróciła i popedałowała w stronę Kursaału. Na miejscu zastała taki sam rozgardiasz jak wtedy, gdy była tam po raz pierwszy: mężczyźni przekrzykujący dudnienie i syk maszyn parowych, konie z wysiłkiem ciągnące wyładowane platformy, czarny dym unoszący się nad hałdami żużla, góry żwiru i piasku. Wyglądało na to, że praca wre tam do nocy. Pan Jones docierał zresztą do The Bows coraz później, a bywało, że nie pokazywał się wcale.

Wypatrzyła go w grupie mężczyzn stojących obok wagonu dostawczego. Pisał coś pospiesznie w poprzek papierów. Brał je ze sterty i oddawał mężczyźnie w czystym garniturze, który wyraźnie starał się nie pobrudzić, lawirując wśród kolein zaschniętego błota.

Nie chciała im przeszkadzać. Zamierzała jechać, kiedy jakiś robotnik trącił pana Jonesa łokciem i wskazał na nią. Ten zdjął okulary i ruszył w jej stronę. Wyglądał jak władca przechadzający się po swoich włościach albo wódz na polu bitwy. Obcasy jego butów oblepiało błoto, ale każdy krok był pewny i celowy. W jej oczach zyskiwał jeszcze bardziej.

Kiedy do siebie podeszli, zauważyła, że minę ma chmurną.

– Coś się stało, prawda?

– Nie, tylko... – Wskazała na Esplanadę, zakłopotana tym, że go niepokoi. – Ludzie zauważyli światło.

Wyraz jego twarzy się zmienił i poczuła ulgę. Uśmiechnął się, spoglądając na wieżę.

– Nieźle to wygląda. Ale widoki są dopiero tam, na górze, z laterny. Wejdiesz, Betsey?

– Mogę?

Poprowadził ją do portyku, omijając plac budowy.

– Szykujemy się do urządzania sztucznego krajobrazu i instalacji w ogrodzie zimowym: ścieżki spacerowe, mostki, zielen, kwiaty oczywiście też. I rzeźby. Tak kazał sir Alton.

– A wodospadów ile?

– Tylko ten jeden pod kopułą. Tam są szklane ściany, wysokie aż na dziesięć metrów.

W środku hol wypełniał las rusztowań. Dach wznosił się wysoko, ponad wielkimi podwójnymi schodami i piętrami galerii. Cała przestrzeń rozbrzmiewała głosami robotników i szczękiem narzędzi.

– Fajans pójdzie do samej góry – powiedział pan Jones, wskazując na kolorowe glazurowane płytki. Wydawał się zadowolony, jakby stosunek powierzchni już pokrytej płytkami do tej, która jeszcze czekała na wyłożenie, nie był tak niekorzystny, jak zauważyła.

– Tędy idzie się do sali wypoczynkowej i do czytelni – powiedział, gdy zbliżyli się do schodów. Pod nami jest lodowisko. Teraz nie mogę ci wszystkiego pokazać, ale nauczę ciebie i Charliego jeździć na łyżwach, kiedy otworzymy. Dobrze?

Zgodziła się. I nie powiedziała, że Thomas Dellaforde już ją uczył, pewnego niedzielnego popołudnia.

Celem ich wyprawy był górny podest latarni, ale on nie mógł się powstrzymać: musiał jej pokazać salę koncertową, już ukończoną, jeśli nie brać pod uwagę ośmiuset krzesel, które dopiero miano ustawić. Weszli na tylny balkon, z którego znakomicie było widać scenę z półokrągłym proscenium, o krawędzi pofalowanej jak muszla ostrygi. Cała sala była zresztą wzorowana na muszli, łącznie z barwami – chłodnym różem i odcieniami bieli.

Johna, który chciał się tą salą pochwalić, niepokoiła pusta podłoga.

– Zamówienie zostało złożone tak, jak trzeba, taką mam nadzieję. Inaczej podczas otwarcia książę i księżna będą siedzieli na stołkach do dojenia krów.

– Jeśli do tego dojdzie, to lepiej, żeby przemówienia były krótkie.

Wiedziała, że będzie przemawiał podczas otwarcia, i wyobraziła sobie salę wypełnioną krzesłami. Oczywiście zajętymi połową ludzi. A potem stół, a wokół niego mnóstwo członków zarządu, tych samych, którym ona ledwie stawiała czoła. Przemowa do setek ludzi, także do wysoko urodzonych...

Poczuła skurcz żołądka, jakby to ona miała przemawiać.

– To będzie dla ciebie ważna chwila, prawda? Ktoś z twojej rodziny przyjedzie?

Oparł łokcie o niską balustradę balkonu. Przez otwarte drzwi wdzierały się trochę stłumione głosy robotników. Domyśliła się:

– Pewnie to dla nich za daleko.

– Tata nigdy nie jechał pociągiem. Prosiłem go. Powiedziałem, żeby zabrał maluchy i moją siostrę Dilys. – Ciche chrząknięcie przeszło w ton niemal zabawny. – Moja matka ledwie spoczęła w ziemi, a ja

proszę człowieka, który nigdy nie jechał pociągiem, żeby rzucał robotę i tłukł się przez cały kraj z trojgiem małych dzieci, żeby zobaczyć, jak jakiś waźniak przecina wstążkę.

A Owen tak płakał.

To ostatnie zabrzmiało jakoś dziwnie. Owen był jego najmłodszym bratem, o ile dobrze pamiętała, miał zaledwie dwa czy trzy lata. Nie widziała związku, ale wiedziała, że nie szkodzi zapytać.

– Głupio to zabrzmiało. Wiedziałem o tym, już kiedy to mówiłem. Ale ja chciałem coś Owenowi powiedzieć, obiecać mu, że coś dostanie, kiedy się znów zobaczymy.

– Ach! On nie chciał, żebyś wyjeżdżał?

– No właśnie. – Przerwał i ponad głosami robotników usłyszała jakiś nowy, dziwny, dźwięk, jakby skrobanie dobiegające gdzieś spomiędzy nich dwojga.

Jego kciuk. Gruby, twardy kciuk, przesuwany bezwiednie po stwardniałym boku wskazującego palca.

– I nie pojechałem – dodał. – Spóźniłem się na pociąg. Więc on się w końcu uspokoił, ja zostałem do rana i dopiero wtedy wyszedłem. Gdy on jeszcze spał.

Odsunął się od poręczy i zamilkł. Zobaczył kogoś na parterze.

– Mnie szukasz, Clayton?

Chłopak się odwrócił i zauważył go na piętrze.

– Sir. Panie Jones, jedzie powóz sir Altona.

– Wyjdę mu naprzeciw, dziękuję.

Chłopak poszedł, a on powiedział do Betsey:

– Sir Alton też będzie chciał wejść na górę, do laterny. Pójdziemy razem?

Odruchowo zmarszczyła nos.

– No to pójdziemy kiedy indziej – obiecał ze śmiechem, a potem dodał: – Ty i Sarah. I Charlie.

– Świetnie – odpowiedziała, zanim zdążył wymienić wszystkich lokatorów tego cholernego pensjonatu i zapowiedzieć, że będzie to wyprawa taka, jakiej ona sobie zażyczy.

Miała nadzieję, że zdąży się oddalić, zanim sir Alton ją zauważy, ale on i lady Dunning wysiadali z powozu akurat wtedy, kiedy ona i pan Jones wychodzili z Kursaalu. Pan Jones, odprowadzając ją do roweru, zwrócił na siebie i na nią uwagę jeszcze bardziej. Kiedy wsiadała, trzymał kierownicę, zupełnie jak podczas pierwszej lekcji. Dotknęła stopą pedału, gotowa ruszyć.

Nie pozwolił jej odjechać.

– Jak ci się wydaje? Czy to było właściwe?

Spojrzała przez ramię, usiłując odgadnąć, w co on się teraz wpatruje. Nic w zasięgu jej wzroku nie wyjaśniało sensu tego pytania.

Odwróciła się. Patrzył na kierownicę, jakby wiedział, że powinien ją już puścić, ale tego nie robił.

– To, jak zostawiłem Owena – powiedział. Podniósł wzrok, a w jego spojrzeniu widziała, że bardzo chce usłyszeć odpowiedź. – Czy dobrze zrobiłem?

Nagle łzy napłynęły jej do oczu. To była jedyna odpowiedź, jakiej mogła udzielić. Cóż ona wie o dzieciach? Domyślała się, że Owena zaskoczyła odmiana w codziennym życiu rodziny, inne jedzenie, zabawy, i to, że jego brat był jedyną osobą, która się pojawiła tamtego dnia, ale czy to stanowiło jakąś pociechę? Przyszedł do niej z tym pytaniem, z pytaniem, które odbierało mu całą pewność siebie, a ona nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– To dziecko cię kocha, John. – Przynajmniej taki banał mogła wygłosić. – Nieważne, że musiałeś wyjechać. On i tak zapamięta tylko to, że cię kocha.

– Lady Morey stwierdziła, że wśród książek i pism w salonie dla pań za dużo jest modnych nowości, a za mało lektury dla rozrywki.

Pan Seiler siedział na rogu swojego biurka. Sięgnął po filiżankę kawy, a wzrok przeniósł z książki zażaleń na Betsey. Wiedziała, że nie jest obserwatorką i że on oczekuje od niej, iż natychmiast znajdzie rozwiązanie. I że ma na to tyle czasu, ile jemu zabierze wypicie jednego łyka kawy. Ale po kilku tygodniach regularnych spotkań nad książką zażaleń zaspokojenie potrzeb lady Morey już nie wydawało jej się tak wielkim wyzwaniem. Tyle że dotychczas w tych spotkaniach nie uczestniczył sir Alton. Aż do dzisiaj. Nie wydał się zaskoczony jej obecnością i przywitał się, mówiąc, iż słyszał, że stara się być przydatna.

Pan Seiler nie odjął filiżanki od ust. Drugi łyk – dla niego coś nietypowego – a dla niej więcej czasu do namysłu.

Jeden z zarządców zaproponował:

– Najprościej będzie zapytać lady, co lubi. Portier może przynieść z miasta, a jeśli to coś specjalnego, to pošlemy po to do Londynu.

Pan Seiler skinął głową.

– Bardzo dobrze. To pańskie zadanie.

Zarządca zanotował. Pan Seiler chciał przejść do następnej sprawy i przewrócił stronę.

– Ona ma damę do towarzystwa – wtrąciła Betsey. Nie była pewna, czy pan Seiler będzie zadowolony, że to powiedziała. Ale mogliby się zwrócić właśnie do tej kobiety. Tak będzie dyskretniej. Wszak pan Seiler zawsze mówił, że skargi powinny być załatwiane przy minimum rozgłosu. Z jednej strony, wydawało się, że już podjął decyzję. Z drugiej – skoro już zaczęła, to powinna dokończyć. – Lady Morey nadamę do towarzystwa, pannę Thee. Ona powinna znać upodobania czytelnicze lady

Morey.

Pan Seiler chrząknął i zamyślił się na chwilę.

– A więc pani to załatwi, panno Dobson.

Zarządca skreślił zadanie ze swojej listy, Betsey zapisała je w notesie, a pan Seiler przeszedł do następnej sprawy, zupełnie jakby codziennie prosił Betsey, żeby spełniała zachcianki gości. A co sir Alton o tym myślał? Tym razem nie miał trudności z rozpoznaniem jej. Zwykle pan Seiler dopełniał rytuału, kończąc drugą filiżankę kawy, i za pięć trzecia książkę skarg zamykano. Tak miało być i tym razem, o ile nie zjawi się sir Alton – uprzedził Betsey zarządca. Sir Alton na początku często zachodził do hotelu i nadal zdarzało mu się wpadać, a jego pytania i uwagi potrafiły mocno wydłużyć każde zebranie.

Betsey nie sądziła, żeby znów miało tak być. I rzeczywiście, na dziesięć minut przed planowanym końcem sir Alton pożegnał się i wyszedł, niemal wcale nie zabierając głosu.

Zauważyła, że gdy zamknęły się za nim drzwi, ci, którzy zostali, wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Pan Seiler jako pierwszy otrząsnął się z zaskoczenia i wrócił do zażaleń. Ciągłe istniała szansa, że spotkanie zakończy się według planu.

– Pani Guy. Pieczonego bażanta z galaretą śliwkową podano na wyszczerbionym talerzu i bez galarety.

Betsey wyszła z zebrania z naręczem książek skarg i pomysłem na przydybanie gdzieś, niby przypadkiem, damy do towarzystwa lady Morey. Skręcając w korytarz prowadzący do biur, pomyślała, że pan Seiler przygotowuje ją do tego, co może nastąpić w przyszłości. Gdy sezon się skończy, a program wycieczek zostanie wycofany, będzie mógł jej znaleźć jakieś miejsce w hotelu.

Inne niż posada pokojówki albo praczki. Jeśli będzie potrafiła się nauczyć wielu rzeczy i jeśli się sprawdzi...

Czy ktoś wymówił jej nazwisko? Zatrzymała się i rozejrzała.

To był sir Alton.



Jeśli maszyna jest dobrze konserwowana, a mimo to kartka się zacina, to problem na pewno leży w zapadkach.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Stał pod jedną z półkolumn zdobiących ściany korytarza. Trzymał rękawiczki, jakby pozował do portretu. Zauważyłaby go, gdyby nie była taka zamyślona. Zaskoczona i zakłopotana poczuła się jak w czasach, gdy była pokojówką u Dellaforde'ów, i dygnęła.

Dwie książki wysunęły jej się z rąk i upadły na podłogę. Zawahała się. Czy on tylko ją przywitał, kiedy obok niej przechodził, czy może chciał o czymś porozmawiać? O czym? I czy nie powinien zaoferować, że potrzyma jej te księgi?

Odruchowo spojrzała w stronę zamkniętych drzwi pokoju Johna.

– Przestraszyłem panią – powiedział. – Zaaferowana. Mnóstwo spraw. Czy nie tak, panno Dobson?

Zmusiła się do spojrzenia mu w oczy, a potem spojrzała na leżące na podłodze książki.
A potem znów na sir Altona.

Wydawało się, że go to bawi.

– Pani pozwoli.

Nachylił się tuż obok jej stopy. Kiedy się wyprostował, wyciągnęła ręce po książki, ale on je trzymał i czytał napisy na grzbietach.

– Seiler je pani powierzył.

Była w rozterce. Książki nie były szczególnie poufne. Każdy boy mógł dostać polecenie poroznoszenia ich w odpowiednie miejsca. Ona miała z tego dodatkową korzyść: mogła chodzić po hotelu i zawierać znajomość z szefami działów.

– On panią lubi. Postanowił panią przygotować. Robił już tak. Idealnie potrafi wyczuć talent.

Nie poczuła się na tyle pewnie, żeby podziękować za tę zawołaną pochwałę. Uśmiechał się nadal, kiedy podawał jej książki. John twierdził, że umie rozróżniać jego subtelne nastroje, ale ona nie potrafiła wyczytać z jego twarzy nic, co by jej pomogło odgadnąć jego intencje albo odczucia. Wyciągnęła ręce po książki i nie była szczególnie zaskoczona, że ich nie puścił. Ruchem głowy wskazał na drzwi Johna, a ją zalała fala gorąca. Zupełnie jakby ją przyłapano na robieniu czegoś, czego robić nie powinna.

– Na przykład Jones. Wiele się nauczył pod kierunkiem Seilera. Zauważyłem, że on... też panią lubi.

Dwoje służących przeszło korytarzem. Nie okazali żadnego zainteresowania tym, że widzę sir Altona i Betsey.

– Nawet bardziej niż Seiler – dodał miękkim głosem.

Domyśliła się, że nie potrafi zrozumieć, co John może w niej widzieć. Pomyślała, że mogłaby mu pomóc, gdyby lekko skłoniła głowę, zaczęła patrzeć zza rzes, wydymać wargi i mówić uległym tonem.

Ale zamiast tego wyjęła mu z rąk książki. Tego się nie spodziewał. Zrobił nieznaczny ruch ręką, żeby ją zatrzymać. Wyraźnie nie zakończył jeszcze tej rozmowy.

– Tak, Jones wiele się nauczył. I wiele dobrego zrobił dla firmy, pod każdym względem.

Wiem, że Web Fawcett tak uważa. – Kiedy usłyszała to nazwisko, nie potrafiła się powstrzymać przed zmarszczeniem brwi. Nie umiała ani skojarzyć go z twarzą, ani zrozumieć, dlaczego sir Alton o nim mówi. – Musiała pani słyszeć od pana Jonesa o Webie Fawcetcie. Z Reading. Duża posiadłość. I zamierza ją powiększyć.

Teraz przypomniała sobie, że Fawcett właśnie zamieszkał w hotelu. Skoro to ważny gość, mogła

słyszeć jego nazwisko od Johna, od pana Seilera albo od któregoś z pracowników.

– Będzie szukał wykonawcy.

Nareszcie pojęła, o co może mu chodzić, i przyniosło jej to ulgę, choć zarazem pomyślała, że powinna być ostrożniejsza. Chciałaby wiedzieć, jakie John ma plany w związku z Webem Fawcettem. Wtedy lepiej by zrozumiała to, co powiedział sir Alton.

Ale coś chyba jednak wiedziała. Sarah czasami wzdychała, kiedy mówiła o tym, jak bardzo Charliemu będzie brakowało Johna, gdy wyjedzie z Idensea. A Betsey niemal co dzień uświadamiała sobie, do czego John zmierza i jakie ma plany na przyszłość. Z wyjątkiem tamtej nocy na Drodze Sułtańskiej, kiedy powiedział: „A co, jeśli ja mam wszystkiego dość?”.

Wiedziała, jakie John – pan Jones – ma ambicje, dlaczego wyjedzie z Idensea. Nie zastanawiała się kiedy. Nie zastanawiała się, czy wkrótce. Pytania sir Altona, to, że wspomniał o konkretnym stanowisku, świadczyło o tym, że całkiem niedługo.

– Sądzę, że będzie pani zadowolona tak samo jak ja – powiedział sir Alton – kiedy pani zobaczy, jaka okazja nadarza się naszemu panu Jonesowi. Choć tak naprawdę nie jest całkiem gotów do objęcia takiego stanowiska...

Przerwał, gdy otworzyła lekko usta, gotowa bronić Johna. Ale powstrzymał się, więc i ona postanowiła się nie odzywać.

Westchnął.

– Przyznaję, że przywykłem myśleć o panu Jonesie jako o części Idensea. Wielu z nas uważało, że zostanie u nas na długo i będzie pracował dla firmy. To byłoby dla niego dobre.

Mógłby się ożenić... – Króciutka pauza. – Kompania pomogłaby mu się osiedlić... Zna pani może Zagrodę Tinfell? Dobry dom, do tego trochę ziemi. Dobry początek dla młodej rodziny... gdyby nasz pan Jones zdecydował się zostać.

Miała ochotę się roześmiać. Gdyby to tak nie bolało, gdyby to nie było jak brutalne wdarcie się do jej marzeń, które chyba odgadł. Mogłaby się roześmiać z tego, że oto staje się dla sir Altona bardzo użyteczna.

Może zna pani Zagrodę Tinfell?

Nie odpowiedziała nawet skinieniem. Ale tak, znała to miejsce. Pewnego popołudnia zjechała z drogi, żeby tamtędy przejechać. Dom został wynajęty na sezon, a rodzina, która w nim mieszkała, najwyraźniej oczekiwała gości, więc stojąc przed nim, nie musiała sobie wyobrażać, jak wygląda to miejsce wypełnione ludźmi. Mimo to marzyła tak, jak nie marzyła od czasu, gdy Thomas Dellaforde pozwolił swojej matce uderzyć ją po raz drugi, marzyła łapczywie, bez żadnych zahamowań.

John nauczył ją takich rzeczy. Pan Jones i jego szalona kolejka przypięta do ściany, pan Jones i jego fantazyjna uwaga, że maszynistka jest poza wszystkim kimś jeszcze.

Zakochała się w nim. Wkrótce on odejdzie, pewnego dnia, a ona jest w nim zakochana.

– Mój Boże, co za bałagan.

Noel Dunning znalazł drogę między stertami materiałów budowlanych i zatrzymał się przy wysokiej skrzyni pełnej płytek ceramicznych. Wziął jedną z nich i starannie obejrzał, po czym podniósł wzrok i spojrzał na Kursaal, gdzie wkrótce ten kafelek, wraz z innymi, miał się stać fragmentem fryzu nad głównym wejściem.

– I wy nadal się łudzicie, że to wszystko będzie gotowe przed sierpniem?

John skończył liczyć i podpisał pokwitowanie. Dopiero wtedy odpowiedział:

– Zobaczysz.

Płytki przyjechały o tydzień za wcześnie, tor wrotkowy miał być gotów nazajutrz, więc wszystko wydawało się możliwe.

– Nie zobaczę. – Dunning rozłożył z rezygnacją ręce, gdy John spojrzał na niego ze zdziwieniem. – Po to właśnie przyjechałem, żeby się pożegnać.

Zabrzmiało to tak smutno, że John od razu wiedział, iż chodzi o coś innego niż kolejny wypad do Londynu albo wesołe wakacje w domu na wsi.

– Zostałem wysłany. To znaczy dostałem wspianą propozycję, na którą w ogóle nie zasłużyłem. Dano mi to do zrozumienia. Ojciec usłyszał, doszło do niego okrężną drogą, ale... Nie wspomniał nic o tym? O tym, że występowałem w music-hallu?

John wskazał na Kursaal.

– Mógłbym mu podpowiedzieć, żeby cię tutaj zaangażował.

– To była paskudna nora – kontynuował Dunning. W Hoxton. Poszliśmy tam jako widzowie, dla zabawy, no wiesz. Jakiemuś miejscowemu miłośnikowi sztuki występy się nie podobały i rozwalił krzesło na głowie pianisty. Tamten padł bez ducha. No i co tu robić?

– Przedstawienie musi trwać – zgodził się John.

– To miało być dla hecy. Penny, to znaczy lord Penderson, zaciągnął mnie na scenę. Nic się nie stało, czyste wygłupy tego pierwszego wieczoru.

– Pierwszego?

– No tak. Pianista dochodził do siebie prawie tydzień. Co można było zrobić? – Zdobył się na niewymuszony uśmiech. – Moje ubranie nadal śmierdzi tamtym miejscem. Możesz sobie wyobrazić, jak to jest grać, wiedząc, że mogą ci rozwalić łeb, jeśli im się coś nie spodoba?

– Ale, jak widać, nikt ci go nie rozwalił.

– Istotnie, nie rozwalił. – Sięgnął za pazuchę i powtórzył: – Nie rozwalił.

Wyciągnął papierośnicę, ale John ruchem głowy wskazał na stojące wokół nich skrzynie pełne trocin.

– Racja. Przepraszam. – Zatrzasnął papierośnicę. – Tak więc zdaje się, że jadę na kontynent.

Macocha przekonała ojca, żeby mi pozwolił studiować u profesora w Wiedniu. Ojciec uczył się u niego, kiedy miał zostać muzykiem. Dano mi pół roku, drugie pół na zrobienie czegoś sensownego z tego, czego się nauczę. No a ja muszę być bardzo szczęśliwy i wdzięczny.

Nie powiedział, dlaczego musi. John wyobraził sobie, że istnieje jakaś różnica między graniem w music-hallu na East Endzie a studiowaniem u europejskiego mistrza, ale zrozumiał, że to ustępstwo wobec sir Altona, takie, na jakie Dunning był w stanie pójść.

– Więc nie będzie cię na otwarciu Kursaalu?

– Mówisz o tej części ojcowskiego biznesu, która mnie średnio interesuje? Nie, nie będę.

Wyjeżdżam w ciągu tygodnia. Sir Alton życzy sobie, aby ten rok minął jak najszybciej i żebym jak najszybciej był z powrotem w Idensea. Rozumiesz, że w ten sposób ja też prędzej będę miał cały ten nonsens za sobą.

– Po roku może być zaskoczony.

Dunning przyjął tę zachętę z bladym entuzjazmem.

– Jesteś uprzejmy, Jones. Bardziej, niż na to zasłużyłem.

Zawahał się i przerwał, a John zaczął się zastanawiać, czy wspomni o wieczorze muzycznym u Lillian Gilbey. Ale ten nawet nie mrugnął okiem i zmienił temat:

– Co powiesz na przejażdżkę?

John spojrzał przez ramię tam, gdzie czekała wysoka dwukółka z Alouette, bez wątplenia najpiękniejszą klaczą w Idensea, czyli coś, co normalnie było poza jego zasięgiem. Nawet jeśli żywił do Dunninga jakąś urazę, był to gest nie do pogardzenia. I choć w hotelu czekała na niego papierkowa robota, to, co miał do zrobienia tu, na placu budowy, właściwie już zrobił. Dunning zaczekał, aż załatwi kilka drobiazgów, i po chwili kłusowali aleją. Powoził John. Skierował bryczkę na drogę do Hawkshaw.

– Czy wiesz – zagadnął Dunning – że zaczęliśmy pracować nad najpaskudniejszą operetką?

Ja i Nash. Pamiętasz tego gościa, którego miałem odstawić do Londynu?

John sformułował odpowiedź w języku, który raczej nie był w stylu ludzi kulturalnych, ale dał do zrozumienia, że owszem, pamięta pana Avery'ego Nasha.

– Ja wiem, nie jest twoim ulubieńcem. Ojca też nie, choć on nawet nie pamięta, jak się nazywał. Ale co by to była za nudna podróż, gdybym przez całą drogę do Londynu nie zamienił z nim ani słowa? No i okazało się, że gość ma smykałkę do sentymentalnych wierszydeł i dowcipnych rymów.

– A jak on tam... w ogóle? Ze zdrowiem?

– Chyba dobrze. – Dunning wydawał się zaskoczony tym pytaniem, podobnie zresztą jak sam John. Ale jeśli Betsey jest choć trochę zainteresowana Averym Nashem, to nie wiadomo, czy żywi jeszcze do niego niechęć. – Z tego, co wiem, ma się nieźle. Zdaje się, że pracuje dla kilku teatrów, przepisuje na

maszynie scenopisy...

Zamilkł, gdy John skręcił w drogę do Hawkshaw. Przed nimi ciągnął się gładki odcinek traktu. Widać był tylko jakiś wózek zaprzężony w kuca. John szarpnął cugłami, po czym puścił je luźno i poczuł, jak Alouette korzysta z nagle odzyskanej swobody. Obydwaj z radości przekrzykiwali wiatr i turkot kół. Ktoś prowadzący rower miał na tyle rozsądku, że zawczasu zszedł pędzącej dwukółce z drogi.

– Niech Alouette pokaże, co potrafi! – krzyknął Dunning, gdy John chciał ściągnąć cugle.

Nie trzeba mu było tego powtarzać. Jak błyskawica przemknęli obok rowerzysty i wtedy John zorientował się, że to była Betsey.

Zatrzymał Alouette, łagodniej, niż miał zamiar, a i tak naraził się na wymówki. Z drzwi Zagrody Tinfell gapili się na nich czworo dzieci i gospodyni. Kobieta rzucała mu wyraźnie gniewne spojrzenie. John dotknął w geście przeprosin kapelusza, a potem położył cugle na kolanach Dunninga, odwrócił się i zawołał Betsey.

Wróciła już na drogę i znów prowadziła rower. Spojrzała na niego, gdy usłyszała swoje imię.

– Czy wszystko w porządku?

Odwróciła się i John wyczuł, że nie podoba jej się to, iż musi się z kimś przekrzykiwać na publicznej drodze, i to jeszcze przy świadkach. Tak bardzo chciał, żeby złapała gumę. Ale ona pomachała, że w porządku, i ruszyła w swoją stronę.

– Lepiej ją odprowadzę – powiedział. Pokręcił głową, gdy Dunning zaoferował swój powóz. Dla jednego z nich trojga zabrakłoby miejsca. Poza tym był jeszcze rower.

– Ta operetka, nad którą ja i Nash pracowaliśmy... – zaczął Dunning, gdy John zeskakiwał z powozu. – Rozmawialiśmy o tym z właścicielem teatru. Wydaje się... no, nie mogłem się przez chwilę powstrzymać od wyobrażania sobie, jak bardzo cię to rozbawi, Jones.

John nie wiedział, czy ma na myśli samą operetkę, czy to, kogo wybrał na partnera do tego przedsięwzięcia. Jedno i drugie z pewnością przyprawiło sir Altona o apopleksję, a jemu samemu na pewno się nie spodobało. Mimo to postanowił okazać wielkoduszność i zapewnił Dunninga:

– Jak pojedę do jakiegoś zadymionego teatrzyku, to na pewno obejrzę.

Dunning uścisnął mu rękę.

– Nie zasłużyłem na tak wiele – powiedział.

Z rowerem wszystko było w porządku – tak przynajmniej twierdziła Betsey. Po prostu chciała się trochę przejść.

– Pieszo jest bezpieczniej – dodała, kiedy przykucnął, żeby obejrzeć opony i łańcuch. – Słyszałam, że niektórzy jeżdżą tutaj jak szaleni.

– Bo tu jest dość odludny odcinek. – Spojrzał na nią, nie wstając. – To nie jest twoja zwykła droga do

domu.

– Tędy też mogę dojechać.

Wdali się w krótką słowną przepychankę, kto będzie dalej prowadził rower. Ona ustąpiła, jak zauważył, zbyt łatwo. Nie spojrzała na niego. Po drodze przyznała się, że wcale nie szła do domu, tylko do księgarza, żeby złożyć zamówienie dla pana Seilera i zarezerwować fotografa na przejazd księcia Drogą Sułtańską. Te dwie sprawy zaprowadziły ją na drogę do Hakwshaw.

Dzięki temu, że z taką determinacją patrzyła przed siebie, żeby nie spoglądać gdzie indziej, mógł ją ukradkiem obserwować. W ten sposób w krótkim czasie, jak prawdziwy złodziej, stał się mistrzem kradzionych spojrzeń. Kilka dni wcześniej Charlie Elliot przyłożył mu piłkę i złośliwie spytał, czy zamierza grać, czy gapić się, jak Betsey wieszka pranie.

Do Esplanady – obiecał sam sobie. Na Esplanadzie pozwoli jej pójść w swoją stronę, a sam wróci do biura i zajmie się papierami.

Pod rondem jej słomkowego kapelusza dostrzegł zaróżowione policzki. Było jej za gorąco w tweedowym kostiumie. On z kolei pocił się w garniturze. To był gorący dzień, bardzo gorący.

Na Esplanadzie zaproponował jej sorbet i zaczął na nią przed atelier fotografa. Lody sprzedawano na stoisku na końcu molo, a gdy ona zauważyła, że aby je kupić, najpierw muszą zapłacić za wstęp na molo, on się zaśmiał, choć może rozsądniej byłoby ukryć, jak bardzo jest zachwycony i zaskoczony tym, że ona w każdej sytuacji potrafi być sobą. Zapewnił ją, że skoro to był jego pomysł, to on zapłaci za wstęp.

– Ale lody kupię sobie sama – zastrzegła.

– Moja kupić twoja lody. Ja być twój.

Przewróciła oczami i zanim zdążyła schylić głowę, zauważył, że się szeroko uśmiecha. Zostawili rower u fotografa. John maszerował z rękami splecionymi z tyłu.

Tak naprawdę to niewielka różnica, czy załatwi papiery teraz, czy poczekają kilka godzin.

Ten spacer z Elisabeth Dobson wydawał się pilniejszy, bo odkrył, że od kiedy mieszka w Idensea, jeszcze nigdy nie była na molo.

– Widok z Esplanady nic nie kosztuje – wyjaśniła, gdy przy kasie wyciągał z kieszeni monety. Zauważył jednak zwątpienie w jej głosie, jakby to, że się zdziwił, tam nie była, kazał jej się zastanowić, co straciła. Miał ochotę pocałować ją w czoło. Sam przychodził na molo tylko w sprawach związanych z pracą albo dla towarzystwa. Ale Betsey – codziennie przejeżdżała obok i nigdy nie pomyślała, żeby sobie zrobić taką przyjemność.

– Pokaż mi, jakie masz monety – powiedział.

Nie bez podejrzliwości w oczach posłusznie wyciągnęła rękę. Przytrzymał ją w dłoni i palcem przesunął półpensówki i pensówki na jedną kupkę. Pozostałe zebrał i przełożył do jej drugiej dłoni.

– Te z powrotem do kieszeni. A te – przesunął cztery półpensówki w zagłębienie jej dłoni – jesteś mi

winna za lody.

- Winna! – Ale oczy jej się śmiały.
- A reszta? Co zamierzasz z nimi zrobić?
- Wrzucić do fontanny przed Swan Parkiem.

Wyjął pensa z tych, które miała włożyć z powrotem do kieszeni.

- Jedno mądre życzenie to najlepsze, co może być. – Zostało pięć pensów. – Teraz ty. Wybierz sobie jakąś przyjemność.

Pozwoliła, żeby zamknął jej palce na monetach. Obserwował, jak patrzy na molo, na sprzedawców z tacami pełnymi pocztówek, kamyków i sztucznych pereł, lunet, przez które można było popatrzeć po wrzuceniu pół pensa, i kartek z zagadkami (Co zrobić, żeby spodnie wytrzymały dłużej? Zawsze zakładać najpierw koszulę i marynarkę). Dalej dały się słyszeć piski dziewcząt zabawiających się Wstrząsającym Szkotem – najdziwaczniejszym urządzeniem elektrycznym, jakie Johnowi zdarzyło się widzieć: do ust figury przedstawiającej Szkota wrzucało się pensa i jego oczy zaczynały świecić, a wyciągnięta dłoń lekko raziała prądem. Na końcu mola urzędowali wróżka, twórca pastelowych portretów, który stylizował swoje modele na bóstwa morskie albo greckie, i wreszcie człowiek śpiewający ballady.

Ale Betsey zainteresowało coś, co było bliżej, w budce z napisem ZDUMIEWAJĄCE RUCHOME ŻYWE OBRAZY.

- Zawsze byłam tego ciekawa tej kamery – powiedziała. – Jak to wygląda?

– To coś nadzwyczajnego. – Po dźwigarach i rozporach utrzymujących konstrukcję *camera obscura* była głównym obiektem jego zainteresowania na molo. – Dziś jest słońce, więc warto zobaczyć.

Betsey policzyła monety, które miała w dłoni. A potem sięgnęła do kieszeni po ostatniego pensa.

- Mam na wejście dla dwojga.

Nic się nie zmieniło – powiedział John do siebie, gdy właściciel wpuścił ich do środka. Bo gdyby jej stosunek do niego się zmienił, to byłaby to zasługa miejsca i tych niespodziewanych wakacji, które sobie zafundowali. Albo zmiana zaszłaby w samej Betsey, i to nie z jego powodu, bo był ostrożny. Jakkolwiek wyglądała, zachowywał maniery idealnego dżentelmena.

Wycelował obiektyw w dach i objaśnił, jak w czarnym pudełku powstaje obraz. Trochę się przy tym popisował. Słyszał jej głęboki oddech: była zachwycona, że umie operować obiektywem i zmieniać obrazy rzucane na ekran. Najpierw był to tramwaj na Esplanadzie z wsiadającymi pasażerami, ze starą częścią Idensea w tle za sklepami i estradą – prawdziwa barwna widokówka.

Potem nabrzeże. Wyglądało jak mozaika parasoli i koców rozłożonych na piasku. Później molo, tam, gdzie stali, oblegane przez turystów w letnich ubraniach z kremowej serży. I wreszcie samo morze, lśniące i żywe, rozlewające się plamą na dłoniach Betsey.

- Widzisz? Masz w rękach cały świat, tak jak chciałaś.

Poruszyła palcami. Zdjęła rękawiczki i wsunęła ręce w snop światła, zupełnie jak dziecko, które podąża za wyobraźnią.

– To ty jesteś tym, który chce mieć cały świat.

Tak było, pamiętał, ale teraz czuł, że świat jest nie większy niż przestrzeń ograniczona cienkimi ściankami i składa się ze snopu światła oraz ciepła słońca i skóry.

– Spróbuj sama – powiedział i położył jej ręce na uchwytach do manewrowania obiektywem.

Świat na tablicy się pochylił. Po raz pierwszy od czasu tamtego niezgrabnego tańca dotknął jej i pozwolił, żeby jego ręce spoczęły na jej plecach. Mały domek zdawał się skupiać całe gorąco tego dnia, przesycone jej zapachem, zapachem ich obojga.

Nakierowała obiektyw na pawilon na końcu mola, oderwała twarz od tablicy i spojrzała mu prosto w oczy. Falujące na ekranie morze odbijało się w jej źrenicach.

– Czy ja będę pierwszą dziewczyną, którą tutaj pocałujesz?

Prawie miał zamiar odpowiedzieć, że tak. Tutaj, na małym skrawku na jej plecach, tweedowy żakiet przesiąkł potem. Miał ochotę wsunąć palce pod jego brzeg, pod wszystko, i dotknąć dołu jej pleców.

Opuścił rękę. Kciukiem dotykał po kolei zwilgotniałych opuszków swoich palców.

– Nie pocałuję cię, Elisabeth. – Jego westchnienie przebiło się przez zgiełk dobiegający zza ścianki.
– Ja ci oddam pocałunek.

– Ach tak – zadrwiła, przysuwając twarz na cal od jego twarzy.

Odsunął się, usiadł na stole w potoku niebieskawego światła.

– No więc chodź.

Wieki trwało, nim wsunęła się między jego kolana. Zrzuciła mu kapelusz na podłogę, przebiegła palcami po spotniałej krawędzi włosów. A potem dotknęła ich ustami, przeciągnęła lekko wargami wzdłuż wilgotnej słonej linii. Jego ręce stężały z wysiłku od powstrzymywania się, żeby jej nie przygarnąć.

Dotknęła palcami swoich warg.

– Chodź – powtórzył, a ona podeszła i scałowała wilgoć znad jego górnej wargi. Poczuł, że jego wytrzymałość się skończyła. Objął ją mocno, odnajdując wilgotne miejsce na jej plecach, i przygarnął bliżej, ustami szukając jej ust, językiem czując szczypiącą sól. Oddał jej pocałunek.

Zanim oboje stali się jednym wielkim pożądaniem i zanim właściciel zaczął łomotać do drzwi, oddał jej pocałunek.

Pangram – zdanie zawierające wszystkie litery angielskiego alfabetu: Pack my box with five dozen liquor jugs.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Kiedy wyszli z budki, w żarze słońca poczuł się jak wyjęty z wrzącego kotła. Betsey wyglądała na rozkojarzoną. Przez chwilę wpatrywała się w niego – zupełnie bezwiednie rozchyliła usta – a potem podeszła do balustrady i wystawiła twarz do wiatru, zupełnie jak ktoś cierpiący na chorobę morską.

Nie czuła się źle. W odpowiedzi na jego pytające spojrzenie pokręciła głową.

To tylko...

Wiatr smagał ją po twarzy puklami jej własnych włosów.

– No dobrze. Ja tego nie zapomnę. I tyle.

A potem powiedziała mu, żeby założył kapelusz. Przypuszczał, że nie chce, aby ktoś zobaczył, jak promienieje jego twarz.

Później kupili sobie cytrynowe sorbety i on ją rozśmieszył, proponując, żeby się nawzajem nimi częstowali. Jedna z wiat przy balustradzie posłużyła im za schronienie od wiatru i Betsey przyznała, że warto przynajmniej raz zapłacić, żeby zobaczyć Idensea od strony mola.

Lód i cytryna zaróżowiły jej wargi. Musiała teraz smakować świeżo i kwaśno.

– Ty nadal chcesz, żebym poszła z tobą do łóżka.

John spróbował swoich lodów, przełknął. Szczypało go w zęby.

– Nie.

– Przedtem nigdy nie kłamałeś.

– To znaczy... – Zmieszał się. Była taka bezpośrednia w tych sprawach. – Przysięgłem sobie, że nie będę cię nagabywał.

– Przysięgłeś? – Teraz ona się zmieszała. – Że...

Wzruszył ramionami.

– A gdybyś nie musiał nagabywać?

Chcesz powiedzieć... jeśli mnie wybrałaś.

– Ty nadal mnie chcesz.

Zjadł ostatnią łyżkę lodów, przechylił puchar i wysączył stopione resztki.

– Jak bardzo?

Na Boga.

– Na tyle, żeby się ze mną ożenić?

Na...

Roześmiała się.

– Niech się pan tak nie martwi, panie Jones. Oboje znamy odpowiedź. Tylko sir Alton jej nie zna.

Sir Alton?

– Wiesz, jak bardzo mu zależy na tym, żeby cię zatrzymać w Idensea?

– Gdy Kursaal zostanie skończony, będę szukał nowej pracy. I on o tym wie.

– On wierzy, że może będzie cię można przekonać i... liczy na moją pomoc. Omotałam cię już na tyle, że będziesz się tu czuł dobrze, u boku swojej żonki, z pracą w firmie od moło i na kawałku ziemi.

Usiłował sobie wyobrazić, w jakich okolicznościach Betsey i sir Alton odbyli to taktyczne spotkanie, i zobaczył w myślach, jak siedzą przy przeciwległych krańcach długiego stołu w Iden Hall. Zastanawiał się, czy sir Alton przemawiał tak samo bez ogródek do niej, jak ona teraz do niego. Sir Alton wiedzący jedno: panna Dobson to krnąbrne stworzenie, trudne do okiełznania.

Inny szczegół nie dawał mu spokoju:

– Posiadłość. Przy drodze do Hawkshaw?

Nareszcie coś ją wprowadziło w zakłopotanie.

– To nie dlatego tam pojechałam.

– Coś było na rzeczy.

– Tylko ciekawość. Chciałam zobaczyć ten dom jeszcze raz. Byłam ciekawa, dlaczego...

Patrzył, jak się zmagają z zakłopotaniem, i zauważył, że oto dopadło ją rzadkie u niej zawstydzenie.

– Dlaczego nie miałyby być odpowiedni dla kogoś. Dla ciebie.

Pomyślała, że powinien być odpowiedni. Tak samo myślał sir Alton. Bez wątplenia wielu by tak uważało, może nawet większość, nawet jego matka, której duma zawsze mieszała się z troską, bo przebywał tak daleko od domu, i jego ojciec, który najpierw uważał ambicje syna za coś przejściowego, a potem śledził je z wyraźnym, ale i niepozbowionym szacunku dystansem.

Machnął ręką, żeby spłoszyć mewę, która przysiadła obok na poręczy, i poczuł złośliwą satysfakcję, gdy odleciała.

Betsey podniosła wzrok. Spojrzał jej w oczy.

– Ja ci tylko mówię, o co mu chodziło – powiedziała.

– Pocałowałaś mnie. Zrobiłaś to.

– No to powiedz mi, co to według ciebie oznacza.

Wpatrywał się w deski pomostu pod ich stopami. Oczywiście nie wierzył, że sprzymierzyła się z sir Altonem. Podszedł chłopak z tacą.

– Wypij do końca – powiedział.

Widział, że jej pucharek jest do połowy wypełniony stopionymi lodami. Zawahała się, ale wzięła go z powrotem i wypila. Nadgarstkiem starła kroplę z podbródka. Równie dobrze mogła włożyć Johnowi rękę między uda.

Wydawało się, że czyta w jego brudnych myślach. I chyba miała podobne.

– Nie zabawisz w Idensea długo – powiedziała. – I ja raczej też nie.

Z niepokojem spostrzegł, że jest bliska łez. Zerwała się i wybiegła spod wiaty, a pośpiech, z jakim to robiła, podkreślała jeszcze jej miotana wiatrem spódnica. Pomyślała, że sir Alton zwolni ją natychmiast, gsy tylko się okaże, że nie udało jej się zatrzymać Johna w Idensea.

Prawdopodobnie ma rację – pomyślał John. Nawet jeśli zarząd ostatecznie postanowi kontynuować program wycieczek za rok, sir Alton może zmusić Tobiasa, żeby zatrudnił do tego kogoś innego.

Może Tobias będzie mógł jej zaproponować jakąś inną pracę, ale będzie należał do sir Altona decydujący głos. Może ją po prostu wyrzucić z firmy.

– Powinnam była zachować tego pensa do fontanny – powiedziała, gdy ją dogonił i spróbował spojrzeć jej w twarz: nie płakała i nie miała takiego zamiaru.

– Na Boga, Elisabeth. Ta praca to nie jest twoja ostatnia szansa.

Mógłby podnieść na nią rękę i nie zobaczyłby na jej twarzy tak wielkiego zaskoczenia. Mógłby być jak Brutus ze wzniesionym sztyletem i przywitałoby go czulsze spojrzenie.

A przecież nie powiedział nic złego. Był pewny, że chce to usłyszeć.

– Nie jest. I nie jest najlepszą, jakiej możesz się spodziewać. Tak mówiłaś po tym, gdy pracowałaś jako maszynistka, i to nie była prawda. I teraz też nie jest.

– Muszę się tym zajęciem zadowolić, dopóki nie odziedziczę tytułu i majątku.

– Nie kpij.

– Panie Jones, proszę o wybaczenie. Jestem pewna, że nie zamierzałam pana urazić.

Dygnęła. Przez chwilę zaświtała mu w głowie niecna myśl, żeby ją przerzucić przez balustradę prosto do morza.

– Z siebie. Chodziło mi o to, żebyś nie kpiła z siebie.

Spojrzała na niego. Obserwował, jak zachodzi w niej zmiana, gwałtowna, choć niewielka. Coś w niej pękało i nic nie mogła na to poradzić.

– Chciałam. Powinieneś to rozumieć. Bardziej niż ktokolwiek inny.

Nie zaprotestował. Musiało jej to odpowiadać. Mogłaby tylko wdać się w kłótnię, chociaż miała przeczucie, że nie ma racji. On, zamiast dyskutować, powiedział na pożegnanie, gdy podeszli z powrotem pod atelier fotografa, że chciałby ją gdzieś zabrać w sobotę wieczorem. Oczywiście po wieczorku tanecznym.

Najpierw od razu się zgodziła, ale po chwili zapytała:

– Dokąd?

Nie powiedział jej aż do chwili, kiedy w sobotni wieczór wyjechali z hotelu. Popedałowali w kierunku przeciwnym do The Bows, do stojącej nad morzem oberży. Na szyldzie widniał napis: „Zegar Słoneczny – bar i ogród wypoczynkowy”. W środku mnóstwo głosów, w tym przynajmniej dwa kobiece, witające Jonesa – w kilku przypadkach p a n a Jonesa. Tu i tam mnóstwo głów kiwało się w mniej lub bardziej zdawkowych pozdrowieniach. Był tłok, ale słyhać było raczej gwar serdecznych rozmów niż pijackie wrzaski.

Każdy, kto zagadywał do Johna, zauważał, że jest z nim Betsey, a jej służbowy strój sprawiał, że rzucała się w oczy jeszcze bardziej. Za późno, żeby się tym przejmować – powiedziała sobie, i z wyraźną przyjemnością, trzymając go za rękę, podążyła z nim krok w krok do tylnych drzwi, prowadzących do ogródka oświetlonego pochodniami i oliwnymi lampami. Zapach kwiatów otwierających się nocą i mokrej trawy mieszał się z wonią piwa *ale*. To stamtąd dobiegała muzyka, którą słyszeli, kiedy się zbliżali do oberży. Pod pergolą obrosniętą winem skrzypek i flecista przygrywali do tańca parom kręcącym się po kamiennych płytach.

Kobieta w fartuchu w jasne pasy i dopasowanym do niego czepku zawołała Johna i wskazała mu wolne miejsca przy długim stole. Obiecała, że ktoś o imieniu Katie zaraz się zjawi.

Usiedli obok siebie na prostej wiejskiej ławie. W pozostałe dni tygodnia mogła służyć komuś do spania.

Katie okazała się dziewczynką młodszą od Charliego. Przyjęła zamówienie i oczy jej się zwęziły.

– To nie może być ta twoja dama z Londynu – rzuciła oskarżycielskim tonem.

Nawet taka smarkata wiedziała, że to nie miejsce dla dziewczyny takiej jak Lillian Gilbey.

– Musisz tu często bywać – powiedziała cierpko Betsey, kiedy mała sobie poszła.

Ale John pokręcił głową.

– Niezbyt często. Niektórzy z tych ludzi to moi pracownicy.

To wyjaśniało powitalne skinienia, ale tego, że Katie jest wtajemniczona w jego prywatne sprawy –

nie.

– Co sobie myślałeś, przyprawdzając mnie tutaj?

– Że powinnaś poznać to miejsce.

Była w tej odpowiedzi nuta powagi, ale Betsey nie mogła zrozumieć, skąd się wzięła.

Oparła się łokciami o blat i zaczęła rozglądać. Nazwa Ogród wypoczynkowy odzwierciedlała raczej życzenie właściciela niż stan faktyczny. Ogród miał nie więcej niż cztery ary powierzchni i poza przestrzenią do tańca, do gry w *quoits* i do bowlingu nie było w nim ścieżek spacerowych, jakich można by się spodziewać w takim miejscu. Otaczał go żywopłot, wysoki i przystrzyżony jak blankowany mur zamku, z okiennicami i drzwiami wymodelowanymi od frontu. Betsey zauważyła stojący na postumencie zegar słoneczny, od którego oberża wzięła nazwę: wciśnięty między długie stoły i ławy wydawał się zbędnym dodatkiem. Całość sprawiała wrażenie skromniejszej i mniej reprezentacyjnej wersji hotelowego pawilonu tanecznego, który dopiero co opuściła. Uśmiechnęła się, kiedy o tym pomyślała, i odegnała pokusę złożenia głowy na piersi Johna. Czują jego bliskość całą lewą stroną ciała. Wsparła brodę na dłoni i odwróciła do niego twarz. Patrzył na nią.

– O czym myślisz, Dobs?

– Czuję się jak...

Chciała powiedzieć: jak któryś z moich wycieczkowiczów, ale się powstrzymała. Wstała od stołu i w jej głowie zakiełkował nowy pomysł. Teraz już wiedziała, po co John ją tam przyprowadził.

– Powinnam znaleźć nowe miejsce dla wycieczkowiczów – powiedziała.

Kobieta w pasiastym fartuchu przyniosła piwo.

– To pani Gomery – wyjaśnił John. – Właścicielka oberży, mama Katie i siostra Ethana Noonana. To Ethan powycinał wszystkie te żywopłoty.

To, że stryżeniem żywopłotów w wymyślne wzory zajmuje się zagląający do kieliszka woźnica, wydało się Betsey mocno niebanalne.

– Ach, pani zna mojego brata – powiedziała pani Gomery, jakby w jej przekonaniu miało to być przeszkodą dla wszelkich wzajemnych relacji, które normalnie panie mogłyby nawiązać po takim wstępie.

– Panna Dobson zarządza programem wycieczek w Swan Parku – wyjaśnił John.

– A on pani pomaga? Może pani mówić szczerze.

– Nigdy się nie zdarzyło, żeby nie podstawił szarabanu – odpowiedziała. – I w ponad połowie przypadków był na tyle trzeźwy, żeby móc powozić.

Pani Gomery wydawała się w pełni usatysfakcjonowana taką odpowiedzią. Powiedziała Johnowi, że powinni zatańczyć, ale gdy tylko się odwróciła, on i Betsey popatrzyli na siebie i zgodnie pokręcili głowami.

Betsey wypięła łyk piwa.

– Co z Kursaałem? Sala do tańca będzie niedługo skończona, a może są inne miejsca odpowiednie na wieczorki taneczne? Może skoro wszystko jest poza hotelem...

Ale John pokręcił głową.

– Kursaal należy do kompanii zarządzającej molo.

– Ale tutaj? Wygląda na to, że pani Gomery i jej mąż nie mieliby...

– Pani Gomery jest jedyną właścicielką. Owdowiała. Chyba kiedy Katie była bardzo mała.

– No ale w soboty ma mnóstwo gości. Żeby przyjmować wycieczki, musiałaby zamykać dla miejscowych. Dlaczego miałyby się na to zgodzić?

Wzruszył ramionami.

– Pewnie by się nie zgodziła – przyznał. – Chyba żeby dostała więcej pieniędzy. Ale ta oberża nie jest jedynym miejscem w Idensea. – Pił piwo i patrzył na nią znad kufła. – A Idensea nie jest jedynym miejscem na ziemi.

Ale jedynym, w którym ona chciała mieszkać. Idensea było pierwszym miejscem, od kiedy opuściła dom matki, w którym nie musiała zaciekle walczyć o przetrwanie i żywić nadziei na lepsze jutro.

Ale myśl, którą rzucił, była warta zastanowienia. Czy zdawał sobie sprawę, że musiałaby pójść na swoje, że wyzwoliłaby się spod kurateli sir Altona, ale i straciłaby całe hotelowe zaplecze?

Musiał to wiedzieć. Ale czy wierzył, że zdoła podjąć takie wyzwanie?

– Kuksaniec w bok – wymruczał.

Patrzyła na niego i myślała, że jednak wierzy.

– Co to znaczy?

– Słyszałem to w pubie mojego ojca. Stary walijski wierszyk. Dziewczyna, która mi daje kuksańca w bok, to dziewczyna, której chcę i zawsze chciałem...

Przerwał, żeby wypić tęgi haust. Betsey wyciągnęła ręce i złapała za kufel, a on pozwolił go sobie odjąć od ust i postawić na stole.

– Dlaczego nie? – zaproponowała.

Skinął głową. Wypadli z pubu, jakby umykali przed pożarem. John jedną ręką zamykał za sobą drzwi, a drugą już przyciągał ją do siebie. Ich usta się zwarły. Skryli się za rogiem, w cieniu zarośli i w gęstej kurtynie bluszczu. Liście łaskotały ją w uszy i szyję. Jej usta szukały jego ust, kusiły, wabiły w tańcu niekończącego się odkrywania. Za każdym razem, gdy jego język dotykał jej języka, czuła go głęboko i nisko. Cofała wtedy głowę coraz głębiej w zielony gąszcz, opierała o mur. Otwierała usta szerzej, żeby

mieć go w sobie więcej.

Z jego krtani wyrwał się ciężki stłumiony jęk. Oderwał od niej usta, ale na tyle tylko, żeby móc wyszeptać nad jej skórą ledwie zrozumiałe słowa.

– Dziś w nocy niebo lśni jak klejnoty.

– Mhm...

Jej język bawił się jego górną wargą. Nie pamiętała, jak wygląda niebo. Nawet gdyby teraz otworzyła oczy, pewnie by tego nie zobaczyła.

– Kąpiel przy księżycu. To coś magicznego. Próbowalaś?

– Nie wiem. – Co on miał na myśli? Co to jest księżyc? Złożyła pocałunek na jego brodzie.

– Nie umiem pływać.

– Jesteś do tego stworzona, dziewczyno. – Jednym powolnym, nieprzerwanym ruchem przesunął dłoń po jej udzie w górę, a potem wzdłuż ramienia, aż rozłożył jej rękę i każdy palec dłoni na murze za jej plecami. – Duchem i ciałem. – Przyłożył do jej dłoni swoją i zaczął pokrywać pocałunkami zgięcie łokcia. – Pójdiesz?

Oszłomienie przeszło w zawrót głowy. Patrzyła na niego i czekała, aż zbliży usta do jej ucha. Powinna iść z nim pływać? Pocałował ją w szyję, a ona zachichotała. Tak rozkoszne to było uczucie, rozkoszne dlatego, że to on je wzbudził. Pretekst, żeby zdjąć z niej ubranie. Nie wiedział.

Nie wiedział, że ona już postanowiła. Tam, na drodze do Hawkshaw.

Nie będzie więcej nikogo takiego jak on. Nie dla niej. On odejdzie, a ona nie spróbuje go zatrzymać. Ale zanim to się stanie, położy się z nim. Weźmie to, co ma tutaj. To, co jest teraz.



Nikt nie lubi niechlujstwa, brudnych stron, błędów ortograficznych ani zdań, które z powodu opuszczenia niektórych wyrazów brzmią bezsensownie.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Wjechali w małą uliczkę. Betsey nigdy tam nie była. John schował rowery w zaroślach, a potem poprowadził ją w dół stromą i wąską ścieżką. Wytyczono ją tak, że nie sposób było się zgubić.

– Ludzie tędy chodzą – powiedziała Betsey, szukając drogi w ciemnościach. Trzymała go za rękę.

– Miejscowi ją znają. Ale o tej porze nikt tu nie przyjdzie.

Na dole była zatoczka, oświetlona światłem księżyca. Wypełniał ją szelest fal. Betsey zatrzymała się na dole, żeby przyjrzeć się miejscu, które John wybrał dla nich na tę noc. Idealne i dzikie. Zastanawiała się, jak dobrze je zna i czy przyprowadzał tu inne kobiety. Kim mogły być?

Oczywiście nie było wśród nich panny Gilbey, ale inne?

Poszła za nim. Przystanęli oboje, żeby zdjąć buty. I wtedy ją zaskoczył – zrzucił kapelusz i marynarkę i odwrócony do niej tyłem zaczął się rozbierać. Była bardzo zdziwiona, mimo to wyjęła szpilki z kapelusza i rzuciła go – razem ze swoim zaskoczeniem – na rosnącą stertę ubrań Johna.

Zauważył to i odwrócił się do niej. Zdjął koszulę i stanął bez ruchu. Światło księżyca oświetlało mu ramiona. Podeszła do niego i przesunęła dłoń po jego ramieniu, złożyła pocałunek na szyi, powyżej wycięcia podkoszulka, przesunęła jego ubranie w górę, a on zdjął je całkiem.

Chwilę na niego patrzyła, a potem odwróciła się od niego plecami.

Przez moment nic się nie działo, ale słyszała jego oddech. Dopiero gdy przechyliła głowę, dotknął jej, żeby jej pomóc uwolnić się z żakietu. Zatrzymał się. I znowu patrzyła mu prostu w twarz, a on dotknął górnego guzika jej kamizelki. Na widok tego, jak się mocuje z kolejnymi, przypomniało jej się, jak jej siostrzeniec, Francis, spokojnie i w skupieniu po raz pierwszy zmagał się ze sznurówkami. John pocałował ją w usta i zsunął jej kamizelkę z ramion.

– Jak skończysz, chodź do wody – powiedział i ruszył w stronę morza, nadal w kalesonach. Chwilę brodził, po czym rzucił się na falę i zniknął.

Betsey ze ściśniętym sercem podążyła za nim, chociaż wiedziała, że nic mu się nie stanie.

Wynurzył się po chwili znacznie dalej od brzegu. Jego twarz wyglądała jak plama światła na tle morskiej toni. Znowu zniknął i pojawił się, bliżej brzegu.

– Nie możesz wejść w tym, co masz na sobie! – krzyknął.

Betsey popatrzyła na swój służbowy strój, na fałdy spódnicy wydymające się na wietrze jak żagiel. – Myślałam, że lekcja pływania to podstęp.

– Nic z tych rzeczy. Rozbieraj się i chodź. Chcę, żebyś poczuła morze.

Spojrzała raz jeszcze na ścieżkę, którą zeszli na dół.

– Nikogo nie ma – powiedział. – Ja się odwrócę.

I, o dziwo, zrobił to. Poczowała się onieśmielona. Ale zaczęła zdejmować szmizjerkę i rozluźniać tasiemki spódnicy. Zrzucone ubrania utworzyły wokół niej krąg: gdy z niego wyszła, zorientowała się, że John na nią patrzy.

– Oszukujesz.

– Na Boga. Wyglądasz jak żrebak. Te nogi.

Spojrzała w dół i uznała, że to miał być komplement. Wytrzymała jego spojrzenie, gdy odpinała kolejne guziki, a później, ponieważ stał jak sparaliżowany, przesunęła palcami po krągłościach gorsetu. Dopiero potem go zdjęła.

– Rozpuść włosy, dobrze?

– Przecież wiesz, że są obcięte.

– Tak, ale chcę je zobaczyć rozpuszczone.

Upuściła szpilki w piasek. Mało się troszczyła o to, że będzie musiała kupić nowe. Ubrania potraktowała bardziej praktycznie: ułożyła je poza zasięgiem fal.

– Czy teraz w końcu przyjdiesz? – spytał.

Podniósł się. Woda sięgała mu do pasa, a skóra jego rąk i ramion miała metaliczny połysk.

Betsey złapała jego wyciągniętą rękę i po raz pierwszy od czasu, gdy była małą dziewczynką, weszła do morza. W chłodnej wodzie nie czuła, że ma na sobie bieliznę. Fale chłostały jej ciało, ale John objął ją wpół, a drugą ręką podtrzymał głowę. Poczwała się bezpieczniej. Chciał ją pocałować.

Dotknęła jego ust, żeby go powstrzymać, i powiedziała:

– Postanówmy.

– Ale co?

– Ile razy. Od dzisiejszej nocy do dnia, kiedy wyjedziesz do nowej pracy. Ile razy... – Zawahała się, jakby słowa, których zwykle używała w takich sytuacjach, nagle ją zawiodły. – Ile razy się położymy.

Nadal ją trzymał, ale nie odpowiadał. Albo był zgorszony, albo obliczał.

– Tylko ten raz? – zapytała i uśmiechnęła się, kiedy chrząknął z niezadowoleniem. – Dziękuję za ten komplement. Więc co proponujesz?

Znów chrząknął.

– Nie mam jeszcze żadnej pracy. Po co to liczenie?

Przytuliła się do niego, zziębnięta od stania w chłodnej wodzie.

– Będziemy wiedzieli, że to już skończone.

I dzięki temu ani się to nie rozmyje – jak z Averym, ani niczym nie zaskoczy – jak z Thomasem. Wiedziała, że w końcu i tak będzie musiała pozwolić mu odejść. I w ten sposób legnie w gruzach plan sir Altona. I pięknie też bańka jej cichych nadziei, tych, które w niej wzbierały, gdy stała przez Zagrodą Tinfell.

– I musimy uważać – dodała. – Nie zamierzam uchodzić za porzuconą, gdy już będzie po wszystkim.

Nagle puścił ją i kucnął w falach. Betsey ogarnął strach. Nie minął, mimo że już po chwili jego ręce chwyciły ją znowu. Znowu ją puścił, żeby odgarnąć włosy z twarzy, i kolejny raz złapał, i pociągnął dalej w morze.

– A teraz głębiej. Pójdziesz?

Oparła się.

– Wolałabym móc chodzić. To znaczy czuć pod stopami dno.

– Pokażę ci, co należy robić na głębokiej wodzie – obiecał, i znów się wystraszyła, gdy fala uderzyła ją w ramiona i oderwała od dna. – Gdy już nie możesz dosięgnąć, to machaj nogami. To tak jak na rowerze, pedałowanie, tylko mocniej. Ręce też, do tyłu i do przodu.

Próbowała i zauważyła, że to działa, choć nie tak, żeby nabrała zaufania, że uchroni ją przed utonięciem. A fale nie przestawały uderzać. Jak miałyby się przed nimi obronić, gdyby któraś ją zalała aż po czubek głowy?

John chwalił jej postępy, ale ją opuściła odwaga. W nadziei, że on tego nie zauważy, poprosiła:

– Powiedz mi coś więcej o tym wierszu z pubu. Pomysł, że się jest bólem w twoim boku, jest niezmiernie romantyczny.

Roześmiał się.

– Nie pamiętam za wiele. To było dawno. A słyszałem go głównie po walijsku. Trzymaj się.

– Wyciągnął do niej ręce i odholował w stronę brzegu, zanim dosięgła ich kolejna fala. – Pamiętam, że ten z wiersza mówi do dziewczyny, żeby się z nim spotkała na wzgórzu. Robi posłanie pod drzewem. Z paproci. – Ruchem głowy wskazał na wodę. – Nie pasuje do tego obrazu, co?

– Nie.

– I słodkie słówka, które jej mówi, o tym, jak ona wygląda.

– Oczywiście. I co mówi?

– We wszystkich walijskich piosenkach, jakie znam, mówi się o urodzie dziewcząt, o złotych włosach, różowych policzkach. Nie o takich jak u Betsey Dobson. – Uniósł głowę. Patrzył na nią. – Pamiętam, jak mówi, że jej piersi są jak kłębki przędzy. A to pasuje?

Pomyślała, że odwzajemni uśmiech, który pojawił się w kącikach jego ust, i że to będzie wystarczająca zachęta, ale po chwili sama poprowadziła jego rękę pod swoją koszulę. Dotykał jej, jakby badał i szukał odpowiedniego poetyckiego opisu jej piersi, które w niczym nie przypominały kłębków przędzy. Przyciągnął ją bliżej. Zadrżała i zagłębiła palce w nasadę jego szyi. Jego gorący język rozgrzewał jej zdrętwiałe od zimnej wody ciało.

Przywarła do niego.

– *Dy gorph hael a'm dug o'r ffydd.*

– To też wiersz? O czym?

– Jej ciało sprawia, że zapominam o Bogu.

Betsey pomyślała, że to pasuje aż za dobrze. Pasowało do ryzyka i tęsknoty za taką ulotną chwilą.

– Kiedy ona mnie wita, śpiewam psalmy jej pocałunków.

Fala o mało ich nie przewróciła. Betsey z niepokojem zdała sobie sprawę, że znów są na głębokiej wodzie.

– Jestem przy tobie – przypomniał, zanim zdążyła się odezwać. – W następną dajemy nura. Głęboki wdech i nurkujemy. Jestem przy tobie.

– Boję się.

– Ale spróbuj. – To nie było polecenie, tylko zachęta do czegoś, czego był pewny. Wziął ją za rękę. – Będę śpiewał psalmy jej pocałunków, siedmiu pocałunków tego dziewczęcia...

– Ja nie jestem dziewczęciem – wymruczała. I wtedy, w świetle księżycy, nad niespokojnym morzem, gdy jej palce splatały się z jego, a ich niemal nagie ciała były blisko siebie, zaczęło w niej wzbierać coś nowego i nieznanego.

– Ciii... – uciszył ją i zaczął śpiewać: – Siedem pocałunków tego dziewczęcia, siedem brzózek nad nogą, siedem pacierzy co wieczór, siedem mszy, siedem pieśni spomiędzy konarów.

Fala uderzyła. Betsey próbowała się na to przygotować, wmawiając sobie, że to będzie jak nagłe zanurzenie głowy w wannie, żeby splukać mydło, ale gdy woda ją przykryła, zrozumiała, jakie to naiwne porównanie. Pochwycona przez silną falę nagle i wyraźnie zdała sobie sprawę, że morze jest ogromne, i zapragnęła znowu stanąć na ziemi. Woda popchnęła ją w stronę dna i całą swoją mocą porwała znowu. Próbowwała ją oderwać od Johna. Beatsey zapragnęła jak najszybciej wydostać się na powierzchnię.

Krztusząc się, chwyciła powietrze, jakby była pod wodą nie zaledwie chwilę, tylko kilka minut. Włosy oblepiły jej czoło, kłuły w oczy. Mrugając, dostrzegła Johna.

– Świetnie, dziewczyno. – Odgarnął jej z twarzy mokre kosmyki. – Jesteś dzielna. Jeszcze raz?

– Tak – powiedziała, i naprawdę tego chciała, ale gdy znowu wziął ją za rękę, cała drżała, więc nie był przekonany.

– Siedem opowieści w darze, siedem pereł i pierścieni – nucił wśród ryku fal.

Szczękała zębami.

– Dlaczego siedem?

– Nie wiem. Siódemka jest magiczna. Nieparzyste – parzyste. Chłopiec – dziewczyna.

Siedem wierszy wypisanych w trawie, siedem westchnień. Siedem hymnów dla... – Zawahał się. – Tutaj wypowiada jej imię.

– Mała szansa na to, że to była Elisabeth.

– Nieważne. – Jej głowa spoczywała na jego ramieniu, całował ją w policzek. – Siedem hymnów o jędrnym ciele Elisabeth, siedem po dwadzieścia razy. Nie trzyma już pod kluczem zapłaty, którą jest winna...

Nagle przerwał.

– Winna? Komu?

Nie odpowiedział i nagle dotarło do niej, że wcale nie zamierzał odpowiadać. Fala uderzyła go w plecy. Zachwiał się, a woda chlapnęła jej w twarz. Uniosła głowę, żeby złapać równowagę.

– Za daleko. I za głęboko – powiedziała. Nie była pewna, czy chce znowu do niego przyłgnąć, szukając w ten sposób ochrony, czy raczej go odepchnąć i ruszyć do brzegu.

– Jest bezpiecznie. Trzymam cię, Elisabeth.

– Proszę. Wracajmy.

– Zabiorę cię. – Otoczył ją ramionami i poprowadził w stronę brzegu. – A teraz się wyciągnij.

Przywarła mocniej do jego ramion.

– Co?

– Połóż się na wodzie. Ja cię trzymam.

Położyła się na wodzie. Cholera. Cały czas próbowała przestać się bać i ostrożnie wyprostować nogi w kolanach. Ale gdy tylko przestawał trzymać tak mocno, szarpała się, cała sztywna i niepewna, czy fala znów jej nie porwie.

– Trzymam cię – powiedział. – Patrz w górę, na gwiazdy i księżyc.

Przesunął ręce pod jej tułów. Próbował ją zachęcić, żeby rozluźniła plecy i kolana. Czowała, jak ją asekuje, ale gdy tylko woda ochlapwała jej twarz, wpadała do uszu i pod podbródek, znów zaczynała panikować.

– Betsey, ze mną możesz być spokojna. To proste. Masz nic nie robić, tylko położyć się na plecach na wodzie i patrzeć na gwiazdy. Zrób to. Teraz.

Próbowała i próbowała, i ani razu nie udało jej się zachować pozycji, jaką kazał jej przyjąć.

Słyszała w jego głosie coraz większe napięcie, ale była pewna, że źle ocenił wielkość i siłę fal.

W końcu go odepchnęła i uwolniła się z uścisku, tylko po to, żeby natychmiast nałykać się słonej wody. Złapał ją, a ona zaczęła z nim walczyć, krztusząc się i rozpaczliwie szukając stopami piasku, kamienia, czegokolwiek, na czym mogłaby stanąć. Słyszała, że coś mówi, może krzyczy – może – bo czowała, że wpada w panikę. Dlaczego nie miałyby wpaść, skoro tonęła, szła na dno, i to z brzegiem i płycizną na wyciągnięcie ręki.

Powietrze. Chwytała powietrze. Zapierało jej dech tak samo skutecznie jak przed chwilą woda. Opadła na wodę, przerażona i bez czucia. Przebierała rękami i nogami w poszukiwaniu oparcia, dopóki nie zdała sobie sprawy, że jej palce grzebią w piasku przemieszanym z kamykami.

Ciężko dysząc, dopłynęła do brzegu.

– Cholerny głupiec! – zakląła. Zostawił ją. Nadal na czworakach odwróciła się w stronę wody. Spodziewała się, że zobaczy go roześmianego i bardzo z siebie zadowolonego.

Był za daleko, żeby mogła przy świetle księżycy dostrzec jego twarz. Ale zbliżał się, brodził w wodzie i zostawiał za sobą grzebienie białej piany. Podskoczyła. Schyliła się, nabrała pełne garście ostrego piasku zmieszanego z kamieniami i muszelkami i cisnęła w wodę. Większość rozsypała się na wszystkie strony, ale część go trafiła, znacząc ramiona i brodę ciemnymi plackami.

Mały kamyk odbił się od jego policzka. Wzdrygnął się. Uderzenie osadziło go na chwilę w miejscu.

Teraz mogła się przyjrzeć jego twarzy, strasznej i wściekłej. Ruszył naprzód, rozbił nogami fale przyboju.

Betsey puściła się biegiem. Odwróciła się. Biegła w stronę ścieżki prowadzącej na wzgórze.

Jej stopy straciły oparcie w sypkim piasku i upadła. John złapał ją za kostkę, próbował do siebie przyciągnąć. Szarpnęła stopą, wyciągnęła ręce w przeciwną stronę, ale on trzymał mocno. Po chwili przyczołgał się bliżej, dysząc ciężko.

– Na rany Chrystusa! Chciałem, żebyś była przy mnie spokojna.

– Co?

– Chciałem, żebyś była przy mnie spokojna, nie patrzyła na mnie, jakbym... jakbym ci dawał jakieś magiczne ziarna fasoli albo nie pozwalał oddychać. Ja chcę, dziewczyno... po prostu, żebyś ze mną została. I tyle.

– To trzeba było mnie wrzucić trochę dalej. Albo na głęboką wodę. Jako martwa byłabym całkiem spokojna.

– Wiem. Napędziłem ci strachu...

– Zejdź ze mnie – odepchnęła go łokciem, a on z westchnieniem opadł na plecy.

Usiadła i przyciągnęła kolana do piersi. Trzęsła się, chociaż powietrze było ciepłe, i tarła dłońmi kolana, daremnie próbując otrzepać z piasku swoje desusy.

– John, na Boga – powiedziała po chwili. – Siedzę tu w środku nocy w samej bieliźnie. Nie wiem, czy mogę być spokojniejsza.

W odpowiedzi westchnął, i to westchnienie po chwili przeszło w wybuch śmiechu. Poruszył się za jej plecami i poczuła jego głowę, zimną i mokłą, na swoim ramieniu. Jak przymilający się szczeniak wciskał ją jej pod pachę, żeby trącić nosem jej brzuch i piersi. No cóż, kto mógłby się oprzeć takiemu miłemu szczeniakowi? – pomyślała. I znów położyła się na plecach. Gdy przesunął w górę jej koszulę, zamknęła oczy i poddała się ciepłemu naciskowi jego twarzy. Leżał tak z policzkiem przywartym do jej brzucha.

– Za mocno cię popchnąłem.

– Ta woda... jest... taka wielka – powiedziała i roześmiała się cicho, bo jej samej ta uwaga wydała się dziecinna.

– Ty nie wody się boisz.

Patrzyła na gwiazdy, tak jak chciał, gdy byli w morzu, i słyszała fale uderzające o brzeg. Podobał jej się ten ciężar jego głowy na jej brzuchu i to, jak ją przyciskał i sprawiał, że była świadoma każdego wdechu i wydechu.

– No to ile razy? Postanówmy coś.

Jego kciuk, gruby i oblepiony piaskiem, przesuwał się po jej żebrach.

– Siedem po dwadzieścia. Siedem po siedemdziesiąt razy.

Uśmiechnęła się. Pomyślała, że w takim razie spędzą w pozycji horyzontalnej kilka miesięcy. Nawet siedem razy, jak w jego wierszu, to już byłoby sporo. Ile razy mogła sobie pozwolić na to, żeby jej znów złamano serce?

–Trzy – powiedziała. – Trzy.

Westchnienie przeszło jej skórę.

– Zawsze tak się targujesz?

– Nie – odpowiedziała szybko, zanim się zorientowała, że słowo „targować” ją ubodło. Jak zawsze. Zawsze – z powodu tej listy kochanków, którą wyrecytowała mu tamtej nocy na Drodze Sułtańskiej. Nienawidziła siebie za to i nienawidziła jego, ponieważ pamiętał.

Nigdy przedtem nie byłam taka mądra. Tę uwagę miała na końcu języka, przepojoną całym cynicznym jadem, na jaki mogła się zdobyć.

Ale to on odezwał się pierwszy:

– Widziałaś kiedyś kogoś w gorączce, takiej, że się traci świadomość? Takie osoby proszą o rzeczy niemożliwe. Chcą rozmawiać z ludźmi od dawna nieżywymi, zobaczyć miejsca, od których są bardzo daleko, albo poznać sekrety z własnych snów, których nikt poza nimi nie rozumie. Proszą i proszą, ale nic nie można dla nich zrobić. Można się tylko modlić, żeby gorączka spadła. – Uniósł głowę. – Właśnie tak jest z tobą, Elisabeth. Pragnę cię, a czasem się budzę...

– Jesteś szalony – powiedziała i przycisnęła jego głowę do swojej szyi. Wzdychała cicho, gdy całował wszystkie jej zagłębienia. – Ja nie jestem jakąś tam córką arystokraty, dobrze wiesz.

Ani damą, ani dziedziczką. Jestem dziewczyną, którą zaprosiłeś na schadzki. No to przyszedłam.

Przestał ją całować i spojrzał prosto w oczy. Wpatrywał się w nie długo. Poczuli się skrepowana.

– Jesteś Elisabeth Dobson – powiedział w końcu.

– Tak jest. I tylko tyle. No to teraz rznij mnie, John.

Z jej gardła wyrwało się coś jakby szloch, szloch z powodu tego, co, jak jej się wydawało, usłyszała w jego głosie. To było coś innego niż pożądanie. Niezadowolenie. Nie podobało mu się to, jak mówiła o tym, co się miało stać. Nie przestawał na nią patrzeć, ale teraz w jego spojrzeniu było coś twardego. Nigdy wcześniej tego nie widziała, ale to przez jej brutalne słowa tak patrzył.

I zapragnęła zaszlochać głośniejsze.

Dotknęła jego policzka, jakby chciała go zmiękczyć. Powstrzymał ją.

Bała się powiedzieć, że wie, iż nie tylko na tym mu zależy. Przesunęła się wyżej, żeby móc go całować, pociągnęła za sobą, całowała w usta i brodę. O ich skórę szorowały ziarenka piasku.

Oddawał jej pocałunki. Jego były o wiele mocniejsze, głodne. Bieliznę miał mokrą i zimną, ale ona

czuła gorąco jego ciała. Chwilę mocowali się z jej desusami. Dotknął jej ud i biodra, a jego ręka natrafiła na piasek i małe kamyki na jej skórze. Przepraszał, mówił, że przeprasza za to miejsce, za ten piasek, nie sądził...

Przerwał tę litanię przeprosin i usiadł między jej udami. Położył się i pocałował ją w policzek.

– Jesteś pewna, że nie zrobię ci dziecka?

„Lizzie, jesteś pewna, że jesteś bezpłodna?”. O to pytał Avery Nash na początku, gdy spółkowali. Pewnie pytałby ją o to bez końca, gdyby za trzecim chyba razem nie chlusnęła mu w twarz jego brandy. Gdy John zaczął coś mówić półsłówkami, przypomniały jej się pytania Avery’ego i była tak zakłopotana, że wymamrotała tylko:

– Jestem pewna.

Była zakłopotana tak bardzo, że dopiero w ostatniej chwili zdała sobie sprawę, że John zdążył już zsunąć kalesony i właśnie zamierza w nią wejść.

– John – powiedziała.

Musiała go skłonić, żeby zwolnił.

Wydawał się nie słyszeć. Gdy wdarł się do jej wnętrza, wydała okrzyk bólu. Uniosła biodra w nadziei, że to go skłoni do opamiętania się, ale on nie zważał na nic. Próbowła się do niego dostosować, desperacko chciała zmienić to, co było nie tak, jak powinno. Próbowła dojrzeć jego twarz, żeby się upewnić, że to naprawdę John, ten delikatny i dobry John, ale szyję miał wygiętą, a twarz zasłoniętą mokrymi włosami.

Wchodził w nią jak oszalały, bez opamiętania, i zrozumiała, zanim jeszcze skończył: oto była normalnie, regularnie rżnięta.



Nie próbuj niczego wycierać. Poza rzadkimi przypadkami wycieranie jest niedopuszczalne.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Chciała się umyć.

– Odwróć się – powiedziała do nadal ciężko dyszącego Johna, a gdy to zrobił, wstała i zaczęła wiązać desusy, aby nie iść do wody półnaga. Bielizna była oblepiona piaskiem i brudem i ostatecznie ściągnęła ją z obrzydzeniem, mrużąc: cholera. Tak jak mogła, owinęła nią sobie biodra. Skóra na ramionach i rękach paliła ją przy każdym poruszeniu.

Ciemna woda wydawała się teraz zimniejsza, fale były jakby bardziej gwałtowne, ale weszła do morza po pas, cały czas odwrócona plecami do brzegu. Rozłożyła desusy, żeby je opłukać, a potem zdjęła koszulę i ją też starannie wypłukała. Jedno i drugie przypominało teraz łachmany oblepione brudem, którego, jak się obawiała, nie zdoła sprać. Ta strata ją rozwścieczyła.

Włosy miała skołtunione i pełne piasku, i choć nie uśmiechało się jej ponowne zanurzenie w wodzie,

wzięła głęboki wdech i zanurkowała, ściskając w ręce bieliznę. I, rzecz dziwna, nie bała się już tak bardzo, a siła fal nie była tak przerażająca. Wynurzyła się i znów skryła w ciemnej spokojnej głębinie.

Nie trzyma już pod kluczem zapłaty, którą jest winna...

Zapłaty, którą jest winna...

Miłości. To było to słowo, którego John nie zapomniał. Ale nie chciał go wypowiedzieć.

Zdała sobie z tego sprawę i to ją wypchnęło na powierzchnię.

Prawie. Przybój ją zniósł i ledwie mogła wymacać stopami dno. Ze strachu zaczęła machać rękami i nogami, tak jak ją uczył John. Machała i machała, aż łyk powietrza pozwolił jej wyrzucić z siebie słowo.

– John.

Słowo popłynęło w niewłaściwą stronę, ponad przestworem ciemnego morza. Mimo to ją usłyszał. Wyrósł przy niej nagle, tuż za nią. Zaczął ją ciągnąć i holować w bezpieczne miejsce.

Oplotła go rękami i nogami. Jego siła przyniosła jej ulgę.

– Nie podoba mi się to. Poszłaś sama.

Przestała go ścisnąć tak mocno. Zacisnęła zęby, bo nagle poczuła przypływ bólu w ramionach. Ostry piasek musiał ją pokaleczyć w tysiącach miejsc, a do każdego z nich dotarła słona woda.

– Dawałam sobie radę.

– Czyżby? Więc może popłyniesz i znajdziesz swoją bieliznę?

– Och! – Poderwała się z niepokojem i dostrzegła biały kłęb czegoś, co zdążyło już odpłynąć daleko. Jej najlepsze rzeczy, kupione za pożyczkę od szwagra, tę, która ciągle wisiła nad jej głową.

– Cholera jasna. Możesz to złapać?

– Zanim doholuję cię bezpiecznie do brzegu i wypłynę znowu, twoje pantalony będą w połowie drogi do Ameryki. Masz tutaj... – Trzymając ją jedną ręką, drugą zanurzył głęboko w wodę. Zademonstrował jej własne kalessy, po czym rzucił je w stronę jej bielizny.

– Co za marnotrawstwo – skarciła go, ale pomyślała o tym, że dwie pary niewymownych znaków ich wspólnej nocy żeglują teraz razem do Ameryki i nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

*

John próbował nie okazać rozczarowania, gdy poprosiła, żeby jej przyniósł ubranie.

Wytłumaczył sobie, że jest jej już zbyt zimno, i pozostawiwszy ją w przybrzeżnej wodzie, ruszył w stronę stosu ubrań.

Szedł ścieżką, szybko wycierał się koszulą i wciągał spodnie. A potem wziął jej gorset, pończochy, kostium i całą bieliznę, jaką mógł znaleźć, i poszedł w stronę morza. Zawahała się, siedziała po szyję w

wodzie.

– No, chodź – powiedział.

Nie ruszyła się.

– Odwróć się. Proszę.

Odwrócił się do niej plecami i wyciągnął rękę z jej ubraniem. Było zaskakująco ciężkie. Czuł, jak boleśnie jest zawstydzona. Byli dziś spleceni ciałami, ale...

Ale mnóstwo innych mężczyzn widziało ją bez ubrania. To też bolało, zwłaszcza że bał się o tym myśleć. Stał i patrzył na ciemną ścieżkę prowadzącą do drogi, i nie potrafił odegnąć niemiłej myśli, że w tej jej skromności jest coś fałszywego. Nie była dziewczicą, przypomniawszy mu o tym tej nocy. Więc i tak była już zrujnowana – niech Bóg go skarże za takie myśli.

Odwrócił się. Założyła już halkę i manewrowała ręką w gorsecie, układając piersi, które w niczym nie przypominały kłębków przędzy ani innych domowych przedmiotów. Czuła, że na nią patrzy, i spojrzała na niego z ukosa, zawstydzona diabolicznie, której słodki urok nie przestawał go zaskakiwać.

Przeciągnął dłonią po czole i policzku. Chciał coś powiedzieć, może przeprosić za to, że źle o niej myślał, albo zapytać: Czy dziś złamałem przysięgę? Czy w jakiś sposób pozostała nietknięta?

Przyciągnął ją do siebie i zamierzał pocałować. Na chwilę przysunęła się do niego, ale natychmiast odepchnęła. Wzięła buty i znów poszła w stronę morza. Cała ta noc była odpychaniem i przyciąganiem.

Z halką w garści próbowała zmyć ze stóp piasek, żeby na czyste i suche założyć pończochy. Podeszła tak blisko, że o mało jej nie zalała fala.

– Będziesz miała buty pełne wody. – Objął ją, a potem zarzucił sobie na ramię.

Zaczęła się szarpać.

– Nie potrzebuję...

– Cicho bądź.

Klepnął ją w pośladek.

Zaniósł ją pod skały u wylotu ścieżki i posadził. Mocował się z jej pończochami – palce mu drżały, gdy dotykał jej rzeczy – a ona mówiła, że nic nie szkodzi, że chce tylko swoje buty i że może je założyć sama.

Mimo to uniósł jej nogę, pewny, że może naprawić wszystko, co zepsuł. Halka podciągnęła jej się powyżej kolan, odsłaniając długą, białą łydkę i udo. Przełknął ślinę i podał jej but.

– To przez ten rower – powiedział, gdy wkładała stopę do buta. – Jędrne ciało Elisabeth to właściwe określenie.

– To chyba jedyna prawdziwa rzecz w tym wierszu.

Zaczęła wiązać sznurowadła. Przypomniało mu to, jak siedziała na stopniach przed domem Sarah Elliot i starannie krzyżowała sznurówki w równe ikсы. Nawet nie próbował tej jej staranności naśladować. Przewlekał sznurowadła jak popadło, za to co chwilę dotykał palcami jej łydki, potem kolana, i wreszcie wnętrza uda. Betsey patrzyła w niebo, oczy miała zamknięte, górną wargę lekko przygryzła. Była urocza, taka gibka – a on jeszcze się nie nasycił dotykaniem jej ciała.

– Chcę cię dziś mieć w łóżku, dziewczyno. Ty w moim łóżku – całą noc.

– A rano?

Czuł, jak drży pod jego dotykiem. Czuł, jak szumi mu w głowie od tego drżenia jej mięśni, tych spazmów w jej oddechu.

– Bardzo dobrze. Betsey w moim łóżku – rano, w południe, w nocy.

– Wiesz, że nie o to mi chodzi. – Cofnęła ręce i pochyliła się, żeby zasnurować buty. – Myślę, że to nie powinno się więcej zdarzyć.

Nic nie powiedział, a ona starannie związała swoje ikсы. Zajęło jej to dobrą chwilę.

– Więc dlaczego dzisiaj?

– Bo tego chciałam.

– Ale już nie chcesz.

– Nie. – Wstała, sięgnęła po spódnicę i włożyła ją przez głowę. Wyrównała ją i zawiązała tasiemki, mocno, jak marynarz mocujący żagiel. – Powinieneś być zadowolony.

– Na pewno masz rację. Po prostu powiedz mi, z czego mam być zadowolony, żebyś mógł to odpowiednio wyrazić w dziękczynnych modlitwach.

– Nie powinieneś się obawiać, że będę chciała zbyt wiele. Zakochać się i tak dalej.

Patrzył, jak zakłada krótki żakiet od służbowego uniformu. Jej palce sprawnie zapinały rząd guzików.

Wzruszyła ramionami.

– To dlatego przerwałeś.

– Przerwałem...

– Nie trzyma już pod kluczem zapłaty, którą jest winna miłości – czy nie tak to idzie dalej? Nie odpowiedziałeś mi, bo nie chciałeś tego powiedzieć.

Poezja miałyby to wszystko zniweczyć? Chce go odrzucić, bo się zająknął na linijce wiersza?

Nie. Chodziło o to, gdzie się zająknął. Nie zastanawiał się nad tym, gdzie i dlaczego, to jego język sam się zatrzymał, zanim mógł cokolwiek z tym zrobić.

– Zwykły wierszyk i tyle.

– Tak, zwykły wierszyk. I mogłeś go dopowiedzieć do końca, bez żadnych podtekstów. Aż tak na ciebie nie lecę, aby uznać, że to by była jakaś obietnica.

– No to dziękuję – wymamrotał. – Aż tak nie lecisz. A dziś w nocy mi się oddałaś.

– John. Jesteś miły. Nie chciałeś mnie skrzywdzić, wiem, ale nie musiałeś tego robić.

Umówiliśmy się, prawda? Wiem, o co nam obojgu chodziło. Mimo to... – Głos jej się załamał i uciekła ze spojrzeniem. Bawiła się guzikami kamizelki. – Uwierzyłam, że coś do mnie czujesz, a to już była różnica. Ale to się okazało jeszcze gorsze. Więc myślę, że lepiej będzie o tym zapomnieć. Zgoda?

Gorsze. To słowo sprawiło, że z wrzącego umysłu Johna nagle uszła cała para. Nie miał siły ani protestować, ani o cokolwiek pytać. Gorzej. Zrozumiał to lepiej niż cokolwiek w całym życiu.

To był dla niego znak, że powinien się zgodzić, szybko zapomnieć i pogrzebać tę chwilę, tę noc, w ciemnej wilgotnej mogile.

Było coś jeszcze, coś, czego chciał bardziej, co nigdy więcej nie miało mu się przydarzyć – głosem równie słabym jak jego duma poprosił:

– Wyjaśnij to inaczej.

Wzruszyła ramionami, jakby to pytanie było najzwyczajniejsze na świecie i jakby zamierzała powiedzieć mu o czymś równie banalnym jak kłębki przędzy.

– Nie wiem. Tak jak z Thomasem, chyba o to mi chodziło.

Thomas. Thomas Dellaforde. O mało nie splunął, kiedy usłyszał to imię, jedyne, które tamtej nocy w kolejce wymawiała z tęsknotą. Wziął swoje buty ruchem tak gwałtownym, że Betsey nie mogła nie zauważyć jego wzburzenia.

– On mnie kochał – powiedziała spokojnie. – On mi to okazywał, kiedy... kiedy byliśmy razem. – Odzyskała głos, ale znowu zabrzmiał chropawo. Powiedziała: – Ja znowu tego chcę.

Rozpłakała się. Z tęsknoty za Thomasem Cholernym Dellaforde'em. Powiedziała mu któregoś wieczoru u Sarah o Cholernym Dellaforde. A przynajmniej zaczęła mówić. Rozmowa się urwała i sześcła ponurą śmiercią, bo on zrozumiał, że ona miała wtedy czternaście lat, była służącą u Dellaforde'ów, a Thomas Cholerny Dellaforde był o pięć lat od niej starszym synem pana domu.

– Znam cię... wiem, że to nie to samo – dodała szybko, teraz już czystym głosem. – My nie jesteśmy zakochani, ale mogłabym uwierzyć... pomyślałam... że to jednak coś więcej niż tylko kolejny numer.

– Na miłość boską! – wybuchnął. Miał ochotę zetrzeć z jej ust ten rynsztokowy język. – A myślisz, że co Thomas z tobą robił? Myślisz, że to była miłość? I ty w to wierzysz? Rany boskie, Elisabeth, byłaś jeszcze dzieckiem, a on cię wykorzystywał. Uważał, że ma do tego prawo z racji swojej pozycji. I

wykorzystywał. Tyle czasu upłynęło, a ty tego nie zrozumiałaś?

– Jego pozycja? Miałaś na myśli pozycję względem mnie?

Nie był hipokrytą. Przez tę chwilę, która nastąpiła później, zastanawiał się, jak ją o tym przekonać, i wreszcie powiedział:

– Przyszłaś tam z ulicy, nic nie znaczyłaś, a on sobie na to pozwolił.

– Takie rzeczy zdarzają się codziennie. Nie wiesz o tym?

– Nie tobie! – Krzyknął. To ją zaskoczyło, a on ucieszył się, widząc, że jest coś, co może zakłócić jej chłodny, doprowadzający do furii spokój. Cofnęła się wystraszona. On był szalony.

Wyczuł jej strach i nie winił jej za to, że tak o nim myśli. Stał boso o północy nad brzegiem morza, wściekły z powodu tego, co się działo dziesięć lat wcześniej, tuż po stosunku z kobietą, która nie była jego żoną. Widział, że gdzieś po drodze zostawił rozsądek, tak jak się zostawia parasol czy poranną gazetę. Rzucił buty na ziemię i padł na piasek, żeby je założyć.

Betsey odezwała się, starannie dobierając słowa, tak jak się mówi do szaleńca.

– Ty rozumiesz... co ja miałam na myśli?

Wszystko zależało od tego, o czym mówi. Przypuszczał, że uchwycił sedno sprawy, to znaczy – a zabrało mu kilka chwil oswojenie się z tym – że najwyraźniej jest bardzo marnym kochankiem. A w każdym razie gorszym od tego Dellaforde'a. I poczuł, że z trudem znosi to, że tamten był od niego lepszy.

Czy tylko tamten? Usiłował sobie przypomnieć imiona innych mężczyzn, usiłował wyobrazić sobie, które miejsce mógłby zająć w tym rankingu. Był oczywiście Nash, ale z pewnością poza konkursem. Z pewnością? A inni...

Ale to się nie liczyło. Mało dbał o to, czy był drugi, trzeci, czy może trzydziesty. Liczyło się tylko to, że nie był pierwszy.

I że Betsey uważa go za marnego kochanka.

Jaka kobieta mówi coś takiego mężczyźnie?

Wstał. Włożył marynarkę i czapkę. Unikał jej wzroku, mruzczał: rozumiem. Minął ją i ruszył pod górę. Słyszał, że idzie za nim, z wysiłkiem pokonując stromą ścieżkę, więc odwrócił się i wyciągnął rękę. Podała mu swoją, tę w której trzymała pończochy. Chwycił ją za nadgarstek i pociągnął przez najtrudniejszy odcinek, do miejsca, gdzie stał. Ani przez chwilę nie okazał jej troski choćby podobnej do tej, z jaką sprowadzał ją na dół. Przez moment stali razem na jednym skrawku ziemi i oddychali tym samym powietrzem. John zapragnął – nagle i bardzo mocno – przycisnąć palce do jej warg.

Po chwili zrozumiał dlaczego.

– Ale nie zatrzymasz mnie na jeszcze dwa razy? – spytała.

Zasada: nie pozwól, aby do maszyny dostały się skrawki papieru. Jeśli tak się stanie, musisz je starannie usunąć.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Puścił ją tak szybko, że o mało nie poleciała do tyłu. Złapała się jakiegoś drzewka, a z ręki wypadły jej pończochy.

Wtedy John starannie wystudiowanym urzędowym tonem powiedział:

– Zapewniam panią, panno Dobson, że jest pani wolna od wszelkich zobowiązań.

Zostawił ją. Niech sobie radzi sama. Była w tym dobra – w radzeniu sobie.

Wsiadł na rower i popedałował tak szybko, żeby ją zostawić w tyle, może niezbyt daleko, ale jednak w tyle. Musiała pędzić jak oszalała, żeby go dogonić. Długo dotrzymywała mu kroku.

Był to imponujący popis wytrzymałości, zważywszy, że cały czas go wołała, prosiła, żeby się zatrzymał. Jej głos niósł się daleko i musiał budzić kolejno mieszkańców wszystkich zagród, które mijali. John pedałował.

– John, zatrzymaj się albo...

Nagle ucichła. Całą energię włożyła w wyprzedzanie go. Zdał sobie z tego sprawę, gdy zaczęła się wysuwać do przodu. I choć walka o pierwszeństwo w tym wyścigu była dziecinadą i liczyło się tylko to, żeby ją jak najszybciej odstawić do domu Sarah Elliot, on też przyspieszył. Ale jej ciało, to ciało, którego jędrność przed chwilą podziwiał, było nie tylko piękne. Wyprzedziła go, a gdy zamierzał jeszcze bardziej przyspieszyć, skręciła ostro i zajęchała mu drogę.

On gwałtownie skręcił w lewo i choć udało mu się ją wyminąć, jego tylne koło zahaczyło o jej rower. Usłyszał, że Betsey się przewraca, a potem okrzyk i szcęk roweru.

Rzucił swój rower na drogę i odwrócił się, żeby sprawdzić, czy nic jej się nie stało.

Gramoliła się spod roweru z wdziękiem owcy usiłującej wymknąć się postrzygaczowi, ale wydawało się, że wyszła z kraksy bez szwanku.

– Wariatka. Co ci przyszło do głowy, że zrobiłaś coś takiego?

–Ty... – Nagle zastygła i zaczęła się uważnie przyglądać swojej lewej dłoni.

– Wystawiłaś ręce, tak. Ostrzegałem cię, żebyś tego nie robiła.

– To się stało tak szybko.

Podszedł i kucnął obok niej.

– Zrobiłaś to specjalnie, więc chyba byłaś przygotowana.

– Chciałam cię zatrzymać, a nie się przewrócić.

– Ja chroniłem cię przed upadkiem. – Trzymał ją za rękę i ciągnął w stronę mdłego światła lampy przy jej rowerze. Jasna krew sączyła się z małej rany na jej powalanej ziemią dłoni.

Wyciągnął z kieszeni chustkę.

Wyszarpnęła dłoń.

– To twojej matki. Ubrudzi się krwią.

Zaskoczyła go. Pamiętała jakieś szczegóły na temat chusteczek, które matka wysyłała mu co sezon.

– Ręka, już – zakomenderował.

Gdy zawiązywał opatrunek, trzymała się mocno za nadgarstek. Spytał, czy może rękę zginać.

Spróbowała, najpierw ostrożnie, potem mocniej, chociaż ból wykrzywił jej twarz.

– Boli. Trochę.

– A druga?

– Jest w porządku.

– Ja zobaczę.

Potrząsnęła prawą ręką na dowód, że z nią wszystko dobrze, ale po chwili podała mu ją, żeby ją obejrzał.

– Jeszcze nigdy nie przewróciłam się na rowerze – powiedziała.

John pomyślał, że prędzej zrobiłaby coś bliższego morderstwu lub samobójstwu, zamiast zwykłego upadku z roweru.

– Dziewczyno, uważaj – powiedział z westchnieniem.

Wyglądała na zgnębioną, wykończoną, jak zrezygnowany żołnierz po przegranej bitwie. Jej westchnienie przeszło go boleśnie. Nie potrafił nazwać tej straty ani nawet powiedzieć, które z nich z jej powodu cierpi. Ale bardzo chciał przywrócić poprzedni stan.

– Uważaj na siebie – powtórzył i obiema dłońmi złapał ją za rękę, jakby przypieczętowując to życzenie.

– Iefan – powiedziała Betsey, ale za cicho i za późno.

Jego ruch, gdy wstawał i pomagał wstać jej, zagłuszył jej słowa. Co by zresztą dały te puste sylaby? Wolała nie wiedzieć. Ucieszyła się, że on chce jak najszybciej jechać dalej, do domu Sarah.

Przy bramie do ogrodu zatrzymała się.

– Muszę spytać... nie spróbowałbyś...

Przerwała. Poczła że oblewa ją fala gorąca. Zdała sobie sprawę, że nie musi pytać. Wiedziała. Znała go dobrze.

Ale on powiedział:

– Jesteś bezpieczna. – Głos miał surowy: domyślił się. – Nie wyrzucę cię z pracy za to, że się zgodziłaś na numerki. I nie wyrzuciłbym, gdybyś się nie zgodziła.

Ona by tego tak nie powiedziała. No, może coś w tym stylu, ale zawsze byłoby miejsce na wycofanie się.

– Ja nie oskarżam...

– Nie? Chcesz mi przypomnieć, że jestem na tyle bezduszny, że się nie zakochasz. Że cię wypieprzyłem tak kiepsko, że nie zależy ci na powtórce.

Nie takich słów użyła. Ale zrozumiał ją dobrze. Przygryzła wargę.

– Widzisz, jak umiem słuchać? – powiedział tym swoim zimnym głosem. – To mi pomaga udawać, że jestem uprzejmy, żeby sobie załatwić porządne pieprzenie. Od siedemnastego roku życia nie miałem porządnego pieprzenia, więc korzystam z tego, co się nadarzy. A ty byłaś na tyle sprytna, że mnie przejrzałaś.

Chciała mu powiedzieć, żeby przestał używać słowa „pieprzyć”, że w jego ustach brzmi śmiesznie i żałośnie. Ale tylko odwróciła się od niego i wprowadziła rower przez bramę. Zauważyła z uczuciem, które było chyba ulgą, że nie poszedł za nią. Odjechał.

Idąc po schodach do swojego pokoju, starała się omijać skrzypiące miejsca. Stawiała stopy jak najbliżej ściany. Tak dotarła do drzwi. Próbowwała je otworzyć jak najciszej.

Z palcami na zasuwce zamrugła oczami.

Od siedemnastego roku życia nie miałem porządnego pieprzenia.

Od siedemnastego roku życia...

Nie. Źle go zrozumiała. Nie słuchała uważnie. Nie. Nie troszczyła się już o to, żeby zachować ciszę. Szarpnęła zasuwkę. Myślała o tym, że to przecież niemożliwe, że na pewno nie usłyszała tego, co usłyszała.

Przez otwarte drzwi na korytarz padło światło. Zdumiało ją to. Jak mogła wyjść i zostawić zapaloną lampę?

W bujanym fotelu pod oknem siedział Charlie.

Zdumienie przerodziło się w irytację. Wprawdzie chętnie dawała się namówić na wspólne

wychodzenie na dach, ale nigdy nie pozwalała mu przekraczać progu swojego pokoju.

– Przez ciebie omal nie postradałam zmysłów – wyszeptwała. Mówiła oskarżycielskim tonem, jeszcze ostrzejszym przez to, co się stało na plaży. – Co ty tu robisz?

Charlie wstał, opuścił chude ręce. Słabe światło sprawiało, że zamiast oczu miał dwa ciemne oczodoły. Betsey schowała za plecami rękę, w której trzymała pończochy.

– Widziałem, jak John odprowadzał cię do domu – powiedział. – Ja mógłbym, mówię mu o tym co tydzień...

Głos jej zmiękł.

– Wiem. Przepraszam. Jest późno, sam wiesz, a twoja matka... – Podeszła do komody i schowała pończochy. Spojrzała w lustro i zauważyła, że wygląda żałośnie: włosy mokre i potargane, ubranie pobrudzone ziemią, w nieładzie. – Twoja mama na pewno wolałaby, żebyś nie wracał do domu późno. – Powiesiła słomkowy kapelusz na wieszaku obok lustra i wzięła szczotkę.

Patrzyła na Charliego w lustrze.

– Jestem bardzo zmęczona. Lepiej, żebyś już poszedł. Oboje powinniśmy iść spać.

Czesała się. Na rękawy i na zakiet zaczęły spadać ziarenka piasku.

– Jesteś zadowolona, że to on? On, a nie ja?

Zamknęła oczy, żeby opanować irytację.

– Na litość boską...

– Gdzie ty byłaś? Wyglądasz...

Nagle się skrzywił. Wiedział. Albo się domyślał. Gdyby nie odpowiedziała, potwierdziłaby jego domysły, ale dałaby mu też sygnał – taką miała nadzieję – że to nie jest coś, o czym powinna z nim rozmawiać. Podeszła do drzwi i je otworzyła.

– Dobranoc, Charlie – powiedziała tak uprzejmie, jak tylko potrafiła. Ale z naciskiem.

Spuścił głowę, zrobił kilka kroków w stronę drzwi i się zatrzymał. Betsey ledwie usłyszała, jak mówi:

– Mamusi się to nie spodoba.

Gdy spytała, co ma na myśli, spojrział na nią. Teraz dobrze widziała jego oczy. Odbijały ostro światło lampy.

– Mamusi się nie spodoba to, że ma pod swoim dachem dziwkę.

Betsey zacisnęła palce na zasuwce. Udać, że nic się nie stało? Trzasnąć go w gębę? Nie wiedziała, ale na wszelki wypadek postanowiła nie dać się wyprowadzić z równowagi i pozwoliła, aby brud

zawarty w tej uwadze położył się grubym osadem na nich obojgu. Charlie znów patrzył w dół.

– Dobranoc – powtórzyła i tym razem zniknął za drzwiami.

Obudziły ją typowe odgłosy niedzielnego poranka. Została jednak w łóżku, a gdy Sarah przyszła zobaczyć, co się z nią dzieje, wymówiła się od wspólnego śniadania i od pójścia do kościoła. Nie podała ani prawdziwych, ani wymyślonych powodów. A ponieważ do nabożeństwa został ledwie kwadrans, Sarah, ciągle nieuczesana i w fartuchu, nie nalegała.

Betsey się rozmarzyła. Rozmyślała o Zegarze Słonecznym. W pokoju zrobiło się ciepło. Odrzuciła więc kołdrę, a mglisty pomysł, aby jechać do Idensea, nagle nabrał kształtów.

Umyła się, ubrała i wyciągnęła rower. Jeden z lokatorów Sarah, zajęty czytaniem w ogrodzie, spytał, dokąd się wybiera. Ostrzegwał ją, że zanoszą się deszcz.

– Tylko na spacer – odpowiedziała. Ale byłoby co najmniej niestosownie włączyć się tak bez celu. Lepiej poznawać okolicę.

Dlaczego pomysł Johna, że mogłaby rozejrzeć się po okolicy sama, nie miałby być dobry?

Zeszłej nocy, gdy to rozważała, wydawał się niezły. Pomyślała, że myśl o organizacji i kosztach przedsięwzięcia nie jest zachęcająca, ale na początek może mogłaby się rozejrzeć po mieście. Może znajdzie się jakieś miejsce, które by jej odpowiadało.

Pod wieloma względami Zegar Słoneczny byłby idealny, choć nie wiedziała, czy pani Gomery zgodziłaby się na udział w czymś takim. Lepsze byłoby coś bliżej stacji i Esplanady.

Ruszyła okrężną, mniej sobie znaną drogą z domu Sarah do centrum. Przyglądała się wszystkim budynkom, w tym także dwóm stodołom, które wyglądały na wystarczająco duże, żeby mogły pomieścić około stu osób.

Niektóre wydawały się zachęcające, więc robiła notatki i wstępne plany. W ratuszu, budynku, w którym nigdy nie była, znajdowała się – wiedziała o tym – dość obszerna sala.

A ponieważ drobny deszcz, który chciała przeczekać pod drzwiami od strony ogrodu, nie zamierzał przestać padać, postanowiła pojechać do hotelu. Mogłaby zjeść lunch i przy swoim małym biurku w pustym teraz biurze spokojnie uporządkować notatki.

Podziękowała boyowi, który chciał odebrać od niej parasolkę, i usłyszała, że pan Seiler woła ją po imieniu. W jego głosie jak zwykle brzmiała jakaś niewymuszona władczość. Betsey od razu zdała sobie sprawę, że popełniła błąd, wchodząc jednym z głównych wejść dla gości. Zwłaszcza że wyglądała, jak wyglądała. Miała wprawdzie parasolkę, ale deszcz zaczął padać, zanim doszła do szopy na rowery, więc w dość znoszonej spódnicy prezentowała się jak zmokła kura.

– Przepraszam – wymruczała, gdy pan Seilar odebrał od niej parasolkę i podał ją boyowi, zupełnie jakby właśnie wysiadła ze złotej karocy.

– Jestem pewny, że to wyjątkowe zdarzenie.

– Wejście do biur jest zamknięte – wyjaśniła i pozwoliła się poprowadzić do jego biura. Gdy weszli,

pan Seiler otworzył sekretarzyk z umywalnią i lustrem.

Podał jej ręcznik.

– Dlatego, że jest niedziela, panno Dobson.

Innymi słowy: co pani tu robi? Ścierając wodę z ramion, opowiedziała mu o swojej eskapadzie i o tym, że próbuje wprowadzić w życie pomysł Johna.

Pan Seiler wskazał jej krzesło.

– Nadal są szanse, że zarząd przywróci program wycieczek. Pani chyba nie jest ani tak niezadowolona, ani zawiedziona, żeby odejść z firmy?

– Ależ wprost przeciwnie. Tylko... – Zawahała się. Nie zamierzała zdradzać, że sir Alton złożył jej propozycję.

– Sam pan widział, jaki stosunek ma sir Alton do programu wycieczek – powiedziała. – Nie mówiąc już o jego menedżerze.

– Zawsze dobrze mieć w zanadru rozwiązanie zastępcze. Zdaje się, że wzięła pani pod uwagę Czarnego Lwa.

– Tak. – Stała dzisiaj kilka minut przed wejściem do Lwa i zastanawiała się, czy nie jest to zbyt podły lokal i czy da się go wypełnić takim gwarem i takim ciepłem, jakie tworzą atmosferę pubu pani Gomery. Ta duża gospoda była najlepszym lokalem w Idensea, zanim powstał hotel Swan, ale ona nie mogła się zorientować, czy zapuszczony wygląd tego miejsca należy przypisać nowej konkurencji, czy też siedemdziesięciu z górą latom eksploatacji.

– Panie Seiler, czy pan kiedykolwiek słyszał, żeby kobieta prowadziła hotel?

– Zamierza pani przejąć moje stanowisko? – spytał żartobliwym tonem i jego niebieskie oczy spojrzały ostro. – Kiedy pani Seiler i ja po raz pierwszy przyjechaliśmy do tego kraju, sporo podróżowaliśmy i poznaliśmy wiele hoteli i zajazdów. Oboje pochodzimy z rodzin zajmujących się od pokoleń hotelarstwem, ale chcieliśmy się zapoznać z brytyjskimi obyczajami i dowiedzieć, czego oczekują i żądają brytyjscy podróżni. Oboje z Martą sporo się nauczyliśmy od ich menedżerów i menedżerek.

Słyszając to, Betsey lekko otworzyła usta.

– To panią interesuje, panno Dobson?

Powstrzymała się, nie wzruszyła ramionami. Na chwilę ogarnęło ją zwątpienie: przypomniała sobie, jak dorywczo edukowała się w dziedzinie hotelarstwa, a zwłaszcza to, jak w pralni rozkwasiła nos dziewczynie, która chciała jej odebrać kosz z gotowym praniem. Jak ona albo pan Seiler mogli wyobrażać sobie, że podołałaby takiej karierze?

– Jeśli tak, to pod koniec sezonu może pani zacząć poważne szkolenie, czy tak?

Tak, tak! Choć wszystko zależało od tego, czy Betsey w ogóle ten sezon przetrzyma.

Pan Seiler pozwolił jej zejść do sutereny swoimi prywatnymi schodami. Zdążyła na sam koniec wydawania pracownikom posiłku. Soczewicy już nie było. Miała szczęście, że dostała dwie ciemne bułki i trochę sera. Zasiadła przy stole dla kobiet, dopiero gdy zadzwonił dzwonek.

Pracownicy wracający do swoich obowiązków zaczęli z rumorem odsuwać ławki. Rzucali ostatnie dowcipy. Została przy stole sama.

Ale nie sama w sali. W miejscu przeznaczonym dla mężczyzn, w głębi, siedział pan Jones.

Przechylał talerz, żeby nabrać na łyżkę jeszcze kilka kropli. Miał przed sobą miseczkę truskawek.

Zirykowało ją to. W kuchni dla pracowników był to rzadki przysmak. Był zajęty jedzeniem, więc mogła mu się przyglądać do woli. Jadł jak skazaniec, który się delectuje ostatnim kotлетem w swoim życiu. Rozpoznała garnitur, który zwykle nosił do pracy, i zdziwiła się, że w ogóle jest tutaj – zwykle niedzielne popołudnia poświęcał Charliemu.

Zastanawiała się, czy także on padł ofiarą jego wybryków. Może postanowił odpocząć od towarzystwa chłopaka.

Spojrzała na swój talerz. Bez wątpienia postanowił zostawić ją w spokoju. Oderwała kawałek bułki, włożyła w środek odrobinę sera i podniosła do ust. Gdyby mogła tak wepchnąć i połknąć wszystkie rozczarowania minionej nocy, i nie udławić się nimi.

– Iva, zechcesz, proszę, podać to pannie Dobson?

– Tak, proszę pana.

Przed Betsey wyrosła miseczka z truskawkami. Podkuchenna postawiła ją i zaczęła wilgotną ścierką wycierać stoły. Betsey oderwała kolejny kawałek bułki i podniosła go do oczu, tak blisko, żeby nie widzieć truskawek. Wiedziała, co znaczy ten podarunek, ale co z tego? Bała się zgadywać.

Jak to możliwe, że nie był z kobietą od siedemnastego roku życia? Ponad stołami powiedział:

– Myślę, że trudno w to uwierzyć.

W to, że zrezygnował z truskawek, w to, że do ostatniej nocy był cnotliwy. Niech sobie mówi, co chce.

Chrząknął.

– To jedna z tych rzeczy, w których sprawie mężczyźni kłamią.

Wygłosił to poważnym tonem, w którym mimo wszystko pobrzmiwała nuta rozbawienia.

Betsey przełknęła ślinę i dotknęła warg, przypominając sobie jego pocałunki, swoje miękkie kolana i rozmarzone wizje po wizycie w *camera obscura*.

Miotła szurała po kamiennej podsadźce, blisko, po chwili trochę dalej. John odezwał się znowu, cicho:

– Wzięłaś ignorancję za nonszalancję.

Uszczypnęła się w wargę i sięgnęła po truskawkę. Brązowa plamka, przez którą owoc nie trafił na stół dla gości, wcale nie odebrała jej słodyczy. Usłyszała, jak ławka Johna szoruje po kamiennych płytach. Podszedł do jej stołu, a ona przesunęła miseczkę w jego stronę. Usiadł

okrakiem na ławce naprzeciwko niej i nie odwrócił twarzy w jej stronę. Włożył sobie do ust cały owoc.

– Dlaczego tak długo nie byłeś z kobietą?

– Na Boga, te twoje usta. Gadają, o czym chcą.

– To prawda. No więc mi powiedz.

Spojrzał na nią: tutaj? Ale Iva, ta mała podkuchenna, zamiatała, jakby miała wygnać diabła – nie usłyszałaby nic, gdyby mówili ściszymi głosami. John puknął palcem w stół.

– Uczyłaś się kiedyś dziesięciorga przykazań? Wiem, że krótko byłeś pod opieką rodziców, ale czy nikt cię nie ostrzegł, że cudzołóstwo może przeszkodzić twojej duszy pójść do nieba?

– Ostrzegano mnie – odpowiedziała, ale tak słabo, że spojrzał na nią z ukosa.

A potem się uśmiechnął. Nadal patrzył na ławkę.

– Moja matka była kobietą surowych obyczajów. Mówiła swoim synom, że Bóg gniewa się szczególnie strasznie na tych, którzy wykorzystują dzieci i kobiety. Że odebranie dziewczynie niewinności to jak obrabowanie żebraka. Że najpierw bierze się z dziewczyną ślub, a potem można odbyć z nią stosunek. – I dodał jeszcze ciszej: – Gdyby mówiła twoim, Dobs, językiem, powiedziałyby, że mężczyzna nie pierdoli kobiety przed ślubem.

Zabrzmiało to szczególnie odrażająco, wypowiedziane tutaj i przez niego, tym cichym głosem. Rozzłościła się. Rzuciła:

– Wstydzisz się.

I zrobiła gest, jakby chciała odejść od stołu.

Machnął ręką. Kiedy indziej złapałby ją, ale teraz jego dłoń zawisała o centymetry od niej.

A potem zabrał rękę ze stołu.

– Mówię ci tylko to, o co pytałaś. Opuściłem dom wcześniej, ale kilka rzeczy wpojono mi na trwałe. A kiedy miałem siedemnaście lat i myślałem, że już nie muszę się nimi przejmować, wpojono mi je ponownie, tym razem rozpalonym żelazem.

– Wpojono ci? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Moje blizny... usta, oko...

Pytała już kiedyś o nie i w odpowiedzi usłyszała krótką i mętłą historię o robociarzu, który się upił.

– To pamiątka po moim pierwszym razie. Pierwszym i do zeszłej nocy ostatnim.

– John! Co się stało? Kim ona była?

– Żoną tego robotnika. Było tak, jak ci mówiłem, kiedy pracowałem przy Tunelu Severn.

Przyłapał nas i spuścił mi lanie. Zasłużyłem. Choć właściwie dostałem więcej, niż na to zasłużyłem.

Miałem połamane kości, siniaki wielkie jak dłoń, głowę całą spuchniętą. Przez ponad pół roku nie widziałem na jedno oko. Ale jego żona...

Spuścił głowę.

Betsey spytała:

– Co jej zrobił? – I pożałowała tego natychmiast, kiedy usłyszała, jak wzdycha. – Mniejsza o to. Nie powinnam była pytać.

– Nie wiem, co się z nią stało. Nie tknął jej, dopóki miał w garści mnie. To pewne. Przez dobrą chwilę nic nie widziałem. Tam był inżynier, który mnie lubił. Zabrał mnie i zajmował się mną, dopóki nie wróciłem do pracy. Nigdy więcej jej nie spotkałem. Czasem tylko o niej myślę, kiedy się budzę spocony ze strachu i płaczący ze skruchy. Zrozumiałem, co mama miała na myśli.

I nie chodzi o strach przed piekłem. – Przerwał. – Mam nadzieję... mam nadzieję, że skłamała, że powiedziała coś o mnie, żeby się ochronić.

– Przepraszam – powiedziała Betsy.

Żałowała, że go skłoniła, żeby jej opowiedział tę historię, mimo że wcześniej bardzo chciała poznać przyczynę jego poczucia winy i zmieszania. Czekala, aż Iva sprzątnie ich naczynia i okruchy spod stołu, przy którym siedzieli.

– Źle to wszystko wygląda, prawda? – odezwał się John.

– No, nie najlepiej – zgodziła się, choć w duchu wcale się nie zgadzała.

Nigdy nie miała zazdrosnego męża, Thomas nie zostawił jej jak obrabowanego żebraka.

John złożył ślub, powiedział jej o tym na molo, że będzie szanował jej życzenia i nie będzie jej prześladował, a ona go z tego przyrzeczenia zwolniła.

A teraz siedział przed nią, umęczony, oszołomiony, bo nie sprostął czemuś, o co ona go nigdy nie prosiła. Pomyślała, że może ją kocha. Może John ją kocha. No tak, ona też go kocha, a ponieważ nie widzi innego sposobu, żeby ulżyć jego cierpieniu, jak odejść, więc odejdzie. Wstała od stołu i ruszyła do wyjścia tą samą drogą, którą weszła, mimo że deszcz nadal padał, a jej parasolka została na stojaku. Przebrnęła przez hotelowy ogród, za jedyną osłonę mając słomkowy kapelusz, i doszła do szopy na rowery. Mocowała się chwilę z rowerem, a potem pomyślała, że lepiej będzie go zostawić na noc i wrócić tramwajem.

Przetarła twarz rękawem i ruszyła do wyjścia.

W drzwiach stał John.

– Nie jedź taka mokra do Sarah – powiedział.



Każde ćwiczenie pisz tak, jakby Twoja praca miała iść na wystawę.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

– Nie pojedę.

Deszcz bębnił głośno o dach szopy i rozbryzgiwał się na kamiennym progu. John miał mokre ramiona, mokre włosy spadały mu na brwi. Trzymał parasol, zamknięty, a ona – no cóż, nie pamiętała, co ją właściwie wyгнаło na ten deszcz.

– Elisabeth. Chodź ze mną do łóżka – powiedział. – Pościel jest miękka jak westchnienia. Ty jesteś najpiękniejszym zjawiskiem jakie widziały moje oczy. Chcę się z tobą kochać.

Podeszła do niego. Dotknęła jego twarzy, konturu jego warg i blizny w kąciiku ust. Oczy miał zamknięte.

– Dlaczego? – szepnęła. – Po tak długim czasie... dlaczego ja?

Ach, te jej nadzieje. Nie mogła powstrzymać ich napływu, tak samo jak nie mogła przegnać deszczu sączącego się z chmur. *Bo się w tobie zakochałem, Elisabeth Dobson.* To było głupie, ale właśnie takie słowa pragnęła usłyszeć.

– Elisabeth – powiedział. – Dałaś mi bolesnego kuksańca w bok. Oto dlaczego.

Zasłoniła ręką usta, żeby się nie roześmiać. Była zarazem zaskoczona i rozczarowana.

– To najgorszy wiersz, jaki słyszałam.

Parasol upadł na ziemię. John chwycił ją za ramiona. Westchnęła głośno, gdy popchnął ją na ścianę szopy. W drzwiach za nią zawisła zasłona gęstego deszczu. Jedną rozczapierzoną dłonią przycisnął jej szyję i policzek, drugą oparł o ścianę.

– To proste. Złapałaś mnie w pułapkę jak królika i nie mogę się wydostać. Chcę ci podarować orgazm, choć wiem, że możesz mi skrzyć kark, obdrzeć ze skóry i ugotować.

– Boże – jęknęła, przepełniona niesmakiem, ale i czymś, co sprawiało, że drżała i topniała.

– Wiem. To, co do ciebie mówię, nie brzmi ładnie. Ale to prawda.

– To wszystko tylko pożądanie. Ponad dziesięć lat.

– Tak, to jest we mnie, jak zatruta krew. Myślisz, że nie wiem? Że nigdy przedtem tego nie czułem? W moich oczach, kiedy patrzę na ciebie, w moich rękach, gdy cię dotykam. Myślisz, że nie wiem? Ale to ukłucie...

Nie ścisnął jej już tak mocno. Pochylił się nad nią i pocałował w szyję. Przyciągnął jej rękę do swojego lewego boku. Mogła poczuć, jak szybko bije mu serce.

– Tu jest ten ból, w moim boku, dziewczyno. Wielki i dokuczliwy... Chciałbym móc ci to powiedzieć ładniej.

Zmięła w dłoni jego marynarkę.

– Trudno mi w to wierzyć.

– Myślisz, że kłamię?

– Nie. To tak jak z wielkością oceanu. Albo z pracą, za którą kobieta dostaje prowizję. Albo z magicznymi nasionami. To ten rodzaj spraw, w które trudno uwierzyć.

Ścisnął jej rękę. Namacał jej szpilkę do kapelusza, a gdy go zdjął, rozpuścił jej włosy i zaczął pokrywać pocałunkami wszystkie wrażliwe miejsca jej twarzy i szyi. Szeptał jej do ucha:

– Powiedz mi, jak cię zadowolić... Chcę tego.

– Iefan – odpowiedziała, a jej oczy wezbrały łzami, kiedy pomyślała o tym, jak go pozbawiła pewności siebie. Całowali się, a ona mówiła, że to nieważne. *Nie, powiedz mi. Powiedz mi, co tamten zrobił takiego, że ciągle za nim płaczesz.*

Objęła go i ukryła twarz w jego szyi, w ramieniu, którym ją obejmował. I uwierzyła mu.

Uwierzyła w jego uczucie, tak jak wierzyła w jego ambicje i instynkt współzawodnictwa. Wierzyła w impuls, który jej kazał zostawić go przy stole, i w ten, który kazał jemu przyjść za nią. I wszystko to miała wziąć w swoje ręce.

– Iefan, czasami mówisz do mnie „dziewczyno” – powiedziała. Wciąż ją trzymał. – Nie przeszkadza mi to, wręcz to polubiłam. Ale kiedy mnie dotykasz...

Zawahała się, a on odgadł.

– Pani. – Muskał jej włosy. – Wiem. Byłem wobec ciebie zbyt szorstki.

Uśmiechnęła się, bo się domyślił. To było miłe.

Część szopy zajmował warsztat, w którym naprawiano rowery. Poprowadziła go tam, z palcem zaczeponym o dziurkę od guzika jego marynarki. Zamknęła wieko skrzynki z narzędziami i częściami rowerowymi i posadziła go na nim.

– Kobieta, Iefan – powiedziała miękko. Stała przed nim. Patrzył na jej usta, a ona dodała: – Twoja.

Jego wargi rozchyliły się w milczącej odpowiedzi. Spojrzał jej w oczy, ich spojrzenia się spotkały. Siła jego spojrzenia przebijała mrok, oczy badały każdą jej część, od krągłości ciała po zawilgości instynktu – uważnie, badawczo, wyczekująco.

Jej palce tańczyły na wysokości bioder, za każdym razem unosząc spódnicę o cal.

– Dotknij mnie. Wiesz, jak to robić – szepnęła.

Uniosła spódnicę powyżej kolan. Objął ją i jedną ręką wciągnął między swoje uda, drugą objął jej głowę i przysunął jeszcze bliżej, żeby ją pocałować. A potem przesunął dłoń z jej głowy na plecy i jeszcze niżej, tak, że połączyła się z drugą – pod spódnicami. Całowała go, obejmując i pozwalając, żeby poznawał jej ciało. Wsunął ręce pod gorset i przez desusy gładził jej pośladki i uda.

Natrafił na rozdarcie w pończosze. Jeden palec zawędrował do jej skóry, torując sobie drogę między fałdami bawełnianej tkaniny. Przestała go całować i westchnęła, zaskoczona spazmem zniecierpliwienia. Palec potarł o jej miękką skórę pod kolanem.

– O Boże, twoje dłonie – westchnęła. Zamknęła oczy i poddała się jego dotykowi. – Uwielbiam je, wiesz? To, jak wysoko wędrują twoje palce. Są grube i twarde, a ja... och, John, ja o nich myślę, naprawdę.

To go rozbawiło. Cofnęła się o krok i lekko go odepchnęła. Podciągnęła spódnicę, postawiła stopę obok niego na skrzyni i powtórzyła:

– Myślę. Myślę o nich tutaj, kiedy to robimy.

Nagle spowaźniał. Patrzył, jak jej dłoń wsuwa się w rozcięcie desusów. Kiedy wyciągnął swoją, rozwiązała tasiemki i poprowadziła go. Dotknął jej i oboje wydali odgłos, zwierzęcy, bez słów, wymowny.

Doszła pod dotykiem jego dłoni. Kolana jej drżały i musiał ją podtrzymać, żeby nie upadła.

Mówił o łóżku, o miękkiej pościeli. Ale nie poszli w takie miejsce. Dosiadła go na zakurzonej podłodze szopy, za kurtyną deszczu. Jej spódnicę skłębili się nad nim. Jego kciuk uwiązał w zgięciu jej kolana.

A potem nastąpiła cisza, jeszcze większa od tej, która zapadła wokół nich. Deszcz przestał padać – ale kiedy? Nawet nie zamknęli drzwi. Gdzieś, głęboko i daleko, wszystko to gdzieś zapadło, jak coś ciężkiego, co schowano w zamkniętej skrzyni.

Nadal drżała. W nocy będzie mogła marzyć do woli, ale teraz oboje powinni byli się pospieszyć. Doprowadzić ubrania do ładunku, otrzepać z kurzu. Kilka prostych kroków: ona wychodzi pierwsza, on czeka, dopóki ona nie będzie daleko. Muszą zachować ostrożność.

Milczeli, zanim wyszli. John patrzył na nią badawczo, a cień na jego twarzy nie pochodził tylko od mroku szopy. Może żałował, że przyszedł za nią, a może dziwił się samemu sobie, że podjął tę grę. Może nawet dziwił się w jej imieniu, dlaczego tego chciała – jej pierwsze takie doświadczenie z mężczyzną.

Ani słowem nie wspomniał o tym, co myśli. Więc zanim wyprowadziła rower, powiedziała:
– Będziemy to uważali za pierwszy raz z trzech.

Zmarszczył brwi, był zdziwiony.

– Tamto w nocy się nie liczy – wyjaśniła.

Czy nie zapewniła go, że tego chce? Czy nie dała mu wyboru? Mógł z tym całkiem skończyć albo pokornie się podporządkować. Mógł nawet pertraktować, łagodnie, tak jak ona potrafiła.

Dotknął jej policzka i wymruczał:

– Co za łaskawość.

A potem, gdy stała i patrzyła na niego, popchnął ją lekko do wyjścia.

– Zanim ktoś przyjdzie.

– Jak twoja matka cię teraz zobaczy, Charlie, to się popłacze ze wzruszenia – powiedział John.

Stali obok siebie przed wielkim lustrem w salonie młód Reede'a w Londynie. Charlie w pierwszym w życiu dorosłym garniturze wyglądał na wyższego. I był bardzo przystojny.

Pan Sommerson, subiekt, szczotką strącał z jego ubrania pyłki. Charlie udawał, że to całe zamieszanie wokół niego wcale mu się nie podoba.

– Teraz powinniśmy pójść do działu kapeluszy – powiedział John. – Coś znajdziemy, żeby zastąpić tę czapkę.

– Ależ proszę pana – powiedział pan Sommerson. – Z największą przyjemnością przyniosę kilka modeli. Ma pan jakieś specjalne życzenia?

John udał, że się zastanawia.

– Dziś po południu idziemy na pokaz amerykańskiego baseballu, więc może... słomkowy?

Oczy Charliego, wpatrzone we własne odbicie, zalśniły zainteresowaniem. Pan Sommerson owinął mu głowę miarką i się oddalił.

– Mamie chyba się nie spodoba słomkowy kapelusz.

– Myślę, że jednak tak.

– Powie, że jestem za młody.

Włożył ręce do kieszeni i przyglądał się swojej pozie w lustrze.

– Mam nadzieję, że jednak nie masz racji. Na szczęście zostawiliśmy ją w Idensea, prawda?

Pan Sommerson wrócił z naręczem kapeluszy, ale pierwsza propozycja okazała się idealna.

Stał przed Charliem i sprawdzał, czy wszystko leży, jak trzeba. Zasugerował Johnowi, że pożądane byłoby lekkie przycięcie włosów, a potem odsunął się na bok, aby Charlie mógł podziwiać swoje odbicie w całej okazałości.

Chłopak wykrzywił usta, żeby zamaskować zadowolenie, ale w końcu uległ i zaprezentował pierwszy tego dnia prawdziwy uśmiech.

– Mamie z pewnością się to nie spodoba.

John skinął głową.

– Przygotuj się raczej na lawinę pocałunków.

Charlie przesunął palcem po krawędzi randa.

– Dzięki, John.

John przyjął ten przejaw wdzięczności z ulgą. Charlie właściwie nie zachowywał się tego dnia niegrzecznie, ale pod żadnym względem ich wyprawa nie była rozrywką, na jaką chłopak liczył, kiedy planowali ją przed kilkoma miesiącami,

– Wszystkie najlepsze w dniu urodzin, Charlie.

– To dopiero za miesiąc.

– No to już blisko.

W drodze do stacji metra Charlie spytał, czy mógłby odprowadzić Betsey do domu, kiedy wrócą do Idensea.

– Oczywiście – odpowiedział John, choć zastanawiał się, czy to rozsądne zachęcać go do tego. Ale nie chciał psuć spokojnej atmosfery.

Z tego samego powodu pobiegł do lombardu wtedy, gdy krawiec dopasowywał Charliemu ubranie: nie chciał nikomu wyjaśniać, że ma zamiar kupić Betsey prezent. Zamienił pierścionek Lillian na naszyjnik. Wziął też mosiężną klatkę dla ptaka. Ciągle stała na wystawie. Klatkę mieli wysłać do Idensea, ale naszyjnik zabrał ze sobą.

Po chwili ostrożnie zasugerował, że przecież mogą odprowadzić Betsey do domu razem.

Mimo dorosłego kapelusza Charlie znów wyglądał jak mały chłopiec.

– Nie szkodzi. Ona zresztą nie zechce mnie widzieć, po tym... – Przerwał. – Na pewno ci wszystko powtórzyła... Powiedziałem jej coś bardzo nieprzyjemnego...

– Nic mi nie mówiła.

– Myślę, że ona mnie teraz nienawidzi. Nieważne.

Wyprzedził Johna i zbiegł schodami na stację.

John nic nie mówił, dopóki nie kupił biletu. Dopiero gdy stali na peronie, powiedział:

– No to przeproś ją, jeśli cię to męczy. Ale cokolwiek powiedziałaś, Betsey na pewno nie czuje do ciebie nienawiści.

Charlie patrzył na szyny. John zastanawiał się, jak go nakłonić do zwierzeń, ale jednocześnie podejrzewał, że to coś, z czym Charlie musi się uporać sam.

Z czarnego tunelu zaczął dobiegać łoskot. John dotknął ramienia Charliego, ponaglając go, żeby się odsunął od krawędzi peronu. Chłopak się wzdrygnął.

– Nie powinieneś jej więcej odprowadzać, wiesz? – powiedział. – Wszyscy o was gadają. Ty tego nie słyszysz, ale tak jest.

A gdy peron zaczął drżeć, bo zbliżał się pociąg, zdjął swój nowy kapelusz i cisnął go na brudne tory.

John natychmiast poczuł, że chciałby go chwycić za kołnierz, wyprowadzić ze stacji i tak zaciągnąć aż do Idensea. Ale Charlie wskoczył do wagonu pierwszy, a gdy John wreszcie go dopadł, wyglądał na wystraszonego. W jego spojrzeniu było przy tym coś aroganckiego. John rzucił tylko:

– To było niegrzeczne. To, co zrobiłeś przed chwilą.

Potem obydwaj wyglądali na zbitych z tropu i reszta wyprawy minęła w dość gęstej atmosferze. Napięcie opadło dopiero, gdy wracali do Idensea. Na miejscu John powiedział

Charliemu, że znajdzie Betsey w pawilonie. On sam musiał coś sprawdzić w Kursaalu.

To zburzyło kruchy spokój. Charlie warknął, że nigdy więcej nie zamierza odprowadzać panny Dobson, po czym odmaszerował, pewny, że pojawiając się w domu sam i do tego w takim nastroju, popsuje wieczór także mamie. W ten sposób cały dzień stał się dla Johna porażką, a więc zgoła tym, co sobie obiecywał.

Ostatecznie polecił jednemu z nocnych portierów, żeby się zajął Betsey, a sam poszedł do Kursaalu, nie zważając na to, że jest zdecydowanie zbyt ciemno, aby tam cokolwiek sprawdzać.

Cały czas myślał o zmiądzonym przez pociąg kapeluszu i o tym, co Charlie powiedział. *Wszyscy o was gadają*. I o tym co powiedziała Betsey. *Nie chcę się czuć porzucona, gdy to wszystko się skończy*.

Ale w poniedziałkowy wieczór znów znalazł się pod drzwiami Sarah. Gdy Dora Pink wpuściła go do środka, sarkając, że nie zjawił się na kolacji, i kiedy wprowadziła go do dawnego gabinetu doktora Elliota, i kiedy zobaczył, że na otomanie stoi odwrócona do niego plecami Elisabeth, a Sarah dopasowuje jej sukienkę, którą szyją na otwarcie Kursaalu, i kiedy Elisabeth spojrzała przez ramię, żeby sprawdzić, kto przeszedł, i kiedy jej twarz się zmieniła, pojaśniała i rozpromieniła, gdy zobaczyła, że to on...

Mało który mężczyzna nie zrozumiałby jego bezradnego zmieszania.

Ustalili, że kto inny będzie ją odprowadzał w sobotnie wieczory. Ale on zapomniał, że ma się nie pokazywać. A ona zapomniała go odsyłać. Pewnego wieczoru, idąc od pawilonu do szopy na rowery, powiedziała:

– Pan Seiler wspomniał, że panny Gilbey mają niedługo przyjechać.

John odpowiedział, że tak było ustalone.

– Myślę, że on bardzo chce cię z nią ożenić.

– Tobias to mój p r z y j a c i e l, nie ojciec.

Wybuchnęła śmiechem i pobiegła do szopy. Oparła się o ścianę i – gestem, który sprawił, że John ledwie mógł iść, a co dopiero biec – uniosła spódnicę. Czekwała na niego w takiej pozie.

Przywarł do niej, pełen pożądania, wygłodniały. Czuł, że w tej jej grze jest coś brutalnego, ale nie zważał na to, co robi, nawet gdy powiedziała:

– Kursaal jest prawie gotowy. Panna Gilbey przyjeżdża. Chyba będzie lepiej, jak się pospieszymy z dopełnianiem warunków umowy, nie sądzisz?

Oto cała Betsey Dobson i jej podejście do seksu. To był jej atak. I jej poddanie się.

Włożył jej rękę pod spódnicę i przypomniał:

– Nieważne, kiedy przyjeżdża. Ja z niej zrezygnowałem.

– Ot, tak, machnąłeś na nią ręką?

Nie zamierzał się spierać o słówka, nie z Betsey i nie w chwili, gdy rozpinęła mu spodnie.

– Panie Jones – westchnęła. – Pan Jones. Taki dżentelmen, a zamierza mnie pieprzyć, nie zdjęwszy ubrania.

No proszę. Sprężyna pułapki, groźna i prawdziwa.

Nieważne, że był ostrożny i że się tego spodziewał. Złapał jej rękę i wyciągnął ją ze swoich spodni.

– A jeśli teraz to zrobię? Tutaj, przy tej ścianie... to będzie się liczyć za drugi czy za trzeci raz? Bo ten ostatni nie bardzo nam wyszedł, no nie?

A potem jego złość wyparowała. Przy całym zmieszaniu, przy całej ignorancji, ślepcie i głupocie jego stosunków z Betsey wyraźnie dostrzegł, że wytyczyła granicę. W ten sposób obwiniała go za to, co było między nimi nie tak, bardziej, niż potrafiła to robić Lillian, obecna czy nieobecna. Nigdy mu się to nie podobało, ale dopiero teraz zrozumiał, dlaczego tak postanowiła.

– Czy tak, Elisabeth? – zapytał raz jeszcze.

Nie walczyła z uściskiem jego ręki. Poczuł, że się poddaje, że jej ciało się rozluźnia.

Spódnicę opadły z cichym szelestem, jak kurtyna. Przycisnął czoło do jej czoła, głaskał jej szyję i wyczuwał puls.

To nie jest dla ciebie dobre, dziewczyno. Nie spodziewasz się niczego lepszego, ale to nie jest dla ciebie dobre.

Gdzie miałby jej to powiedzieć?

Usłyszał:

– Przepraszam.

Następnego dnia po południu pojechali na rowerach na wycieczkę, daleko od wybrzeża.

Betsey pozwoliła, żeby uczył ją pływać w spokojniejszych wodach leśnego stawu. Miejscowym chłopcom, którzy przyszli na popołudniowe zabawy, nie przeszkadzała ani kąpiąca się para, ani to, że Betsey nie miała stosownego stroju kąpielowego. Kilku z nich z zainteresowaniem śledziło jej postępy. Gdy wynurzała się z wody, przez jej bieliznę przeświecała różowa skóra.

Suszyli się na ścieżce cętkowanej plamami słońca. Chłopcy wyczyniali dzikie harce i byli tak nieznośnie głośni, ale John i Betsey przestali zwracać na nich uwagę. Rozmawiali.

Opowiedziała mu o swojej siostrzenicy. Jego mowa – prawdziwe przemówienie, nadające się do wygłoszenia ze sceny na otwarciu sali koncertowej Kursaal, a nie drętwy tekst, jaki napisał

Tobiasowi – płynęła z głowy, gdy tak leżał na jej kolanach.

Gdyby byli sami, kochałby się z nią tutaj, wśród drzew, paproci, pod dachem z gałęzi, latem gęstych od liści. Nie liczyłby, który to raz. Pozwoliłby, aby to popołudnie ciągnęło się w nieskończoność. Gdyby wybór należał do niego.



Nie uderzaj w klawisze z przypadkową siłą, rób to systematycznie, inteligentnie, tak, aby oszczędzać siły.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

O świcie w dniu otwarcia Kursaal w sali koncertowej zamocowano ostatnie siedzenia.

Dzięki temu księżę Winchesteru i wszyscy pozostali goście nie musieli – czego John się obawiał – słuchać koncertu, siedząc na stołkach do dojenia krów.

Gdy Corbin Ludd opadł na ostatnie krzesło i udał, że zasypia, aby zaprezentować, jak solidnie pracował, podniosły się śmiechy i krzyki. John, nadzorujący ze sceny kilku robotników wykańczających różne szczegóły, odwrócił się do fortepianu i wydobył z niego najgłośniejsze

akordy, jakie znał, z amerykańskiej melodii, którą przygotowywał na wieczór muzyczny u Lillian Gilbey.

Ale nie nauczył się dobrze. Pomylił się od razu na początku, ku zachwytowi swoich ludzi, którzy mogli z tej okazji z niego pożartować. Śmiejąc się razem z nimi, zaintonował ostatecznie *Warownym grodem jest nasz Bóg*, jedyną pieśń poza *Boże, chroń królową*, jakiej on i inne dzieci z jego szkoły zdołali się nauczyć pod kierunkiem żony wiejskiego pastora. Po kilku próbach salę wypełnił chór męskich głosów i w ten oto sposób Kursaal zainauguował działalność koncertową.

Występ hiszpańskiej sopranistki, która wieczorem miała zaśpiewać dla księcia, siłą rzeczy musiał być drugi.

Zgodnie z ustaleniami przybył kasjer w wypłatą. Dla większości ludzi te wieczorne godziny były ostatnimi, jakie przepracowali dla firmy, i gdy John oznajmił, że pieniądze zostaną wypłacone od ręki, podniosła się kolejna fala okrzyków.

W kolejce, która ustawiła się przed stołem kasjera, początkowo panował gwar, ale w miarę jak się skracała, ludzie poważnieli. John każdemu uściśnął rękę. Miał się z nimi wszystkimi spotkać raz jeszcze – lady Dunning i sir Alton jak co roku we wrześniu urządzali w parku Iden Hall piknik dla pracowników sezonowych – ale ta chwila była wyjątkowa, więc chciał potwierdzić, że zostali zaproszeni.

– Pan nie zapomni o mnie, panie Jones, jak będzie pan znowu najmował? – spytał Paul Higbee. Pracował z Johnem na każdej budowie od czasu, gdy ten przybył do Idensea, podobnie jak większość pozostałych. John zorientował się, że na końcu kolejki stoją ci, którzy przybyli do miasta jako nieopierzeni młodzieńcy, a teraz są już mężczyznami, i dawni robotnicy dniówkowi, obecnie majstrowie. Byli wśród nich Mandy Wainwright – John uczestniczył w jego ślubie – i Iesten Gwyn, który zawsze mówił o nim: pan Iefan Rhys-Jones. Pobrzmiewał w tym cień kpiny, ale to właśnie Gwyn odwoził Johna w marcu na stację, kiedy jechał na pogrzeb matki. Przez całą drogę śpiewał

głosem czystym i pełnym uczucia kołysankę *Suo Gân*, i ani razu nie odwrócił wzroku od konia i drogi, żeby nie widzieć łez towarzysza podróży.

– Na pewno nie zapomnę, panie Higbee – odpowiedział, czując, że wzruszenie zaczyna go ścisnąć za gardło. Był tak skupiony na kończeniu budowy, że nie pamiętał, że ten koniec będzie dotyczyć także jego samego. Zakończone. Zakończone – jedno z tych zwodniczych słów, brzmiących tak prosto i tak ostatecznie.

Pomyślał, że Higbee jest stąd, więc gdyby kompania Idensea Pier postanowiła zakończyć działalność budowlaną, Higbee musiałby szukać innego pracodawcy. Ale to samo dotyczyło pozostałych, także Johna. Przyjechał przecież do Idensea do tej konkretnej pracy i szykował się do wyjazdu, gdy tylko budowa zostanie ukończona.

Stojąc w portyku, widział wszystko w mdłym świetle przedświtu. Wdychał zapach świeżej ziemi z rabat, na których świeżo zasadzono krzaki róż. Ogrodnik dał się przekonać, zapewne pod groźbą utraty pracy, do przesadzenia tuzina właśnie kwitnących krzewów. Księżna była znana z upodobania do żółtych róż, więc biedne kwiaty musiały dotrzeć do piątku. Zdaniem sir Altona w sobotę mogły sobie zwiędnąć.

John wrócił do środka, pobierał swoje papiery i wsunął stołek pod fortepian. Zanim opuścił pokrywę na klawisze, spróbował raz jeszcze odegrać salonową piosenkę i przejść przez miejsce, gdzie poprzednio opuścił nutę. Dźwięki wypełniły pustą salę. Zakończył na refrenie.

Rękawem marynarki przetarł pokrywę, żeby usunąć ślady palców. Ze wszystkich przedmiotów luksusowych ten fortepian był niewątpliwie najcenniejszym, jakiego w życiu dotykał.

Gdyby Betsey tu była, z pewnością dotknęłaby go końcem jednego palca. W sercu Johna bezustannie trwała huśtawka nastrojów. Stał na scenie, tam, gdzie wieczorem miała występować hiszpańska sopranistka i gdzie miał się pojawić on sam, żeby wygłosić przemówienie. Gdy w sali zasiądą damy i dżentelmeni, świeżo zamontowane siedzenia przestaną przypominać rzędy nagrobków. To miejsce wypełni szum wachlarzy, błysk klejnotów, a komentarze i plotki będą szeptem podawane z ust do ust.

Dostrzeże ją, kiedy wejdzie na podium?

Przeszedł wzdłuż rzędów krzeseł i znalazł klucz nastawny oraz puszkę tytoniu. A do tego dwa pensy, kilka niewykorzystanych śrub, mały grzebyk, który z pewnością należał do Rafe'a Dixona, oraz czerwoną chustkę. Był już prawie na końcu sali, kiedy usłyszał głosy. Sądził, że to robotnicy, więc nie przerywał inspekcji. I nagle wyrosła przed nim lady Dunning z naręczem świeżych kwiatów. Towarzyszył jej zarządca Kursaal, który również dźwigał pęk roślin. Oboje wydawali okrzyki zachwytu: zobaczyli salę z siedzeniami i zapalonym kandelabrami.

– Och, drogi chłopcze! – krzyknęła lady Dunning na jego widok. – Był pan tu całą noc! I pan, i mój mąż... bez snu, a taki dzień przed nami.

Łaskawie powierzyła mu swoje kwiaty i choć nadal rozczulała się nad nim i nad sir Altonem, jej oczy zdradzały, że sama też niewiele w nocy wypoczęła.

– To przemówienie doprowadziło go do tego stanu – ciągnęła. – Przemówienie! Powiedział, że mniej się denerwuje, kiedy musi poprowadzić stuosobową orkiestrę symfoniczną! Kilka miesięcy temu, gdy księżę przyjął zaproszenie, starałam się go namówić, aby to właśnie zrobił, to znaczy skomponował coś na tę okazję i poprowadził koncert. *Idylla Idensea*. Czy to by nie brzmiało uroczo? A gdyby on i Noel stworzyli coś razem, wyobraża pan sobie, jaka by to była sensacja? Ale nigdy nawet nie zasugerowałam tytułu, ani tym bardziej nie wspomniałam, że mogliby to zrobić wspólnie – bo on natychmiast odmówił.

Doszli do stopni przed sceną, a lady Dunning zatrzymała się, i zrobiła gest, który wyrażał raczej żal niż rezygnację.

– On nie myśli już o sobie jako o muzyku.

John zaproponował, że zostanie, aby jej pomóc, ale nie przyjęła tej propozycji. Nakazała mu przespać się przynajmniej kilka godzin przed przyjazdem księcia. Odchodząc, słyszał, jak udziela zarządcy wskazówek co do wystroju sceny. Gdy jechał na rowerze do hotelu, rzucił przez ramię okiem na Kursaal. Chciał go zobaczyć w pełnym świetle dnia. Miał chęć przejechać obok domu Sarah, ale pomyślał, że szansa, iż Betsey będzie siedziała na dachu, gotowa na przejażdżkę, jest raczej niewielka.

Czy ty w ogóle spałeś? – chciała go zapytać, ale nie mogła. Nie tutaj, w pełnym ludzi biurze firmy. Nawet przy jej biurku nie byli sami. John wszedł razem z architektem, któremu towarzyszyli córka i zięć. Przełknęła to pytanie. John oglądał próbne zdjęcia przygotowane przez fotografa na przyjazd księcia, zrobione z różnych odległości i pod różnymi kątami.

– Obawiam się, że musimy wcześniej zamknąć dla publiczności – powiedziała. – Wstrzymać

sprzedaż biletów na godzinę. Fotograf mówi, że musi mieć czas.

Stojąca obok Johna córka architekta wskazała na jedno ze zdjęć.

– Godzina to niedługo. A nigdy nie wiadomo, może przyjechać wcześniej.

Jej mąż pociągnął ją za koleczek.

– Pewien mąż wie, jak to jest z punktualnością...

Przerwał, żeby się przywitać z panem Seilerem, który trzymał w rękach wąskie pudełko. Tobias wręczył je Johnowi.

– Od Marty i ode mnie.

– Pudełko od Meyera i Mortimera – pospieszyła z podpowiedzią córka architekta.

W pudełku był prosty czarny jedwabny krawat. Prosty, ale Betsey widziała tego lata wystarczająco wielu dżentelmenów, żeby rozpoznać wyjątkową elegancję. John również. Był wyraźnie poruszony i podziękował państwu Seiler z taką samą powściągliwą elegancją, jaką odznaczał się podarunek.

Podszedł do wiszącego na ścianie wypukłego lustra i zaczął zmieniać krawat. Obserwowali go wszyscy, Betsey też. Zdała sobie sprawę, że jako jedyna złapała się krawędzi biurka, żeby nie podejść do lustra razem z nim. Korciło ją, żeby mu wyprostować krawat i klepnąć na znak, że dobrze leży – ot, taki gest pełnego ufności porozumienia.

– Kochanie – powiedziała córka architekta do męża. Podeszła do Johna, żeby mu pomóc. – Szczęściarz z ciebie, że byliśmy już zaręczeni, gdy poznałam pana Jonesa. Nigdy nie wiadomo... – Wyprostowała mu krawat. Przyklepała. Ponad jej głową John spojrzał na Betsey, z tym samym pytaniem w oczach: Czy dobrze wyglądam? Wcześniej – zauważyła to – posłał takie spojrzenie panu Seilerowi.

Uśmiechnęła się i skinęła głową, zadowolona, że nie musi się odzywać, ale pokusa ciągle drażyła jej duszę. Wreszcie cała czwórka – ojciec, córka, zięć i John w nowym jedwabnym krawacie – ruszyła na stację, aby powitać księcia.

Im bardziej powóz zbliżał się do stacji, tym wyraźniej było widać, jak odświeżnie prezentuje się Idensea. Mieszkańcy pozakładali na ten dzień najlepsze ubrania, witryny sklepów i latarnie ozdobiono chorągiewkami i girlandami. John zauważył kilku mężczyzn, którzy pracowali w Kursaal w nocy. Teraz, wyelegantowani, spacerowali z rodzinami albo wybrankami. Ucieszył

się, że udało się załatwić dla nich wcześniejszą wypłatę. Ale po chwili zdał sobie sprawę, że nie do końca ma powód do zadowolenia – teraz, gdy ukończyli Kursaal, sam został bez pracy. No, chyba że przyjmie proponowane przez sir Altona stanowisko dyrektora zarządzającego.

Na stacji grała orkiestra. Tłum był tak gęsty, że powóz z trudem znalazł miejsce w orszaku pojazdów, które miały towarzyszyć księciu i jego rodzinie w drodze do Idensea. Architekt kazał woźnicy się zatrzymać. Wysiedli i dalej ruszyli pieszo. Na schodach John zauważył żółtą parasolkę. Jej właścicielka o mało nie wykłuła nią kilku osobom oczu.

Lillian Gilbey. Ona i jej rodzina mieli przyjechać dwa dni wcześniej, ale John jeszcze się z nimi nie spotkał. Lillian uśmiechnęła się na jego widok. Poczuł się tak, jakby ona chciała, żeby na nią spojrzął.

Przepchnęła się przez tłum i wyciągnęła rękę.

– Wiedziałam, że mnie uratujesz z tego ścisku. W porządku – dodała, najwyraźniej zauważywszy, że czuje się niepewnie. Podała mu rękę. – Mama powiedziała, że mogę iść z tobą.

Widzisz, jest tam, z ciotką Constance i z dziewczynkami. Papa jest nadal w mieście, ale przyjedzie na czas, na samą galę. Możesz mi pomóc z tym sznurem?

Spojrzał na cienki sznur wyznaczający trasę, którą miał przejść orszak księcia.

– Lils. Jestem zajęty przy organizacji. Nie mam czasu dotrzymywać ci towarzystwa. Jutro zostaniesz przedstawiona, tak jak ci obiecałem.

– Och, nie musisz się teraz martwić o przedstawianie mnie księciu. Potrzebuję tylko chwili wytchnienia od gorąca i hałasu. Nie będę ci przeszkadzać.

Była pełna energii. Pamiętał, że ta jej cecha bardzo mu odpowiadała, tak jak jej uśmiech, czarujący tym bardziej, im bardziej czegoś chciała. Podobała mu się ta jej błyskotliwość. Ona żywiła urazę, a on prawdopodobnie zasłużył na chłodniejsze powitanie, po tym jak wyjechał wcześniej, po tym, jak próbował popsuć jej wieczór muzyczny.

– Złap mnie za ramiona – powiedział.

Przeniósł ją nad sznurem, a ona podziękowała, przyklepała mu krawat, i powiedziała, że wygląda niezwykle elegancko, mimo że był bardzo niegrzeczny, nie pokazując się przez cały czas, od kiedy przyjechała, a teraz będzie niezmiernie zajęty, ona to wie, i obiecuje się nie narzucać, ale czy on wie, że:

– Nigdy nie spotkałam lady Dunning i sir Altona. Czy wobec tego, że czekamy na pociąg...

Na stacji, na peronie, przy którym mieli wysiąść książę i jego świta, John zdał sobie sprawę, że zaniedbał poszukiwanie pracy. Obok członków zarządu kompanii administrującej moło na peronie stał przynajmniej tuzin ludzi, z którymi powinien był porozmawiać. Ale otwarcie Kursaalu wisiało nad nim jak kawał skały nad urwiskiem, więc kiedy miał znaleźć czas, żeby spokojnie posiedzieć w palarni?

Sobotnie wieczory – besztął samego siebie. Niedzielne popołudnia. Pearse Leland (z firmy Leland Steel) skwitował jego pojawienie się uprzejmym skinieniem głowy, a on byłby dołączył do tego rozmawiającego grona, gdyby nie uczepiona jego ramienia Lillian, rozprawiająca o tym, że widziała lady Dunning i sir Altona – co za traf, zobaczyć ich razem – ale nie dostrzegła ich dzieci, pana Dunninga i jego siostry.

Zaskoczony, że Lillian nic nie wie, zaczął jej opowiadać, że Dunning jest w Wiedniu, ale spojrzawszy w stronę, w którą wskazała, zauważył Wallbrooka, sekretarza sir Altona, i zorientował się, że coś się dzieje.

– Córka Horacego Gilbeya? Kochanie, córka Horacego Gilbeya. – Lady Dunning powitała Lillian i od razu przedstawiła ją sir Altonowi.

John zauważył, że lady Dunning bez wahania skojarzyła Lillian z producentem dywanów, ale czy zdołała się domyślić, że ta dziewczyna jest jednym z powodów częstych nieobecności Noela w Idensea? Tego odgadnąć nie potrafił.

W każdym razie bardziej interesowało go to, jakie nowe wieści ma dla niego Walbrook.

Zostawił Lillian na pogaduszkach i ruszył w jego stronę. Walbrook otworzył aktówkę i wręczył mu zadrukowaną kartkę.

– Panie Jones, z pewnością przyda się panu nowy program.

Tylko takie niewinne stwierdzenie. Ale już w chwili, gdy wyjmował okulary, domyślił się, jaka to będzie zmiana.

– Kiedy to zostało postanowione? – wymruczał.

– Całkiem niedawno. Właściwie mogę tylko przypuszczać, bo to ja sam musiałem budzić w nocy drukarza, żeby wydrukował nowy.

Walbrook był zbyt dyskretny, żeby się zdradzić choćby spojrzeniem, ale musiał podzielać podejrzenia Johna, że nowy program powstał wiele dni wcześniej.

John zauważył, że sir Alton patrzy na niego ze współczuciem.

– Będzie pan rozczarowany, ale tylko tak można było to urządzić.

– Nie jestem rozczarowany. Jednakże... – John zdjął okulary i włożył je do kieszeni. Jego rozczarowanie liczyło się w tej chwili najmniej. – Sir. Ja po prostu tego nie zrobię.

– John, mój drogi – westchnęła lady Dunning. Nieczęsto zdarzało się jej widzieć, żeby John tak otwarcie sprzeciwiał się jej mężowi, ale czasu miał zbyt mało na wypracowanie jakiejś subtelniejszej formy sprzeciwu.

– Potrzebujemy tego zdjęcia – powiedział John.

– Wielkie nieba – odpowiedziała, chociaż nie powiedział tego do niej. – Fotograf będzie cały dzień. Trafi się sposobność...

John był bardzo zniecierpliwiony, ale nie chciał uchybić etykietce. Zamierzał pozwolić lady Dunning dokończyć, ale ona sama nagle przerwała, uśmiechnęła się i wraz z Lillian odeszły na bok, rozprawiając o Wiedniu.

– Potrzebujemy tej fotografii księcia z rodziną na Drodze Sułtańskiej – powtórzył.

– Przesadza pan, Jones. A program jest szczerze wypełniony, więc musiałem znaleźć czas na chwilę wytchnienia. Wszystkim nam bardzo się przyda, sam się pan przekona.

– Wszystko jest przygotowane. Ludzie zaangażowani w tę sprawę czekają. Panna Dobson ma czuwać, żeby wszystko przebiegło jak najsprawniej.

– Och! – wykrzyknął sir Alton. – Jeśli ktoś mówi, że tym wszystkim steruje ta maszynistka, to ja nie powinienem mieć żadnych skrupułów. Ale z drugiej strony, skoro to przygotowane...

Wzruszył ramionami. John potarł kciukami palce wskazujące. Po drugiej stronie drogi córka architekta pochylała się w stronę swojego męża i żartobliwie stukała palcem w jego pierś.

– Widzi pan państwa Croyerów? – spytał John. – Właśnie wrócili z wakacji.

– Słyszałem. Riwiera Francuska, co najmniej.

– Istotnie, Riwiera Francuska. Oni nie są szlachtą. Są wystarczająco bogaci, ale myślę, że nie wyjątkowo. I pojechali na kontynent, żeby spędzić wakacje nad morzem. Pod tym względem też nie są zbyt wyjątkowi.

– Na Boga... – Sir Alton zasłonił palcem i pełen pobłażania uśmiech. – Chyba nie chce mnie pan uczyć, jak mam prowadzić własny biznes.

– Idensea nie może zależeć...

– Jestem zobowiązany. A to...

– ...od ludzi...

– ...oryginalne. Ależ to...

– ...takich jak Croyerowie...

– ...nadmiar...

– ...aby...

W tym momencie John zrezygnował z prób przebicia się ze swoimi racjami przez monolog sir Altona. Jak we wszystkich innych sprawach, i tu trafił na mur. Sir Alton mówił dalej, dopóki John wyraźnie nie ustąpił. Zakończył stwierdzeniem:

– To po prostu niegodne – księżę w tym jarmarcznym, pospolitym miejscu, które zmuszeni byliśmy wybudować.

Przerwał, zapewne po to, żeby się przekonać, czy John ma na to jakiś kontrargument. Nie miał.

Sir Alton poklepał go po ramieniu.

– Zapomniał pan, że mam zamiar pominąć własnego syna i zaoferować panu kierowanie tą firmą? Ale sam pan rozumie, że muszę wiedzieć, że panu zależy na przyszłości Idensea.

John nie zapewnił go, że tak jest. Walbrook rzucił bezgłośnie przeprosiny i poszedł za lady Dunning i sir Altonem w stronę innej grupy stojącej na peronie.

John powiedział do Lillian:

– Muszę iść i zaprzyjaźnić się z woźnicą. I powiedzieć o wszystkim Elisabeth. Mam cię odprowadzić do matki czy wolisz zostać tu sama?

– Wszystko mi jedno.

Chociaż był bardzo zaaferowany, odczuł niejasny niepokój, słysząc, że Lillian Gilbey nagle okazuje obojętność wobec... wszystkiego, także tego, co dotyczy jej samej. Wyglądało na to, że tak jest w istocie: spojrzenie miała nieobecne, głos również. I wtedy ona sobie sprawę, że on to zauważył. Jej twarz się zmieniła, pojawił się na niej typowy dla niej rozbrajający uśmiech.

– Do mamy, jeśli nie masz nic przeciwko temu. A potem cię zwolnię, żebyś mógł iść do tych swoich tajemniczych zajęć. Te informacje, które przekazujesz różnym paniom, to nic poufałego, mam nadzieję?



Jeśli pierścień ograniczający jest przyśrubowany do stalowej ramy zbyt mocno, maszyna może pracować niewłaściwie.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

To, że na fotografiach nie utrwała się dźwięk, było czymś, nad czym Betsey nigdy się nie zastanawiała, aż do tej chwili, kiedy chodziło o to, aby wypadły znakomicie. Najmłodszy wnuk księcia darł się wniebogłose i wił w ramionach piastunki, ale niezależnie od rozmiarów nieszczęścia jego (i jego piastunki) zdjęcie powinno pokazywać wyłącznie radosne oblicza.

Na szczęście wszyscy byli raczej w pogodnych nastrojach.

John powiedział, że fotograf ma być w pogotowiu wcześniej, niż planowano. Było to dla Betsey lekkim zaskoczeniem, ale nie kłopotem. Po zamknięciu Drogi Sułtańskiej dla publiczności ona i fotograf mogli zaplanować ujęcie przed wiszącymi ogrodami pod głównym łukiem. Chętni widzowie wcielili się w role księcia i jego świty, więc gdy na miejscu zjawily się właściwe osoby, mogła zręcznie wszystkim pokierować. Chociaż...

Czy rzeczywiście kazała Jego Wysokości pozować na stojąco, a nie na siedząco, i ustawić się do aparatu lekko bokiem? Chociaż pan Seiler uczył ją, jak ma się zwracać do przedstawiciela arystokracji.

Ale książę wydawał się nie zwracać na to uwagi. Jak na arystokratę był całkiem przystępny, a jego jedyna prośba dotyczyła tego, żeby mógł pozować z wybranym przez siebie dzieckiem na ręku.

Kulminację wielogodzinnych przygotowań zapowiedział słup czarnego dymu. Jeszcze jeden kłęb i towarzystwo ustawione do zdjęcia się rozsypało. Pierwsza porzuciła wystudiowaną pozę matka niemowlęcia. Pospieszyła do swojego syna.

Ze swojego miejsca za fotografem Betsey zauważyła wśród pozostałych jakąś niepewność, wahanie, i ruszyła sprawdzić, czy mogłaby w czymś pomóc. Książę był ciekaw, czy odbędzie się pokaz kolejki – młodzi przecież na to liczą.

John posłał jej uśmiech, gdy brał na stronę hamulcowego, z którym pozował do fotografii.

Wkrótce pasażerowie zasiedli w wagonikach i mały pociąg zniknął w pierwszym tunelu. Na peronie rozbrzmiały dźwięki fisharmonii.

Sir Alton postanowił nie brać udziału w przejażdżce, choć ustawił się do zdjęcia. Opuścił swój pojazd, rzucając pod nosem przekleństwo, ale potem zachowywał już fason.

– Wedle pani życzenia, panno Dobson – powiedział, gdy podprowadziła go na miejsce. Uśmiech nie schodził mu z ust.

Zaczął rozmawiać z jakimś człowiekiem, który przyjechał z większą grupą. Mówił zbyt cicho, aby można go było usłyszeć, ale do Betsey dolatywały urywki wypowiedzi tego drugiego. Po chwili zorientowała się, że rozmawiają o Johnie.

– Oglądałem Kursaal, gdy tylko przyjechałem – powiedział tamten. – Imponujące przedsięwzięcie. Tak jak Swan. On wygląda na zdolnego... – A po chwili: – A to opóźnienie? – I w końcu: – Oczywiście, Londyn to zupełnie inna sprawa.

Betsey zmarszczyła brwi. Im dłużej podsłuchiwała, tym bardziej się niepokoiła.

Mężczyznę w czarnym garniturze okazał się ktoś, kogo i pan Seiler, i John pokazali jej w hotelu. Pearse Leland, człowiek interesu, z Londynu.

Podszedł do niej pan Walbrook, zawsze trzymający się blisko sir Altona.

– Dobra robota, panno Dobson – powiedział półgłosem i wyciągnął do niej rękę. Nie jak dżentelmen, który chce ująć wyciągniętą dłoń damy, tylko jak ktoś, kto zamierza czyjaś dłoń uścisnąć.

I to właśnie zrobił, energiczniej, niż się spodziewała.

– Dziękuję, panie Walbrook, ale było to łatwiejsze dzięki pańskiej pomocy. Domyślam się, że miał pan z tym trochę kłopotu.

Pan Walbrook wyciągnął z aktówki plik kartek.

– Czy może mnie pani od tego uwolnić? To raczej bezużyteczne od chwili, gdy pan Jones najwyraźniej zarekwirował pojazd księcia.

Były to programy pobytu księcia. Zaczęła czytać, a gdy podniosła wzrok, zobaczyła, że zbliża się sir Alton.

– Ośmielam się zauważyć, sir, że Jego Wysokość nie wyglądał na niezadowolonego – zaryzykował pan Walbrook, gdy Betsey wkładała programy do kieszeni.

– Istotnie, nie wyglądał – zgodził się sir Alton ochoczo. – Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że wróci z tej wyprawy rozentuzjasmowany bardziej niż wtedy, gdy na nią wyruszał.

Kto by się spodziewał, że książę ma taki pospolity gust? – Sam mówił z wielkim entuzjazmem, ale musiał zakończyć złośliwym akcentem: – Może nasz pan Jones – dodał, odpowiadając na swoje pytanie. – Wykazuje się niemałym sprytem w różnych sprawach, a w zwyczajnych jest wprost ekspertem. A jak pani sobie radzi ze swoim zadaniem, panno Dobson?

Zmieszana po jego kąśliwych uwagach Betsey z początku myślała, że chodzi mu o fotografię. Ale nie – jedynym zadaniem, które sir Alton miał na myśli, było zatrzymanie Johna w Idensea. Zmieszała się jeszcze bardziej: niecałą minutę temu była świadkiem, jak sir Alton prezentował Pearse'owi Lelandowi wszystkie wady Johna. Jeśli był o nim tak złego zdania, to dlaczego...

Ale już po chwili zrozumiała, o co chodzi. Usłyszała tylko połowę rozmowy, ale zrozumiała, że sir Alton karmi Lelanda kłamstwami, a przynajmniej półprawdami nie dlatego, że lekceważy Johna. Przeciwnie – dlatego, że chce go zatrzymać w Idensea.

Tak jak ona. Poczowała ucisk w żołądku. Ona i sir Alton. Sprzymierzeńcy.

Szarpnęła palcami jak zawstydzone dziecko.

– Może się okazać, że utraci pan Tinfell Cottage szybciej, niż pan przypuszcza.

Ona też potrafiła kłamać w żywe oczy.

*

Czy spodziewała się, że nadeszła wielka chwila? Wielka dla kopciuszka? W swoim służbowym stroju, ze smugą wody różanej, którą Sarah skropiła jej szyję, w oczekiwaniu na wieczór w blasku iluminacji – czy popatrzyła w lustro i poczuła się jak zaczarowana?

Chyba nie. Może dlatego, że lustro wisiało nad komodą i żeby się dobrze obejrzeć, trzeba było się nieźle nakręcić w tę i we w tę, a potem uruchomić wyobraźnię, żeby ten widok poskładać w całość. Ale uczyniwszy to, Betsey wcale nie poczuła się dotknięta czarodziejską różdżką.

Prędzej widziałyby się w roli kota w butach, spryciary, która usiłuje przerobić na suknię balową niedzielną sukienkę kupioną na straganie ze starzyzną i stara się upiąć włosy, jakby były niewiele dłuższe od kociej sierści. Jak kot w butach – dosłownie. Żadna z kobiet mieszkających w domu Sarah nie miała pantofli w jej rozmiarze, a ona nie zamierzała poświęcać ani pensa na tak niepraktyczny zakup.

Gdy Betsey, już gotowa do wyjścia, stanęła w drzwiach sypialni Sarah, sprawiła, że ta wpadła w lekką panikę. Wobec tego zostawiła ją w rękach Dory Pink i sama zeszła na dół.

Spodziewała się, że John przybędzie lada chwila.

Ale minęło dwadzieścia minut, a on się nie zjawiał. W domu panowała niezwykła cisza.

Charlie i pozostali domownicy już pojechali na Esplanadę i na molo, aby skorzystać z atrakcji uświetniających otwarcie Kursaal. Usłyszała, jak Sarah woła ze schodów Dorę, żeby jej przyniosła szal.

Spokój zniknął z jej twarzy, gdy zdała sobie sprawę, że Betsey czeka samotnie w salonie.

– Więc jeszcze nie przyjechał? Wiem, że Dora przestawiała zegary, to taka jej naiwna sztuczka, zwłaszcza że ona chyba wierzy... – Wypuściła powietrze i musnęła lok na swojej skroni.

– Czy ja...

Betsey złapała ją za rękę.

– Wspaniale.

Nigdy nie widziała jej w czym innym niż czerń: różowy był objawieniem. Wyglądała o wiele młodszej, a to wrażenie potęgowały jeszcze jej policzki zaróżowione z pośpiechu i emocji.

– No, moja droga, jeśli ja choć w połowie wyglądam tak jak ty, to John będzie dzisiaj miał dwie wyjątkowo urocze towarzyski.

– Nigdy nie widziałam, żeby musiał wybierać – powiedziała ze śmiechem Betsey, choć nie oddawało to rzeczywistości.

W Kurasaalu mieli się od razu rozdzielić. John miał tego wieczoru mnóstwo obowiązków. W żadnym wypadku nie pokazaliby się tam razem, jako para.

Cokolwiek Dora Pink zrobiła z zegarami, John się spóźniał, a Betsey zastanawiała się dlaczego. Rozsunęła zasłony, ale nie widać było, żeby nadjeżdżał.

Sarah powiedziała:

– To by była urocza suknia ślubna, wiesz?

Zaskoczona Betsey odwróciła się od okna.

– Ta koronka, którą ci pokazałam... wiem, że jej nie chciałaś... ale na ślub... tutaj trochę dodać? I na obu rękawach? – Dotknęła każdego ze swoich rękawów. Oba mankiety już ozdabiały koronki. To jej bladożółtą suknię Sarah miała na myśli. – I ogród. Moja córka Sophie miała tu wesele, więc dlaczego by tego nie powtórzyć? – Głos jej drżał od wymuszonej radości, ale sypała szczegółami, jakby je przemyślała już dawno temu. – Wszystko można urządzić bez najmniejszego problemu, jak tylko ty i John zechcecie.

– Jak... tylko my zechcemy?

– Ja tam nic nie wiem, ja sobie zdaję sprawę, ale...

– Nie ma nic, o czym mogłabyś wiedzieć. John i ja nie jesteśmy...

– Charlie, ten nicpoń! – wybuchnęła Sarah.

Nadal się uśmiechała, ale coś w jej twarzy się zmieniło, tak jak świeżość znika z białej bielizny rozłożonej na stole albo na łóżku. Niby nadal czysta i jasna, ale czegoś już jej brakuje.

Betsey nie poczuła się mniej zmieszana, kiedy Sarah wspomniała o Charliem.

– Charlie zdradził mi, że wy... że wy się wkrótce pobieracie.

I to był ten moment, kiedy powinna była powiedzieć cokolwiek, żeby odłożyć tę rozmowę. Powinna się najpierw zastanowić, co z tym wszystkim zrobić.

Sarah się zmieszała. Zbladła. Część Betsey, ta, która miała czternaście lat i na imię Lizzie, cieszyła

się z tego i poczuła brutalnie zadowolona, że ktoś jest zawstydzony razem z nią.

Sarah zaczęła się jąkać.

– Jest... jest sierpień... ja po prostu nie mogę zachować takiej szczęśliwej nowiny tylko dla siebie, wiesz, jak to jest.

– Tak. Mnie też Charlie powiedział – zgodziła się Betsey. – Że tobie nie będzie się to podobało. Tak się wyraził. Że nie będziesz chciała trzymać pod swoim dachem dziwki.

Sarah zamrugała oczami i zachwiała się jak ktoś, kto krzywo stanął na posadzce. Betsey zawstydziła się jeszcze bardziej. Wzięła głęboki wdech i powiedziała:

– Przepraszam. – Ale to nic nie zmieniło, Sarah nie patrzyła na nią z mniejszym bólem. – To twój dom, twoje życie i twoja praca. Ja...

Ruszyła w stronę schodów.

Na pierwszym podeście spotkała Dorę i jedyne, co mogła zrobić, to wymamrotać coś w odpowiedzi na jej wylewne gratulacje.

Na drugim podeście zdała sobie sprawę, że idzie do pokoju się spakować i niezależnie od tego, gdzie spędzi tę noc, są to ostatnie godziny jej pobytu w domu Sarah.

Wciskała jeden ze swoich tweedowych kostiumów do walizki, dziwiąc się, jak mogła przyjechać z Londynu tylko z takim bagażem, i wtedy stwierdziła, że w jej pokoju na piętrze zrobiło się duszno.

Podeszła do okna, żeby zaczerpnąć powietrza, i zrozumiała, dlaczego John się spóźnia.

Usłyszała, jak Sarah woła ją niepewnie z korytarza:

– Betsey?

Sarah zobaczyła, że walizka leży na łóżku, i jej oczy napełniły się łzami.

– Och! – wykrzyknęła cicho i zamilkła.

Po tym milczeniu Betsey poznała, że ona też poczuła ten swąd. Ona sama miała go już pełne nozdrza, zaczynało ją drapać w gardle.

Ale może to jej wyobraźnia, pobudzona tym, co zobaczyła. Przecież Sarah widzi tylko walizkę. I jest jej przykro, nie miała zamiaru, nie myślała, nie...

Betsey jej przerwała:

– Sarah.

Nie, ten swąd to nie wyobraźnia. Dotarł już także do Sarah i sprawił, że zeszywniała, jakby zobaczyła na swojej drodze węża.

Betsey złapała ją za rękę.

– Sarah. Molo się pali!



Niech głowa wspomaga rękę. A potem niech rękę pomagają głowie.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Betsey gnała po schodach na dół, tuż za Sarah. Miała zamiar wypaść za nią na dwór, ale zrobiła wszystko, żeby zapanować nad paniką.

W holu stała Dora Pink. Gapiła się na swoją biegnącą panią.

– Dora, molo się pali.

Wiedziała, że myśli Dory pobiegły tym samym tropem co jej własne, gdy tylko zobaczyła z okna kłęby dymu. Pora śniadania, Charlie, rozradowany, że dostał trochę większe kieszonkowe na wieczorne rozrywki. Charlie proszący matkę o pozwolenie na wspólne z kolegami oglądanie sztucznych ogni na molo. Uśmiech Charliego, gdy matka do pozwolenia dołącza kilka dodatkowych monet.

Betsey nie miała doświadczenia w powożeniu, ale Dora sprawnie zaprzęgła klacz do małego gigu. Szybko dogoniły tracącą dech i z trudem oddychającą Sarah.

– Sztuczne ogni miały się zacząć za kilka godzin – wydyszała, łapiąc Betsey za rękę i wciskając się do powozu. – Nie powinno go jeszcze być na molo.

Betsey kiwnęła głową, ale im dłużej jechały, nie widząc ognia, a jedynie gruby słup dymu, tym bardziej kurczowo trzymała się tej nadziei. Dora Pink na przemian to wzywała boskiej pomocy, to wyrażała pewność, że chłopakowi nic nie jest, na pewno nic nie jest, zaraz tam pojedą i zobaczą, jak z kolegami przygląda się pożarowi.

Jeśli Dora miała potrzebę wzywania boskiego imienia, to Betsey poczuła coś zupełnie innego. Gdy skręciły w Trakt Nadmorski – zapragnęła się schować, poczuć, że staje się niczym, kawałkiem papieru nad ogniem, zwijającym się i obracającym w popiół. Była po prostu zbyt wątpa, żeby móc to zrozumieć, pogodzić się z koszmarem, który miała przed oczami.

Płomienie buchały z pawilonu koncertowego na końcu mola, ale sznury ognia, nienaturalnie, ostro pomarańczowego, zaczęły lizać również promenadę.

Dym, który nawet w pełnym świetle dnia mógł wyglądać na czarny, kłębił się nad wybrzeżem, jasno oświetlonym letnim popołudniowym słońcem. Z promenady padały do wody kurtyny iskier, skrzyły się jak gwiazdy.

Trakt Nadmorski, tam, gdzie stykał się z Esplanadą, skręcał w obu kierunkach, i na tym szerokim skrzyżowaniu zebrali się wszyscy gapie. Siedzieli w wozach i powozach, stali na drodze, przerzucali się głośno domysłami i obserwacjami. Rozprawiali o tym, czy iskry mogą dosięgnąć budynków stojących przy Esplanadzie, i prześcigali się w opowieściach o tym, kto pierwszy zauważył ogień. Jakaś kobieta

usiłowała obrócić kołowrót w wejściu na molo, aby dostać się na pomost. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Pozostali w panice próbowali się stamtąd wydostać.

– Czy wszyscy już wyszli?

– A gdzie tam! Popatrz pan na tych!

Betsey ich nienawidziła, ich obojętności, ich ciekawości, tego, że dla nich najgorsze już minęło. Miała nadzieję, że Sarah tego nie zauważy, choć dla niej w pewnym sensie tak było lepiej, lepiej, żeby do jej uszu dobiegały te niedorzeczności niż potężny pomruk ognia, potworny huk rozpadania się w nicłość.

Gorzki odór pożaru niepokoił konie. Ale Dora okazała się zręcznym woźnicą. Gia posuwała się powoli, ale jej komendy i pewny chwyt sprawiały, że klacz posłusznie parła do przodu. Sarah pilnie wpatrywała się w tłum po swojej stronie bryczki. Miała nadzieję, że wypatrzy w tłumie jasną głowę Charliego. Betsey robiła to samo po swojej stronie. Wyżej, na szczycie urwiska, Kursaal, przyozdobiony w girlandy i szarfy, wyglądał teraz jak wzgardzona debiutantka na balu. Płomienie odbijały się miękkimi cętkami od okien zimowego ogrodu, a na tarasowym trawniku, wśród grządek świeżo obsadzonych kwiatami, stały grupki gości ubranych na wieczór, który miały wypełnić uroczyste mowy, szampan i tańce.

Nagle poczuła, że ma niewytłumaczalne pretensje do Johna, do samego Idensea. Spojrzała w górę, w stronę balkoniku okalającego szczyt latarni morskiej i zgromadzonych tam ludzi. Chciała go odszukać. Wszystkie jej obawy wiązały się z Charliem. John jawił jej się jako jakaś siła wyższa, ktoś, kto jest dobrze poinformowany i może odpowiedzieć na każde pytanie, także na to, co się dzieje z Charliem.

Wreszcie udało im się wjechać na Esplanadę, również zatłoczoną pojazdami. Ale tutaj woźnice panowali nad swoimi zaprzęgami, a przynajmniej starali się nie tamować innym przejazdu.

Piesi zostali zepchnięci pod biegnącą wzdłuż plaży balustradę. Niektórzy biegali między gapiami a sznurem powozów, wykrzykując czyjeś imiona albo jakieś, zapewne ważne, pytania lub informacje.

Betsey i Sarah stały w powozie i wołały Charliego. Dołączyły do ogólnego harmideru.

Charlie mógł tam być, w tej masie przy balustradzie. Mógł być jedną z tych ciemnych sylwetek na plaży. Mógł być na molo.

Morze lśniło, zupełnie jakby płomienie płonęły w jego głębinie tak samo jak nad powierzchnią. Na wodzie unosiły się wszelkiego rodzaju łodzie. Ratownicy. Ludzie znaleźli się w pułapce. Na tle błysków ognia widać było ciemne plamki przywarte do balustrady na końcu mola i mniej wyraźne cienie uczipione dźwigarów poniżej platformy. Wielu z pewnością czekało też w morzu, unosząc się albo płynąc do brzegu, walcząc z wodą w nadziei, że pomoc nadejdzie.

Betsey wiedziała, czym jest strach.

Wiedziała też, że John już nie może nad niczym zapanować. Nie było go tam.

Esplanada stała się nie do przebycia, a klacz nagle zaczęła się narowić. Sarah i Betsey stały w powozie i rozglądały się dookoła.

– Charlie musi być gdzieś tutaj – powiedziała Sarah. – Jeśli nie był na molo, to musi być tutaj. Nie przepuści takiej sensacji.

Betsey wysiadła za nią z powozu, ale nie pozwoliła jej wmieszać się w tłum.

– Pozwól, że się rozejrzę po Esplanadzie. A Dora niech cię zabierze nad wodę. Patrz tam i szukaj w łodziach. Jeśli Charlie był na molo, to któraś z nich przywiezie go na brzeg.

Betsey przepychała się przez tłum. Wspinała się na ławki i żardiniery, żeby mieć lepszy widok. Zatrzymywała każdego, kogo знаła, i każde dziecko mniej więcej w wieku Charliego, pytając, czy go nie widzieli. Kiedy zobaczyła wóz strażacki, poczuła, że znów nabiera nadziei.

Pomyślała, że Charlie będzie chciał się znaleźć jak najbliżej czegoś takiego. Ale nie było go tam. Strażacy polewali kasę na molo, żeby ją ochronić przed iskrami, ale nie próbowali wchodzić dalej.

Kiedy głośno wyraziła zdziwienie, jeden z gapiów odjął chusteczkę od ust i nosa.

– Wąż za krótki – powiedział. – Jakby go pociągnęli dalej na pomost, to pompa zassałaby wodę z piaskiem i się zapchała. To dlatego kapitan kazał przywieźć topory.

Mężczyzna z chusteczką wskazał na molo: zobaczyła, że strażacy i ochotnicy zdzierają z promenady deski.

– Lepsze to niż pozwolić, żeby ogień doszedł do węży.

A więc los molo został przypieczętowany. Ale czy nie wiedziała o tym już wtedy, gdy zobaczyła pożar przez okno? Dym zasłaniał wszystko.

Rozległy się okrzyki. Tłum rozstał się przed wozem, którym jechał pan Seiler. Krzyknął coś i mężczyźni natychmiast otoczyli wóz, wzięli z niego topory i łomy i popędzili na molo. Sir Alton i kilku członków zarządu, wszyscy w strojach balowych, podeszli do pana Seilera. Johna wśród nich nie było.

Betsey spojrzała na to wszystko ostatni raz, z oczami i gardłem podrażnionymi dymem, i ruszyła ku schodom prowadzącym na wybrzeże. Tam nie było tamujących drogę gapiów, tylko ciemna masa ludzi uwijających się wokół łodzi przywożących na brzeg uratowanych.

– Ej, złociutka, weź to dla tych biedaków – powiedział ktoś, wciskając jej naręcz hotelowej bielizny.

Z suchymi prześcieradłami w rękach poczuła coś w rodzaju ulgi. Ludzie byli przerażeni, przemoczeni, ale raczej nie było wśród nich ciężko poszkodowanych. Gdy już znaleźli się na pokładzie łodzi, mogli się czuć bezpiecznie.

– Wali się! – odezwał się głos w ciemności i Betsey wraz z innymi spojrzała ponad wodą w samą porę, żeby zobaczyć, jak dach pawilonu się zapada, zupełnie jak dziecięcy namiot z koca.

Jasne iskry wystrzeliły w niebo, woda zapłonęła i zasyczała, fale uniosły żarzące się kawały drewna.

Przełknęła łzy i oddała ostatni ręcznik Deborah Walton, córce pastora. Dziewczyna przyszła tu z siostrą, Judith, i dopytywała się, czy ktoś ją widział. Oddychała tak głęboko i chrapliwie, że Betsey ledwo mogła ją zrozumieć. Gdy wreszcie pojęła, o co jej chodzi, mogła jej odpowiedzieć, że tak, że pamięta, iż mijala Judith, gdy schodziła nad brzeg. Ktoś ją niósł. Mówiąc to, czuła taką samą ulgę jak ta, która pojawiła się na twarzy Deborah. To ją upewniało, że niedługo znów wszystko będzie dobrze.

Deborah i Judith są bezpieczne, za chwilę się spotkają. Więc inni też. Także Charlie ze swoją matką. Może to już się stało?

Ale kiedy odnalazła Sarah, ta wciąż wypatrywała Charliego. Betsey otoczyła ją ramieniem i stały tak, wpatrując się w każdą nadpływającą łódź. Kuter przywiózł kilkunastu uratowanych, łódź wiosłowa dwóch następnych. A po chwili, niedaleko od nich, kolejna mała łódź rybacka zbliżyła się do brzegu.

– To John – powiedziała Betsey, gdy tylko rozpoznała postać wyskakującą przez burzę. Objęła Sarah. – Na pewno coś nam powie.

Zawołała go po imieniu, a on jakby usłyszał ją przez ryk przyboju i ognia. Sarah podniosła rękę i pomachała, ale on pochylił się nad łodzią. Po chwili się wyprostował. Na jego rękach spoczywał Charlie.

Z gardła Sarah wydobył się szloch. Rzuciła się biegiem w ich stronę. John był bez marynarki. Biała ociekająca wodą koszula przywarła mu do ramion. Czarne włosy okalały twarz jak z kamienia. Nawet gestem nie zdradził Betsey, w jakim Charlie jest stanie. Chłopak twarz miał zwróconą w stronę nieba. Był bez butów. John spojrzał na niego i uniósł go wyżej, ku piersi.

– Doktor Nally.

Betsey usłyszała, że powiedział to do Sary, gdy do nich dobiegła. Sarah natychmiast pobiegła w stronę nabrzeża, tam, gdzie lekarz udzielał pomocy potrzebującym.

Betsey dotrzymywała Johnowi kroku. Szedł szybko, dźwigając Charliego.

– Charlie – szepnęła, dostrzegłszy ciemną plamę na jego jasnych mokrych włosach. Odcinały się wyraźnie od rękawa Johna. Ze łzami w oczach spojrzała na Johna. Szukała jego wzroku.

– Nie wiem – powiedział i przyspieszył.

– Mogę się tu na coś przydać – powiedziała Betsey, ale kiedy spojrzała na nabrzeże, zwątpiła.

John rozumiał jej rozterki. Z jednej strony naprawdę chciała pomagać tam, na miejscu, z drugiej pragnęła zostać z Sarah.

Charlie, gdy mówiło się głośno, odpowiadał. Spojrzał niewidzącymi oczami na matkę, powiedział coś, w czym dało się słyszeć słowo „pens”, ale brzmiało to tak, jakby ciągle był pod wodą. Mówił powoli i niewyraźnie. Doktor Nally powiedział, że ranę na głowie należy zszyć, ale to jest sprawa drobna, mimo że mocno krwawi. Zalecił przenieść chłopca do domu, żeby mógłby odpocząć. On wkrótce do niego przyjedzie. Lady Dunning kazała przynieść z hotelu bieliznę i podtrzymywała na duchu każdego, kogo uratowano z molo. Zaoferowała swój powóz, więc Charlie i Sarah mogli pojechać wygodnie.

– Zostań z Sarah – powiedział John do Betsey.

Rozum podpowiadał mu, że nie jest w niebezpieczeństwie i mogłaby napędce zorganizować punkt opatrunkowy i informacyjny, ale z jakiegoś irracjonalnego powodu chciał, żeby jak najprędzej znalazła się w domu i była blisko Charliego.

Skinęła głową. A potem pod wpływem impulsu wyciągnęła rękę, objęła jego głowę i przycisnęła do policzka.

– Nie pływ tam więcej – szepnęła, a on wiedział, że to coś znacznie silniejszego od obawy i groźniejszego od strachu kazało jej wypowiedzieć tę nierealną prośbę. Jakże bardzo chciałby ją spełnić.

– Będę uważał.

Pomógł jej wsiąść do powozu. Charlie wyglądał jednocześnie jak dorosły i jak dziecko leżące z głową na kolanach mamy. Jedynie bandaż zdradzał, że nie zapadł poprostu w spokojny sen.

Miałem wstrząs mózgu, przypomniał sobie John. Nie był wtedy wiele starszy od Charliego, ale to było poważne – na jakiś czas stracił wzrok. A teraz wszystko jest z nim w porządku.

Wszystko w porządku. Z Charliem też tak będzie.

Powóz ruszył. John odwrócił się, żeby spojrzeć na szpaler szalejących płomieni, które kiedyś były mołem. Kiedy zawalił się pawilon? Może wtedy, kiedy on był pod wodą i szukał

Charliego? Nie wiedział. W płucach cały czas go paliło. Wziął głęboki wdech i poszedł w stronę brzegu.

Kilka godzin później mył ręce pod pompą w wozowni przy domu Sarah. Próbował zmyć z siebie sól, piasek i woń dymu, choć wiedział, że wsiąkły w ubranie, tak jak krew w rękaw.

Wsadził głowę pod strumień wody i potrząsnął nią jak pies, a gdy się wyprostował, obok niego stała Betsey z ręcznikiem. Usiadł na podeście pompy, wytarł twarz i ramiona, a potem zaczął wycierać głowę i szyję.

– Co z nim? – zapytał.

– Jest nieprzytomny. W powozie leżał bez ruchu, tylko ręce mu drgały, ale od tamtej pory się nie poruszył.

– Nie widzę powozu Nally'ego.

– Był już dwa razy. Spodziewam się go znowu za jakąś godzinę. Panna Everson siedzi z Sarah.

Palcami rozczesywała mu włosy. Przyciągnął ją bliżej.

– Pożar ugaszony? Ciągłe jest mnóstwo dymu. – zapytała.

Przysunął twarz do jej ramienia, jakby w ten sposób chciał odpowiedzieć, ale nie mógł mówić. Czy pożar ugaszony? Będzie się tlił jeszcze godzinami, ale promenada została rozebrana, więc nie ma zagrożenia dla Esplanady. Płomienie nikogo więcej nie dopadły. Kto miał być uratowany, tego uratowano.

Ale na brzeg przywieziono trzy ciała. Leżały przykryte prześcieradłami. Była też lista, bardzo długa, zaginionych. A gdy John odjeżdżał, brzeg był usłany czarnymi kawałami drewna. Na plaży stał pastor ze starszym panem Fowlerem. Przekonywał go, że więcej łodzi już nie przybije do brzegu.

John przyciągnął Betsey jeszcze bliżej. Trzymanie jej w objęciach nie odganiało przerażenia, nie zagłuszało strachu ani bólu, ale sprawiało, że wszystko to wydawało się do zniesienia.

W pokoju Charliego panna Everson z pewnością spała. John pomyślał, że Sarah, leżąca na łóżku obok nieprzytomnego syna, też musiała zasnąć. Drzwi zaskrzypiały, gdy wszedł, ale kilka chwil upłynęło, zanim zapytała:

– Kto to?

Nie odezwała się, kiedy odpowiedział. Podszedł do łóżka, żeby przynajmniej na oko ocenić stan Charliego, ale lampa świeciła słabo, a Sarah leżała przytulona do niego, z ręką na jego piersi.

Poruszył się? Otworzył oczy? Co powiedział doktor? Na żadne z tych wyszeptanych pytań nie dostał odpowiedzi.

Czekał.

W pokoju nie było cicho. Panna Everson oddychała gardłowo, Sarah łkała. A Charlie...

Nagle poczuł, jak krew uderza mu do głowy.

O mało nie przewrócił lampy. Chciał ją podnieść i rozjaśnić pokój. Sarah wystawiła rękę, mocną jak żelazo, żeby mu przeszkodzić, gdy chciał zdjąć jej dłoń z twarzy syna. Jęczała i opierała się coraz wyraźniej. Mocowali się nad ciałem Charliego zaciekle i cicho. Trwało to dobrą chwilę.

Wreszcie John nakazał:

– Puść, Sarah, na Boga, puść. – Odepchnął ją. Opadła bez sił na materac, wstrząsana łkaniem.

– Charlie!

Zawołał go po imieniu o cal od jego twarzy, w najcieplejsze miejsce, ogrzane dłonią Sarah.

Pamiętał, jak Charlie otworzył oczy, kiedy zrobił tak na brzegu, więc krzyczał długo. Pamiętał, jak trzymał go w łodzi, z trudem odnajdując powolny, słaby puls, i dlatego teraz szukał go tak długo.

A potem zawołał znowu.

I znowu. Ile razy?

Sarah zaczęła go prosić, żeby przestał.

Padł na kolana obok łóżka, nadal trzymał w dłoni rękę Charliego.

– Sarah.

To słowo ledwo się przebiło przez jego zduszone gardło. Nie rozumiał, jak to możliwe, że ona tam leży. Nie rozumiał, jak to możliwe, że Charlie odszedł, skoro jego matka leży u jego boku, dlaczego nie było żadnego ostrzeżenia, żeby mogła zawołać o pomoc, dlaczego nie było czasu, żeby zrobić cokolwiek.

Poczuł, że ręka Charliego tężeje. A matka przytula jego ciało. On niech odejdzie. Kiedy długi niski jęk Sarah wypełnił pokój, ściskając pierś niczym sznur zaciśnięty wokół ciała, wcisnął twarz w pościel. Przestań, chciał jej powiedzieć, przestań, bo ten jęk go zabijał, był gorszy od sznura,

drążył go od środka, zżerał żywcem.

I nagle, gdy przestała, zrozumiał, że się mylił. Co mogło być bardziej stosownego, bardziej właściwego od tego krzyku jej duszy? Nie cisza, która nastąpiła po nim, biała jak zamrożone pole, martwota kryjąca narastający ból.

Sarah się odezwała – głosem płaskim, pustym, zupełnym przeciwieństwem tamtego krzyku.

– Czy on się bał?

Oczywiście. Jak wszyscy. Sam John nigdy nie przeżył tak przerażającej chwili jak ta, kiedy wypatrzył Charliego na molo.

– Był dzielny – odpowiedział. – Szykował się do skoku do morza.

Nauczył go skakać w tym samym roku, kiedy umarł doktor Elliot. O mało nie wywrócił łodzi, machając do niego, żeby go zauważył i nie skakał.

– Ja nie pytałam, czy był dzielny.

John zebrał się w sobie. Chciał jeszcze raz położyć dłoń na głowie Charliego, ale Sarah go powstrzymała i zrozumiał, że jest tu intruzem.

– Ja chcę wiedzieć, czy moje dziecko się bało. Ja chcę wiedzieć, dlaczego ty nie... – Szloch wdarł się w jej głos, zniekształcając słowa. – Powinieneś być... nikt inny... Ja tam stałam, czekałam i widziałam... nikt inny nie był tak ranny jak on! Nikt! Dlaczego się nie upewniłeś?

W głowie mu szumiało. Usiłował znaleźć odpowiedź na to pytanie, przeszukując wspomnienia. I wtedy zdał sobie sprawę, że ona ma rację. Był w wodzie, czekał, aż Charlie skoczy.

Płynął, gdy chłopak znalazł się w wodzie. Wiedział, bo czas mijał, a Charlie się nie wynurzał. Ile razy nurkował, żeby go znaleźć? Ktoś powiedział, że musiał uderzyć w dno którejś z łodzi, kiedy się wynurzał. Dlaczego tego nie przewidział? Nie upewnił się, że jest więcej miejsca?

Wyszedł z pokoju. Dlatego, że Sarah powiedziała, żeby wyszedł. Wykrzyczała, żeby wyszedł. Nie wiedział, ile razy to powiedziała.

Wszyscy domownicy stłoczyli się pod drzwiami pokoju Charliego. Ktoś popchnął Johna, spiesząc do Sarah, żeby się nią zająć. Szlochy, pytania. Zapewnienia: po doktora posłano, pani Elliot nie wiedziała, co mówi. Przecisnął się przez ten tłum, gromadząc w głowie odpowiedzi na wszystkie ich pytania.

Betsey wsunęła rękę w jego dłoń i nie zatrzymała go, dopóki nie wyszli.

– Wyślę telegramy do jej córek – powiedział.

– Niech to zrobi ktoś inny. Ona będzie cię potrzebowała.

Roztarł łzy na jednym jej policzku, całując ją jednocześnie w drugi.

– Poślij po mnie, jeśli czegoś będzie wam trzeba.

Pan Fowler nadal czekał na brzegu, a pastor stał obok niego. John wysłał telegramy i dołączył do nich. Teraz siedzieli we trzech na piasku, z rzadka coś mówiąc i poruszając się tylko wtedy, kiedy nadbiegała fala.

Świt rozjaśnił niebo.

Molo wyglądało jak osa.

John dostrzegł kilku swoich ludzi i od razu kazał im nadzorować sprzątanie plaży z wyrzuconych przez morze kawałków drewna. Szybko się okazało, że było to pierwsze z całej lawiny zadań, jaka mu się zvaliła na głowę, kiedy wszedł do biura.

Rozmawiał ze świadkami i z uratowanymi, zbierał informacje dla agenta Baumstona i Smythe'a, który miał niebawem przyjechać, i dla sir Altona, który przewidywał, że będzie dochodzenie. Co do przyczyny pożaru wszyscy byli zgodni: wybuchł w kuchni, na stoisku z przekąskami. Chorągiewki wiszące zbyt blisko palników zajęły się ogniem. Zanim pracownicy podjęli próbę ugaszenia go, cenne minuty przepadły. Jeden z mężczyzn ze łzami opisywał, jak na jego oczach płomień z takich, które dałoby się opanować, przerodził się w buzujący ogień.

Czworo zaginionych odnaleziono, całych i zdrowych. Odnaleziono też ciało pani Fowler. Jej nazwisko dopisano do listy ofiar, obok Charlesa Simona Elliota, który nie doczekał czternastych urodzin.

Tego popołudnia książę przewodniczył skromnej uroczystości oficjalnego otwarcia Kursaal. John przyszedł, bo sir Alton nalegał. W czasie przemówień czuł, że chwieje się na nogach. Wyczerpanie i trzy bezsenne noce w końcu go pokonały.

Nie było balu, nie było sztucznych ogni ani hiszpańskiego sopranu. Orkiestra odegrała hymn, a pastor wspominał w modlitwie o ofiarach i o ich rodzinach. Popołudniowe słońce oświetlało tłum, który raczej ospale przesuwiał się po trawniku, bardziej zainteresowany cieniem i bryzą niż mowami i programem uroczystości.

Kursaal był dowodem na to, że Idensea intensywnie się rozwija, a teraz stał się nadzieją i świadectwem, że miasto przetrwało – jak to ujął książę. Sir Alton mówił w tym samym duchu, ale John przyjął to z rezerwą i niepewnością.

Sir Alton i architekt przecięli wstęgę i podeszli do niego. Rozmawiali o molo. O nowym molo.

Wydawali się zaciekawieni, ale John mógł tylko słuchać w milczeniu. Wreszcie pokręcił głową.

– Nie będę teraz o tym mówił, nie ma powodu. Ja jestem... – Przerwał. Widział, że są coraz bardziej zaciekawieni, i czuł, że myśli mu się płaczą. – Skończony.

To było wszystko, co zdołał powiedzieć.

Sir Alton szedł za nim przez gęsty tłum.

– Skończony? Chce pan powiedzieć, że pan nie zostaje?

– Tak.

– Na otwarciu?

Sir Alton wyraźnie oczekiwał deklaracji. John się zatrzymał.

– Czy to pana martwi?

– Martwi mnie teraz wiele rzeczy, panie Jones – burknął z rzadką u niego irytacją, bez wątpienia dlatego, że był zmęczony. Ale natychmiast się opanował: – A pan, owszem, pan jest jednym z powodów moich zmartwień, gdy wspomnę, jakie starania pan niedawno podjął, żeby ustalić, jakie korzyści mógłby pan odnieść, porzucając Idensea.

– Nie robiłem z tego tajemnicy.

– A ja pana za to nie winię. Jest pan młodym człowiekiem, który próbuje iść własną drogą.

Ale... – Wystudiowane wahanie, a potem uśmiech. – I nie uważam pana za kogoś, kto nie potrafiłby docenić wróbla, którego ma w garści. Ktoś z pańską pozycją powinien być twardy.

A kompania polega na panu. – Wskazał na Esplanadę. – Całe Idensea na pana liczy.

Nagle John odzyskał energię.

– Nie zrzuci pan tego na mnie. To nie jest tylko moja sprawa, więc nie zrzuci pan tego na mnie.

– Na miłość boską...

– Czy wie pan, że wszystkie ofiary to miejscowi? Nasi sąsiedzi. Dlaczego pan im czegoś nie powie? – Wskazał na podium, z którego wygłaszano kolejne mowy. – Stamtąd. Dlaczego nie powiedzieć czegoś do sąsiadów? Przyszli tu tylko po to, żeby słuchać o tym, jak ich otoczenie będzie rozkwitać?

– Więc lepiej mówić o niepowodzeniu i porażce?

– Oni zasłużyli na to, żeby im podziękować za ich udział w tym wszystkim! Powinno zostać głośno powiedziane, co firma im zawdzięcza. Dlaczego nie może pan powiedzieć, że będzie przystań dla szalup ratunkowych? Coś więcej niż dwudziestoletnia pompa ręczna dla straży? Jakaś pomoc dla rodzin, które... Charlie Elliot... jego ojciec przyjmował poród pańskiej córki... na rany Chrystusa, to powinno zostać powiedziane.

– Nie zostało. Taka okazja. – Ostrożne słowa. Ale potem lekko westchnął. – Nadarzy się okazja, śmiem twierdzić, i mam nadzieję, że pan tu wtedy będzie, ale na razie niech pan idzie odpocząć. Wygląda pan jak sama śmierć, a dzisiaj zrobił pan znacznie więcej, niż do pana należało.

Mam nadzieję, że pan tu wtedy będzie. John nie wierzył w szczerość tej deklaracji. Czuł, że sir Alton jest gotów mu obiecać wszystko, żeby go zmusić do pozostania, skoro chce, żeby sprawy były prowadzone jak należy. A może to było coś, czego sam się uczył?

Ruszył do hotelu. Zamierzał coś zjeść, umyć się i wypożyczyć jakiś środek lokomocji, bo na myśl o pedałowaniu do domu Sarah całe jego ciało się buntowało.

I w końcu to ciało odmówiło posłuszeństwa. Kiedy się obudził, było ciemno i ktoś ściągał mu buty. Między uchylonymi powiekami dostrzegł błysk mosiężnych guzików i się uspokoił.

– Idę do The Bows. – Próbował wstać z łóżka.

– Sarah śpi. Jej córki już przyjechały. Doktor jej coś dał. Nie ma tam nic do roboty aż do jutra – powstrzymała go Betsey.

Wydawało się to nieprawdopodobne. Ale brzmiało przekonująco, wsparte autorytetem tej dziewczyny, która go kochała.

Spał. Później namacał jej ramię, delikatne i nagie. Spoczywało obok jego ramienia.

– Tak mi przykro – powiedziała, bo szlochał w jej szyję. Wszystko tak bardzo się popsuło, a on nadal nie wiedział, jak to naprawić. – Iefan, tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro. Ty go kochałeś, a mnie jest tak przykro.

Jej głos przeszedł w szloch. Objęła go, gdy ją nakrył swoim ciałem, całując i dziękując Bogu, że przysłała do niego, i myśląc: Boże, co by było, gdyby nie przysłała? Jej ciało osłoniło go przed rozpaczą. Na jej policzku mógł wylewać łzy. Pod jego dotykiem jej ciało drżało, jej rozkosz była jego schronieniem. Tyle tu dobra. Że ona mogła do niego przyjść, że ich porozbijane dusze mogły razem stworzyć jakąś całość. To było dobre. Ona to sprawiła.

Kochał się z nią, szepcząc:

– Kocham cię, Elisabeth. Na Boga, tak cię kocham.



Jeśli karetką stanie: może powodem jest to, że skończyła się taśma.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Betsey obudziły światło słońca i plusk wody. Drzwi do łazienki Johna były otwarte.

Widziała jego nagie plecy i zwisające szelki. Poczowała zapach mydła i znowu zamknęła oczy.

Pozwoliła sobie na krótki sen na jawie: śniadanie tu, w tym pokoju, ona ma na sobie koszulę Johna, siedzi obok niego. A potem spacerują, trzymając się za ręce.

Kiedy otworzyła oczy, miała mokre rzęsy. Ona i John nigdy nie siedzieli obok siebie, nawet w kościele – zawsze byli między nimi Seilerowie albo Sarah i Charlie.

Po drugiej stronie pokoju John zapinał koszulę. Światło padające z okna oświetlało jego ramiona i opadające na czoło czarne włosy.

Sięgnął po krawat przerzucony przez oparcie krzesła i zastygł: zdał sobie sprawę, że ona nie śpi. Myślała o tym, że powinna mu była to powiedzieć w nocy, albo i przed chwilą. *Jak bardzo cię kocham,*

Iefan, jak ja cię kocham. Chciałaby nie myśleć o tym, że teraz już na to za późno.

Zawiązał krawat.

– Będzie z tego niezłe zamieszanie, jak cię odwiozę do domu.

– Oddałam swój pokój wnukom Sarah. Nikt się mnie tam nie spodziewa.

Kilka rzeczy, które zabrała ze sobą, leżało pod biurkiem.

Twarz miał wilgotną i zaróżowioną po goleniu, światło wydobywało drżenie jego mięśni. Potrzebowali się tej nocy nawzajem, ale to, że to był jej wybór, wprawiło go w zakłopotanie.

Dodała:

– Więc nie musisz się martwić o to, jak mnie przeszmużlować z powrotem do domu.

– Byłem przygotowany na takie zamieszanie, Elisabeth.

Leżała na boku. Wzruszyła jednym ramieniem, godząc się z tym, że stało się to, co się stało. Dopiero kilka chwil później dotarło do niej, co miał na myśli, i zrozumiała, na co był przygotowany. Na to, żeby jej oszczędzić skandalu. I na ofiarę, na wybawienie jej z opresji.

Był – nadal jest – gotów ją poślubić.

Otworzyła dłoń pod poduszką. Przez pierze poczuła na policzku nacisk swoich palców.

– Nadal uważasz mnie za jakąś świętą dziewicę.

– Widzę ciebie. – Powiedział to z naciskiem, patrząc na nią przenikliwie. – Widzę ciebie. Ty jesteś tą, która tak uważa.

– Nigdy tego od ciebie nie oczekiwałam. – Usiadła na łóżku i podniosła głos, zasłaniając piersi prześcieradłem. – Nigdy na to nie liczyłam. Mieliśmy umowę...

– Nigdy więcej nie mów mi o żadnych umowach...

– ...i w nocy ona wygasła.

– ...czy ty słyszysz? Dla ciebie to sprawa wygody i nie będziesz miała...

– Nie mamy wobec siebie żadnych zobowiązań.

Zapadła cisza. Pokój zdawał się oddychać i migotać, a światło blakło i pojawiała się znowu, gdy przepływała chmura. Coś skrzypnęło w podłodze. John podszedł do łóżka, a ona podciągnęła kolana, żeby miał gdzie usiąść.

– No, cóż, dziewczyno. Ja cię kocham. To w nocy nie było ani kłamstwem, ani kaprysem. I tyle.

Zastygła z czołem wspartym o kolana. Wierzyła mu. Wierzyła, i wiedziała o tym, zanim jeszcze to powiedział. Owinięta w kokon własnych ramion i nóg widziała Zagrodę Tinfell – obraz rozmazany przez kpinę, którą poczęstowała sir Altona, przez jej własny cynizm, może nawet gorszy od tego, jaki prezentował jej zwierchnik. Dlaczego – o co – walczyła? Dlaczego nie mogła wziąć tego, czego chciała, niezależnie, jaką drogą to do nie trafiało?

John namacał pod prześcieradłem jej stopę i ją ścisnął.

– Pearse Leland dzisiaj wyjeżdża – powiedział. Podniosła głowę. – Zamierzam się z nim zobaczyć i zrobię wszystko, żeby mnie zatrudnił w Londynie.

– Bądź ostrożny. – Powtórzyła mu to, co usłyszała z rozmowy Lelanda z sir Altonem przy kolejce. – Chciałam ci o tym powiedzieć wieczorem na balu, ale...

Bal się nie odbył.

John nie wydawał się zaskoczony.

– Szkoda gadać, ile ten człowiek narobił mi szkody od czasu, jak uznał, że powinienem być mu wdzięczny za to, że mogę spędzić resztę życia na kierowaniu jego firmą. Ale są członkowie zarządu, którzy opowiedzą się za mną i przeciwko pomówieniom. Tak sędzę.

– Oczywiście.

Nie wątpiła, że jeśli zechce, to dostanie tę pracę. A chciał jej, to było oczywiste. Takiego zatrudnienia szukał już wcześniej. A teraz, po pożarze... I jeszcze Charlie...

Nie było mieć świadomość, że nadal chce tej pracy.

– Więc – zaczęła – kiedy się myłeś i czekałeś, aż się obudzę... – Przygryzła wargę, bojąc się, że to, co powie, będzie palące i kruche. – Postanowiłeś, że się pobierzemy i pojedziemy do Londynu.

Jego usta wykrzywił przeprasający grymas.

– Nienawidzisz Londynu.

Potrząsnęła głową.

– Nie, ja tylko przysięgłam sobie, że już nie będę tam mieszkać.

– Będzie inaczej. Przekonasz się, gdy nie będziesz tam sama.

Każdej jej myśli o Londynie towarzyszyła ponura i często przerażająca wizja walki o utrzymanie i opłacanie mieszkania. Żeby wyobrazić tam sobie siebie w roli żony, musiała przywołać obraz swojej siostry i pani Dellaforde, a nawet lady Dunning. Żaden z nich jej nie pociągał.

Siedziała bez słowa. John rzucił na nią okiem i zaczął się wpatrywać w dywan, a jego palec przez prześcieradło przesuwiał się po obrysie jej stóp.

– Jadę do Walii, najszybciej, jak tylko będę mógł się wyrwać. Chcę się zobaczyć z rodziną. To znaczy porozmawiać z tatą i zabrać Owena – powiedział.

Betsey się wyprostowała.

– Twojego brata? John, zamierzasz go wychowywać sam? – Wiedziała, że dużo o nim myślał, ale widział to dziecko zaledwie dwa razy w życiu. – A twój ojciec? Co on na to powie?

– Tata zrozumie. Ja mogę zapewnić Owenowi lepsze życie. On zrozumie. Jeśli będę miał tę pracę u Lelanda.

– Ale...

Ugryzła się w język. John najwyraźniej nie chciał słuchać żadnych ale. Chociaż przespał całą noc, wykapał się i ogolił, wyglądał...

Pomyślała o tych miesiącach, kiedy pracowała w pralni. Góry brudnej bielizny doprowadzały do rozpacz, gdy się o nich myślało.

Powiedziała cicho:

– Co z ciebie za głupiec.

Uśmiechnął się. Pochylił się nad nią, a ona opadła na poduszki. Jego dłoń zaczęła gładzić jej ciało. Po chwili poczuła jego ciężar. Całował ją, a ona myślała: potrzebuję go. I jednocześnie: czy to nie podstęp z mojej strony?

W swoim najlepszym niedzielnym ubraniu John usiadł obok niej na rozrzuconej pościeli. Przytulił ją do piersi i odgarnął jej z twarzy włosy.

– Budzisz się i zmieniasz wszystko w swoim życiu? – Mówiła spokojnie. Nie była zresztą pewna, czy chce, żeby to słyszał. – Wciągasz w całe to zamieszanie małe dziecko? Iefan.

– Żadne zamieszanie. To tylko ustawianie rzeczy tam, gdzie były na początku. Bo ja wiem, jak powinno być. To bardzo proste. Miałem już wcześniej plany i nadal je mam. Dobrze wiem, jak powinno być.

– Mnie nie było w twoich planach.

– Nie, nie było. – Jego głęboki śmiech mogła wziąć tylko za wyraz wdzięczności. Ta jego pewność napełniała ją obawą. Przed nim.

– Powiedz mi, jak się czujesz, teraz, rano. Postanowiłeś, że uratujesz ostatnie skrawki czci, jakie mi zostały, żeniąc się ze mną. Pozbawisz się szans na pieniądze, koneksje i dzieci...

– Będzie z nami Owen.

– Nie. On nie jest częścią tego wszystkiego. – Jakoś dziwnie niedobrze to zabrzmiało. – On nie jest...

Usiadła. Gdy tak leżał na poduszce, kołnierzyk wyraźnie odcinał mu się od szyi. Próbowwała go poprawić, a potem przesunęła końcem palca po nakrochmalonej krawędzi mankietu. Z czarnej tekturowej ramki stojącej na biurku w drugim końcu pokoju patrzyła cała jego duża rodzina: w środku matka z małym Owenem na kolanach. Nagle przybłąkało się niemiłe wspomnienie Avery'ego Nasha i jego przytulnego mieszkania, które wynajmował, kiedy się poznali, z maszyną do pisania i książkami.

– Owen to nie jest ktoś, kogo poświęcisz.

– Elisabeth. – W jego głosie słychać było irytację.

– Po prostu mi powiedz. Jak się czułeś?

– Jak myślisz? Byłem zadowolony. Odprężony, bo to... bo to była dobra, dobra decyzja. I jest.

Nie potaknęła, więc spojrzał w sufit. Nie mogła się zgodzić. Była w rozterce, zaskoczona tym, co usłyszała, a przede wszystkim niepewna, czego się spodziewać w przyszłości.

– Czy ty myślisz, że dziś po raz pierwszy pomyślałem o tym, żeby cię poślubić? Kursaal skończony, Elisabeth, a koniec sezonu się zbliża. Szukałem nowego miejsca. Dzięki Bogu Pearce Leland miał coś, ale nie oferował mi tego wprost. Gdybym był gotów, toby to zrobił, niezależnie od tego, co tam sir Alton knuł za moimi plecami. Ale... – Wsparł się na ramieniu. – Ale ja się nie spieszyłem.

Czekał, aż ona dopowie, dlaczego. *Z twojego powodu.*

– Nie mogłem wymyślić, jak to zrobić – dodał.

Zostawić cię.

– Trudno o tym myśleć, ale dziś...

Znów zawiesił głos.

Powiedziała:

– Uznałeś, że odebrano ci możliwość wyboru, i poczułeś ulgę.

Zły wniosek. Chwila konsternacji, a potem kamienny mur wyzwania. Odwróciła się do niego plecami i wstała z łóżka.

– Nie to miałem na myśli, nie mów o tym w ten sposób.

Jej ubrania leżały na schludnej kupce, tak jak je poskładała wieczorem. Zaczęła się ubierać, trzęsły jej się ręce.

– Ja wiem, to nie jest miłe. To nie jest to, co można znaleźć w wierszu. Ale ani twoje, ani moje życie nie ma wiele wspólnego z poezją, John.

– Do cholery, ty wszystko przekręcasz, ze wszystkiego robisz... – Zirytowany podniósł się z łóżka i podszedł do niej. Położył dłoń na ubraniach, których jeszcze nie wzięła. – Dlaczego to robisz?

– Przez ciebie, John. Ty, który tak wierzysz swojemu instynktowi, podejmujesz decyzje bez oglądania się za siebie, przynajmniej wtedy, gdy nie dotyczą mnie. Byłeś zachwycony, że decyzję podjęto za ciebie.

– Nie rozumiesz.

– Nie mogę... to nie ma sensu. Nic, co ma związek z tobą, teraz nie ma sensu. Nie rozumiem, jak możesz opuścić Idensea, Sarah, właśnie teraz. Ktoś inny mógłby, ale nie ty.

– Elisabeth, spójrz na ten pokój. – Upuścił jej ubrania i powtórzył spokojniej: – Spójrz na ten pokój.

Spojrzała, choć znała go bardzo dobrze, bo był taki sam jak pozostałe pokoje w hotelu.

Obrzuciła wzrokiem rozgrzebane łóżko, kartonową ramkę ze zdjęciem rodziny Johna, spostrzegła jeden z własnych guzików tajemniczo przyczajonych na kominku. Na tym oględziny się skończyły.

– Czy chociaż jedna rzecz w tym pokoju mówi ci, że uważam go za swój dom?

– Pomyśl tylko, proszę...

– Idensea to nie moje miejsce! – Rzucił się na łóżko i zaczął przerzucać pościel, jakby czegoś szukał, ale robił to tak desperacko, że wystraszona Betsey mogła jedynie patrzeć. – Nie zamierzałem tu zostawać. Miałem i mam swoje plany. Ale nie planuję ani osiedlić się w Zagrodzie Tinfell, ani spędzić reszty życia na prowadzeniu interesu człowieka, któremu nie ufam. – Z białej pościeli wynurzył się czarny krawat. Złapał go. – Wszystko to pójdzie w diabły, jeśli tylko ja mam się o to troszczyć.

Serce jej się ścisnęło. Nie wiedziała, czy robi dobrze, ale brnęła dalej:

– Nawet Sarah?

Gwałtownie pokręcił głową i zarzucił krawat na szyję.

– Ona będzie cię potrzebowała. Będzie potrzebowała, żebyś jej wybaczył.

– Wszystko, czego Sarah ode mnie potrzebowała, już ma. Nawet jeśli to jest nienawiść do mnie.

Walczył z krawatem. Betsey podeszła, żeby mu pomóc, chociaż trzęsły jej się palce. To nie był krawat z czystego jedwabiu, ten, który dostał od pana Seilera. Zastanawiała się, czy go nie stracił w nocy razem z płaszczem. Zawiązała i wygładziła, a John złapał ją za rękę.

– Jedź ze mną. Po prostu jedź.

Uwolniła się z uścisku, nie odpowiedziała. Wiedział, że odmówi. W końcu się odezwała:

– Nie mogę. Prosisz mnie, żebym ci zaufała, a ja nie mogę.

Kiedy to powiedziała, rozwarła się między nimi głęboka przepaść. Betsey wyszeptała:

– Nie z powodu tego, jaki jesteś teraz. Ja nie wierzę, że ty wiesz, co robisz.

Obserwowała go przez kilka następnych dni i cały czas przypominał jej o płonącym molo.

Tak jak wtedy czuła się mała i bezradna. Jeśli uważała, że w jakiś sposób postradał zmysły, to czy wierzyła, że je odzyska? Wiedziała, że nie zostawia nic przypadkowi. Widziała, że ma podkrążone oczy i że ciemne kręgi wokół nich nie blakną.

Biuro zalewały listy i telefony. Co chwilę odbywały się spotkania. Zjawił się jakiś trzęsący się staruszek i zażądał widzenia z kimś, kto za wszystko odpowiada. John był w samym środku wydarzeń i to on przyjął staruszkę. I choć Sarah nie chciała widzieć ani jego, ani nikogo innego, jej córki polegały na nim i na jego radach we wszystkich sprawach. W dniu pogrzebu Charliego cały czas był na wyciągnięcie ręki, a w ciszy, jaka zapadła na czas modlitwy nad grobem, Betsey usłyszała charakterystyczne szuranie kciuka o palec wskazujący.

Nocami nie dawały jej spać palpitacje serca. Wciśnięta w pościel tęskniła za Charliem. Żał jej było Sarah. I siebie. I Johna, Johna, Johna. Co z nim będzie? – zastanawiała się.

Jak jasno, jak przerażająco się spalał. I jak szybko. Niewiele ponad tydzień od pożaru molo wkroczyła do biura pełna wątpliwości i niepokoju.

Pan Jones złożył wypowiedzenie. Miał objąć nową posadę w Londynie.



Nie da się stworzyć ścisłych reguł dla wszystkich przypadków, z jakimi można mieć do czynienia.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Lillian rozumiała, że nieszczęsny pożar postawił przed Johnem mnóstwo dodatkowych zadań, ale nie mogła sobie wyobrazić, że jest zdolny do czegoś tak okropnego jak zlekceważenie jej. Był... no cóż, może nie miał wszystkich cech stuprocentowego dżentelmena, ale to przyzwoity człowiek i ani nie był roztargniony, ani nie potrafił żywić urazy. Można było na nim polegać. I ona na to liczyła. Zarzucenie na niego sideł nie było całkiem uczciwe, i to z kilku względów, ale widziała, że nie zostało jej zbyt wiele możliwości.

A poza tym kończył jej się czas. Obiecała ciotce Constance: zanim reszta rodziny wróci znad słonych jezior, z wycieczki z przyrodnikiem, będzie zaręczona.

Tak więc udała się do biura i w obecności skonsternowanych urzędników oznajmiła, że wie oczywiście, że pan Jones dziś wyjeżdża, ale musiała pomylić godzinę, a do tego nie jest pewna, kiedy wraca, czy zatem któryś z panów byłby tak uprzejmy i odświeżył jej pamięć...

Wszyscy panowie wstali, kiedy zobaczyli ją w drzwiach, ale odezwał się tylko jeden młody urzędnik. Pokręcił głową.

– Nie umiem powiedzieć, proszę pani. To znaczy... on nie powiedział, a przynajmniej ja nie wiem.

– Rozumiem.

Inny, z twarzą białą i okrągłą jak tarcza zegara, podniósł palec, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Myślę, że panna Dobson będzie umiała pani coś powiedzieć. Panno Dobson, kiedy możemy się spodziewać powrotu pana Jonesa?

Przez biuro przeszedł szmer i nikt już nie patrzył na Lillian. Niektórzy nagle zainteresowali się pulpitemi swoich biur, ale spojrzenia większości powędrowały gdzieś za jej plecy. Lillian odwróciła się i zobaczyła przy drzwiach młodą kobietę, niepokojąco wysoką, ubraną w ciemnobrązowy tweed. Panna Dobson nawet na nią nie spojrzała – ani na nią, ani na nikogo innego – tylko zmierzając do jednego z biur, rzuciła:

– Jest pan w błędzie, panie Hamble. Ja nie wiem.

– Ach – skwitowała tarcza zegara. – No i widzi panienska. Byłem w błędzie. Panna Dobson mówi, że nic nie wie. No to musimy jej wierzyć.

Z głębi biura dobiegł czyjś chichot. I Lillian zrozumiała. Nie potrafiła powiedzieć jak, ale zrozumiała.

– Dziękuję. W takim razie to wszystko – powiedziała tonem, jakim zwracała się do służby, i ruszyła zdecydowanie w stronę biurka tej dziewczyny.

Ale ta spojrzała na nią tak irytująco spokojnie, że zrobiło jej się wręcz słabo. Rozejrzała się po biurze. Nagle wszyscy zaczęli wracać na swoje miejsca za biurkami i do swoich obowiązków.

Och, co oni sobie wyobrażają, że co miałyby się tu stać? Że ona, Lillian Gilbey, będzie się bić z biuralistką? O mężczyznę?

Odzyskała panowanie nad sobą i uśmiechnęła się do tej dziewczyny – z góry, bo tamta siedziała przy biurku.

– Panna... Dobson? Mój ojciec przyjeżdża z Londynu i jak zwykle spędzi cały weekend z rodziną. Ale tym razem ma urodziny, rozumie pani, i chciałam zorganizować prywatny obiad dla niego w tym hotelu. Czy byłaby pani uprzejma mi w tym pomóc?

– Nie, panno Gilbey.

– Nie? – Lillian odzyskała już pewność siebie, ale tak bezpośrednia, wyrażona wprost odmowa zbiła ją z tropu. A do tego jeszcze ta dziewczyna znała jej nazwisko. – Ja... ja nie rozumiem. Dlaczego nie?

Tamta się uśmiechnęła. Szeroko i z wdziękiem.

– Jeśli dobrze zrozumiałam pytanie, to mogę panią jedynie poinformować, że mamy tu w hotelu pewne zasady. Jedną z nich mówi, że do moich obowiązków nie należy obsługa gości.

W tej sprawie powinna się pani zwrócić do pana Seilera, menedżera hotelu.

– Rozumiem.

Wypadło to blado. Panna Dobson wróciła do swoich zajęć, najwyraźniej uznając, że rozmowa została zakończona. Zapomniała, że umoczyła pióro w kałamarzu, i po papierze rozlał się wielki czarny kleks. Zakłęła. Cicho, i tylko Lillian mogła to usłyszeć, ale gwałtowność, z jakim wypowiedziała to słowo, była szokująca. Lillian się cofnęła. Nie mogła przecież rozmawiać z kimś takim jak ta tutaj.

– Rozumiem. – Odwróciła się, żeby ruszyć do wyjścia. – Ale...

Była zdesperowana. Musi coś powiedzieć ciotce Constance, inaczej ciotka Constance...

Odwróciła się i nachyliła nad biurkiem, w sposób zupełnie nieliczący z godnością damy.

– Proszę, panno Dobson – powiedziała, cicho, ale równie szczerze jak tamta zaklęła. – Ja chciałabym... ja muszę z panią pomówić, a nie mogę tego zrobić przy tych wszystkich ludziach, którzy się przypatrują. Proszę, czy zechciałaby pani ze mną wyjść? Tylko chwilę.

No cóż, twarda sztuka z tej Dobson, to było oczywiste. Ale w jakiś sposób Lillian udało się ją skruszyć. Skinęła lekko głową i poprowadziła Lillian na werandę, w miejsce oddalone od uszu gości czytających popołudniowe gazety. Lillian milczała, więc panna Dobson spytała, czego chce.

– Muszę wiedzieć, kiedy John, to jest... pan Jones... ma wrócić. I jestem przekonana, że pani coś o tym wie.

– On zrezygnował z pracy tutaj. Nie wiedziała pani o tym, panno Gilbey?

Każda odpowiedź, jakiej by udzieliła, odsłoniłaby bezmiar jej niewiedzy. Lillian mogła jedynie skinąć głową, co, jak miała nadzieję, mogłoby oznaczać, że wiedziała.

– Wróci tylko po swoje rzeczy, ale dopiero co wyjechał. Na razie do Londynu, potem do Walii, a ta podróż może mu zająć kilka dni albo i kilka tygodni. Obawiam się, że nie wiem nic, czego pani chciałaby się dowiedzieć.

Mówiła to, wycierając powalane atramentem palce w jedną z tych okropnych chustek domowej roboty, jakie zawsze nosił John. I ta chustka w jej rękach, mówiąc delikatnie, odbierała wiarygodność temu, co powiedziała. Lillian, coraz bardziej zaniepokojona, zacisnęła usta i w myślach ułożyła następne pytanie. Musi zachować zimną krew.

– Panno Dobson, czy pani jest w Johnie zakochana?

Całkiem nieźle. Gdyby tylko panna Dobson nie była tak niesamowicie wysoka, można by uzyskać niezły efekt. Lillian, cały czas z uniesionymi brwiami (byłoby znacznie lepiej unieść jedną, gdyby potrafiła to zrobić), czekała na odpowiedź.

– To nie jest to, co pani naprawdę chce wiedzieć, prawda?

– To... nie jest?

– Myślę, że to, co panią trapi, to czy John kocha mnie.

Lillian wypuściła powietrze. Patrzyła w dal, żeby ukryć łzy. Ach, Boże, co ona pocnie, jeśli tak rzeczywiście jest, jeśli John kocha tę dziewczynę? Przy całym nieprawdopodobieństwie nagle poczuła, że nie ma innej drogi.

– Nie wiem, dlaczego płaczę – skłamała. Panna Dobson podała jej poplamioną atramentem chusteczkę Johna, co sprawiło tylko, że nie zdołała się powstrzymać od nieładnego szlochu.

Pokręciła głową i zaczęła grzebać w swojej małej torebce. – Ja tylko... ja go po prostu potrzebuję. Ja go potrzebuję!

Nie mogąc znaleźć chusteczki, podniosła do twarzy całą torebkę i przycisnęła ją do oczu.

– Pani go potrzebuje? Raczej go pani chce, panno Gilbey. To będzie o wiele bliższe prawdy, a dla pani łatwiejsze od udawania, że pani wie, co znaczy potrzebować kogoś.

Lillian odsunęła torebkę od oczu. Torebkę z indyjskiego jedwabiu, haftowaną, wyszywaną koralikami. Pasowała tylko do popołudniowej sukni, którą właśnie miała na sobie. Panna Dobson, w swoim burym tweedzie, z ordynarną, a do tego pożyczoną chustką w ręce, uważała, że Lillian Gilbey nie rozumie, co znaczy potrzebować. I pomyśleć, że Lillian Gilbey mogła brać to, co chciała, nawet odbierając to innym.

– Ja go jednak potrzebuję – wyszeptała. – Ja muszę... ja muszę wyjść za mąż, natychmiast.

Panna Dobson szarpnęła ją za łokieć tak mocno, że Lillian upuściła parasolkę. Wyprowadziła ją z werandy. Poszły przez podjazd do fontanny. Woda spadała z głośnym pluskiem.

– Cokolwiek ten cholerny głupiec zrobił, chyba cię nie wydupczył i nie jesteś w ciąży!

Lillian ze zdumienia otworzyła usta. Nie doprowadziło do tego ani szorstkie obejście, ani równie szorstki język Betsey: sprawiło to słowo „ciąża”. Lekarz, do którego ciotka Constance zaprowadziła ją dyskretnie pewnego popołudnia, nie użył tego wyrazu, i nawet ciotka Constance, bardziej skłonna do obcesowego zachowania, mówiła o tym w bardziej zawoalowany sposób.

Zwęziły jej się oczy, gdy zniechęcona tym, co się stało na stacji, przyznała, że prawie się cieszy, że z powodu pożaru bal się nie odbędzie, bo ona gotowa jest od razu iść do łóżka. A po tym, jak dwa czy trzy razy z rzędu wystąpiła po południu w tym samym spacerowym kostiumie, ciotka wzięła ją na stronę, wyraźnie zatroskana.

Ale trzeba było czasu, żeby zrozumiała, o co ciotce chodzi, gdy ją wypytuje o zdrowie i czy nadal jest taka sama, jak była przedtem. A potem dlaczego jest ciekawa, czy ma regularny okres...

Skończyło się nad wyraz krępującą i szokującą rozmową, o której teraz Lillian myślała, że poszłaby o wiele bardziej gładko, gdyby ją poprowadziła panna Dobson. Była jej w jakiś sposób wdzięczna za bezpośredniość, choć wyrażoną w ordynarny sposób.

– To nie John – powiedziała. – Ktoś inny.

Nie zdawała sobie sprawy, jak mocno panna Dobson trzyma ją za łokieć, dopóki ta jej nie puściła. Ale nawet wtedy ręka powyżej łokcia mocno ją bolała.

– To dlaczego, do cholery, nie wyjdiesz za tamtego? I przestań płakać, zwracasz na siebie uwagę.

Znowu wyciągnęła chusteczkę, ale tym razem Lillian wzięła ją i złożyła poplamioną częścią do środka, tak żeby mogła wytrzeć oczy i nos.

– On mnie zostawił – powiedziała i znów zalała się łzami. – Ja jestem w strasznym, strasznym położeniu. Wiem, że na to zasłużyłam, ale nie rozumiem...

– Proszę przestać płakać. Panno Gilbey, proszę przestać płakać.

Głos dziewczyny z biura brzmiał teraz jakoś spokojniej. Spokojnie i prawie ciepło. Lillian była jej niemal wdzięczna za to, że jest gotowa ją przygarnąć jak sierotę w Boże Narodzenie. Ciotka Constance, przy całej swojej chęci niesienia pomocy, nie mogła pojąć głębi jej rozpacz, a ona wiedziała, że gdy o wszystkim dowiedzą się rodzice, będzie jeszcze gorzej.

Panna Dobson niczego nie oczekiwała, za to najwyraźniej wiedziała, że dziewczyna może się znaleźć w kłopotcie, a gdy to się stanie, to jest to bardzo przykre. Taka sympatia była dla Lillian najcenniejszym podarkiem, jaki kiedykolwiek otrzymała, cenniejszym od sznura pereł długiego na milę.

Z ławek otaczających fontannę widać było morze. Zajęły jedną z nich. Lillian próbowała przestać płakać. Patrzenie na fale chyba pomagało, podobnie jak przypominanie sobie urywka z Tennysona: *Rabaty kwiatów mchem najczarniejszym grubo porosły.*

– Sześć-czy siedmiomiesięczne dziecko. Sądysz, że John by w to uwierzył? – zapytała po chwili panna Dobson.

– Nie wiem... Czy mężczyźni zwracają uwagę na takie rzeczy? – Dzięki ciotce Constance niedawno zauważyła, że niektóre znajome pary mają takie problemy z rachunkami, ale pełne niedowierzania spojrzenie panny Dobson świadczyło o tym, że są to problemy nietypowe. – Nie wiem, co myślałam, ale ze wszystkich znanych mi dżentelmenów stanu wolnego John...

– Najprędzej zgodziłby się chować cudze dziecko. Żeby cię uratować. I uratować dziecko.

– To dobry człowiek. – I był tu, na miejscu, pomyślała. Przynajmniej do niedawna. – Nie byłby ze mną nieszczęśliwy. Ja tak myślę. Myślę, że on chciał mnie prosić. Przed... – Panna Dobson uśmiechała się złowrogo. Pochyliła się nad Lillian. Ta odruchowo się cofnęła.

– Tak jest – powiedziała panna Dobson. – Przede mną. I teraz nie wiesz, co z tym zrobić, prawda?

Lilian potrząsnęła głową, jakby się pod przymusem zgadzała. Kłamała. Przeciwnie – jeszcze przed chwilą wiedziała bardzo dobrze. Łzy popłynęły na nowo – John był dla niej stracony, a wraz z nim wszelka nadzieja. Przycisnęła chusteczkę do ust, ale emocje znalazły upust w nieprzyjemnym, chrapliwym spazmie.

– No to płacz, ja cię za to nie winię – powiedziała panna Dobson. – To, przez co teraz przechodzisz, to okropny wstyd. Ale posłuchaj mnie uważnie, panno Gilbey. – Mówiąc to, dotknęła palcami jej policzka, i ten gest, choć nie włożyła w niego ani odrobiny siły, zmusił Lillian, żeby spojrzała jej w oczy. – Nie po to pozwoliłam Johnowi odejść, żeby takie jak ty mogły go wykorzystywać do swoich celów.

Takie jak ona? Z wrażenia Lillian przestała płakać. Ona nie jest przecież jak i n n e t a k i e – a przynajmniej nie była przedtem. Ale teraz upadła, więc może...

Panna Dobson dokończyła.

– A jeśli się odważysz wystąpić do niego z taką samolubną i desperacką prośbą... – W zamyśleniu wpatrywała się w kapelusz Lillian. Potem, jakby od niechcienia, wyciągnęła z niego szpilkę. Trzymała ją

między nią a sobą, ostrym końcem w górę, i nie przestawała lekko dotykać policzka. – Lepiej pilnuj własnego karku.

Była to największa bezczelność, na jaką ktokolwiek sobie dotąd wobec Lillian pozwolił. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że się jej podporządkowała.

A teraz panna Dobson odchodziła, unosząc ze sobą jej ulubioną szpilkę do kapelusza i zostawiając Lillian samą na ławce z widokiem na werandę.

Nie ruszała się z ławki. Przytrzymała kapelusz, żeby nie strąciły go podmuchy bryzy. Odkładała na później powolny, upokarzający powrót do hotelu.

No, ale ma dla ciotki Constance dwie ciekawe nowiny. John jest w Londynie. A panna Dobson wypuściła go z rąk.

Dotknęła swojej szyi i w tym momencie na ławkę padł długi cień.

– I poproszę o moją chusteczkę – powiedziała panna Dobson.



Kolejny temat należy zaczynać od akapitu.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Betsey wracała do hotelu. Pan Seiler wyszedł jej naprzeciw. Wymówił jej nazwisko z takim naciskiem, że była pewna, iż przeoczyła jakiś bardziej subtelny sygnał przywołujący ją do porządku.

Nie mogła mówić. Na końcu języka miała przeprosiny, zapewnienie, że właśnie wraca do biurka, ale słowa nie przechodziły przez gardło.

– Jeśli pani tak łaskawa, pójdziemy do mojego biura – wymruczał, a ona przestraszyła się, że czeka ją jedno z tych posiedzeń przy kawie, albo, co gorsza, zdawanie relacji z rozmowy z panną Gilbey. Ale pan Seiler wręczył jej plik listów. Plik był gruby. Odpowiedzenie na wszystkie wymagałoby kilku godzin. Musiałaby spędzić resztę dnia przy maszynie do pisania, bez wytchnienia, bez odrywania wzroku, cały czas wśród stukotu klawiszy, który by zagłuszał szepty, jakie krążyły wokół niej po odejściu pana Jonesa.

– Dziękuję – powiedziała.

Przez chwilę się zastanawiał.

– I raz jeszcze gratuluję sukcesu w Bradford. Zarząd będzie zadowolony, jestem tego pewny.

– Mam nadzieję.

W Bradford była poprzedniego dnia, żeby się spotkać z właścicielem tkalni, który po pożarze molo chciał odwołać przyjazd swoich pracowników – wyprawa była warta zachodu, chodziło o duży zysk.

Doceniała wysiłki pana Seilera, to, że chce jej dodać otuchy, ale czy program wycieczek będzie

kontynuowany, kiedy letni sezon się skończy? I czy sir Alton zezwoli na to, żeby dalej to wszystko robiła? Nawet jeśli uważał, że jej tutaj potrzebuje, to powód zniknął wraz z rezygnacją i wyjazdem Johna. Odwróciła się do drzwi. Uważała, że może już odejść. Plik listów przyciskała do piersi. Stała już w progu, kiedy powiedział spokojnie:

– On może ją poślubić. *Ma chérie*, on może.

Gardło znów jej się ścisnęło. Pomyślała, że nie przeżyje tego napięcia.

Pan Seiler ciągnął dalej:

– Myśmy się tego spodziewali, zanim...

Zawahał się, tak samo jak wcześniej panna Gilbey. Wszyscy uważali Elisabeth Dobson za epizod w jego życiu. Wszyscy, nawet ona sama. Tylko nie on.

Bardzo dobrze, cholera, niech to cholera. A ona próbowała chronić Johna przed jego własnymi szaleństwami, przed gorączkowymi decyzjami. I nie oddać go pannie Gilbey.

Szybko pobiegła do biura. Próbowała odegnać obawy, przypomniała sobie pogrzeb Charliego i tę chwilę, kiedy usłyszała, jak kciuk pociera o palec wskazujący.

Chciałaby teraz móc wsunąć dłoń w rękę Johna, żeby uciszyć to bolesne pocieranie.

Chciałaby móc powiedzieć „tak” wszystkim jego szalonym planom, wszystkim wstrząsom, które zamierzał wywołać, tylko po to, żeby wiedział, że nie jest sam.

Wszyscy patrzyli, jak wchodzi do biura. Usiadła przy maszynie do pisania i zauważyła, że ciągle ściska w ręce chusteczkę Johna, zwiniętą i zgniecioną na szpilce do kapelusza panny Gilbey.

Wsunęła chusteczkę w mankiet, szpilkę wpięła we włosy, i pewnymi, rutynowymi ruchami zaczęła przygotowywać maszynę. Potem wzięła kopertę z wierzchu stosu i zaczęła wystukiwać nagłówek listu do niejakiego pana Jerome’a Wortha. Pisała odpowiedź.

Dzie,kuje,ę.

Jej palce znieruchomiały nad klawiaturą. Nie widziała tego, co napisała – była to taka maszyna, w której trzeba podnieść karetkę, żeby zobaczyć napisane wiersze. To ważne dla początkujących, nie dla kogoś z jej doświadczeniem, ale nagle słowa ukryte w mechanizmie napełniły ją smutkiem.

Czy jej siła miała służyć jemu, czy jej? Dlaczego nie wzięła go za rękę? Dlaczego nie powiedziała: *Nie mogę jechać z tobą, ale cię kocham?*

Albo: *Postradałeś zmysły, ale ja cię kocham?*

Albo po prostu...

Panna Slott by tego nie przyjęła. Pan Wofford oskarżyłby ją o kradzież. Ale kiedy znowu poruszyła dłońmi, powstał list, który był jej i tylko jej.

Kiedy wróci, powiem mu: „dziękuję ci”. Za następujące rzeczy:

1. Za Idensea.

2. Za Sarah i Charliego. Za miejsce przy ich stole.

3. Za zbyteczne śluby. Jakbyś ty był jakimś świętym i ja też.

4. Za to, że zapłaciłeś za podróż koleją.

5. Za największe niebo, jakie kiedykolwiek widziałam, i za to, że powiedziałaś, że pisanie na maszynie nie jest najlepszym zajęciem, na jakie dziewczyna może w życiu liczyć. Za pana Seilera, za rower, za pokazanie, jak na nim jeździć, za lekcje pływania, za każdą rzecz, której próbuję, bo myślę, że ty uważasz, że potrafię to robić.

Chcę ci podziękować i kiedy mówię „dziękuję ci”, mówię też, że cię kocham.

Kocham cię.

John powiedział jej kiedyś: wiem, jak to powinno wyglądać, a teraz stał na środku pustego salonu, zbity z tropu, i nie potrafił sobie wyobrazić, jak należałoby urządzić taki pokój. Czy chciałby zobaczyć inne? – spytał agent, a on odpowiedział, że tak, a po chwili, że nie. Mieszkanie było ładne, wprost idealne. Może przyjsć po południu do jego biura, żeby załatwić najem.

No cóż, dlaczego nie? Agent najwidoczniej wziął pod uwagę wszystkie jego wymagania, a on miał do załatwienia mnóstwo spraw. Zobaczyć się z Pearsem'em Lelandem, wynająć piastunkę dla Owena, kupić meble, złapać pociąg do Walii. Wszystko zaplanował.

Na dworze, w małym parku po drugiej stronie ulicy, grał zespół Armii Zbawienia.

Przystanął i zaczął się przyglądać umundurowanym muzykom i śpiewakom. Dwie kobiety śpiewały dobrymi, mocnymi głosami hymn *Warownym grodem jest nasz Bóg*. Namacał w kieszeni płaszcz kilka monet i ruszył przez ulicę. I wtedy usłyszał swoje imię.

Rozejrzał się i dostrzegł elegancko wygięte rondo kapelusza wyłaniające się z kariolki stojącej przy ulicy. Lillian Gilbey?

– Jak się masz, John? – powiedziała z uśmiechem, kiedy podszedł do powozu.

– Co za niespodzianka! – przyznał. – Już wróciłaś do Londynu?

– Och, my... ciotka Constance i ja... postanowiłyśmy wrócić wcześniej. Pamiętasz moją ciotkę, pannę Middleton?

John skłonił głowę przed kobietą, która wychyliła się z okna powozu.

– Ciotka Constance ma kogoś odwiedzić tu w pobliżu. Mówi, że mogę poczekać na skwerze z tobą, kiedy ona tam pójdzie.

Bez przyzwoitki? John, mocno speszony, otworzył drzwiczki powozu i pomógł Lillian wysiąść. Kariolka ruszyła, a on podał jej ramię.

– Jak mnie znalazłaś?

– Och... – Machnęła ręką, jakby to była zupełnie prosta sprawa. – Twój hotel, a potem biuro agenta wynajmu.

Próbował wyobrazić sobie Lillian Gilbey rozpytującą w hotelu o mężczyznę. Kiepsko mu poszło. Zatrzymał się i odwrócił ją tak, żeby lepiej widzieć jej twarz pod rondem kapelusza.

– Zdziwiała mnie pani, panno Gilbey.

Wytrzymała jego badawcze spojrzenie, a potem z grymasem niesmaku zasłoniła dłońmi uszy.

– Och, ten harmider – powiedziała, patrząc na Armię Zbawienia grającą kilka kroków o nich. – Czy możemy odejść trochę dalej? To straszne... przez ten hałas nie mogę zebrać myśli.

John poprowadził ją w stronę przeciwnego krańca skweru. Po drodze wręczył kilka monet umundurowanej śpiewaczce. Przerwała strofę *Naprzód, żołnierze Chrystusa*, aby powiedzieć: Bóg panu zapłaci, a on zatrzymał się przed nią na chwilę i poczuł, że Lillian go ponagła. Zmiotł z ławki kilka suchych liści i usiadł. Patrzył na zespół.

– Wynająłeś dom? – spytała wreszcie Lillian.

– Tylko mieszkanie.

– Tu nie jest szczególnie elegancko.

– Bezpieczna i porządna dzielnica. Wystarczy, dopóki nie będę miał więcej pieniędzy.

– Och, z pewnością. Nie chciałam cię urazić.

Zmarszczył brwi. Kiedy stosunki między nimi były poprawne, zawsze go karciała, gdy wspominał o pieniądzach.

– Nie uraziła mnie pani, panno Gilbey.

Przez chwilę zajmowała się swoimi rękawiczkami. Zdjęła je, złożyła, znów rozłożyła i wciągnęła na dłonie. Wymuszony śmiech

– Mój kochany papa... wiesz, co obiecał każdej z córek?

– Wszystko – od papugi po poranek następnego dnia.

Obawiał się, że ten niewinny żarcik doprowadzi ją do łez, ale ona zaczęła się śmiać jeszcze głośniej.

– Myślisz, że jestem zepsuta. Nigdy cię nie przekonam, że jest inaczej, jeśli ci powiem, co papa obiecał. Dom, rozumiesz? Dom dla każdej z córek. Czy to nie zabawne? – Spojrzała na niego.

– Dom w prezencie ślubnym?

Gdyby w tym momencie szedł, toby się potknął, gdyby jadł, toby się zakrztusił. Ale siedział. I stwierdził, że nie potrafi wytrzymać spojrzenia tych oczu, ładnych, niebieskich i pełnych nadziei. Spojrzał na zespół pośrodku placu.

Na Boga, czy Lillian Gilbey naprawdę wysłedziła go po to, żeby mu się oświadczyć?

– Ja jestem całkiem pewna, iż przedtem myślałeś o poślubieniu mnie.

A więc zgadł.

Wszystko stanęło na głowie, jak w Krainie Czarów. Ale działo się w scenerii jak najbardziej realnej, na placu w statecznym Londynie, w zwykłe środowe popołudnie. Z Armią Zbawienia trąbiącą *Naprzód, żołnierze Chrystusa* w tle.

– Lillian, ja nie...

– Ja wiem, John, że zmieniłeś zdanie. Wiem. Ale gdybyś mógł znaleźć sposób, żeby... to znaczy jeśli nadal masz jakiegokolwiek zamiary... chciałabym, żebyś to przemyślał. I wiedz, że ja to przyjmuję.

A więc prosiła go, żeby się jej oświadczył. To już chyba miało więcej sensu.

– Jest dom – ciągnęła. – A poza tym mam oczywiście posag. A mój ojciec znajdzie ci miejsce w swojej firmie albo będziesz mógł zostać na tej posiadzie, którą masz teraz, jeśli wolisz.

Albo mógłbyś studiować architekturę. Kiedyś o tym mówiłeś, prawda? Teraz będziesz mógł to robić. A ja będę dla ciebie dobrą żoną. Będę lepsza, niż byłam, bardziej uległa i miłsza...

Znowu gwałtownie ściągnęła rękawiczkę. John złapał ją za rękę, żeby ją uspokoić.

– Lils. Nigdy nie traktowałaś samej siebie jak przesyłki z towarem, w każdym razie ja nic takiego nie pamiętam. Więc o co chodzi?

– Chcę, żebyś zrozumiał... jeśli mnie wybierzesz, będą korzyści. Korzyści tak duże, że warto po nie sięgnąć.

– Lillian Gilbey. Wiem aż za dobrze, że naczytałaś się za dużo poezji, żebym miał uwierzyć, że zadowolisz się mężczyzną, który poślubi twój majątek.

Kiedy to usłyszała, wybuchnęła płaczem. John jak automat podał jej chusteczkę. Był potwornie wyczerpany, czuł napór wszystkich emocji, które hamował w ciągu tych ostatnich tygodni – żal po stracie Charliego, inny żal – tak, żal, że stracił Betsey. Nie potrafił inaczej nazwać tego, jak mu jej brakowało, tej paniki ogarniającej go na myśl o tym, że jej nie ma. Katastrofalny pożar, oskarżenia rzucone przez Sarah, w rozpacz, ale w pewnym stopniu uzasadnione. Wyjazd z Idensea i cała niepewność związana z początkiem nowego życia w Londynie. Jedyłą rzeczą, której był w tamtej chwili pewien, było to, że wkrótce znajdzie się w Walii i przywiezie Owena, żeby mu zapewnić nowe życie, pełne nadziei i dobra.

– To... mój majątek... to wszystko, co mam – powiedziała. John chciał zażartować, ale powstrzymała go gwałtownym ruchem głowy. – Tak jest. Jestem zrujnowana. John. Ja jestem zhańbiona, a... a... z dzieckiem, ja...

John wstał. Nie słuchał dalej. Wstał nie po to, żeby odejść, tylko dlatego, że jego ciało zażądało jakiegoś potwierdzenia, że nie śni, że świat wokół niego jest realny, a nie sklecony z koszmarnych snów.

Pomyślał, że to jest coś, co będzie pamiętał przez resztę życia, ta chwila, kiedy zdał sobie sprawę, że przy całym swoim instynkcie tak naprawdę o niczym nie ma pojęcia.

Ale nie. Była jedna rzecz, której teraz mógł być całkiem pewny.

– Noel Dunning – powiedział.

Lillian spojrzała na niego. Była tak zaskoczona, że odechciało jej się płakać. Ale po chwili wszystkim, co mógł zobaczyć, był czubek jej kapelusza, spowity w taką ilość siatki, jaką można by odłowić wszystkie dorsze z Morza Północnego. Długie pióro chwiało się w rytm drgania jej ramion.

Pozwolił jej szlochać. Kariolka okrążyła skwer i skręciła w boczną ulicę, żeby odbyć kolejną rundę po dzielnicy. Pojawiała się jeszcze dwa razy, zanim John wydobył od Lillian wszystkie istotne szczegóły. Jej skrępowanie – nie umiała mówić o takich sprawach wprost – a także strach i zakłopotanie nie ułatwiały im tej rozmowy. Ale wydawało się, że Dunning, po t y m – t o było najprecyzyjniejszym określeniem współżycia seksualnego, na jakie zdobyła się Lillian – przestał się z nią kontaktować, z wyjątkiem jednego razu, tuż przed wyjazdem jej rodziny do Idensea.

– Lillian, czy on wie o dziecku? – spytał John.

– Oczywiście, że wie! – Znów zalała się łzami. Jaskrawa jagoda oderwała się od jej kapelusza i uwięzła w zwojach woalki. – Ale powiedział tylko, że jest mu przykro. I to wszystko.

A ja byłam wobec niego zimna, nie miałam wyboru, ale ja...

– Dlaczego nie miałaś? – przerwał jej.

– Dlaczego?

Jego ignorancja najwyraźniej ją zdumiała.

– Jak by to wyglądało, gdybym mu wybaczyła? Ot, tak, po prostu? Nie słyszałaś, jak mówiłam, że się nie odzywał tygodniami po... po t y m?

– Na rany Chrystusa! Ty chciałaś go ukarać.

– Tylko tamtego dnia! Tylko dopóki nie przyjechałam do Idensea. A jak przyjechałam, jego... jego nie było! Wcale go nie było.

Bo jest w tym swoim Wiedniu – pomyślał John. Zastanawiał się, czy Dunning złożył ostatnią wizytę przed, czy po tym, jak się dowiedział, że tata wysyła go za granicę. W każdym razie zostawił ciężarną Lillian dla dwunastu miesięcy lekcji fortepianu. John czuł, jak mu się przewracają bebechy. Patrzył na chwiejące się pióro na kapeluszu Lillian i myślał o tym, że nieprędko znów zobaczy Noela Dunninga.

Usiadł obok niej i pozwolił jej opłakiwać to, co ona nazwała głupimi, złymi wyborami, i oczywisty fakt, że była antypatyczna i bezbarwna, i powszechne wiarołomstwo mężczyzn, i kilka innych rzeczy, nie wiedział dokładnie jakich. Gdy uniosła twarz, żeby znów go spytać, czy rozważy poślubienie jej, krawędź jej kapelusza uderzyła go w oko.

– Lillian... – Kariolka znowu pojawiła się na placu. – Prosisz o ważną rzecz, o dochowanie sekretu. O to, żeby został zachowany do końca naszego życia.

Wśród wielu wątpliwości jedna była szczególna. Pochylił głowę i oparł ją o pięść. Lillian znów

zaczęła zawodzić, nie roniąc łez.

– Przestań, proszę – powiedział, nie kryjąc zniecierpliwienia.

Usłyszał, jak przełyka ślinę, jak usiłuje się opanować. Chciała być posłuszna, więc robiła, co jej kazał.

Żył jak na rozżarzonych węglach, a teraz przyszło mu na czworakach zbierać ułamki swojej admiracji dla Lillian Gilbey i sprawdzać, co się z nich jeszcze da poskładać. Pamiętał, jak siedział z Tobiasem i Martą w ten wieczór, kiedy Lillian przyjechała na Zielone Świątki, i mówił, dlaczego uważa, że powinna być dla niego dobrą żoną, i pytał, czy się z nim zgadzają. Zgadziali się, więc czy wszystkie te powody, te ułamki... już nie istniały? A do tego jeszcze coś:

– Jeśli się pobierzemy – powiedział – zostaniesz matką nawet wcześniej, niż myślisz.

Jeszcze zanim skończył mówić o swoich zamiarach wobec Owena, zaczęła kiwać głową, zupełnie jakby miała ją zamocowaną na sprężynie. Oczywiście, że powinni go wziąć, ona będzie go kochać jak własnego syna, będzie idealnie, i, och, czyż nie jest to dla niej szansa, żeby mogła okazać, jak bardzo jest wdzięczna?

Uległa, wdzięczna żoneczka, tylko brać.

Podniósł rękę, jakby odmawiał. Zrobił to mimo woli, coś wypłynęło z jego zwierzęcego umysłu, ale gdy tylko to coś zauważył, natychmiast odrzucił. Musiał zamknąć oczy i zmusić się do przypomnienia sobie, gdzie jest i jak doszedł aż tutaj.

Londyn, jego praca, naprzód, w górę. To była właściwa ścieżka, właściwa, ale niebezpieczna, i po kilku nieodwracalnych krokach można było na powrót zapaść w nicość.

I jeszcze Elisabeth.

Odrzuciła go. Jego życie na rozżarzonych węglach, jego, który wiedział, co robić, jak być powinno. A ona go odrzuciła.

– Proszę. – Błagalne westchnienie Lillian brzmiało jak echo jego własnych nieszczęść.

Z tego, co wiedział, podobne nieszczęścia potrafią całkiem nieźle scementować związek małżeński.

– Jeśli masz zamiar powiedzieć „nie”, zrób to teraz.

Nie powiedział „nie”. Lillian przestała płakać, ale dopiero wtedy, gdy znalazła się w powozie u boku ciotki i nikt już nie mógł jej widzieć ani słyszeć. On docenił jej wysiłek.

I uzyskał niemal tyle, ile by uzyskał, gdyby sam o to zabiegał.

Zasłony zniknęły.

Brak śnieżnobłękitnych tkanin, które wysłał matce nie tak dawno, a także cisza panująca w obejściu na chwilę zbiły go z tropu. Pomyślał, że wszedł do niewłaściwego domu. Zwłaszcza że przy dębowym stole, najważniejszym meblu w pokoju, który był kuchnią, jadalnią i salonem, siedziała obca kobieta. Siedziała i tęym nożem obierała ziemniaki.

Nowa żona taty. Od czerwca. Po trzech miesiącach od śmierci matki.

Dilys, jego piętnastoletnia siostra, przepraszała, że nie pisali. Niemal wszystko, co wiedział o życiu swojej rodziny, pochodziło z listów, które matka pisywała dwa razy w miesiącu. Mógł zrozumieć, że nikt nie przejął po niej tego zwyczaju, ale w takiej sytuacji...

– Wiem, że to było szybko – szepnęła Dilys później, kiedy jej macocha (nie taka znowu obca, pamiętał tę dziewczynę ze szkoły) doglądała garnka na piecu, a on czyścił i ostrzył wszystkie noże, jakie były w domu.

Zdecydowanymi ruchami przesuwiał ostrza po stalowej osełce i słuchał, jak Dilys objaśnia mu, że to było najlepsze wyjście, że ona wyjdzie za Emrysa Morgana, jak tylko skończy w październiku szesnaście lat. W domu było jeszcze troje drobiazgu, więc ktoś musiał doglądać gospodarstwa i zajmować się nimi, czyli robić to, co ona robiła od chwili, gdy matka zaniemogła.

Co się zaś tyczy nowej pani Rhys-Jones, to jest córką Gavina Pritcharda, co wystarcza za wyjaśnienie, dlaczego chętnie wyszła z domu, aby zostać drugą żoną człowieka niemal dwa razy od niej starszego.

Rozmiar jej szczęścia wydał się Johnowi trudny do oszacowania. Wręczając prezenty, powiedział przepraszającym tonem, że gdyby wiedział, toby przywiózł ślubny podarunek. Cofnęła się, robiąc ruch, który mu przypominał obraz ze szkolnych lat. Mared Pritchard, młodsza od niego o jakiś rok, klepie po ramieniu jego brata Daveya, a gdy ten nagle się odwraca, ona blednie jak papier.

– Hojny to ty zawsze byłeś – powiedziała, a on uznał, że ma na myśli pieniądze, które co miesiąc przesyłał im ze swojej pensji.

Dilys traktowała ją podobnie jak pani Seiler traktowała dziewczyny nowo przyjęte do pracy w hotelu. Troje najmłodszych – jedenastoletnia Janny, siedmioletnia Briallen i mały Owen – ze wszystkimi swoimi sprawami zwracało się do Dilys, nawet gdy ta powtarzała: poproście mamusię.

Mamusia, zanim spełniła jakąkolwiek ich prośbę, zawsze najpierw patrzyła ponad ich głowami na Dilys.

Niedługo będzie miała własne dziecko – pomyślał John. Lepiej dla niej, że zabiorę Owena.

A w ciągu roku sprowadzi do siebie także obie dziewczynki. Zdecydował o tym pierwszego wieczoru w domu. A po chwili uświadomił sobie, że w tej sprawie powinien porozumieć się z Lillian. Z panną Gilbey, swoją narzeczoną.



Dźwignia i wskaźnik zawsze powinny wracać do punktu zerowego.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Postanowił wykorzystać czas do powrotu ojca z kamieniołomu i ruszył w stronę cmentarza.

Po drodze odkrył, że Briallen i Owen podążają za nim. Oboje lizali cukrowe sople, które im przywiózł z Idensea. Przez chwilę nie był pewny, czy chce mieć towarzystwo, ale Briallen, ciągnąca za sobą Owena, patrzyła na niego tak twardo i z taką determinacją, jak niegdyś ich matka. Pozwolił, żeby poszli z nim.

– Kto dogląda grobu? – zapytał siostrę po walijsku, gdy doszli na miejsce. Nagrobek z fioletowego łupku, wykuty w miejscowym kamieniołomie, postawiono już po pogrzebie. Obok niego rosły heliotropy. Nadal wyglądały na świeżo posadzone. Bujnie wschodząca wiosną i latem trawa musiała być regularnie przycinana. Przed nagrobkiem leżał bukiet polnych kwiatów przewiązanych sznurkiem. Pod nazwiskiem i datą widniał napis: *Anwyliaid. Ukochana.*

Briallen uklęka i podniósłszy bukiet, zaczęła usuwać z niego zwiędłe kwiaty.

– Wszyscy – odpowiedziała.

Poczuł, że ma w gardle gulę, która zdusiła jego uśmiech. Briallen prawdopodobnie nie przesadziła, zważywszy na to, jak we wsi lubiano jego matkę. Przygryzła kącik ust i zaczęła mu się bacznie przyglądać.

– Tobie jej nie brakuje?

– Mnie... nie, moja mała. A tobie?

Potrząsnęła głową i odłożyła bukiet.

– Ale ciebie od tak dawna nie ma tu z nami.

– Inaczej się tęskni, kiedy się jest daleko. A inaczej wtedy, kiedy ktoś jest w niebie.

– Mamusia jest z braćmi – powiedział nagle Owen. Układał kamyczki na murku otaczającym groby Daveya, który zmarł w wieku trzynastu lat, i Gildasa, niemowlęcia, którego John nigdy nawet nie zobaczył.

– Myślisz, że tak jest? – spytała Briallen Johna.

– Tak. I spójrz na siebie. – Kucnął i w ten sposób zniżył się do jej wzrostu. Teraz mogli rozmawiać twarzą w twarz. Obejmował jej drobną talię. – Masz wiele z naszej mamy, moja mała Briallen, i z przyjemnością na ciebie patrzę. – Lekko nią pobujał i roześmiał się w odpowiedzi na jej uśmiech.

– A jak ty sądzisz, mój mały Owienie? – spytał, kiedy zauważył, że chłopiec im się przygląda.

– Ona ma małe ręce. Ona nie może mnie utrzymać na kolanach.

Uśmiech Briallen zgasł. John przygarnął ją mocno, drugą rękę wyciągnął do Owena.

Chłopczyk się zawahał i raz jeszcze Johnowi zrobiło się żal, że wtedy, w marcu, wyjechał bez pożegnania. Miał nadzieję, że w ten sposób oszczędzi Owenowi chociaż trochę łez, ale jeśli przez to brat całkiem przestał mu ufać?

– No, chodź – powiedział trochę chrapliwie, ale malec ani nie pozwolił mu pogłodzić się po głowie, ani przysunąć bliżej siostry. – Ręce Bri urosną i będą silne, wiesz? Będą silne.

Jego ręce już były silne.

W gospodarstwie było wiele do zrobienia przed zimą. Mared nieśmiało pokazała mu kawałek

gniącej strzechy, więc zamówił w kamieniołomie wystarczającą ilość łupku, żeby pokryć cały dach. Wynajął wóz konny, zebrał dzieci i pojechał przez most do Cardigan, żeby kupić szybę.

Dzieci w tym czasie miały za zadanie wydać wszystkie pieniądze, jakie im dał, na możliwie jak najwięcej słodczy, a potem pojechał sam, żeby zamówić podarki ślubne, serwis do herbaty dla Dilys i kilka krzeseł do domu ojca. To będzie niespodzianka, jak dostarczą to wszystko w kilka tygodni po jego wyjeździe.

Jeszcze nigdy nie wydał w jeden dzień takiej sumy. Podpisywał rachunki i nie wiedział, czy powinien mieć skrupuły, że jest taki rozrzutny. Może należało najpierw pomyśleć o oszczędnościach.

Następnego ranka, kiedy wspinał się po drabinie, uświadomił sobie, że nie musi mieć żadnych skrupułów. Wraca do Londynu na dobre stanowisko, do bogatej żony i ładnego domu, za który ma zapłacić jej ojciec. Wszystkie cholerne rzeczy, których w życiu chciał, czekały na niego w Londynie, więc co za różnica, jeśli wyda teraz wszystkie szylingi?

Krycie dachu to zajęcie niezbyt bezpieczne. Trzeba wejść wysoko i jest się zdany tylko na siebie. Był zadowolony, że dzieci są na dworze, bawią się i wołają do niego, a potem pomagają mu wybierać dachówki i patrzą, jak wierci w nich otworki. Czasem przechodzili sąsiedzi i wtedy miał chwilę oddechu, ale gdy nikogo nie było, mocował dachówki z niebywałą starannością. Zaciekle wbijał kołki. Zawziętość i zaciekłość, z jaką to robił, pozwalały mu się oderwać od innych spraw.

Wieczorami, po powrocie z kamieniołomu, dołączał do niego ojciec. Nie zmywał nawet z siebie kamiennego pyłu. Pewnego wieczoru przez pół godziny udawali, że wcale nie jest za ciemno na tę robotę. I wtedy Mared wspięła się po drabinie z dwoma kuflami cydru.

– Mam szykować kolację? – spytała męża, gdy zszedł na dół po kufel, żeby go podać Johnowi. Pociągnął głęboki haust ze swojego, a potem potrząsnął głową i powiedział, żeby nakarmiła dzieci, a on i Iefan przyjdą później. Wypił jeszcze jeden łyk.

– Dobre to jest, Mared.

John zauważył, że kontakty małżonków sprowadzają się do takich tylko rozmów. Mared była troskliwa i chętnie zaspokajała życzenia męża, a jego ojciec jak dobry gospodarz starał się, żeby dobrze się u niego czuła.

– Chyba trzeba iść do domu, nie? – spytał John. – Jest ciemno i niewiele już tu zrobimy.

– Myślałem, że chcesz pogadać.

John zastygł z kuflem przy ustach. Cydr łaskotał go w wargę.

– Albo zaczekaj jeszcze noc czy dwie, przecie możesz – powiedział ojciec sucho. – Jeśli ciągle myślisz o tym, jak to powiedzieć.

– Nie – odpowiedział John, ale tak naprawdę nie był gotów. Musiał powiedzieć o swoich zamiarach tacie, całej rodzinie, musiał odmówić cichą modlitwę nad grobem matki.

Zszedł z dachu, żeby usiąść obok ojca. Za zagrodą zaczynały się wzgórza Preseli. Ich porośnięte zaroślami czarne zbocza ledwie rysowały się na horyzoncie, oświetlone słabą poświatą gasnącego dnia.

Potężna chmura, granatowa jak łupkowe dachówki, zabierała resztki światła.

Słyszał brzęk naczyń i głosy dzieci i coraz wyraźniej czuł zapach ciepłej stawy i wilgotnej ziemi.

Odetchnął głęboko.

– Tato, chcę zabrać Owena. Janny i Briallen też. Chcę, żeby mieszkali ze mną.

Słowa zawisły w powietrzu, jak bluźnierstwo rzucone z kazalnicy. Za mocne. Wyobrażał sobie, że to będzie rozmowa bezpośrednia i rzeczowa. Ale gdy słowa zostały wypowiedziane, zabrzmiały niemal nieprzyzwoicie.

Ojciec powiedział:

– Ja chcę wiedzieć, co z nich wyrasta.

– Tato...

– To tak jak z tym dachem. I tak bym się nim zajął. Nie prosiłem cię, żebyś się tym interesował, a na pewno nie żebyś był taki rozrzutny jak z tymi łupkami.

– Chciałem pomóc. Chcę pomóc tym małym. Mam nową posadę i będę mógł zrobić dla nich wiele dobrego.

– Słyszałem już o tej twojej nowej posadzie.

Ojciec przesunął się w stronę drabiny, zszedł na dół i ruszył do pompy. John podążył za nim i stanął z boku. Ojciec zdjął kamizelkę i koszulę i wsadził głowę pod strumień wody.

– Myślałem, że Mared...

Woda rozprysnęła się, gdy ojciec szarpnął głową.

– Bądź łaskaw okazywać szacunek macosze.

John zacisnął zęby. Nie potrafił myśleć o tej dziewczynie, z którą chodził do szkoły, jako o drugiej matce. A ona właśnie stanęła w drzwiach z ręcznikiem. Trzymała go za rogi, żeby był gotowy do użycia. Kiedy mąż go wziął i kazał jej wracać do domu, odwróciła się niepewnie.

– Ty myślisz, że ona się krępuje tych małych – powiedział do Johna, kiedy sobie poszła. – Ale ona wiedziała, co ją tu czeka, kiedy się oświadczyłem. Ona się uczy. To trochę potrwa.

– Nie mam nic przeciwko niej. Ja tylko chcę Owena i...

– To mój syn. Jedyne dziecko, jakiego Bóg pozwolił mi wychowywać.

John chciał coś powiedzieć.

– Wychować go na mężczyznę, to miałem na myśli – dodał. – Twój biedny bracia, pokój ich duszom, nigdy nie byli mi bliscy, a ty też... ty się sam wychowywałeś, Iefan. John. Jak tylko podrosłeś, wyszedłeś

z domu i zatroszczyłeś się o siebie. Ty wyjechałeś, a twój brat Daffyd po miesiącu odszedł.

Nacisnął ramię pompy i znów włożył głowę pod strumień wody. Umył twarz i włosy. John patrzył na niego i przypomniał sobie list, który dostał od matki kilka lat po wyjeździe, w którym zwierzała mu się, że w ciągu kilku miesięcy tak samo opłakiwała jego wyjazd jak śmierć Daveya.

Jej serce straciło dwóch synów – i to wszystko. Nie myślał o tym, gdy wyjeżdżał. W wieku dwunastu lat wiedział tylko, że budził się w gorączce, aby uświadomić sobie, że Davey leży już w ziemi. Czuł wtedy, jakby te wzgórza, które rysowały się na horyzoncie, legły mu na piersi i zatykały gardło, i zaczynała go prześladować myśl o tym, żeby wstać i odejść. Stał tak i nagle zrozumiał, jaki zamęt miała w głowie matka, skoro jemu samemu tamten żal i smutek po Daveyu zaczęły się mieszać ze świeżą żalobą po Charliem.

Ojciec ukrył twarz w ręczniku, a jemu wydało się, że znowu stoi przy łóżku Charliego i odsuwa od siebie myśl, że to się nie mogło stać, a Sarah leży obok martwego dziecka – ale nie, coś takiego nie może się wydarzyć. Gdyby tylko znalazł się przy Charliem wcześniej, nie doszłoby do tego.

- Tato, posłuchaj mnie – powiedział, próbując sięgnąć po coś, co było poza jego zasięgiem.
- Musisz mnie wysłuchać.

Ojciec opuścił ręcznik i odwrócił się, żeby założyć koszulę, którą zostawiła mu Mared.

- Ostatnie dziecko twojej matki to Owen, a ja jestem jego ojcem. I będę. To samo z dziewczynkami.

- Ty nawet nie wiesz. Odrzucasz coś, czego nawet nie znasz. Poczekaj, przemyśl to... i zapytaj maluchy, zanim...

- Iefan. One ciebie ledwie znają.

– Znają! Znają mnie... pisałem, przysyłałem podarki i pieniądze... przyjeżdżałem, zawsze, jak tylko mogłem. Znają mnie i wiedzą, że ich kocham.

- Jesteś prawie obcy i tyle.

- Jestem ich bratem, do cholery.

Nagle się zachwiał. Ojciec złapał go za ubranie i szarpnął.

- A ja ich ojcem. Pamiętaj o tym.

Po latach nadal było w tym szarpnięciu za koszulę coś znajomego, choć teraz to on spoglądał na ojca z góry, a nie z dołu, jak wtedy, kiedy był chłopcem. Ojciec spuścił mu lanie, za to, że skłamał matce, i później przypominał mu o tym takimi szarpnięciami – żeby nie zapomniał.

A John zawsze tego nienawidził. Ale tego wieczoru po raz pierwszy spróbował się uwolnić, odwracając się i odpychając ojca – chyba bez potrzeby i na pewno zbyt mocno. Ojciec się zachwiał, pochylił i tylko dlatego, że podparł się ręką, nie upadł w otaczające pompę błoto. Podniósł się, jak na swój wiek wyjątkowo żwawo, zanim John zdał sobie sprawę, co zrobił.

- I twoim ojcem też – powiedział. – I do mojego domu więcej nie wejdiesz, dopóki sobie tego nie

wbijesz do głowy. Zaciśnął w pięść ubłoconą dłoń i wszedł do domu, nie zwracając uwagi na prośby Johna, żeby go wysłuchał.

John czuł się tak, jakby czarne poszarpane wzgórza usiadły mu na piersi. Czuł, że zaczynają mu marznąć stopy, zamoczone w kałuży, w którą wpełznął go ojciec. I wtedy pomyślał o Elisabeth, o tym, jak próbowała samotnie zmagać się z falami.

– Tato! – zawołał raz jeszcze, na tyle głośno, żeby odpędzić tamten obraz. Drzwi się zamknęły, a gdy uchyliły się znowu, wkroczył do środka.

Coś w nim rwało się pazurami na wolność, coś śmiałego, obcego i wrogiego, ale gdy tak stał przed swoją rodziną, popatrującą na niego znad kolacji, to coś stchórzyło i go opuściło. Ojciec jeszcze nie usiadł, ciągle mył ręce, a Mared stała obok niego. Łyżki Dilys i Janny, pełne owsianej *bwdram*, zawisły w powietrzu, a Briallen przyglądała się bratu i przygryzała kącik ust. Owen powiedział:

– *Shw mae, Iefan!* – I wyciągnął do niego skórkę chleba. Okruchy przylepiły mu się do czarnych włosów.

John pożałował, że wszedł, że wdarł się między nich. Schylił głowę, zrobił krok do tyłu i znów znalazł się za progiem. Ruszył ku zimnym wrzosowiskom. Przy skupisku starożytnych głazów padł na kolana i przyłożył twarz do ziemi. Cały zamienił się w niewypowiedzianą modlitwę, w nienazwaną intencję.

Kłęczał tam, aż wilgoć ziemi zaczęła mu przenikać przez ubranie. Po chwili poczuł, że dociera do jego skóry i usłyszał, że ojciec go woła. John – raz czy dwa, potem Iefan. Usiadł i odpowiedział:

– Tu jestem.

Ziemia szeleściła lekko pod stopami ojca. Podał Johnowi miskę.

– Masz.

Usiadł obok niego na kromlechu. John jadł, choć pierwsze kęsy musiał w siebie wmuszać.

Ale po chwili głód zwyciężył. Owsianka i solony śledź smakowały tak samo jak wtedy, gdy żyła jego matka. Dilys je zrobiła, domyślił się. Był też chleb, posmarowany masłem i dżemem jagodowym. Zwykle podawali go dopiero zimą.

– Zawsze pragnęłeś czegoś innego – powiedział ojciec, gdy John wyjadał z miski ostatnie drobiny. – Twój brat i siostry też pewnego dnia tego zechcą. Ale na razie zamierzam im oszczędzić bólu, nie chcę, żeby musieli zostawiać wszystko, co znają.

– Jesteś ich ojcem.

– Będziesz miał własne dzieci.

John miał ochotę wylizać miskę. Było ciemno, więc usiadł na ziemi i zaczął lizać. I choć wstydził się przyznać ojcu, że zamierza wziąć udział w krętactwie, i choć wiedział, że imię Lillian uwięźnie mu w

gardle, w końcu powiedział:

- Żenię się. Przed końcem lata.
- Szczęść Boże. Nic nie mówiłeś.
- Nie mówiłem.
- No dobrze, a kim ona jest? Angielka?
- Tak, Angielka. Ona jest...

To będzie klęska mojego życia, jeśli wyjadę bez tych dzieci. I nawet jeśli z nimi. Złożyłem obietnicę, ale to kłamstwo dla mojego serca, więc nieważne, co zrobię.

- Ona jest...

Nagle poczuł, że zaciska mu się żołądek. Zdążył tylko oprzeć się na rękę i zwymiotował.

Ojciec powiedział:

- W dniu wesela najwyżej grzanka, co? – I wyciągnął z kieszeni chustkę.

John otarł usta i spocone czoło. Wyczuł, co to za tkanina, i domyślił się, że w lepszym świetle zobaczyłby błękitny kolor porannego śniegu. Przycisnął czoło do jednego z głązów wspierających kromlech i jego zimno ostudziło jego spocone czoło. Owen na pewno będzie się tu bawił, tak jak jego starsi bracia i siostry.

- To dobra dziewczyna – powiedział.
- Ano, pewnie tak. A jak jej na imię?

Wyżynę wokół nich wypełniały odgłosy nocy – coś ryło w ziemi, coś się skradało, goniło za zdobyczą – i wszystko to działo się w lekkiej, ale nieprzeniknionej mgłę. John szepnął:

- Elisabeth.

A jego głos niewiele się różnił od dźwięków wydawanych przez te nocne stworzenia. Był jak kroki skradającej się zwierzyny. A i tak zabrzmiało to źle i musiał to naprawić.

– Elisabeth Dobson – powtórzył głośniej. Aż się roześmiał, bo kiedy wymówił jej imię, poczuł ulgę. Był zadowolony. Krzyknął jeszcze raz, w ciemność i mgłę.

- Elisabeth!

Jakże on jej potrzebował.

– Ja ją kocham – dodał miękko. – I jak mówię, że jest dobra, to tak jest. To tak jak melodia, którą chce się śpiewać za każdym razem, gdy się sobie o niej przypomni.

Ojciec prychnął, ale po chwili powiedział:

– Ano tak. Wiem.

– Ale, tato... no dobrze, powiem, ale ja się z nią nie czuję dobrze. Wiesz, dobrze w tych sprawach. – Miał wypieki na policzkach. Prawie czuł, jak ojciec się rumieni, jakby chałupa, w której wychowywał dzieci, nie miała cienkich ścian.

– Nie tak, jak być powinno – ojciec dodał po chwili.

– Ona dałaby Owenowi i dziewczynkom całe serce.

– Tak jak twoim.

– Wiem o tym.

Nie mógł mieć pewności co do dzieci, ale miał ją co do serca Betsey. I co on mu zrobił... temu gorącemu, prostemu sercu? Jej sercu?

– Ona nie jest... nie jest tą, której sądziłem, że potrzebuję.

Tym razem ojciec nie odpowiedział. Chrząknął tylko jakoś dziwnie.

– Muszę naprawić jedno swoje głupstwo – powiedział John. – A najbliższy telefon nadal w Anglii?

– Tak.

– No to wyślę telegramy – powiedział i ruszył przez wrzosowiska.



...czyścić czcionki suchą szczoteczką do zębów, albo do maszyny, i cały czas uważać, żeby nic nie naciskało na belkę.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Betsey widziała Sarah tylko na pogrzebie, a potem w jej sypialni. Panował tam porządek, który ją zmroził. Wchodziła tam Dora Pink, a Sarah siedziała, obojętna i chyba niczego nieświadoma. Czasami wiedziała, że ktoś do niej przyszedł, czasami nie. Dlatego teraz, gdy Betsey czekała pod parasolką na grupę, zdziwiła się, kiedy ją zobaczyła: szła samotnie w stronę stacji.

Otępiające lekarstwo doktora Nally'ego najwyraźniej przestało działać i teraz Sarah wyglądała na kogoś, kto każdym gestem obcesowo chce wszystkich wokół powiadomić, że wie, co robi. Widząc ją dla odmiany tak ożywioną, Betsey ruszyła w jej stronę, gotowa jej pomóc.

Tego dnia mieli przyjechać wycieczkowicze od Baumstona & Smythe'a. Sarah o tym pamiętała i spytała Betsey, czy nie czuje się z tego powodu skrępowana. Ale gdy ta chciała odpowiedzieć, myśli Sarah wędrowały już w zupełnie inną stronę. Po chwili spytała:

– Kiedy wrócisz do domu?

Na czas pobytu rodziny Sarah w Idensea Betsey zamieszkała u Seilerów. Nie była pewna, czy w ogóle wróci do The Bows. Tak wiele się zmieniło od czasu, kiedy obie kobiety łączyły spokojne relacje, od czasu, kiedy wieczór balu zmienił się w noc pożaru. Ale pytanie Sarah uwolniło ją od niepewności. Odbudowanie tej części życia byłoby prawdziwą ulgą.

– Jadę z Sophie do niej – powiedziała Sarah, mając na myśli swoją starszą córkę. Betsey z zadowoleniem kiwnęła głową. Po odejściu Charliego widywała Sarah spokojną tylko wtedy, kiedy była z dziećmi Sophie, niemowlęciem i pulchnym zaczynającym chodzić malcem.

– I może już nie wrócę.

– Och, Sarah – westchnęła Betsey z żalem.

Sarah zapytała, czy Betsey mogłaby się zająć prowadzeniem domu, zanim ona postanowi, co dalej. Nikt ze służby nie potrafił prowadzić ksiąg, a Dora Pink, cóż... złego słowa o niej nie powie, ale Betsey sama rozumie, że nie chce jej oficjalnie powierzać władzy nad domem i resztą służby – i tak ma za wiele pretensji.

– A pokój Charliego... – zaczęła i urwała w pół słowa.

Betsey złożyła parasolkę i wsiadła do powozu. Głaskała ją po plecach i zapewniała, że pokój Charliego oczywiście nie zostanie nikomu wynajęty, że to miejsce jego i tylko jego. Sarah w końcu się uspokoiła. Gdy w oddali rozległ się gwizd londyńskiego pociągu, podziękowała Betsey za to, że chciała ją odwiedzić do domu, ale zgodziła się, żeby jej towarzyszył hotelowy boy, którego Betsey wzięła ze sobą.

Gdy boy i Betsey zamienili się miejscami, Sarah zacisnęła usta.

– Mam nadzieję, że on wróci, zanim ja... na czas, żebym...

– Sarah – powiedziała Betsey stanowczym tonem. – Gdyby John uwierzył, że choćby przez chwilę zastanawiałaś się nad tym, czy mu na tobie zależy albo czy ci przebaczy, to by go zabiło.

Ale rozumiała obawy Sarah, rozumiała, że chce powiedzieć prawdę i nie zostawiać żadnych niedopowiedzeń. Po nagłym wyjeździe panny Gilbey Betsey obawiała się, że John może już nigdy nie wrócić, że już nigdy nie będzie miała takiej szansy, jaką zaprzepaściła. Patrzyła na odjeżdżającą Sarah i czuła się samotna i wystraszona. Obiecała, że zajmie się pensjonatem, ale czym on będzie teraz, bez Sarah i Charliego? Czym Idensea będzie dla niej, jeśli sir Alton zażąda, żeby ją zwolniono z hotelu? A jeśli John...

Nie teraz. Nie – dopóki Baumston & Smythe nie wrócą do Londynu ze swojej najprzyjemniejszej w życiu wycieczki. Tak postanowiła, a potem podniosła w górę tabliczkę, żeby powitać w Idensea pracowników firmy Baumston & Smythe, Insurers, i całą uwagę skupiła na budynku stacji.

I nagle zobaczyła swoją siostrę. Zobaczyła ją w drzwiach i wstrzymała oddech. Caroline wyprzedziła pozostałych pasażerów tak bardzo, że mogłoby się zdawać, iż tylko ona przyjechała.

Ona też ją zobaczyła i z okrzykiem radości zbiegła po schodach, nie zważając na deszcz.

– Napisałaś mi, że Richard nie chce słyszeć o wyjeździe! – wykrzyknęła Betsey, ściskając siostrę.

– Już ja zrobiłam tak, żeby zaczął słyszeć. – Caroline cofnęła się o krok i spojrzała na nią. – Chciałam ci zrobić niespodziankę, i, och, ależ wspaniale wyglądasz, z tymi mosiężnymi guzikami!

Ale czy ty się dobrze czujesz? Twoje oczy...

Znowu rzuciły się sobie w objęcia, a Betsey czuła, że mogłaby tak stać całą wieczność. Ale pracownicy Baumstona & Smythe'a szybko zaczęli się gromadzić wokół nich. Richard wiódł wśród nich prym.

– Na litość boską, Caroline! – Schylił się, żeby podnieść parasolkę Betsey, i jednocześnie swoim parasolem osłonił żonę. – Czy zechcesz łaskawie pamiętać, że nie jesteśmy tu sami?

– Richard, spójrz tylko na Elisabeth! – wykrzyknęła Caroline. – Zobacz, jak świetnie się urządziła!

Betsey pomyślała, że cokolwiek ten długi dzień ma jej przynieść, już teraz czuje smak zwycięstwa: napotkała spojrzenie Richarda i zobaczyła w nim błędne oczekiwanie, że rzuci się ku niemu i Caroline i zacznie rozpaczliwie błagać o pomoc. A ona podziękowała mu, że przywiózł jej siostrę, i zdała sobie sprawę, że zdoła mu zwrócić resztę długu, tutaj, osobiście. Radośnie i trochę szelmowsko ucałowała go w policzek. Jego koledzy z pracy zgromadzili się już obok nich.

Rozdała drukowane programy i wdrapała się na szaraban Ethana Noonana, żeby oficjalnie wszystkich powitać. Ciekawość, jak daleko zaszła wywołująca skandale maszynistka, która dopiero co, w maju, zatrzasnęła za sobą drzwi ich firmy, sprawiła, że dawni koledzy słuchali jej najuważniej ze wszystkich grup, z jakimi miała do czynienia tego lata.

Na zakończenie powiedziała, że w Kursaal czeka na nich wiele atrakcji, w sam raz na taki deszczowy dzień.

– Nie zamierza nas pani ostrzec przed podejrzanymi typami, jacy zwykle kręcą się po kurortach? – zapytał ktoś. – Złodzieje, oszuści, kobiety o wątpliwym morale?

Ostatniej sugestii towarzyszyło głębokie westchnienie, prawdopodobnie wyrwało się z piersi którejś z żon. Co do samego pytania, Betsey wiedziała, z czyich ust padło i gdzie dokładnie ten gnój stoi. Na chwilę zapadła cisza. Nie spojrzała na niego. Unikała też wzroku Caroline i Richarda, bała się spojrzeć na twarz siostry, z pewnością pałającą i wściekłością, i sympatią. Nie – spojrzała raz jeszcze na wejście do stacji, po czym spod parasolki popatrzyła na zgromadzonych. Obdarzyła ich najśłodszym z możliwych uśmiechem.

– Obawiam się, że pan Wofford ma rację – powiedziała. – Słyszysz się czasem o kieszonkowcach grasujących na Esplanadzie. Więc proszę mnie informować, jeśli natkną się państwo na jakiegoś typa, który pcha palce tam, gdzie nie powinien. Powiem wam, jak z takim zrobić porządek.

Przez tłumek przetoczyła się fala chichotu. Betsey życzyła im przyjemnego pobytu. Wyspa parasoli zaczęła się rozdzielać. Wzrok Betsey spoczął na jedynym nieruchomym punkcie: chuderława twarz pana Wofforda była purpurowa z wściekłości.

John nie zauważył, co skłoniło Lillian do rzucenia książką. Patrzył przez zachlapaną deszczem okno, obojętny na wszystko, co działo się w wagonie, dopóki nie poderwał go ostry krzyk Lillian. Obrócił się w samą porę, żeby zobaczyć, jak Noel Dunning obrywa w ramię modlitewnikiem. Chwilę później ciotka

Lillian objęła opiekuńczo siostrzenicę i obie damy opuściły przedział pierwszej klasy (pieniądze Dunninga!), żeby się udać do wagonu restauracyjnego.

– Coś ty jej zrobił? – spytał John.

– Zaproponowałem, że poczytam jej na głos – wyznał Dunning. John odwrócił się do okna.

Pragnął, żeby pasażerowie wysiedli albo wsiedli szybciej i żeby pociąg mógł ruszyć dalej. Powinien był uprzedzić Dunninga, że wszystkie jego umizgi mogą się spotykać z niechęcią – z latającymi nad głową świętymi księgami, mrozącymi krew w żyłach spojrzeniami – przynajmniej przez jakiś czas, dopóki on i jego narzeczona nie będą musieli się zgodnie zaprezentować przed rodzicami. I może jeszcze przez jakiś czas potem.

Ale tego nie zrobił. Nie był szczególnie zainteresowany ułatwianiem Dunningowi sytuacji.

Cieszył się tylko z tego, że Dunning posłusznie odpowiedział na jego depezę, w której nakazał mu niezwłoczny powrót z Wiednia do Londynu.

A teraz przynajmniej mogli zawieźć ich rodzicom dobre wieści o wspólnej radości Lillian i Dunninga. Pociąg – kiedy on wreszcie ruszy, do cholery! – jechał do Idensea, gdzie rodzice Lillian kończyli letni wypoczynek.

I gdzie Betsey samotnie musiała stawić czoło wycieczce od Baumstona & Smythe’a.

W końcu konduktor dał sygnał, że można ruszać, i pociąg zaczął się toczyć po szynach.

Każda stacyjka, na której się zatrzymywał, była jak przeszkoda, która mogła opóźnić powrót do Idensea. I do Betsey.

– Ona mną gardzi.

Dunning wyglądał jak kupka nieszczęścia. Był w podróży od trzech dni, niewiele spał. Po gorącym powitaniu, jakie zgotował mu John w Londynie, został tylko ślad w postaci zaczerwienienia pod lewym okiem.

– Przynajmniej przestała płakać – powiedział John. To miało być coś w rodzaju pocieszenia.

– Ona płakała?

– Od kiedy przyjechałeś, już nie.

– Jest zbyt zajęta gardzeniem mną.

– Nie wiem. Nie uważam tak.

– Mój ojciec będzie mną gardził.

– Kiedyś przestanie. John zamknął oczy. Jak zwykle stanęła mu przed nimi Elisabeth, tym razem taka, jaką zapamiętał o świcie w tamtą niedzielę, leżąca bezwładnie, śpiąca. Jej drobne, ale silne ramię spoczywało na jego ręce. Pochylił się nad nią i pocałował w kark, bo coś mu kazało chronić ten bezbronny skrawek jej ciała. Ciszę przerwał Dunning.

– Ale ona... ona mną gardzi wystarczająco mocno, żeby to trwało wiecznie.

Oczywiście mówił o Lillian. Ale serce Johna się ścisnęło. Fala strachu, skurcz niepewności.

– Gdybym tylko mógł być z nią sam przez minutę albo dwie. Jones, przysięgam ci, że nigdy nie powiedziała mi o dziecku.

– Powiedziała mi, że wiesz.

– Nie wiedziałem. Nie wiedziałem! Ona kłamie, z jakiegoś powodu albo... albo może raczej...

John otworzył oczy. Uszy Dunninga były purpurowe.

– Co? – spytał John.

– Ona była tak strasznie niewinna... to znaczy oczywiście była... ale to wszystko moja wina, Jones! Nie zdawałem sobie sprawy... ja nie wierzyłem, że ona zrozumiała... kiedy to się działo, że tak powiem, dopóki nie... no wiesz... dopóki to się nie stało. To się stało, rozumiesz.

Boże, no, to był pech. Nie ze wszystkim, bo oczywiście myśmy przedtem już całkiem gładko...

John pożałował, że spytał. Teraz chciał tylko, żeby Dunning się zamknął.

– Ale potem doszło do aktu, i, o Boże, co za historia... ona zaczęła histeryzować, zaczęła płakać, na miłość boską, a jej rodzice właśnie...

– Dunning!

Dunning przełknął ślinę i przestał gadać.

– No jasne. Przepraszam, stary. – Westchnął i usiadł z książką Lillian w ręku. Wiercił się niespokojnie za każdym razem, kiedy pociąg podskakiwał na torach. – A teraz chce mi się palić. Strasznie mi się chce.

– Możesz zapalić za czterdzieści szylingów – powiedział John bez cienia współczucia. Przypomniał mu, jaką grzywnę płaci się za palenie w pociągu.

Dunning pokręcił głową.

– Ona od tego kicha.

– Aha.

Tego John nie wiedział. Zamknął znowu oczy.

– No, to ważna sprawa. Co chciałem rzec, to że...

Dunning przerwał, najwyraźniej czekał na zachętę. Ale że John się nie kwapił, w końcu sam zaczął mówić dalej: – Chciałem tylko powiedzieć, że może ona ci powiedziała, że ja wiem o dziecku, bo w swojej niewinności jest przekonana, że każdy akt prowadzi do poczęcia.

Niechronnie, że tak powiem.

W to John byłby skłonny uwierzyć. Poza wszystkim Dunning, od chwili kiedy otrzymał od niego telegram, dawał wszelkie dowody lojalności. Wyjechał z Wiednia natychmiast, z godnością przyjął powitalny cios pięścią w oko i nawet słowem nie sprzeciwił się nagłym zaręczynom.

– Dunning, pomilczmy chwilę.

– Dobrze, pomilczmy.

Dunning nie odzywał się całą minutę, a potem zaczął błagać Johna, żeby znalazł jakiś sposób na pozbycie się ciotki Constance, żeby on mógł porozmawiać z panną Gilbey w cztery oczy, zanim oboje staną przed rodzicami.

Dlatego, że on ją chyba kocha, i chciałby, żeby ona się o tym dowiedziała.

Betsey pocierała rękami ramiona. Udało jej się wymknąć z wieczoru tanecznego i teraz popatrywała w stronę hotelu. Mogła dostrzec światła tylko na górnych piętrach. Tej nocy ziemię spowijała biała mgła. Do pawilonu wdzierała się wilgoć. Niedługo będzie za zimno, żeby urządzać tu wieczorki taneczne. I niedługo zarząd rozstrzygnie o losie programu wycieczek.

Ktoś dotknął jej ramienia, więc odwróciła się, gotowa przyjąć gratulacje. Była to maszynistka, Julia Vane. Chciała jej po raz kolejny powiedzieć, jak wspaniałą mieli wycieczkę, mimo paskudnej pogody. Betsey podziękowała, a Julia znów wmieszała się między tańczących. Do Betsey podszedł służący. Szepnął:

– Panno Dobson, sir Alton chce z panią mówić.

Sir Alton zjawił się ze względu na interesy łączące kompanię zarządzającą molo z firmą Baumston & Smythe. Czekał na nią.

Wcześniej żywiła radosną nadzieję, że tej nocy sir Alton zauważy, jak wszystko świetnie idzie i jak ona sprawnie wykonuje swoją pracę. Teraz uznałaby za szczęście, gdyby nadal jej nie zauważał, bo prawdopodobieństwo, że nikt mu jeszcze nie opowiedział o jej ostatnim dniu u Baumstona & Smythe'a, o fałszerstwie, o paluszkach pana Wofforda i o ucieczce, było niewielkie.

Sir Alton ukłonił jej się i wyśpiewał swoje:

– Dobry wieczór. Ma pani wieści od naszego pana Jonesa – stwierdził. – Telefon! Coś pilnego, prawda?

Betsey była na polecenie pana Seilera w mieście i nie mogła odebrać telefonu, ale samo to, że do niej zadzwonił, wywołało w biurze niemałe zamieszanie. Telefonistka osobiście przekazała wiadomość, że... nie ma żadnej wiadomości, i próbowała wyciągnąć od Betsey, co by to mogła być za wiadomość, gdyby jakaś była.

– Coś, co dotyczy domu pani Elliot. – Próbowała uciąć domysły.

W ciągu ostatnich dwóch dni więcej czasu, niż byłaby skłonna przyznać, spędziła na rozmyślaniu o

tym, co chciałyby powiedzieć Johnowi, ale sir Alton był zainteresowany tylko jedną sprawą.

– Pani z pewnością by mnie poinformowała, gdyby on zmienił plany – powiedział. – Na razie przenosi się do Londynu, a pani... pani zostaje tutaj.

W tym stwierdzeniu krył się podtekst: skoro John nie zabrał jej ze sobą, to znaczy, że ją rzucił.

Jak na niego – wyraził się taktownie.

Betsey czekała z rękami splecionymi z tyłu i patrzyła na wycieczkowiczów tańczących polkę. Stary pan Baumston i lady Dunning, Julia Vane i inne maszynistki, urzędnicy i ubezpieczyciele – nawet Richard i Caroline – wszyscy płasali, śmiejąc się przy podskokach, jak blade płomyki na tle wilgotnego mroku wokół pawilonu.

Chciałyby, żeby sir Alton to widział i zauważył, jak bardzo to wszystko warte jest zachodu.

Wzięła wdech, szykując się do szczerzej rozmowy z nim. Zamierzała mu powiedzieć, że chce zostać w Idensea, że tego lata wykonała kawał dobrej roboty i wie, iż gdyby miała więcej czasu, mogłaby zrobić jeszcze więcej i jeszcze lepiej. Ale zobaczyła pana Wofforda i na sam jego widok zabrakło jej tchu. Wyraźnie obserwował ją i sir Altona. Skinął głową z triumfującym uśmiechem.

– Panno Dobson, pani musi mieć mnóstwo ciekawych propozycji – zaczął sir Alton. – A mimo to chce pani tu zostać? Jestem pani wdzięczny za lojalność. Wydaje mi się jednak, że jeśli chce pani zachować stanowisko, powinna pani okazać się bardziej... przydatna. Szczególnie w sprawach dotyczących mnie.

Chodziło mu o to, że powinna była zatrzymać Johna w Idensea. Odwróciła wzrok od Wofforda i spojrzała na sir Altona. Taksował ją jak stare ubranie. Spalić? A może wyrzucić żebrakom za bramę?

– Oczywiście oczekiwałem zbyt wiele – podsumował dość bezbarwnie, a Betsey zagryzła wargę, bo zdała sobie sprawę, że ona też. We wszystkich sprawach oczekiwała zbyt wiele.

Jak młodo Caroline wygląda! Za każdym razem, gdy mijała ją w tańcu, jej siostra posyłała jej promienny uśmiech, a ona wiedziała, że jest jej bardzo przyjemnie, ale jeszcze bardziej czuje dumę z siostry, która w eleganckim błękitnym kostiumie stoi obok samego sir Altona Dunninga.

Nawet Richard spoglądał na nią ciepło. Przyjął od niej pieniądze z większym wdziękiem, niż mogła się spodziewać, i przytaknął, najwyraźniej szczerze, gdy Caroline wyraziła nadzieję, że odwiedzi ich wkrótce w Londynie.

– To ciekawe, jak łatwo zakrada się nadzieja – wymruczał sir Alton, gdy Caroline pomachała do niej. Wofford wyglądał jak szakal, który się czai, żeby dopaść swoją część padliny. – Nawet wbrew logice. Nie zdawałem sobie sprawy, że jestem aż takim optymistą.

Betsey mocnej zacisnęła dłonie za plecami. No to pięknie, niech to cholera. Spodziewała się zbyt wiele. Ale po nim. Spodziewała się zbyt wiele po nim, podczas gdy po sobie... o wiele za mało.

Na chwilę spuściła głowę, na chwilę na tyle długą, żeby się mogła przyjrzeć swoim guzikom, i na tyle długą, żeby zdążyła sobie przyrzec: cokolwiek się stanie tej nocy, na koniec będzie dumna ze wszystkiego, co powiedziała i zrobiła. Skupiła się na obowiązkach, które ją jeszcze czekały tego wieczoru: w myślach zrobiła zestawienie tańców, przekąsek, przemówień. A, i jeszcze pamiątki –

papierowe ramki i tytoń. Zostawiła je na biurku w hotelu. Powinna po nie pójść albo kogoś posłać...

– Spodziewam się, że pozwalalała mu się pani dupczyć wystarczająco często.



Odpowiednie złożenie listu jest sprawą o niemałym znaczeniu.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

I sama chwila, i przyjemne nuty w głosie sir Altona w połączeniu z wyjątkową wulgarnością – wszystko to było obliczone na to, żeby jej odebrało mowę. Jego domysły były tak trafne, że się zatoczyła. Światła w pawilonie przygasty i zamigotały, bez ostrzeżenia, jak wodne wiry. Zamrugła oczami, podniosła wzrok i przełknęła ślinę. Łzy jakby się cofnęły, a światła na powrót pojaśniały.

Głos miała czysty.

– Przypuszcza pan zbyt wiele, jeśli wyobraża pan sobie, że zrobiłam cokolwiek, żeby panu pomóc, cokolwiek innego niż zarabianie pieniędzy dla pańskiej kompanii i reprezentowanie jej jak najlepiej. Jeśli wyobraża pan sobie, że ma pan jakiegokolwiek prawo oczekiwać czegoś więcej, to pańskie przypuszczenia idą o wiele za daleko, sir.

Przez jego twarz przemknął blady cień zainteresowania, chociaż musiał usłyszeć w jej głosie dość osobliwe tony. Ciarki przeszły jej po plecach. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta, wyjął list i podał go jej. Spodziewała się, że zobaczy własne szalone dzieło, fałszerstwo, którego się dopuściła u Baumstona & Smythe'a. Otworzyła. Rzeczywiście był to list napisany na maszynie, ale pierwszym, co rzuciło jej się w oczy, był kulfoniasty podpis Johna. Przeniosła wzrok na nagłówek i zmarszczyła brwi. John pisał do Wofforda? Na to wyglądało, choć rozpoznała napuszony styl sekretarki kompanii:

Doceniamy oczywistą troskę, która skłoniła Pana do zwrócenia się do naszej firmy, Idensea Pier, w sprawie panny Dobson. Proszę być pewnym, że Pańskie ostrzeżenie zostanie wzięte pod uwagę, o ile w przyszłości zajdą okoliczności nakazujące skorzystanie z niego. Co do Pańskich roszczeń finansowych, zgodzi się Pan z pewnością, że aby ustalić wysokości sumy, jaką panna Dobson powinna Panu wypłacić potrzebne nam będzie zaświadczenie od Pańskiego lekarza.

John. Jej sojusznik od samego początku. O wiele bardziej niż to, o czym była mowa w liście, bolała ją myśl o tym, że straciła tego mężczyznę. Gdzie teraz znajdzie tak niezwykle zaufanie i życzliwość?

Oddała list sir Altonowi. Życzył jej miłego wieczoru i zaczął zakładać płaszcz. Najwyraźniej skończyły mu się tematy do rozmowy. O czym jeszcze mieliby mówić? Bez wątpienia przedstawił list i wersję Wofforda, kiedy ona przedłożyła zarządowi swój raport, i nawet jeśli jej praca przekonała ich, że nadal powinni przyjmować wycieczki, to list raczej sprawił, że na stanowisku menedżera zaczęli widzieć kogoś innego niż ona.

Caroline, zaróżowiona i bez tchu, podeszła do niej z wyciągniętymi rękami.

– Wracam za chwilę – szepnęła jej Betsey do ucha, w nadziei, że nie zauważy, iż cała się trzęsie. Czowała mrowienie w dłoniach, jakby odpłynęła z nich cała krew.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, tak. Muszę tylko iść do hotelu po pamiątki.

– No to pójdę z tobą.

– Nie, zostań. Dam sobie radę. A poza tym zobacz, Richard chyba ma ochotę na następny taniec. Zostań i baw się.

W alejce łączącej pawilon z hotelem było więcej błota niż kamyków i potłuczonych muszli.

W dodatku Betsey poniewczasie zorientowała się, że mgłę zastąpił deszcz – a parasolka została w pawilonie. Odwróciła się, żeby po nią pójść, i natknęła się na Wofforda.

– Niech cię szlag – syknęła, tyleż zaskoczona, ile wściekła. – Zrobiłeś swoje, co? To teraz zostaw mnie w spokoju.

Odwróciła się, żeby pójść tam, gdzie zamierzała. Postanowiła nie cofać się po parasolkę.

– Wracaj tutaj – zakomenderował Wofford, zupełnie jakby miał do tego prawo.

Może i miałby, gdyby chciał jej zaoferować schronienie pod parasolem, który trzymał w ręce. Betsey się nie zatrzymała. Dopasowany żakiet krępował jej ruchy, gdy próbowała omijać największe kałuże, słabo widoczne w ciemności. Ciężkie chlapnięcia za plecami uświadomiły jej, że Wofford idzie za nią.

Wyswobodziła się z żakietu i rozpostarła go nad głową. Szła dalej, wierząc, że stawiając te swoje długie kroki, mocno go wyprzedzi. Ale nadal słyszała go za sobą. W każdym jego kroku wyczuwała wściekłość i chciała jak najszybciej znaleźć schronienie w pustym biurze, tylko na kilka chwil, żeby złapać oddech i zebrać siły na resztę wieczoru.

– Wraca pani ze mną do pawilonu, panno Dobson! Proszę się zatrzymać!

Nie zatrzymując się, spojrzała na niego przez ramię, gotowa z niego zadrwić, ale w jej głowie odezwał się dzwonek alarmowy. Widząc, z jaką determinacją podąża za nią, zdała sobie sprawę, że to prawdziwy pościg. Nie podobało jej się to – nie chciała uciekać.

Zatrzymała się i odwróciła do niego tak gwałtownie, że zrobił krok do tyłu. Był zaskoczony.

– Powiedziałam, żeby mnie pan zostawił w spokoju. Jesteś pan pieprzonym durniem, jeśli myślisz, że mnie zmusisz, żebym gdziekolwiek z panem poszła.

– Jesteś mi to winna.

– Ja? Winna? Nic ci nie jestem winna, a przynajmniej nic, czego byś chciał. Jestem winna panu Jonesowi, może... zdaje się, że opłacił twojego lekarza? I chyba zapłacił za dużo. Julia Vane powiedziała mi, że były wątpliwości, czy rzeczywiście miałeś złamane palce. Może sir Alton jest ci coś winien – co za szkoda, że on nie przepada za dramatycznymi scenami – ale zapewniam cię, że owoce swojej zemsty już zebrałeś.

Wofford zrobił krok naprzód.

– To nie koniec. Ośmieszylaś mnie przed wszystkimi, więc teraz pójdziesz do pawilonu i przed wszystkimi będziesz mnie prosić o wybaczenie...

– Cicho! – Betsey przyłożyła palce do ust.

Zignorowała bezczelne żądanie Wofforda. Zaczęła się za to wsłuchiwać w odgłosy dobiegające od strony ścieżki. Żakiet zsunął jej się z głowy. Uciszyła Wofforda raz jeszcze.

Odwróciła się od niego i słuchała.

Dwa słowa, które przebiły się z oddali przez mgłę i szum deszczu, doszły do jej uszu i przeniknęły ją na wskroś: *Szczęść Boże*.

Był z nim ktoś jeszcze. Mężczyzna. Znów naciągnęła żakiet na głowę, osłaniając się przed deszczem i przed tym, co próbował powiedzieć Wofford. Pracownik? A może pan Seiler? Nie mogła wychwycić ani wielu słów, ani głosu, żeby mieć pewność – byli gdzieś daleko, więc we mgle i ciemnościach nie było ich widać.

A potem dobiegł ją jęk cierpiącej kobiety. I ten głos rozpoznała od razu. Panna Gilbey.

Nie chciała, żeby ją zauważyli, więc potykając się, zeszła na trawnik, ale ponieważ Wofford cały czas lał za nią, pomyślała, że najbezpieczniej będzie jeszcze bardziej oddalić się od ścieżki.

Stała pod drzewem, zbyt cienkim na kryjówkę za dnia, ale w nocy zapewniającym niezłe schronienie.

Znowu opuściła żakiet, więc do jej uszu dobiegł głos Wofforda.

– Czy pani wzięła pod uwagę, co to dla mnie znaczy, pracować tam po takim upokorzeniu?

– Nie wzięłam – zapewniła go szeptem. Bezlitośnie. – A czy pan wziął pod uwagę, co to dla pana będzie znaczyć, jeśli przyłapią pana po ciemku z panną Dobson pod pańskim parasolem?

Szarpnął parasol, ale się nie odezwał. Betsey dotknęła czołem drzewa, przycisnęła kciuk do mokrej gąbczastej kory i nasłuchiwała, jak zbliżają się chrzęszczące kroki. Panna Gilbey mówiła o swoich butach – jakby sama do siebie, bo ani John, ani ten drugi mężczyzna nie odpowiadali.

Przeszli obok, nie zauważywszy ani jej, ani Wofforda, i Betsey zaspokoila ciekawość: zobaczyła oddalające się we mgle plecy Johna.

I tyle z jej ślubów. Była zbyt wielkim tchórzem, żeby stanąć twarzą w twarz z panną Gilbey i jej narzeczoną.

– No więc? – zaczął znów Wofford.

– Pan ciągle tutaj? – powiedziała z rezygnacją.

Smutek rozchodził się w niej jak rozlany atrament po papierze, przesiąkał na wskroś jej duszę.

– Nie może mnie pani tak po prostu ignorować. – Na jednej sylabie głos mu się załamał, przechodząc w niemal dziecięce łkanie. – Jest mi pani winna przeprosiny, w obecności wszystkich.

– Od tego, co ja jestem panu winna, może panu przestać broda rosnąć.

Ruszyła w stronę ścieżki, ale Wofford szarpnął ją za ramię, żeby ją odwrócić twarzą do siebie. Siła, z jaką to zrobił, świadczyła o tym, że spodziewał się większego oporu. A mimo to ledwie to poczuła. Powiedziała:

– Lepiej będzie, jeśli pozwoli mi pan odejść.

W jej głosie był chłód, niezwiązany z niczym, co czuła do niego.

Wofford po chwili zebrał się w sobie. Z jego twarzy zniknęły niepewność i skrzepowanie, ale nie pozwolił jej się oddalić.

– Pani zburzyła wszystko, co mnie wiązało z Baumstonem, i nigdy za to nie zapłaciła. Po prostu umknęła pani aż tutaj, tak? A teraz uważa pani, że może na nas wszystkich patrzeć z góry, zupełnie jakby pani cokolwiek tu znaczyła w tym swoim... tym... uniformie.

Spuścił oczy i wyglądał, jakby mu zabrakło słów.

– Podobają się panu moje guziki, co? – spytała miękko, prowokując go, żeby znów na nią spojrzeć. – No cóż, to tylko blaszka, ale zapracowałam na nie i są moje. I są o wiele za dobre na to, żeby miał je skalać ktoś taki jak pan.

Nie powtórzyła już, że ma jej pozwolić odejść. Szarpnęła się, ale nie udało jej się uwolnić.

Potknęła się o wystający korzeń i straciła równowagę, akurat gdy chciała ulokować kolano w jego wrażliwym miejscu. Kolejne mocne szarpnięcie i zatoczyła się do tyłu, pociągając Wofforda za sobą.



List w interesach powinien się składać z krótkich, jasnych i zwięzłych zdań.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

– Kurwa!

John usłyszał to słowo – rozbrzmiało nagle we mgle – i stanął jak wryty. Uśmiechnął się i powiedział do siebie:

– No, to musi być Elisabeth.

Po czym zostawił Lillian i Dunninga i poszedł tam, skąd dobiegł głos.

Znalazł Betsey na trawie. Wyczołgiwała się spod jęczącego typa, obrzucając go najgorszymi wyzwiskami. Tym akurat John nie był szczególnie zaskoczony.

Zarejestrował natomiast, że jęczący typ próbuje usiąść, wyciąga łapę w stronę Betsey i bliski jest osiągnięcia skraju jej spódnicy, a ona usiłuje się oddalić na czworakach.

Rzucił się na tyła i jego jęki przeszły we wrzask. Po chwili facet ucichł i uspokoił się, przygnieciony do ziemi wagą siedzącego na nim Johna. Oczy wyszły mu z orbit.

John nie puszczał. Spojrzał przez ramię. Dunning spieszył w jego stronę. Z nieuzasadnioną złością i poczuciem przegranej zauważył, że łapie Betsey za rękę, żeby jej pomóc wstać. Złość wyładował na człowieku, na którym siedział. Przycisnął mu pięściami pierś tak mocno, żeby wydobyć z niego pisk.

– Czy on... – zaczął John, ale poczuł się zakłopotany. Nie mógł spytać, czy ten tchórz zrobił jej krzywdę, w każdym razie zanim sam nie poprosił o wybaczenie. – Wszystko w porządku, Elisabeth? – poprawił się, a Betsey, której Lillian nieśmiało podawała swoją chusteczkę, zapewniła go, że tak. Mogłoby mu to przynieść ulgę, gdyby nie wściekłość w jej głosie. Ta wściekłość zaczynała przechodzić w coś innego.

John spojrział w dół, na swojego wielkookiego jeńca.

– Dobry wieczór, chłopcze. Kto ty, do cholery, jesteś?

– Ja... Wofford, proszę pana.

– To ten kierownik od Baumstona & Smythe'a – powiedziała Betsey i John od razu wiedział, o kogo chodzi.

Wofford zdał sobie sprawę, że ta prezentacja w niczym nie poprawia jego sytuacji. Oderwał głowę od ziemi i przystąpił do obrony.

– Ona...

John docisnął go z powrotem do trawy.

– Nie trudź się, chłopcze. Panna Dobson powie mi wszystko, co powinienem wiedzieć.

– Po prostu go stąd zabierzcie – powiedziała Betsey. – On się nie liczy, trzymajcie go tylko z dala od pawilonu. Nie chcę, żeby popsuł zabawę, więc proszę, zabierzcie go gdzieś.

Ruszyła w dół wzgórza, w stronę hotelu, a kiedy John zawołał, żeby na niego zaczekała, powiedziała tylko:

– Dobrze, panie Jones.

– Mam iść za nią? – spytał Dunning.

Czy Dunning powinien iść za nią? Dunning? Za nią? John wiedział, że ma dobre zamiary, ale poczuł wielką ochotę, by i jego przycisnąć kolanem. Bo to on powinien pobiec za Betsey. Ale nie musiałby tego robić, gdyby się nie oddaliła. Powinna była zostać i powiedzieć „dziękuję” albo „odpieprz się”, albo jeszcze coś innego. Nie powinna była tak po prostu odchodzić, jakby nie było nic do powiedzenia. I nie powinna była nazywać go panem Jonesem.

– Nie, nie trzeba – odpowiedział. – Chciałbym, żebyś poszedł do pawilonu...

– Do pawilonu? – Dunning przerwał mu niepewnie.

– Tam powinien być portier... wielki, postawny facet. Rudy. Ma na imię Frederick. Na pewno go zauważyłeś. Powiedz mu, żeby wziął ze sobą jeszcze kogoś i żeby tam na mnie czekali.

Ale zrób to dyskretnie. Szybko i po cichu, dobrze?

– Ale, Jones... – Dunning podszedł bliżej i trochę ściszył głos, żeby go nie słyszała Lillian.

– W pawilonie jest mój ojciec. – Przykucnął obok Johna i Wofforda i szepnął: – Powiedziałeś, że będziesz ze mną, no wiesz, kiedy przyjdzie czas. No wiesz, jak będę musiał stanąć przed starym.

– Chodź no tu, Noel – powiedział John i Dunning się pochylił. John złapał go za krawat i pociągnął.

– Och! – krzyknął Dunning.

– Przyślij Fredericka. Zaprowadź swojego ojca i lady Dunning do hotelu, żeby się mogli spotkać z Gilbeyami. A następnym razem, jak się zobaczymy, najlepszą rzeczą, jaką będziesz mógł zrobić, będzie wręczenie mi zaproszenia na ślub.

– Mówisz, że rudy?

John puścił jego krawat. Lillian wyrosła u jego boku, żeby go powstrzymać od upadku na tyłek. Kiedy odeszli, Wofford napomknął, że dla Johna byłoby zupełnie bezpiecznie, gdyby teraz pozwolił odejść także jemu, a John odparł, że ziemia jest zbyt mokra, żeby miał na niej siedzieć.

Trwali więc obaj w tej pozycji, dopóki nie zjawili się Frederick i drugi portier. Wofford został zamknięty w areszcie, a potem odprowadzono go na stację i wsadzono do pociągu. A potem...

A potem John mógł nareszcie załatwić to, czego tak bardzo pragnął.

W biurze było pusto i ciemno. Nieruchoma sylwetka Elisabeth rysowała się na tle okna, smukła i samotna jak kościelna figura anioła. John poczuł, że opuszczają go nerwy i że już tak bardzo mu się nie spieszy. Dotknął bolesnego miejsca w boku i wyszeptał jej imię.

– Elisabeth.

Poruszyła się, ledwie uniosła głowę. Czuł się tak, jakby biegł na skraj świata, i nagle, bez żadnego ostrzeżenia, zawahał się.

W tej jednej chwili Betsey otrząsnęła się z zadumy i powiedziała:

– Tak, wiem – jakby odpowiadała na coś, czego nie powiedział. – Muszę się spieszyć. Ja tylko... ja...

Jej dłoń spoczęła na ustach. Omiotła wzrokiem cienie i spojrzała na biurko, na którym stała maszyna do pisania. Podeszła do niej, przygotowała do użytku i powiedziała:

– Potrzebuję świadectwa. Nie masz nic przeciwko temu? Mogę pisać, ty będziesz dyktował. To nie powinno potrwać długo.

– Ty... potrzebujesz listu polecającego... teraz? W nocy?

– Będę potrzebowała. Wkrótce. Wofford... przywiózł ten list, wiesz, ten, który do niego napisałeś.

Wtedy, w czerwcu! – Strzepnęła z karetki niewidoczny pyłek. – To było bardzo uprzejme z twojej strony, tak na marginesie, nad wyraz uprzejme... A Wofford przywiózł go i dał sir Altonowi, rozumiesz, i chyba mu przedstawił swoją wersję, opowiedział, jak to według niego było, więc nie wydaje mi się, żebym miała tu jeszcze czego szukać.

Usiadła. John patrzył na nią.

– Mam na myśli... tutaj. Raczej nie mam nadziei. Ale kiedy ciebie nie było, rozmawiałam z panią Gomery. O Zegarze Słonecznym, pamiętasz? I z właścicielem Czarnego Lwa. Jestem pewna, że nie liczą na to, że będą mogli skutecznie konkurować ze Swan Parkiem, ale pomyślałam o czymś, co mogłoby im pozwolić trochę ożywić interes.

– Nie wątpię.

– Proszę... – W jej głosie słyszał napięcie. Słyszał też jej nerwowy oddech. – Chodzi mi tylko o zwykłe świadectwo. Jestem gotowa. – Maszyna wydała serię stuknięć. – Do wszystkich zainteresowanych. A teraz reszta.

– Na Boga! – Chciał jej zaproponować małżeństwo, a nie dyktować list.

– *Do... wszystkich... zainteresowanych.*

– Bardzo dobrze! *Do wszystkich zainteresowanych.* Daj mi chwilę.

Podszedł do niej. Zauważył, że niemal całkiem przemokła. Nie miała swojego niebieskiego zakietu, rękawy bluzki przywarły jej do ramion. Zdjął płaszcz, też mokry, ale przyjęła go bez protestu. Pomógł jej go założyć. Wzdrygnęła się tylko raz, gdy już go miała na sobie.

– No więc... – powiedział, gdy znów położyła dłonie na klawiaturze. – *Kompania Idensea Pier and Seaside Pleasure Building miała przyjemność poznać kwalifikacje i inteligencję panny Elisabeth Dobson, z której usług korzystała przez minione...*

Przerwał i klawisze na chwilę przestały stukać. Nagle zdał sobie sprawę, że to, co uważał za całe swoje życie, trwało raptem trzy i pół miesiąca.

– Trzy miesiące – powiedziała Betsey, nie bez odrobiny jadu w głosie, i wystukała na maszynie.

– I jeszcze dwa tygodnie, od kiedy spotkałem cię w Londynie. Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, Elisabeth, od razu pomyślałem: To jest to, czego potrzebuję. Mówiłem ci kiedyś o tym?

To, czego potrzebuję.

Instykt nigdy nie podpowiedział mu lepiej i zarazem nigdy nie zwiódł go bardziej niż wtedy. Pomylił się co do tego, do czego miał jej potrzebować.

– Nie mówiłeś. – Zacisnęła pięść i rozprostowała palce nad klawiszami. – Ale nie widzi mi się, żeby to było potrzebne. Idźmy dalej ... *to szczęście, że mogła poznać kwalifikacje i inteligencję panny Elisabeth Dobson, z której usług korzystała przez minione trzy miesiące.*

– Ja nie powiedziałem: szczęście.

– Nie obawiaj się, wiem, jak to się pisze. Dalej.

– *Ostatnie trzy miesiące.* Mhm... Tak więc na naszych usługach przez trzy ostatnie czy ileś tam miesiące. *W istocie uważamy, że jej odejście to dla naszej firmy tragedia...*

– Na miłość boską! To list polecający, nie pacierz.

– Tra-ge-dia. T-r-a...

– No, już mam. Tragedia. Strata.

– Największej... eee... wagi. Wagi. *W gruncie rzeczy, my kompania Idensea Pier and Seaside Pleasure Building, uważamy się za skończonych dupków, bo pozwoliliśmy jej odejść.*

Betsey przestała pisać.

– Poproszę o ten list pana Seilera.

Złożyła ręce na kolanach i spuściła głowę.

John przyciągnął krzesło i postawił obok niej. Usiadł i wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej policzka. Siedziała bez ruchu i nie wyglądało na to, żeby jej się to spodobało.

Spytała:

– Jak tam panna Gilbey?

Ostrożnie!

– Teraz jest bliska płaczu, bo nie wie, czy jej przyszły teść już wie o zaręczynach. Ale myślę, że sobie z tym poradzą. Ona i Dunning.

– Pan Dunning?

– No tak. Byłaś dla niej miła, powiedziała mi. Powiedziała, że ty... Powiedziała, że mnie jej odstąpiłaś.

Nie takich słów Lillian użyła, ale teraz starły z twarzy Betsey zmieszanie tak skutecznie, że nie żałował tego oszustwa. Zaśmiał się lekko, bo jej demoniczne brwi mówiły mu, że ma jakąś szansę, a ona znów spojrzała w dół, najwyraźniej czując, że to kręactwo.

– Pomyślałem, że to brzmi dziwnie – powiedział. – Ot, tak, oddać mnie, i nie wziąć ani szylinga rekompensaty. Lepiej nie próbuj tego więcej. – Złapał ją za brodę kciukiem i palcem wskazującym. – W żadnym wypadku nic z tego nie będzie.

Posłała mu spojrzenie, które uświadomiło mu, że w istocie przez kilka dni był zaręczony z Lillian. Wspominał to tak, jak uratowany samobójca może wspominać parapet za oknem, ale przecież to zrobił.

– Nawet gdybym się z nią ożenił – dodał – nic by z tego nie wyszło. Nadal to ty mnie masz. W całości. Właśnie teraz to zrozumiałem, Elisabeth.

Chciał powiedzieć więcej.

Deszcz przylepił jej grzywkę do czoła. Odgarnął ją, przypominając sobie tę noc, kiedy mu pozwoliła ją przyszyty. Gdy zbliżał się do niej z nożyczkami, spodziewał się, że się ostro sprzeciwi, ale ona zamknęła oczy, pochyliła się i poddała jego fryzjerskim zabiegom. Robił to ostrożnie, starał się nie obciąć za dużo.

Nagle gardło mu się zacisnęło z żalu za utraconym zaufaniem. Patrzył w ciemne oczy Betsey, otwarte i zachodzące łzami.

– Wybacz mi.

Chciał, żeby to zabrzmiało szczerze i mocno. Chciał złożyć wszelkie możliwe obietnice, mówić do niej jasno i jednoznacznie. Ale gdy trzymał jej twarz i patrzył w lśniące żalem oczy, jego gładka przemowa skurczyła się do kilku półsłów.

I jej też.

– Wybaczyłam. A ty?

– Też.

Odsunęła jego rękę od swojej twarzy i pocałowała w palce, a potem odwróciła swoją dłoń i przesunęła palcami po klawiaturze maszyny. Wodził nimi po okrągłych obwódkach wszystkich klawiszy.

– Wierzyłam, że wiem, czego ty chcesz – powiedziała cicho. – Próbowałam radzić sobie bez ciebie. Ale wszystko zrujnowałam, prawda? Tak jak powiedział Richard.

– Tego nie wiem. Jeśli zarząd wysłuchał twojego sprawozdania, to kto wie, co powiedzą.

Więc nie rezygnuj od razu i nie walcz, bo może nie ma z kim. Zmarnujesz tylko swoje oszczędności i podejmiesz jakieś beznadziejne zobowiązania.

Potrząsnęła głową i uniosła kącik ust.

– Ja muszę coś zrobić, żeby się sprawdzić, sama. Muszę coś zrobić sama.

Pogładził ją po głowie.

– Dziewczyno, ciągle musisz? Wszystko sama?

I nagle ta jego dziewczyna wybuchnęła płaczem, a on przygarnął ją, posadził sobie na kolanach i przytulił policzek do jej zapłakanej twarzy.

– No, już dobrze – powiedział szeptem. – Bo ja też nie muszę. Ja też nie.

Pomyślał, że powinien klęknąć. Miał przy sobie pierścionek, ale nie chciał teraz po niego sięgać. Wyobrażał sobie, że to się stanie pod rozgwieżdżonym niebem, a nie przy zimnym połysku maszyny do pisania.

Mimo to powiedział:

– Wyjdź za mnie, Elisabeth. – I wypadło to świetnie. – Kocham cię i nie ma co mówić o tym, co się ze mną stanie bez ciebie. Po prostu wyjdź za mnie.

Drżała w jego objęciach. Przez łyzy, cały czas w jego ramionach, zaczęła mówić, ale nie rozumiał właściwie ani jednego słowa. Wychwycił jedno: Owen. Przycisnął ją do siebie mocnej, żeby przestała się trząść i żeby odpędzić jej rozterki.

– Owen byłby szczęśliwy – powiedział. – I miałby najwierniejszego opiekuna, i należałby do najśladźszego, najczystszej serca, i ono zawsze byłoby przy nim. I, na Boga, na pewno nauczyłby się mocnego języka i pewnie nigdy nie wygrałby wyścigu rowerowego, ale miałby matkę i byłby szczęśliwy, i wielka szkoda, że nie mogłem go tu do ciebie przywieźć.

Jej dłoń na jego policzku. Jej ręka mówiąca: „szkoda”, rozumiejąca jego żal z tego powodu.

I jej łyzy niepozwalające wydostać się słowom. Próbowwała coś mówić. Nie mógł jej zrozumieć. A już zupełnie nie rozumiał tego, że zerwała się z jego kolan, złapała z biurka dwa koszyki i wybiegła.



Należy pamiętać, że maszyna nie będzie działać, jeśli nacisk karetki i nacisk klawiszy nie będą się równoważyć. Muszą być tak samo słabe albo tak samo mocne.

Jak zostać mistrzem maszynopisania

Dziękuję, powiedziała. I jeszcze: *Muszę iść i rozdać upominki*, ale wiedziała, że ma teraz głos jak miauczące kocię. Wiedziała, że nie może iść do pawilonu w takim stanie, kiedy każdy jej oddech załamywał się i przechodził w szloch, ale szła, świadoma spojrzeń, które podążały za nią, gdy wychodziła z hotelu, świadoma, kiedy deszcz smagał ją po twarzy, że zniszczy jej paczuszki tytoniu i papierowe ramki, świadoma, że John poszedł za nią i jest z nią, że wziął od niej jeden koszyk, że kładzie rękę na jej plecach, gdy idą – a raczej prawie biegną. A ona nic na żadną z tych rzeczy nie może poradzić. Jej ciało wypowiedziało posłuszeństwo umysłowi.

Orkiestra grała *Czasami*, co oznaczało, że jest już po przemówieniach i odbywają się ostatnie tańce. I choć upominki w ogóle się w tamtej chwili nie liczyły – po tym wszystkim Betsey rozpadała się na kawałki, tonęła w morzu, nie panowała nad sobą, a w ogóle to chyba sama odejdzie albo zostanie wylana, więc nieważne, co zrobiła z tymi cholernymi upominkami, a przede wszystkim John – o Boże, John poprosił ją o rękę! – nie, upominki w ogóle się nie liczą, ale pobiegła od ścieżki skrótem przez trawę i błoto, żeby się znaleźć w pawilonie, zanim muzyka przestanie grać.

John jej nie odstępował. Był z nią, niósł koszyk z rozmiękłym tytoniem, ani słowem nie próbował jej uspokoić, tylko był z nią i niósł koszyk, ten cholerny koszyk. Kiedy się potknęła i upadła, był obok niej, tam, na tej trawie i w tym błocie. Pochylił się nad nią i osłaniał od deszczu, żeby nie padał jej na twarz.

– Chłopcy i psy – wydyszała.

– Na Boga, o czym ty mówisz?

– Powiedziałaś, że chcesz, żeby byli. I małe dziewczynki, żeby jadły słodczyce do herbaty.

– Mam dla ciebie pierścionek. – Sięgnął do płaszcza, który ona ciągle miała na sobie. – Nie ma kamienia. Nie uwierzyłybyś, ile łupku kupiłem za wszystkie pieniądze, jakie miałem, kiedy mnie tu nie było. Ale nie nosiła go żadna inna kobieta, i jest w pudełku, zobaczysz, bo to od dobrego jubilera.

Trzymał w ręku pudełko. Nie sięgnęła po nie.

– Jest też napis.

– Wiersz? – próbowała zgadnąć.

– Jedno słowo... krótkie.

Zastanawiała się jakie.

– No więc mam ten pierścionek. I wystarczająco dużo pieniędzy, żebyśmy mogli zacząć w Kalifornii...

– W Ameryce!

– Podoba ci się ten pomysł? Rolly Brues potrzebuje menedżera do swoich nieruchomości.

Obiecał mi posadę, jeśli przyjadę. A w Londynie ciągle jest Pearse Leland. Albo sprzedam swoje akcje kompanii molo i zainwestuję w tę młodą menedżerkę, którą znam. Wszystko, o czym zamierzamy, Elisabeth. I chłopcy, psy i dziewczynki w środowe popołudnie, z sześcioma rodzajami kanapek – to też może być, jeśli tylko będziemy chcieli, żeby było. Bo to ty jesteś tą, bez której do niczego nie dojdę.

Włożył sobie pudełko z pierścionkiem w zęby, ścisnął palcami jej policzki, a potem wyjął pudełko z ust.

– Najlepsze, co możesz zrobić, to powiedzieć „tak”. I wtedy skończą się te łzy.

– Nigdy ci nie powiedziałam, że cię kocham. – To wyznanie wyzwoliło kolejną falę łez.

Zaczął się z nią sprzeczać. Potem zmarszczył czoło.

– Nie powiedziałaś? Jestem pewny, że powiedziałaś.

Roześmiali się oboje. Ona zamknęła oczy i z uśmiechem odchyliła głowę, żeby łapać na twarz krople deszczu spływające z jego włosów.

A on powiedział:

– Zostaliśmy przyłapani, wiesz?

Tak. Wiedziała o tym. Muzyka ucichła, głosy z pawilonu się zbliżyły. Kroki na ścieżce, tuż obok nich.

Mieli widownię.

- Cała nasza ostrożność na nic.
- Tak jest. Na nic. Jakbyśmy się w ogóle nie starali.

Przypomniała sobie o swoim zobowiązaniu. Że kiedy ta noc się skończy, będzie z siebie dumna. Leżała na mokrej ziemi, przemoczona i ubłocona. Papierowe ramki i tytoń wysypały się z koszyków i zmieniły w mokrą masę. A do tego leżał na niej mężczyzna.

Dotknęła jego piersi, a on wstał i wyciągnął rękę, żeby jej pomóc. Stała w zbitym kręgu widzów i myślała o swoich zobowiązaniach.

Pocałowała go. Odwzajemnił pocałunek. Wzięła pierścionek. Powiedziała: „kocham cię, John”. Widzowie w końcu się rozeszli, z wyjątkiem Caroline. Podeszła, żeby uściskać siostrę.

Wkrótce potem Betsey Dobson została zwolniona z kompanii Idensea Pier & Seaside Pleasure Building.

A może sama złożyła rezygnację?

Wiele lat później, gdy opowiadano tę historię przy kolacji, przy stole, który nie był zastawiony po królewsku, ale nigdy niczego na nim nie brakowało, w pokoju z widokiem na wielki ocean, w którym – to znany fakt – dwoje kochanków kąpało się w nocy, w pokoju pełnym twarzy w ogóle niepodobnych do gospodarzy tego stołu, twarzy, które o wiele częściej uśmiechały się niż były poważne...

Tak więc przy tym stole, wiele lat później, ani John, ani Betsey nie wspominali tej części swojej historii.

Nota historyczna

Droga Sułtańska to fikcyjna wersja kolejki widokowej zbudowanej przez LaMarcusa Thompsona w 1887 roku w Stanach Zjednoczonych. Takie kolejki zaczęto budować w Anglii dopiero w pierwszych latach XX wieku, więc autorka skorzystała z prawa do swobody twórczej i umieściła jedną z nich w fikcyjnym Idensea w ostatniej dekadzie XIX stulecia. Nowatorstwo techniczne i rozrywkowy aspekt tej konstrukcji były tak niezwykle, że John na pewno by się jej urokowi nie oparł.

Podziękowania

Pewnego wieczoru przy kolacji jeden z moich kolegów po piórze westchnął: „Trudno o cięższe i bardziej męczące zajęcie niż pisanie książek”. Z czasem zrozumiałam, że ma rację, ale teraz muszę przyznać, że o tym najcięższym i najbardziej męczącym aspekcie mojej pracy niemal zapomniałam, a to dzięki następującym osobom:

Dzięki wspaniałomyślnym pisarzom. Simon Adamson odpowiadał na moje pytania i dostarczył mi wspaniałych źródeł na temat budowy mola i gaszenia pożarów. Eloisa James zachęcała mnie od początku i udzielała rad tak dobrych, że nie mogłam z nich nie korzystać. Od Jenny Crusie dowiedziałam się o takich rzeczach, jak punkt zwrotny, i to ona pomogła mi naszkicować sylwetkę mojej bohaterki. Moi koledzy pisarze z LRW nie szczędzili mi słów otuchy i zawsze okazywali zrozumienie.

Dzięki oddanemu zespołowi z Gallery Books, w którego skład wchodzi: Parisa Zofaghari, Jaime Putorti, Regina Starace, redaktor Mary Beth Constant i mój wydawca Abby Zidle. Abby, ta chwila, kiedy opowiedziałaś od nowa pewną scenę z mojej książki, sugestywnie i z odpowiednią intonacją, sprawiła, że moje życie stało się życiem pisarki. Twoja wiara, talent i zdolność postrzegania nadały tej historii wdzięk. I za to jestem ci wdzięczna.

Dzięki mojej agentce, Emmanuelle Morgan. Gdyby nie ty, ta książka pozostałaby cikliwym powieściem z kiepskim tytułem. Ty miałaś wizję Betsey. Dziękuję ci za twoje wysiłki, które pozwoliły doprowadzić całe to przedsięwzięcie do końca.

Table of Contents

[Nota historyczna](#)

[Podziękowania](#)